

STEPHEN
FREY


AMBER



SPRZYSIĘZENIE

STEPHEN
FREY

SPRZYSIĘŻENIE

Przekład Jerzy Kozłowski



Tytuł oryginału
THE INNER SANCTUM

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
MARIA KWIATKOWSKA

Ilustracja na okładce
JONATHAN WALKER

Opracowanie graficzne okładki
WYDAWNICTWO AMBER

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER
oraz możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć
na stronie Internetu <http://www.amber.supermedia.pl>

First published in the United States under the title THE INNER SANCTUM by Stephen W. Frey
Copyright © Stephen W. Frey, 1997
Published by arrangement with Dutton Plume, a division of Penguin Putnam Inc.
All rights reserved.

For the Polish edition © Copyright by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o. 1999

ISBN 83-7245-144-3

WYDAWNICTWO AMBER Sp, z o.o.
00-108 Warszawa,
ul. Zielna 39,
tel. 620 40 13, 620 81 62

Warszawa 1999.
Wydanie I

Druk: Cieszyńska
Drukarnia Wydawnicza

Dla Lil

Prolog

Kwiecień 1997

Siedział spokojnie w dużym, skórzanym fotelu na granicy ciemności i anemicznego światła lampy. Zaciągnął się głęboko, na kilka chwil wstrzymał oddech, po czym powoli odchylił głowę do tyłu i wypuścił w stronę sufitu kłęb gęstego, gryzącego dymu. Nie spieszyło mu się. W przeszłości wielokrotnie prowadził negocjacje i doskonale zdawał sobie sprawę, jak ważne w takich sytuacjach jest stwarzanie pozorów obojętności.

David Mitchell z uwagą przyglądał się postaci zajmującej skórzany fotel, lecz w panującym mroku poza niewyraźnym zarysem sylwetki i jarzącym się koniuszkiem cygara nie mógł dostrzec wiele. Chciał przyspieszyć negocjacje, lecz milczał z obawy, że zdradzi swą niecierpliwość, a w konsekwencji nie doprowadzi do porozumienia.

- A więc na ile mogę liczyć? - zapytał wreszcie mężczyzna chrapliwym głosem, który przebił się przez zadymione powietrze.

- Dwa miliony dolarów - brzmiała odpowiedź Davida. - Milion po podpisaniu kontraktu i milion po rozpoczęciu produkcji.

- Dwa miliony dolarów. - Mężczyzna przez chwilę ważył słowa. - Proście mnie o bardzo wiele. Dwa miliony dolarów, to chyba za mało. - Delikatnie trącił cygaro o brzeg kryształowej popielniczki, do której wpadł centymetrowy kawałek popiołu o idealnie zaokrąglonym kształcie.

- Zatem jaką sumą byłby pan usatysfakcjonowany?

- Większą niż dwa miliony.

David wziął głęboki wdech. Denerwowało go, że pertraktacje utknęły w martwym punkcie, lecz usiłował nie pokazywać tego po sobie.

- Czy naprawdę jest pan w stanie wywiązać się z zadania? - Było to śmiałe pytanie i zauważył, pomimo skąpego światła, że rozluźnione ciało jego rozmówcy nagle się naprężyło.

- Oczywiście. - Jego głos nadal brzmiał pewnie, choć teraz dało się w nim słyszeć nutę tłumionego gniewu, który został wywołany zuchwałością młodszego mężczyzny.

- Jakie mam gwarancje? - zapytał szybko David, wyczuwając, że uderzył w czuły punkt.

- Żadnych. Po prostu musi mi pan zaufać.

- Daję panu dwa miliony dolarów. Potrzebuję czegoś więcej niż zaufania, muszę mieć pewność.

- Niemożliwe. O żadnych gwarancjach nie może być mowy.

Na kilka sekund zapanowała niezręczna cisza.

- Być może zrobiłem błąd, przychodząc tutaj. - David natychmiast pożałował słów, które wypowiedział.

Jego rozmówca rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- W takim razie - odparł bez cienia wahania - drzwi są za panem.

David poczuł, jak po prawym policzku z brwi powoli spływa mu kropla potu. Nie mógł sfinalizować transakcji na tak niepewnych warunkach, ale nie mógł również się poddać.

Mężczyzna dostrzegł niezdecydowanie Davida i zrobił następny krok:

- Pańskie pieniądze, panie Mitchell, pozwolą mi działać w pojedynkę. Proszę nie zapominać, jak bardzo jest to ważne. Tylko na tym skorzystacie. Nie będzie się marnować czasu na zbieranie informacji i powoływanie komisji, co przedłużyłoby cały proces o lata. - Jego głos przybrał na sile. - I niech pan nie sądzi, że żądając dwóch milionów dolarów za swój udział, kieruje się chciwością. Jeśli postanowię przyjąć pańską propozycję, suma ta będzie stanowić jedynie marginalną część waszych zysków.

Po plecach Davida przeszedł dreszcz emocji. Faktycznie. Dochody zapowiadały się olbrzymie.

- A zatem jakiej sumy pan żąda? - ponownie zadał kluczowe pytanie.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Niech pan wróci z nową propozycją. Proszę się kontaktować poprzez naszego łącznika.

- Ale zależy mi na czasie. Już teraz muszę wiedzieć, ile pan żąda. - David poczuł, że mur jego opanowania zaczyna się kruszyć i mimowolnie mrugnął lewą powieką.

Gdyby nie mrok, David zauważyłby, że cień uśmiechu podnosi do góry koniuszki ust jego rozmówcy. Mrugnięcie powieki, rysa na kamiennym obliczu Mitchella, nie przeszło nie zauważone.

- Nie zamierzam podawać sumy. Nigdy tego nie robię. - Wycelował żarzący się koniec cygara w Davida. - Zaczynam jednak tracić cierpliwość. Proszę się postarać, aby następna oferta była do przyjęcia.

David kiwnął głową. Zdał sobie sprawę, że tym razem negocjacje jeszcze się nie zakończą.

- Dobrze.

Wyniki testów psychologicznych Mitchella były lepsze niż kogokolwiek innego w historii firmy. Teraz wiadomo było dlaczego. Pomimo ogromnej presji Mitchell trzymał się z godną pozazdrosczenia wytrzymałością. Zdradziła go jedynie kropla potu i mrugnięcie powieką. Większość jego poprzedników do tej pory dała za wygraną.

- Postępuje pan słusznie, panie Mitchell - stwierdził łagodnie starszy mężczyzna. Mitchell nic go nie obchodził, lecz wypowiedział te słowa ze współczuciem, próbując manipulować uczuciami młodszego mężczyzny. Chodziło o interes, nie ponadto. Chcieli nawiązać dłuższą współpracę z Mitchellem. Chcieli zacisnąć wokół niego maci już teraz, żeby później nie zrejterował i przypadkiem się nie uratował. - Z pewnością postępuje pan słusznie.

- Wiem - odparł David, starając się nie tracić rezonu.

- Bez wielkiego sukcesu, takiego jak ten, ukrzyżują pana. Pozwolą, aby na krzyżu wykrwawił się pan na śmierć, a zwłoki później spalą. I niech mi pan wierzy, nie powstanie pan z popiołów. Historia z Feniksem w tym przypadku się nie powtórzy.

- Wiem - powiedział David, tym razem przez zaciśnięte zęby. Ten człowiek miał absolutną rację. Znajdował się pod ogromną presją. Bez świetnych wyników, dużo lepszych niż te, które osiągnął do tej pory, będzie skończony i nie znajdzie innej pracy. Przynajmniej nie takiej jak ta.

Mężczyzna zaciągnął się cygarem. Być może kiedyś, gdy Mitchell na to zasłuży, umożliwią mu pełniejszy wgląd w sytuację. Być może pozwolą mu zrozumieć, dlaczego jeden musi wygrać, a drugi przegrać. I być może uświadomią mu, w jaki sposób mogą do tego doprowadzić.

David podniósł się z krzesła. Nie ulegało wątpliwości, że spotkanie dobiegło końca.

- Panie Mitchell.

David odwrócił się, dochodząc do drzwi.

- Słucham?

- Zanim pan wyjdzie chciałbym, żeby zrozumiał pan dwie sprawy.

- Mianowicie?

- Po pierwsze, nigdy wcześniej nie wykorzystywałem swej pozycji w ten sposób. Moje postępowanie jest całkowicie etyczne. Nie jestem skorumpowany.

Milczenie Davida'inówito samo za siebie.

Jego rozmówca zmrużył oczy, wyczuwając sceptycyzm.

- Po drugie, rozważam pańską propozycję, ponieważ wierzę, że postąpię zgodnie z interesem tego kraju. W tej sytuacji pieniądze nie są motorem moich działań, nie one są głównym bodźcem.

Przez chwilę Davidowi zdawało się, że widzi twarz swego rozmówcy, lecz ta szybko na nowo utonęła w ciemnościach.

O czym pan mówi?

- Moją nadrzędną troską jest bezpieczeństwo narodowe. I dla osiągnięcia tego celu jestem gotów zastosować wszelkie środki. Dlatego jestem skłonny rozważyć pańską propozycję. Pieniądze to sprawa drugorzędna. Rozumie pan?

- Tak. - David wpatrywał się w ciemną sylwetkę, podziwiając swego rozmówcę, który tak wspaniale potrafił usprawiedliwiać swe postępowanie i z takim przekonaniem zapewniać, że nie chodzi tu o dwa miliony dolarów czy o inną sumę, którą ostatecznie uzgodnią. - Jutro skontaktuję się z panem przez naszego wspólnego znajomego.

- Dobrze.

David wyszedł na wyludniony korytarz i zamknął drzwi. Chłodne, świeże powietrze owiało mu twarz. Przystanął na kilka chwil, żeby oczyścić płuca z dymu i pozwolić sercu na zwolnienie rytmu. Spotkanie to wymagało od niego nie lada odwagi. Chryste, cała sytuacja mogła zostać zaaranżowana, żeby go zrobić.

W końcu ruszył z miejsca, a stukot twardych podeszew o marmurową posadzkę odbijał się echem w najdalszych zakątkach korytarza. Nie został jednak wrobiony i teraz w tej układance brakowało już tylko jednego elementu. Jutro wieczorem cała jego ciężka praca, plany i wydane pieniądze zaczną przynosić zyski.

1.

Wrzesień 1999

Ale się dziś nadźwigasz, Jesse. - Neil Robinson, kierownik lokalnego urzędu skarbowego, wskazał głową na wypchaną torbę młodej kobiety, gdy oboje przedzierali się przez tłum, który wylewał się z biur na chodniki centrum Baltimore.

- Ach, przed wyjściem wrzuciłam tam trochę starych akt, żeby zrobić na tobie wrażenie - zaśmiała się Jesse, gdy mijali grupę mężczyzn w garniturach, którzy wyszli zza rogu. - Chcę wypaść w twoich oczach na pracowitą, żebyś mnie awansował i żebyśmy mogła dostać podwyżkę.

- Chyba żartujesz. Awansowałam cię dwa miesiące temu i wtedy dostałaś podwyżkę. - Robinson udał zniecierpliwienie, lecz musiał odwrócić głowę, żeby nie zauważyła uśmiechu na jego twarzy. Wiedział doskonale, że Jesse niesie do domu bieżące akta. Jesse Hayes i jej przyjaciółka, Sara Adams, były najciężej pracującymi urzędniczkami w jego oddziale. Lecz w jakiś sposób Jesse potrafiła łączyć swą niebywałą sprawność zawodową z czarującym uśmiechem i pozytywnym myśleniem, na co Sara nie zawsze umiała się zdobyć.

- Użyj swych wpływów, Neil - poprosiła Jesse, podciągając pasek torby na ramieniu. - Czyż nie jestem tego warta?

- Oczywiście, że jesteś, ale w instytucjach rządowych sprawy się mają inaczej. Nie obchodzi ich, ile jesteś warta, tylko jak długo dla nich pracujesz.

- Nie brzmi to zbyt zachęcająco. - Jesse uśmiechnęła się. - Jak mam wykarmić swoją czwórkę dzieci?

Robinson podniósł jedną brew.

- Jesse, a kiedyż to ostatnio byłaś w ciąży?

- Kiedy uznałam, że mam dość zaciskania pasa.

Robinson pokręcił głową i roześmiał się, po czym zerknął na zegarek. Pięć po szóstej. Był już pięć minut spóźniony na spotkanie z Gordonem Rothem. Robinson zawsze dbał o punktualność, lecz tego wieczoru specjalnie się spóźniał. Miał nadzieję, że Roth nie będzie długo czekał.

- Dokąd się wybierasz, Jesse? - spytał.

- Na lekcje.

- Ach, prawda, szkoła biznesu - przypomniał sobie Robinson. Zatrzymali się na rogu, czekając na zmianę świateł. - Absolwentka Maryland Business School - Jesse Hayes. - Spojrzał na nią z dumą. - Nieźle brzmi, co?

- Będzie brzmiało dużo lepiej, gdy stanie się faktem.

Światła zmieniły się, a oni ruszyli przed siebie z tłumem przechodniów.

- Jak tam w szkole? - Robinson wyczuł jej napięcie.

- Chyba dobrze. Nie mogę narzekać, ale czasem jest mi trudno wysiedzieć trzy godziny w sali wykładowej po całym dniu w biurze. - Westchnęła. - Mam tylko nadzieję, że dyplom ukończenia studiów wynagrodzi mi to wszystko.

- Cierpliwości - powiedział po ojcowsku. - Kiedyś się przekonasz, że warto było.

Jesse zrozumiała, że otrzymała właśnie delikatne upomnienie.

- Wiem, że nie powinnam tak marudzić, Neil. Ale mam tyle rzeczy na głowie.

- Rozumiem, ale ty zawsze doprowadzasz do końca to, co zaczniesz. A poza tym nic, co przedstawia w życiu jakąś wartość, nie przychodzi łatwo. - Wyciągnął chusteczkę z kieszeni garnituru i otarł pot wokół ust. Być może powinien w ogóle zrezygnować ze spotkania z Rothem.

Jesse uśmiechnęła się do Robinsona, gdy pospiesznie przechodzili przez ulicę. Ich stosunki nie układały się jak typowe relacje między zwierzchnikiem i podwładną. Owszem, był jej szefem, lecz również prawdziwym przyjacielem.

- Wiesz, że zawrze będę ci wdzięczna za napisanie listu polecającego, Neil. Myślę, że właśnie dzięki niemu przyjęto mnie do Maryland Business School.

- Nie, sama się tam dostałaś, Jesse.

- List bardzo jednak pomógł. Kobieta z sekretariatu powiedziała mi, że twoja rekomendacja miała ogromny wpływ. - Jesse zrobiła krótką przerwę. - A poza tym miło z twojej strony, że raz w tygodniu pozwalasz mi wcześniej wyjść na zajęcia.

Robinson podniósł rękę.

- Żaden problem. Do diabła, przecież ty do południa zwykle robisz tyle, ile inni w ciągu całego dnia. I wcale ich nie krytykuję. Oni też ciężko pracują. - Na chwilę Robinson i Jesse rozdzielili się, mijając dużą grupę turystów drepczących przed wejściem do hotelu. - Kiedy bronisz pracę? - zapytał, gdy znów się zeszli.

- W czerwcu.

- A wtedy czeka cię wyjazd do Nowego Jorku, prawda? I praca dla jednego z tamtejszych banków inwestycyjnych.

Jesse zawahała się. Wyjazd do Nowego Jorku oznaczał rezygnację z pracy w urzędzie skarbowym, a ona nie czuła się zręcznie ze świadomością, że szef zna jej plany. Rozmawiali już o tej sprawie kilkakrotnie i Robinson uporczywie zachęcał ją, aby urzeczywistniła swe zamiary.

- Mam taką nadzieję, choć o te stanowiska toczy się straszliwa walka.

- Nie martw się. Znam pewnych ludzi w Nowym Jorku, którzy mogą okazać się pomocni. W odpowiednim czasie wykonam kilka telefonów. Niesamowicie, ile zyskałem sobie przyjaciół w kręgach finansowych, odkąd sprawuję wysokie stanowisko w urzędzie skarbowym.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Każdy chciałby mieć przyjaciela w urzędzie skarbowym.

- Nie śmiałybym znów prosić cię o pomoc, Neil - zawołała, usiłując przekrzyknąć mijający ich autobus. - Już tyle dla mnie zrobiłeś.

- Przestań, robię to z przyjemnością. Doceniam, jak ciężko musiałaś pracować, żeby osiągnąć to wszystko. Ze mną było tak samo. Niektórzy pomogli mi i obiecałem sobie, że gdy zajdę wysoko, zrobię to samo dla innych, przynajmniej dla tych, którzy sobie zasłużą.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Neil.

Robinson zwolnił, gdy doszli do następnego skrzyżowania.

- Light Street - wskazał głową tabliczkę z nazwą ulicy, po raz kolejny wycierając chusteczką twarz. - Tutaj skręcam. Za kilka minut mam spotkanie w hotelu Hyatt.

- Wszystko w porządku, Neil? - Jesse zauważyła krople potu nad jego górną wargą, jeszcze gdy wychodzili z biura. Niechybny znak, że czymś się denerwował.

- Co masz na myśli?

Przypomniało jej się teraz, że Robinson przez cały dzień sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

- Coś cię gryzie?

- Nie, wszystko jest w najlepszym porządku. - Delikatnie dotknął jej łokcia, jakby chciał ją uspokoić. - Powodzenia na zajęciach. I głowa do góry. Wszystko się ułoży.

Jesse uśmiechnęła się.

- Dzięki. - Neil Robinson był cudownym człowiekiem. Nigdy nie będzie w stanie odplacić za całą jego dobroć. - Do jutra. - Ruszyła dalej.

- Ach, Jesse!

Zatrzymała się i odwróciła głowę.

- Tak?

Zrobił gest, jakby chciał wyjąć coś z wewnętrznej kieszeni marynarki, lecz zaraz powoli opuścił dłoń. Przechodnie mijali ich w pośpiechu, a on przez kilka chwil przyglądał się jej.

- O co chodzi, Neil? - zapytała.

- Nic takiego - odparł wreszcie. - Do zobaczenia jutro w biurze. - Pomachał jej na pożegnanie i poszedł dalej.

Jesse wzruszyła ramionami, przełożyła torbę na drugie ramię i skierowała się w stronę samochodu.

Pięć minut później Robinson stał na trzecim piętrze hotelu Hyatt, przeczesując wzrokiem tłum zgromadzony w holu.

- Pan Robinson?

Robinson poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

- Tak?

- Gordon Roth.

- Ach, witam pana. - Robinsona ogarnęło rozczarowanie, gdy ściskali sobie dłonie. Już miał wychodzić. - Proszę mi mówić Neil. - Robinson zupełnie inaczej wyobrażał sobie Rotha. Jego jasne włosy koloru piaskowego opadały z tyłu aż do kołnierza marynarki, a poza tym miał starannie przyciętą krótką brodę i wąsy. - Spodziewałem się, że będzie pan wyglądał inaczej. Myślałem, że wszyscy macie krótko ostrzyżone włosy i ogoloną twarz.

Przez twarz Rotha przebiegł lekki uśmiech, jak gdyby dostrzegł ironię w słowach Robinsona.

- Znajdźmy jakieś miejsce, które zapewni nam choć trochę prywatności. - Roth wskazał mały stolik w zacisznym kącie: - Może tam?

- Dobrze.

Mężczyźni zaczęli przeciskać się między kanapami, stolikami i fotelami wypełnionego o tej porze biznesmenami holu. Dotarli wreszcie do stolika w kącie, gdzie gwar rozmów nie był już tak uciążliwy.

- Może być? - zapytał Roth.

- Jasne.

Ze swych miejsc mogli podziwiać panoramę portu Baltimore. Takie miejsce powinno być dawno zajęte i siadając, Robinson zastanawiał się, jakim cudem przy tak dużym tłoku ten stolik pozostawał wolny.

- Proszę, jaki wspaniały widok na Konstelację - zauważył Robinson, wskazując zacumowany w porcie okręt wojenny z czasów rewolucji, teraz zamieniony w muzeum morskie.

- Mmm. - Roth nie wykazał zainteresowania historycznym obiektem, który unosił się na wodzie. - Można? - skinął na młodą kelnerkę.

Kobieta zakończyła przyjmowanie zamówienia przy innym stoliku i podeszła do Rotha.

- Słucham pana.

- Poproszę szkocką z wodą, Glenlivet, jeśli macie. - Roth skinął na Robinsona. - A pan czego się napije?

- Piwa. Najlepiej National Premium w butelce z długą szyjką. Nic nie smakuje lepiej niż zimne piwo pod koniec gorącego, parnego dnia w Baltimore.

- Racja. - Roth uśmiechnął się nieszczerze, zwracając się do kelnerki: - Dla mojego przyjaciela proszę przynieść schłodzoną szklankę, dobrze?

- Naturalnie. - Kelnerka zapisała zamówienie w notesie i odeszła szybkim krokiem do baru.

Robinson znów zachwyił się Konstelacją po czym pokręcił głową. Co robił w tym miejscu? Czekały na niego stosy papierów. Praca kierownika urzędu skarbowego to nie bajka - nawet we wrześniu, pięć miesięcy po kwietniowej gorączce podatkowej. Lecz przez kilka ostatnich dni Gordon Roth wykazywał w rozmowach telefonicznych niezwykłą uporczywość, a Robinsonowi zależało, aby sprawę tę załatwić dyskretnie.

Roth założył nogę na nogę i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Proszę mi powiedzieć, panie Robinson, dlaczego tak bardzo interesuje pana Elbridge Coleman?

Robinson poczuł natychmiast przyspieszone bicie serca. Roth podjął rozmowę dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwał ją przez telefon.

- Dlaczego sprawdził pan wszystkie osobiste deklaracje podatkowe Colemana z ostatnich siedmiu lat? Dlaczego sprawdził pan wszystkie deklaracje firmy Coleman Technology? - Roth wziął go w krzyżowy ogień pytań.

Gdzieś w głębi mózgu Robinsona włączył się dziwny, ledwie słyszalny alarm. Roth napierał zbyt mocno, zbyt szybko.

- Muszę sprawdzić pańskie dokumenty - oznajmił stanowczo.

Roth sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął czarny skórzany portfel i szybkim ruchem otworzył go, aby Robinson mógł obejrzeć ciężką złotą odznakę i zdjęcie.

- Jak wspomniałem przez telefon, pracuję dla zastępcy prokuratora generalnego. - Roth zamknął portfel i wsunął go z powrotem do kieszeni marynarki.

Robinson zastanawiał się przez chwilę, czy nie poprosić o ponowne okazanie dokumentów, które Roth podejrzanie szybko przed nim schował. Ale odznaka wyglądała raczej na prawdziwą, a zresztą jak, u diabła, miałby sprawdzić jej autentyczność, nawet gdyby miał obejrzeć ją po raz drugi. Prośba o ponowne jej okazanie tylko zirytowałaby Rotha, a Robinson nie chciał do tego dopuścić. Pracownicy Departamentu Sprawiedliwości mieli w kręgach rządowych opinie twarde i mściwe.

- Powiedz mi, Gordon - zapytał - dlaczego skontrolowanie przeze mnie kilku deklaracji podatkowych tak bardzo cię interesuje?

- Dobre pytanie. - Roth kiwnął głową. - Zanim odpowiedział, zabębnił palcami po oparciu fotela, jak gdyby zastanawiał się, ile może mu wyjawić. - Jak pan wie, Elbridge Coleman startuje w nadchodzących listopadowych wyborach jako republikański kandydat do Senatu przeciwko obecnemu senatorowi z ramienia Partii Demokratycznej, Malcolmowi Walkerowi. - Roth automatycznie ściszył głos, widząc nadchodzącą z napojami kelnerkę. - Sądzymy, że odkryliśmy pewne nieprawidłowości w kampanii Colemana. Dlatego chcielibyśmy wiedzieć, czy ma pan coś na niego. Zakładamy, że nie zajmuje się pan jego deklaracjami podatkowymi bez powodu.

- Nieprawidłowości? - Robinson usiadł prosto w fotelu. Brzmi interesująco. Być może potwierdzą to, co sam wykrył.

Kelnerka nalała piwo do schłodzonej szklanki Robinsona i odeszła do innego stolika, żeby przyjąć zamówienie.

- Tak, nieprawidłowości - powtórzył Roth po odejściu kelnerki.

- Muszę przyznać, że ciekawi mnie natura waszych podejrzeń. - Robinson usiłował zapanować nad swym uniesieniem. - Co odkryliście?

Roth nie kwapił się jednak z odpowiedzią na jego pytanie i wznosił toast:

- Za współpracę agend rządowych. - Pociągnął długi łyk szkockiej.

- Słusznie. - Robinson również łyknął piwa. - No więc co macie na Elbridge'a Colemana? - Zaczął tracić cierpliwość.

- Nie. - Roth pokręcił głową. - Najpierw ja chciałbym się dowiedzieć, dlaczego zajął się pan deklaracjami podatkowymi Colemana.

Alarm w głowie Robinsona nasilił się. Uważaj, pomyślał sobie.

- To tyle, jeśli chodzi o współpracę agend rządowych. - Wykrzywił usta i połknął kolejny łyk piwa.

Roth milczał przez chwilę, gładząc się po brodzie. Wreszcie wycelował w Robinsona palec.

- Odniosł pan niebywały sukces. Szef oddziału urzędu skarbowego, to niezłe stanowisko jak na człowieka, który wychował się w slumsach dzielnicy Jefferson Heights.

Robinson nieznacznie kiwał głową. Wyrwanie się z zamieszkanego głównie przez czarną ludność getta wymagało od niego ogromnego wysiłku. Ale dlaczego Roth tyle o nim wiedział?

- A moi zwierzchnicy informują mnie, że wiążą z panem jeszcze ambitniejsze plany. Nie sądzę, aby chciał pan to wszystko zaprzepaścić.
- Niby w jaki sposób? - Arogancja tego człowieka działała Robinsonowi na nerwy.

Roth przewrócił oczami, jak gdyby taka możliwość była oczywista.

- Panie Robinson, nie wiedziałem, że standardowa procedura zezwala kierownikowi urzędu skarbowego na osobiste przeprowadzenie rewizji podatkowej, zwłaszcza w przypadku osoby ubiegającej się o stanowisko senatora Stanów Zjednoczonych. Sądziłem, że obowiązek ten należy do urzędników skarbowych. Z moich źródeł wynika, że nie zlecił pan tej rewizji żadnemu z podlegających panu urzędników. Zajął się pan tymi deklaracjami bardzo dyskretnie, nikomu o nich nie mówiąc.

Robinson poczuł, że wzbiera w nim gniew. Roth prawdopodobnie zainstalował podsłuch w jego biurze. Tylko w ten sposób mógł zdobyć te informacje. Dla pracowników Departamentu Sprawiedliwości nie jest to żaden problem.

- Zgadza się, nikomu nie powiedziałem. - Robinson był zły na Rotha, lecz również zaniepokojony. Rzeczywiście, przeprowadzanie rewizji przez kierownika urzędu odbiegało od typowych praktyk. Rozpoczęcie kontroli należało do urzędników skarbowych i tylko w usprawiedliwionych przypadkach, chyba że rewizja stanowiła część autoryzowanej kontroli wyrywkowej. W kręgach rządowych obawiano się przypadków, iż pracownicy urzędu skarbowego zechcą wykorzystać swoje stanowisko do dokonywania osobistej wendetty.

- Wątpię, czy chciałby pan, aby pańscy przełożeni w Waszyngtonie dowiedzieli się, że przeprowadza pan bez ich zgody kontrole kandydatów na senatorów. - Roth wystrzelił kolejny pocisk. - Gdyby ktoś przypadkiem się dowiedział, rozpętałoby się wokół pana piekło. - Aluzja nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Robinson poznał już kilka osób z Departamentu Sprawiedliwości i wszyscy byli tacy sami - arogancy i świetnie poinformowani. Niestety, w tym przypadku informacje były prawdziwe. Gdyby jego zwierzchnicy w Waszyngtonie dowiedzieli się, co zrobił, faktycznie rozpętałoby się piekło. Piekło, które mogłoby narazić na szwank reputację, którą zdobywał przez tyle lat.

Pocisk trafił do celu, co odbiło się na twarzy Robinsona.

- Czemu więc zajął się pan tymi deklaracjami podatkowymi? - spytał Roth triumfalnie, jak gdyby nie ulegało wątpliwości, że teraz jego pytanie nie pozostanie bez odpowiedzi.

W tym momencie alarm w głowie Robinsona przerodził się w wycie syreny: „Nic nie mów Rothowi”.

- Miałem przeczucie.
- Jak to?
- Elbridge Coleman pojawił się wiosną nie wiadomo skąd, zaczął topić ogromne

sumy w reklamach i podczas wyborów partyjnych pokonał wszystkich innych kandydatów republikańskich. Niektórzy z nich byli wytrawnymi politykami o znanych nazwiskach, a on i tak ich rozgromił. Teraz Coleman poważnie zagraża Malcolmowi Walkerowi w walce o fotel senatorski w wyborach powszechnych. Nadal kupuje reklamy, a moim zdaniem również głosy. Malcolm Walker cieszy się w stanie Maryland dużą popularnością. Coleman musi wydać sporo dolarów, żeby dorównać mu w rankingach. Być może dzieje się coś jeszcze.

- Nie ma nic złego w wydawaniu własnej gotówki, panie Robinson. Coleman zrobił majątek, gdy wypuścił akcje swej firmy komputerowej. Jeśli chce go teraz przepuścić na kampanię senatorską, myślę, że ma prawo. Żyjemy przecież w wolnym kraju. Tak przynajmniej ostatnio słyszałem.

- Coleman założył firmę niespełna cztery lata temu, nie wiedząc zupełnie nic o komputerach. Teraz sprzedaje sześćdziesiąt procent udziałów za pięćdziesiąt milionów dolarów i nagle chce wygryźć Malcolma Walkera z Senatu. Walker otwarcie krytykuje Departament Obrony, a ja sprawdziłem, że Coleman Technology po cichu prowadzi ożywione interesy z kilkoma dużymi firmami zbrojeniowymi. Nie potrzeba wielkiej przenikliwości, żeby stwierdzić, iż szefowie Pentagonu i dużych firm zbrojeniowych nie mieliby nic przeciwko temu, aby Walker został pokonany, a jego miejsce zajął Coleman. - Robinson wyłożył swe karty. W tajemniczy sposób alarm w jego głowie ucichł.

Roth pochylił się do przodu.

- A więc sądzi pan, że Coleman jest zamieszany w jakąś większą intrygę?

- Możliwe. - Robinson zamilkł na chwilę. - I zamierzam ją wykryć.

- No pewnie. - Roth roześmiał się sarkastycznie. - Mówiąc poważnie, jeśli jakimś ludziom tak bardzo zależy na usunięciu Walkera z Senatu, dlaczego po prostu go nie zabiją? Byłoby to dużo prostsze i mniej kosztowne.

- Być może tak zrobią.

- Sam pan to wymyślił?

- Owszem. - Robinson rozejrzył się niepewnie po sali.

Roth ściszył głos.

- Czy pańskie zainteresowanie Colemanem ma jakiś związek z faktem, że tak jak Malcolm Walker jest pan czarny? Że chce pan, aby Walker pokonał kogoś takiego jak Elbridge Coleman, który reprezentuje establishment?

- Co takiego? - Robinson o mało nie rozlał piwa.

- Malcolm Walker jest w Maryland szanowanym człowiekiem, którego czarni postrzegają jako wzór do naśladowania. Pewnie chce się pan przyczynić do tego, aby pozostał w Senacie. Aby pozostał wzorem dla pańskich ziomków. - Roth zawahał się. - A może chodzi o coś więcej.

- Słuchaj pan, mam już dość...

Robinson nie dokończył, gdyż z baru dobiegł ich krzyk. Odwrócił się szybko, żeby zobaczyć, co się stało.

- Jesteś świnią! - ryknęła młoda kobieta na mężczyznę w czarnym jak węgiel garniturze i czerwonym krawacie. - Myślisz, że możesz tak do mnie mówić i ujdzie ci to na sucho?

Mężczyzna wzruszył nerwowo ramionami. W holu zapadła cisza, a on znalazł się w centrum zainteresowania. Nagle kobieta chwyciła szklankę, chlusnęła jakimś płynem w jego twarz i pobiegła w stronę wyjścia.

Robinson jeszcze przez chwilę obserwował zamieszanie przy barze, po czym znów odwrócił się do Rotha, który wyglądał na rozbawionego incydentem. Robinson podniósł szklankę. Był poirytowany, więc pociągnął długi łyk piwa.

- Gordon, nie podobają mi się oskarżenia o to, że wykorzystuję swą pozycję w urzędzie skarbowym i kontroluję Elbridge'a Colemana tylko dlatego, że on jest biały, a Malcolm Walker czarny. - Departament Sprawiedliwości czy nie, Robinson nie zamierzał puszczać mimo uszu takich insynuacji.

Roth machnął ręką.

- Przepraszam. Moja uwaga była nie na miejscu. Ma pan prawo się denerwować. Prawda jest taka, że w kampanii Colemana dzieje się coś dziwnego. My w Departamencie Sprawiedliwości nie posuwalibyśmy się do podejrzeń o jakieś kombinacje, chcemy jednak trochę poszperać. - Roth odstawił szklankę na stół. - Dobrze się pan czuje, panie Robinson?

Robinson poczuł, że jego puls zaczął wariować, a serce biło mu, jakby chciało się wyrwać z piersi.

- Nie wiem. Trochę kręci mi się w głowie. - Poluzował krawat i rozpiął koszulę pod szyją. - Boże, mój język!

- Co się stało?

- Jest tak suchy, że prawie go nie czuję. - Mówił niewyraźnie, jak gdyby język przykleił mu się do podniebienia.

- Może powinienem wezwać lekarza.

- Nie, ja... Boże!

Roth wstał, umyślnie przewracając szklankę Robinsona. - Co panu jest?

Robinson przycisnął ręce do klatki piersiowej.

- Serce - wydyszał. - Jezus Maria, jakby ktoś pchnął mnie nożem! - Wstał, zachwiał się na nogach, zrobił krok do przodu i upadł na dywan.

Roth zwrócił się do obecnych.

- Pomocy! - zawołał. - Czy jest tu lekarz?

Od pobliskiego stolika zerwał się mężczyzna i rzucił się w ich stronę, po czym padł na kolana przy dotkniętym niemocą Robinsonie. Kelnerka pobiegła zadzwonić po pogotowie. Ludzie wstali od stołów i podeszli bliżej, żeby zobaczyć, co się stało. Tymczasem Gordon Roth, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, przycisnął się przez tłum gapiów i spokojnie odszedł w stronę ruchomych schodów.

Robinson patrzył w górę na młodego mężczyznę, który szykował się do udzielenia mu pierwszej pomocy. Stolik w kącie był wolny, ponieważ Roth chciał działać w odosobnionym miejscu. Za sprawą Rotha kelnerka przyniosła Robinsonowi do piwa szklankę, ponieważ łatwiej jest rozpuścić truciznę w szerokiej szklance niż w butelce z wąską szyjką. Z kolei kobieta przy barze miała odwrócić jego uwagę od Rotha, który w tym czasie mógł niepostrzeżenie wyspać truciznę do szklanki. Teraz wszystko miało sens. Gdyby tylko Robinson posłuchał swego instynktu, alarmu, który wyl w jego głowie.

Młody mężczyzna rozpoczął zabiegi reanimacyjne, lecz Robinson wiedział, że całe to zamieszanie nic nie zmieni. Jego wrogowie byli zbyt skuteczni, zbyt ostrożni. Nie dostanie już drugiej szansy. Zamrugał powiekami i na zawsze zamknął oczy.

Kilka chwil później Gordon Roth wsunął się do białego explorera zaparkowanego na bocznej ulicy, niedaleko hotelu.

- I jak mi poszło? - Młoda kobieta, która w barze oblała mężczyznę w czarnym garniturze, uśmiechnęła się do Rotha znad kierownicy.

- Niezapomniana rola. - Pochylił się, żeby ją pocałować, a następnie dotknął nazyjnika z pereł, który kupił jej tego dnia. - Oskarowa.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Młoda kobieta zachichotała.

- Co teraz?

- Pojedźmy na kolację.

Oficer policji powoli zbliżał się do explorera zaparkowanego pod latarnią, niedaleko platformy załadunkowej opuszczonego magazynu. Zachowywał czujność, choć nie przesadzał z przezornością. Prawdopodobnie miał do czynienia z parą pijanych gruchających gołąbków. W tej okolicy nie był to odosobniony przypadek. Pewnie jacyś ludzie poznali się w pobliskim barze, nie mogą wrócić do domu, gdzie czekają na nich małżonkowie, a nie mają pieniędzy na wynajęcie pokoju hotelowego. Policjant pokręcił głową. Co za cudowny świat.

Oświetlił latarką wnętrze wozu i natychmiast zdał sobie sprawę, że sytuacja przedstawia się dużo poważniej, niż przewidywał. Za kierownicą siedziała młoda kobieta z opuszczonymi rękami, głową odchyloną do tyłu, otwartymi, lecz nie widzącymi oczami i poderżniętym gardłem.

Gordon Roth obserwował funkcjonariusza z ciemnego okna opuszczonego budynku, które wychodziło na platformę załadunkową. Gdy policjant podreptał do swego samochodu, żeby przez radio poprosić o pomoc, Roth zdjął perukę, odkleił brodę i wąsy, wepchnął je do torby kryjącej już zakrwawione ubranie, które miał na sobie, gdy mordował młodą kobietę, i ruszył w stronę schodów.

2.

Dla urzędnika skarbowego każdy dzień wygląda podobnie. Rewizje, kontrole i papierkowa robota - tak wczoraj, jak i jutro. Jesse westchnęła, spoglądając na bałagan piętrzący się na jej biurku. Nigdy nie mogła sobie z nim poradzić. Nieważne, jak ciężko harowała, pracy nigdy jej nie ubywało.

Odchyliła się do tyłu na krześle i zbadła wzrokiem pierwszą stronę „Wall Street Journal”. Zainteresował ją krótki artykuł o publicznej ofercie subskrypcyjnej pewnej firmy elektronicznej. Sprzedając wczoraj czterdzieści procent swych akcji inwestorom publicznym, firma zebrała czterysta milionów dolarów. Przedsiębiorca, który założył tę firmę dziesięć lat temu, mógł teraz spokojnie przejść na dożywotnią emeryturę. Natomiast bank inwestycyjny, który zorganizował całą transakcję - Goldman Sachs and Merrill Lynch - zarobił prawie 25 milionów z prowizji.

Jesse pokręciła głową, oglądając swe małe, obskurne biuro. Praca w banku inwestycyjnym w Nowym Jorku, to by było dopiero niesamowite. Dla tych ludzi jej budżetowa pensja w wysokości dwudziestu ośmiu tysięcy dolarów rocznie wyglądałaby śmiesznie.

Nie powodowała nią chciwość. Zasmakowała już w swym życiu ubóstwa i wiedziała, jak może być ciężko. Wychowała się z dziewięciorgiem rodzeństwa w Glyndon, małym miasteczku na północ od Baltimore. Podczas gdy jej koleżanki w weekendy kupowały sobie ciuchy, płyty i kasety, ona pracowała w miejscowej stajni, zarabiając najedzenie dla rodziny. Jej ojciec, monter w centrali telefonicznej, pracował ciężko, ale z tyloma gębami do wyżywienia jego pensja, nawet z nadgodzinami, nie wystarczała na długi. Matka z kolei pozostała w domu, żeby zająć się dziećmi i oddawać się swej życiowej pasji - religii katolickiej.

Jesse po raz drugi przeczytała artykuł. Jak by to było, gdyby zarabiała kilkaset tysięcy dolarów rocznie? Czy powinna się wstydzić takich pragnień?

- Jesse? - Sara Adams wsunęła głowę do biura i zapukała do otwartych drzwi.
- Cześć, wejdz proszę. - Jesse odłożyła gazetę. Nie lubiła, gdy przerywano jej poranną lekturę, lecz na jej twarzy nie znać było ani śladu irytacji. Zawsze starała się zachowywać jak najgrzeczniej. Traktuj innych tak, jakbyś chciała, żeby ciebie traktowano, zwykła powtarzać jej matka. Jesse zawsze korzystała z tej rady.

- Znów czytasz o bankach inwestycyjnych? Sara wskazała palcem na „Wall Street Journal” i usiadła na krześle przy biurku.
- Skąd wiesz?
- Widziałam artykuł o Goldman and Merrill, którzy wypuścili na rynek akcje tej firmy elektronicznej. Wiem, jak bardzo chciałabyś to robić. - W głosie Sary pobrzmiwała dezaprobata.
- I cóż z tego? - Jesse wyczuła niechęć w jej głosie.
- Słyszałam, że dla ludzi, którzy pracują w tych bankach inwestycyjnych w Nowym Jorku, liczą się tylko pieniądze. Okrutny świat w okrutnym mieście.
- Uważasz, że nie poradzę sobie?
- Nie o to chodzi. Mówię o jakości życia. Przecież oni nic, tylko pracują. Czternaście godzin dziennie, siedem dni w tygodniu. Są nieszczęśliwi, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy. I gdy dostaniesz tam pracę, będziesz równie nieszczęśliwa. - Sara poprawiła sobie kolczyk. - A każdą chwilę wolnego czasu będziesz spędzać w tej betonowej dżungli. Na litość boską, wychowałam się przecież na prowincji. W Glyndon w stanie Maryland. Znienawidzisz Nowy Jork.
- Całkiem możliwe - odpowiedziała cicho Jesse.
- Jesteś jedną z najmiłszych, najuczciwszych osób, jakie znam. Dlaczego miałaśby narażać na szwank swe dobre imię? Tylko dla pieniędzy?
- Czy dążenie do wygodnego życia i posiadania kilku przyjemnych rzeczy jest aż tak godne potępienia? Chciałabym również pomóc matce. Robi się coraz starsza i teraz, gdy ojczym zmarł, ciężko jej samej w domu. Powinna korzystać z opieki, ale nie ma pieniędzy. Bóg wie, że z mojej pensji nie mogę utrzymać i jej, i siebie. - Jesse nie kryła rozgoryczenia.
- A z czego opłacasz szkołę? - Sara nieubłaganie pytała dalej. - Musi kosztować mnóstwo pieniędzy.
- Z kredytów.
- A więc gdy zdobędziesz dyplom, choć być może twoje zarobki wzrosną, będziesz musiała spłacać te wszystkie kredyty.
- Kiedyś się przekonam, że warto było - powtórzyła wczorajsze słowa Neila.
- Trzeba korzystać z życia już teraz, cieszyć się z tego, co się ma. - Twarz Sary pojaśniała. - A propos. Chciałabym, żebyś poszła dziś ze mną do restauracji Mount Washington Tavern. Chłopak, z którym ostatnio się umawiam, ma przystojnego kolegę. Powiedziałam mu o tobie wszystko i chce cię poznać. Jest bankierem, Jesse. Rozumiesz, ustabilizowana sytuacja materialna. Z takim mężczyzną powinnaś się teraz umawiać. - Głos Sary przybrał macierzyński ton.
- Przepraszam cię. Bardzo bym chciała z tobą wyjść, ale jutro na zajęciach mamy zapowiedziane gościnne wykłady. Gościem jest legenda środowiska bankowego i muszę się przygotować. Nie chcę się wygłupić, jeśli zada mi jakieś pytanie.
- O tym właśnie mówiłam. Nigdy nie masz czasu dla siebie. Ciągłe się gdzieś spieszysz. Wykończysz się, chodząc trzy razy w tygodniu do szkoły po to tylko, żeby wyjechać do Nowego Jorku. Nie warto aż tak się stresować.

- Myślę jednak, że warto.
- Zresztą i tak nie mogłabyś nas opuścić.
- Czemu to?
- Miałabyś serce powiedzieć Neilowi Robinsonowi, że odchodzisz? Przecież jesteś jego oczkiem w głowie.
- Twoją pracę, Saro, docenia w równym stopniu, co moją.
- Na pewno się zmartwi, że odchodzisz - stwierdziła stanowczo Sara.
- Myślę, że będzie się cieszył razem ze mną. - Wolą nie uświadamiać Sarze, że Robinson w pełni ją popiera. Mogłaby coś sobie pomyśleć. - Będzie mnie zachęcał do wyjazdu do Nowego Jorku.

- Nie byłabym tego taka pewna. - Sara zawahała się. - Słuchaj, wiem, że gadam jak Kasandra. Przepraszam. Wiem, że ciężko pracujesz, godząc pracę z nauką, i podziwiam cię za upór i determinację. - Z jej głosu zniknął zjadliwy ton. - Chodź dzisiaj z nami - namawiała. - Będzie świetna zabawa. Poza tym musisz znowu zacząć umawiać się z facetami. Niedługo stuknie nam trzydziestka, a wtedy nie będzie łatwo znaleźć męża. Zajrzyj tylko do statystyk.

Jesse zwinęła w kulkę papierową chusteczkę i cisnęła nią w Sarę.

- Boże, jesteś idealną urzędniczką skarbową. Nic tylko statystyki i prawdopodobieństwa.

- Dzień dobry. - Silny niemiecki akcent Helgi Ketzer uprzedził jej pojawienie się w drzwiach. - Tu są akta, o które prosiłaś, Jesse - oznajmiła głośno, wchodząc do biura. Helga, wspólna sekretarka Jesse i kilku innych urzędników skarbowych, była niska, tęga i zadufana w sobie. Położyła ciężką teczkę na biurku i ruszyła do wyjścia.

- Zaczekaj chwilę, Helgo! - zawołała Sara. - Potrzebujemy twej rady w pewnej sprawie.

Helga się odwróciła.

- Tak?

- Przestań, Saro - poprosiła Jesse. Nie cierpiała znajdować się w centrum uwagi, nawet wśród ludzi, których dobrze знаła.

Sara zignorowała jej prośbę.

- Właśnie rozmawialiśmy o życiu uczuciowym Jesse.

- Błagam cię - napominała ją Jesse.

- A ja mówię, że musi znów zacząć chodzić na randki - kontynuowała Sara - że musi sobie kogoś znaleźć.

Helga wzięła się pod boki i spojrzała na Jesse.

- Racja, dziecko, musisz sobie szybko znaleźć męża. Wstyd, żeby tak miła i śliczna dziewczyna była samotna. To znaczy mogłabyś być śliczna. - Helga podniosła dłonie do ust i zaśmiała się. - Czy ja naprawdę to powiedziałam?

- Słucham? - Jesse pomimo zażenowania zdobyła się na uśmiech.

Helga przysunęła się do Jesse.

- Masz naturalną urodę. Blond włosy, niebieskie oczy, wysokie kości policzkowe i piękną skórę. Musisz jednak bardziej o siebie zadbać. - Jej głos przybrał na sile. - Zawsze spinasz włosy do góry. Rozpuść je raz na jakiś czas. Przydałoby się też trochę

makijażu. A te ubrania. Zawsze nosisz luźne, workowate rzeczy. Pokaż facetom, jak cię wyposażyła natura. Nie zaszkodzi wyeksponować pewnych wypukłości. Wiesz, że na to przede wszystkim zwracają uwagę. Niestety, taka jest smutna prawda.

- Helgo! - Policzki Jesse zabarwiły się na różowo.

Helga wskazała na Sarę.

- Jesse, powinnaś brać z niej przykład. Makijaż i włosy. - Przez jej twarz przebiegł szelmowski uśmieszek. - Oczywiście, jak się wyszykujesz, skupisz na sobie uwagę wszystkich mężczyzn, a tego Sara chyba sobie nie życzyła.

- Co? - Tym razem Sara wyglądała na zażenowaną.

Jesse roześmiała się cicho. Niezłe ziółko z tej Helgi.

- Wybacz, Saro, ale ja nazywam rzeczy po imieniu - rzekła Helga i już jej nie było. Odchodząc, nuciła coś pod nosem.

Sara wstała, jak gdyby chciała pójść za Helgą.

- Ta kobieta czasem doprowadza mnie do szału.

- Przecież sama wciągnęłaś ją do rozmowy - przypomniała Jesse. - Poza tym ona po prostu lubi sobie pogadać. Wiesz, że jej słowa nie mają żadnego znaczenia.

- Łatwo ci mówić. Powiedziała, że skupisz na sobie uwagę wszystkich mężczyzn.

- Sara skrzywiła się, podchodząc do drzwi. - Słuchaj, a może w czasie lunchu poszukamy sobie ciuchów? Słyszałam o świetnym nowym butik w Galerii.

- Dobry pomysł. - Sara robiła bez przerwy zakupy. Zimą odziedziczyła po babce dwadzieścia tysięcy dolarów, które w jej rękach szybko topniały.

- Chyba trzeba wracać do pracy - westchnęła Sara. - Porozmawiamy jeszcze podczas przerwy na lunch. Tak dawno już nie wychodziłyśmy razem wieczorem. - Zawahała się. - Brakuje mi tego.

- Spró... - Przerwał jej komputer, który piknął trzy razy, sygnalizując nadejście nowego e-mailu. Jesse wyszukała wiadomość uderzając kilka razy w klawiaturę.

- Co to jest? - Sara zatrzymała się w drzwiach. - Czyżby dowód biurowego romansu, o którym nic nie wiem? Wymieniasz z kimś potajemnie e-maile?

- Nie, chodzi o umówione dziś spotkanie z klientem.

- Co za nuda. Do zobaczenia na lunchu - zawołała Sara, wychodząc.

- Na razie. - Jesse sprawdziła, czy Sara na pewno wyszła, po czym szybko spojrzała na ekran.

Jeśli czytasz tę wiadomość, to znaczy, że coś mi się stało. Musisz przejść ode mnie paleczkę.

Udaj się na dworzec autobusowy Greyhound w centrum Baltimore. Znajdź skrytkę numer 73. Nastaw szyfr 22-31-7. W środku znajdziesz klucz do mojego domu nad rzeką Severn pod Annapolis. Adres: Guli Road 6. W salonie, w dolnej lewej szufladzie biurka, leżą dokumenty z zebranymi przeze mnie informacjami dotyczącymi wyborów do Senatu. Na wierzchu znajduje się notatka, w której przedstawiam moje podejrzenia. Uważam, że pewne osoby z zewnątrz manipulują przebiegiem kampanii. Dokumentacja uzupełniająca wszystko wyjaśni.

Pojedź tam jak najszybciej. Nikomu nie mówiłem o domu nad rzeką, ale oni i tak szybko się o nim dowiedzą, ponieważ mogą dowiedzieć się wszystkiego o każdym. Są aż tak potężni. Jestem pewien, że już przeszukali mój dom w Baltimore. Bądź ostrożna. Nikomu nie ufaj.

Neil

Jesse kilka razy przeczytała otrzymaną wiadomość, ani razu nie zmrużywszy oczu. Wreszcie słowa zniknęły z ekranu. Jesse uśmiechnęła się nagle. No jasne. Pojutrze są jej urodziny. Koledzy robią jej kawał. Będą mieli niezły ubaw, widząc, jak z rozwianym włosom wybiega z biura, po czym zaskoczą ją w domu Neila albo już na dworcu autobusowym.

Nagle Jesse usłyszała dobiegający z korytarza głośny płacz. W drzwiach pojawiła się Helga z twarzą schowaną w dłoniach.

- O Jezu! - Policzki Helgi były mokre od łez.

- Co się stało? - Jesse oderwała wzrok od monitora.

Helga nie była w stanie wymówić słowa, zanosząc się płaczem.

Jesse podniosła się z fotela.

- Helgo, co się stało? - zapytała bardziej stanowczo, zbliżając się do starszej kobiety, żeby ją pocieszyć.

Helga odsłoniła twarz.

- Mam straszną wiadomość - wychrypiała. - Neil Robinson nie żyje. Wczoraj wieczorem miał zawał w hotelu Hyatt.

3.

Hughes Building, nowoczesny szklany wieżowiec, wyrastał na wysokość piętnastu pięter w sercu Towson, bogatej dzielnicy na przedmieściach Baltimore, na północ od granic miasta. W pogodne dni David Mitchell widział wieżowce centrum Baltimore, znajdujące się w odległości trzydziestu kilometrów od jego wykwinnego biura na ostatnim piętrze. Widoczna stamtąd była również dzielnica, w której David się wychował: Glen Owens, zamieszkała przez biedotę wschodnia część miasta o szeregowej zabudowie.

Gdy cztery lata temu David rozpoczął pracę w Sagamore Investment Management Group, zaprosił owdowiałą matkę do swego gustownie urządzonego biura, gdzie mogła podziwiać boazerię z ciemnego drewna, antyki i bogato zdobiony orientalny dywan. Jego kolegów z bogatych rodzin bawiło, że przyniosła szarlotkę, nie wspominając o poliestrowym kostiumie, który miała na sobie, lecz David nie zwracał uwagi na snobistyczne uśmiešky, które pojawiały się na ich twarzach, gdy matka odwracała się po uściśnięciu im dłoni. Chciała zobaczyć, jak urządził się jej najmłodszy syn, a on nie miał nic przeciwko temu.

Po zakończeniu tej krótkiej wizyty David ucałował ją na pożegnanie w holu. Była z niego bardzo dumna. Zamknął oczy. Gdyby tylko wiedziała, co teraz by o nim pomyślała? Wolał się nad tym nie zastanawiać.

Fundusz inwestycyjny Sagamore zarządzał dwustoma miliardami dolarów i należał do największych w kraju, tyle że firma unikała rozgłosu i nie publikowała tej liczby. Aby ją ustalić, dziennikarze z „Forbes” i „Fortune” uciekali się do wszelkich dostępnych środków, lecz znało ją tylko kilkoro pracowników firmy, a oni nie zamierzali wyjawiać jej podczas rzadkich wywiadów udzielanych prasie.

Sagamore nie przyjmował pieniędzy od byle kogo i nie musiał ujawniać swych danych, czego wymagano od Fidelity, Vanguard i innych wielkich funduszy. Sagamore zdobywał gotówkę wyłącznie od bogatych inwestorów indywidualnych oraz wielkich funduszy emerytalnych podczas prywatnych transakcji zawieranych dopiero po wydaniu zgody przez zarząd. Lista inwestorów była również pilnie strzeżoną tajemnicą, znaną jedynie tej garstce osób, które wiedziały również, jaką sumą obracała firma.

Przed przyjęciem pieniędzy Sagamore poddawał inwestorów długotrwałemu procesowi kwalifikacyjnemu, lecz opłacało się ścierpieć tak niezwykle traktowanie ze

względu na niebywały sukces firmy. Założona w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, początkowo borykała się z trudnościami, lecz w ciągu ostatnich piętnastu lat każdego roku przekraczała - i to znacznie - wzrost wskaźnika giełdowego Dow Jonesa. Milion dolarów zainwestowany w Sagamore w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, w pierwszym roku jej fantastycznych wyników, wart był teraz sto milionów.

David rozpoczął pracę w Sagamore w wieku dwudziestu ośmiu lat po uzyskaniu dyplomu na Uniwersytecie Wirginia. Po dwóch żmudnych latach pracy naukowej zakończył studia z trzecim wynikiem w grupie. Pierwsza dwójka szybko znalazła się na Wall Street, natomiast Sagamore zwałił Davida do Baltimore atrakcyjnymi warunkami finansowymi i perspektywą uniknięcia męczącej egzystencji w Nowym Jorku. Dano mu również do zrozumienia, że stawiane przez Sagamore wymagania co do efektów jego pracy będą niczym w porównaniu z presją, jaką odczuwałby na Wall Street. Davidowi szczególnie spodobał się ten właśnie aspekt. Wprawdzie nie miał nic przeciwko presji, ale nie chciał poświęcać pracy każdej minuty swego życia.

Zgodnie ze zwyczajami panującymi w Sagamore, David spędził rok na stanowisku asystenta, po czym stał się jednym z piętnastu samodzielnych dyrektorów inwestycyjnych, początkowo odpowiedzialnym za pięć miliardów dolarów, a sześć miesięcy później już za dziesięć miliardów zainwestowanych w firmie pieniędzy. Była to ekscytująca praca i choć podczas rekrutacji zapewniano go, że będzie inaczej, na swym stanowisku odczuwał presję nie mniejszą, niż gdyby pracował na Wall Street.

Co miesiąc brano pod lupę wyniki wszystkich dyrektorów inwestycyjnych, bez względu na długość stażu pracy w firmie, i porównywano je ze wskaźnikiem Dow Jonesa i wynikami innych dyrektorów. Pierwszego dnia każdego miesiąca firma dostarczała wszystkim pracownikom ranking dyrektorów zestawiony na podstawie wyników ich pracy w poprzednim miesiącu. Zbyt długie przebywanie na dalszych pozycjach tej listy oznaczało zaostrzoną obserwację ze strony zarządu oraz całkiem realną perspektywę utraty lukratywnego stanowiska.

Konsekwencje tak silnej presji były różnorakie. Wielu cierpiało na wrzody żołądka. Co najmniej pięciu dyrektorów inwestycyjnych regularnie odwiedzało psychiatrów. A odkąd David dołączył do Sagamore, dwóch mężczyzn po pięćdziesiątce popełniło samobójstwo - jeden udusił się spalinami w zamkniętym garażu, drugi skoczył z mostu.

Dla dyrektorów inwestycyjnych w Sagamore uplasowanie się na dolnych pozycjach comiesięcznego e-mailowego rankingu nie należało do przyjemności. David ugrzązł tam niedługo po awansie i od tamtej pory nie udało mu się wspiąć wyżej. Spojrzał na odległe wieżowce. Wkrótce bardzo poprawi swoje notowania, pod warunkiem, że następnego dnia wszystko się ułoży.

- David?

David nie przestawał wyglądać przez okno, zatopiony w myślach.

- Braciszku, przepraszam, że cię poganiam, ale muszą zaraz wracać do garażu.

David odwrócił wzrok od okna i usiadł przy biurku.

- Przepraszam, Will, mam tylko trochę spraw na głowie.

- Rozumiem. Macie tu niezłą nerwówkę. - Will był najstarszym spośród czterech braci Mitchellów. Nigdy nie skończył szkoły średniej i pracował teraz jako mechanik, tak jak dwaj pozostali bracia. David jako jedyny trafił na studia i wy dostał się z Glen Owens. - Wiesz, jak nie lubię cię o to prosić.

- Wiem. - Obydwa czuli się skrępowani. - Ile potrzebujesz?

Will zaczął wyskubywać brud spod paznokci. Wreszcie spojrzął na brata i odwrócił wzrok.

- Głupio się stało. Powinienem być ubezpieczyć ten cholerny samochód. Próbuje jednak oszczędzać, a z bliźniakami i...

- Ile potrzebujesz na naprawę, Will? - przerwał mu David. Nie miał czasu na wyjaśnienia.

- Pięć tysięcy dolarów.

- W porządku. - Ciągły brak pieniędzy może złamać człowieka szybciej niż fizyczne katusze. David kiedyś zaobserwował to u swego ojca. Teraz historia powtarzała się z jego starszym bratem.

- Witam, panie Mitchell.

David natychmiast rozpoznał wyniosły głos Arta Mohlera. Mohler był jednym z dyrektorów inwestycyjnych w Sagamore oraz członkiem trzyosobowego zarządu, który kierował firmą i strzegł jej najgłębszych tajemnic. Właśnie jemu David i pozostali dyrektorzy musieli składać sprawozdania. Dręczył ich jak zmora.

Mohler sam nie posiadał portfela inwestycyjnego, lecz sprawował pieczę nad portfelami wszystkich innych dyrektorów. Nikt nie mógł dokonać zakupu papierów wartościowych za więcej niż 20 milionów dolarów bez zgody Mohlera, co początkowo wydawało się Davidowi dobrym pomysłem. Tłumaczył sobie, że gdyby papiery straciły na wartości, wina rozłożyłaby się na dwie osoby. Ale w Sagamore sprawy wyglądały inaczej. Jeśli zakup przynosił zyski, Mohler w znacznym stopniu sobie przypisywał zasługę. Jeśli natomiast transakcja okazywała się nieudana, winą obarczał jej inicjatora. Pozostali członkowie zarządu firmy tolerowali ten przywilej Mohlera.

- Dobry wieczór. - David siłił się na grzeczność, choć Mohler nieustannie wytykał mu jego niską pozycję w rankingach.

- Będzie dobry tylko wtedy, gdy zarobimy pieniądze. - Mohler zbliżał się już do sześćdziesiątki, choć wyglądał młodziej. Był niski i chudy, miał na nosie okulary w szylkretowej oprawce i ubierał się, jakby miał zaraz wystąpić w reklamie firmy Pierre Cardin.

- Art, to mój starszy brat, Will - tłumaczył David, wstając. - Will, poznaj Arta Mohlera. Jest członkiem naszego zarządu.

Will błyskawicznie wstał z biurowej kanapy i wyciągnął rękę.

- Miło mi.

Mohler skrzywił się lekko na widok brudnych paznokci Willa. Po przywitaniu Mohler wytarł dłoń o spodnie ciemnego garnituru. Gest ten nie umknął uwadze ani Willa, ani Davida.

- Lepiej już pójdę. - Will podniósł kurtkę z kanapy.

- Zajmę się tym, o czym mówiliśmy - wymamrotał David.
- Dzięki, braciszku. - Will z szacunkiem uklonił się Mohlerowi. - Miło było pana poznać.

- Mmm.

- Do widzenia, Will! - zawołał David za bratem.

Mohler śledził wzrokiem oddalającego się w stronę recepcji Willa, po czym odwrócił się i rzucił Davidowi groźne spojrzenie. David Mitchell był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną, który dla żeńskiej części personelu stanowił nie lada atrakcję, a ponadto pochodził ze złej dzielnicy Baltimore; tego Mohler nie mógł ścierpieć najbardziej. Pojawienie się Davida zburzyło elitarny charakter firmy. Mohler głosował przeciw przyjęciu Davida do pracy, lecz został przegłosowany przez pozostałych członków zarządu. Nigdy nie wybaczył tego Davidowi.

- Davidzie, uważam, że w przyszłości nie powinieneś wpuszczać brata do naszego biura.

- Słucham? - David już miał usiąść, ale zastygł w bezruchu.

- Często gościmy w Sagamore wpływowych gości. Zależy nam, aby wynieśli stąd dobre wrażenie. Chyba wiesz, do czego zmierzam.

- To mój brat. Jest dobrym człowiekiem - odparł David. - Na nikim nie zrobi innego wrażenia.

Mohler uśmiechnął się protekcyjnie.

- Za rok minie pięć lat od rozpoczęcia przez ciebie pracy w Sagamore. Wydawało mi się, że powinieneś zachowywać się roztropniej. - Mohler usiadł na kanapie. - I na przykład wykonywać bez dyskusji polecenia członka zarządu.

David poruszył się niespokojnie na wspomnienie rocznicy. Jeśli ktoś nie opuszczał niskich pozycji w comiesięcznych rankingach Sagamore, zarząd zwywał delikwenta w piątą rocznicę jego zatrudnienia i spokojnie go odprawiał. W ciągu czterech lat pracy w Sagamore David przeważnie zajmował dalsze miejsca w rankingach firmy.

- Poradzę sobie - stwierdził spokojnie.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- A więc cóż sprowadza cię do mojego biura, Art? - David zignorował ostrzeżenie.

- Chcę porozmawiać o General Engineering and Aerospace. - Mohler zdjął okulary, przez chwilę skubał jeden z uchwyty, po czym ponownie umieścił je na mostku swego rzymskiego nosa. - Dwa i pół roku temu, choć byłem temu przeciwny, przekonałeś mnie do zainwestowania miliarda dolarów z kasy Sagamore w akcje GEA. Miliard dolarów. W nową emisję akcji, które stanowiły trzydzieści procent majątku firmy. Coś mi się zdaje, że była to jedna z najgorszych inwestycji poczynionych przez Sagamore. - Mohler otworzył notes leżący na jego kolanach, wyjął kilka dokumentów i obejrzał je. - Gdy kupowałeś akcje GEA, kosztowały dwadzieścia pięć dolarów każda. Teraz są warte dwadzieścia dwa dolary. W ciągu dwóch i pół roku poszły w dół o trzy punkty. Gdybyś jeszcze tego nie wiedział, kolego - drwił - chodzi nam o drobiazg. Akcje powinny iść w górę.

David poczuł, jak ogarnia go gniew, lecz zdołał utrzymać nerwy na wodzy.

Mohler wyjął z notesu następną kartkę.

- Mam tutaj wykres, który sporządziłeś dla mnie, przedstawiając propozycją inwestycji w GEA. Wskazuje on, że według twoich szacunków akcje GEA miały być teraz warte pięćdziesiąt dolarów każda. Mieliśmy zarobić miliard dolarów i podwoić nasz wkład. Tymczasem straciliśmy sto dwadzieścia milionów. Przynajmniej na papierze. Co się dzieje? - Mohler szybko się irytował.

Nie było miesiąca, żeby nie omawiali zasadności inwestycji w GEA i wraz z upływem czasu krytyka Mohlera stawała się coraz ostrzejsza.

- Wiesz, Art, uważam...

- GEA nie ma perspektyw. - Mohler nie pozwolił Davidowi skończyć. - Przemysł zbrojeniowy nie przestaje się kurczyć, a firma nie zdobyła w Pentagonie ważniejszego kontraktu od trzech lat. Przyszedł czas, żeby pozbyć się tego balastu Zadzwoń do banków inwestycyjnych. Zadzwoń do naszych ludzi w Alex Browr i Goldman Sachs. Zobacz, co uda im się dla nas zrobić. To spory pakiet, ale może zdołają doprowadzić do paru prywatnych transakcji.

- Co? - Mohler po raz pierwszy instruował Davida, aby sprzedał akcje. Nie mógł sobie wybrać gorszej chwili. - Teraz nie możemy się wycofać.

Mohler podniósł się z kanapy.

- A jeśli akcje GEA pójną jeszcze bardziej w dół? Całkowicie zaprzepaścimy tegoroczne zyski. Sądzisz, że to jakaś zabawa? Mylisz się. Chodzi o prawdziwe pieniądze - podniósł głos. - I to duże.

- Wiem, że chodzi o prawdziwe pieniądze. Doskonale pamiętam, jakie były moje przewidywania wobec GEA, gdy sprzedawałem ci ten pomysł dwa i pół rok temu. Wiem również, że do tej pory się nie sprawdziły - oznajmił David, wstając i z miejsca. - I uwierz mi, nie ma w firmie osoby, która bardziej by się tym przejmowała. - Pochylił się nad biurkiem. - Nie musisz więc przychodzić tu co miesiąc i przypominać mi, że kurs akcji spada. Też wolałbym się ich pozbyć, ale rezygnując z nich teraz, sami podcięlibyśmy sobie gardła. Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę pogodzić się ze stratą stu dwudziestu milionów dolarów.

- No więc zrób coś! - Oczy Mohlera o mało nie wyszły z orbit.

- Panowie, panowie. - W biurze dał się słyszeć jedwabny głos należący Elizabeth Gilman.

Obydwaj odruchowo wyprostowali się. Elizabeth była założycielką firmy i głównym udziałowcem. Wśród trzech członków zarządu w sprawach najwyższej wagi jej głos liczył się dużo bardziej niż głosy Mohlera i trzeciego członka, Martina Broadbenta. W pracy nie uznawała gorących dyskusji, jak to określała. Powtarzała, że ludzie na stanowiskach nie powinni zachowywać się w ten sposób.

- Witaj, Elizabeth. - Mohler odzyskał panowanie nad sobą.

- Dobry wieczór, pani Gilman - przywitał się David.

Elizabeth uśmiechnęła się.

- David, pracujesz z nami od czterech lat. Cieszę się, że traktujesz mnie z szacunkiem, ale musisz wreszcie zacząć mówić mi po imieniu. W przeciwnym razie nabawię się przez ciebie kompleksów i będą się czuć staro. A tego bym nie chciała.

- No dobrze... Elizabeth.

Znów się uśmiechnęła.

- Cudownie. Teraz wszyscy spróbujmy się jakoś dogadać. To duża piaskownica i dla wszystkich znajdzie się miejsce do zabawy, bez konieczności wchodzenia sobie w drogę. Jeśli dojdzie do jakichś nieporozumień, spróbujmy rozwiązywać je w bardziej cywilizowany sposób.

Obydwa mężczyźni pokiwali głowami.

Elizabeth już miała wychodzić, gdy odwróciła się jeszcze.

- Jak się czuje mama, Davidzie?

- Dziękuję, dobrze.

- Pozdrów ją ode mnie.

- Pozdrowię.

- Świetnie. - Wyszła wreszcie z biura.

David odprowadził ją wzrokiem. Była wspaniałą kobietą. Jediną osobą z kierownictwa Sagamore, która nie ulegała presji i swych frustracji nie wyładowywała na innych.

Mohler upewnił się, że Elizabeth go nie usłyszy, po czym wycelował palec w Davida:

- Pamiętaj, co ci powiedziałem. Pozbądź się akcji GEA. Sprzedaj je choćby na ulicy, jeśli będziesz musiał, ale pozbądź się ich - skończył i dumnym krokiem opuścił biuro.

David wsparł się rękami o biurko i spuścił głowę. Jutro sprawy muszą ułożyć się po jego myśli.

- Głowa do góry, chłopie. Nie wypadaj z gry.

David podniósł wzrok. W drzwiach pojawił się Nash Sollers, jeden ze starszych dyrektorów inwestycyjnych.

- Co?

- To jedna z reguł gry, synu. Rób, co ci każą, a wszystko będzie w porządku.

- Co masz na myśli?

- Nic konkretnego. Miej głowę na karku, a będzie dobrze. - Sollers zniknął.

Davida nęciło, żeby pójść za Sollerssem i wycisnąć z niego odpowiedź. Ale nic by nie wskórał. Tutaj pytania zawsze pozostawały bez odpowiedzi.

4.

Dom - zatopiony wśród dębów ceglany budynek o osobliwej architekturze - stał na łagodnym wzniesieniu nad rzeką Severn. Dwadzieścia pięć kilometrów dalej na południe rzeka wpływała do Zatoki Chesapeake, nad którą leży Annapolis, siedziba Akademii Morskiej Stanów Zjednoczonych. Latem, nawet o tak późnej porze, rzeka tętniła życiem i roiła się od statków wycieczkowych, łodzi rybackich i okrętów marynarki wojennej. Tutaj jednak było spokojnie.

Od szklistej powierzchni rzeki odbijała się księżycowa poświata. Ukryte w drzewach rybołowy cicho wypatrywały swych ofiar. Słychać było jedynie szelest liści poruszanych lekką bryzą oraz od czasu do czasu uderzenia szponów o powierzchnię wody, gdy któryś z rybołówów odnajdywał ofiarę, po czym wydając z siebie przeraźliwy skrzek, odlatywał z rybą uwięzioną w zaciśniętych jak w imadle szponach.

Jesse stanęła na ciemnym ganku, drżąc pomimo letniej temperatury. Wszystko dokładnie zgadzało się z treścią e-mailu. Neil Robinson nie żył. Szyfr do skrytki na dworcu autobusowym Greyhound pasował do podanego. W skrytce znajdował się klucz. Kluczem tym otworzyła frontowe drzwi do domu przy Guli Road 6.

Neil był wspaniałym szefem i dobrym przyjacielem. Człowiekiem, który pozwolił jej uwierzyć, że nie jest gorsza od innych. Teraz odszedł, a ona będzie za nim tęsknić.

Jesse doszła do wniosku, że przesłał jej wiadomość poprzez lokalną sieć, wykorzystując opcję w centralnym komputerze oddziału, który pozwalał szefom przekazywać wiadomości pocztą elektroniczną z opóźnieniem. Wiadomość z za grobu, prośba o pomoc. Neil wielokrotnie jej pomógł. Teraz ona, choć pobyt w tym miejscu napawał ją strachem, miała pomóc jemu.

Jesse zrobiła krok w stronę drzwi i przystanęła. Rozejrzała się dookoła. Światła z najbliższego domu, odległego o jakieś czterysta metrów, prześwitywały upiornie przez gałęzie drzew. Po plecach przeszedł jej kolejny dreszcz.

Opanuj się, pomyślała. Wzięła głęboki wdech, pchnęła drzwi i weszła do środka, włączając latarkę, którą zabrała z samochodu. Gdy naciskała plastikowy włącznik, między palcami poczuła wilgoć. Podszyte futerkiem skórzane rękawiczki sprawiały, że ręce obficie się jej pocily.

Jesse założyła rękawiczki, żeby nie zostawić odcisków palców, przyniosła latarkę, żeby nie zdradzić swej obecności w domu i zaparkowała w małym sosnowym zagajniku,

w odosobnionym miejscu przy Guli Road, pół kilometra od domu Neila, żeby nikt nie zobaczył samochodu i nie spisał numerów z tablicy rejestracyjnej. Zachowywała ostrożność na wypadek, gdyby złowrogą ton listu od Robinsona okazał się uzasadniony.

Posuwając się w głąb domu, wyczuła silny aromat drzewa cedrowego. Wycelowała latarkę prosto przed siebie. Cedrowe ściany. Szybko omiotła światłem cały pokój. Był przytulny i gustownie urządzone. Znowu ogarnął ją smutek na myśl o zimnym ciele Neila spoczywającym w kostnicy. Przestań, rozkazała sama sobie. Później przyjdzie czas na żałobę. Musisz jak najszybciej się stąd wydostać.

W salonie, tak jak przeczytała w e-mailu Robinsona, znajdowało się biurko. Natychmiast do niego podeszła. Musiała działać szybko. Wyczuwała, że coś jest nie tak. Gdzieś czaiło się niebezpieczeństwo.

Dolna szuflada z lewej strony wysunęła się gładko. Jesse oświetliła jej wnętrze. Zgodnie z treścią listu znajdowała się w niej teczka. Szybko wyjęła papierową aktówkę, otworzyła ją i przeczytała dwa pierwsze słowa: „Droga Jesse”. Dalej nie czytała. Z pewnością chodziło o tę teczkę. Zapozna się z jej zawartością w bezpiecznym miejscu, gdy przyjdzie na to czas.

Gordon Roth wszedł przez otwarte drzwi domu przy Guli Road 6, trzymając przed sobą magnum kaliber 44. Okulary noktowizyjne ułatwiały mu poruszanie się. Natychmiast udał się w głąb domu. Właśnie tam dostrzegł słabe światło latarki, gdy badał teren posiadłości. Komuś udało się dotrzeć tu przed nim. Ten ktoś próbował zataić swą obecność, a więc szukał tego samego, co on. Wszystko jedno. Osoba ta długo nie pożyje.

Roth poczuł przypływ adrenaliny, choć nie w najwyższym stężeniu. Przez wszystkie te lata nauczył się kontrolować jej dawkowanie. W miarę potrzeby potrafił posługiwać się nią jak pedałem gazu podczas jazdy samochodem. Miał po swojej stronie element zaskoczenia, nie musiał więc przybierać postawy ofensywnej. Nie potrzebował wysokooktanowego paliwa, przynajmniej na razie. Przy umiarkowanej dawce mógł lepiej ocenić sytuację i przygotować atak. Dopiero w ostatniej chwili uderzy z całą furją.

Zwilżył językiem usta, przylegając plecami do ściany tuż przy drzwiach do salonu. Śmierć fascynowała go. Zwykł wpatrywać się w oczy swych ofiar. Próbował odgadnąć, co myślą, gdy z ich płuc wydobywa się ostatni oddech, a oczy zachodzą mgłą. Roth zabijał, gdyż tego od niego wymagano, lecz robił to z przyjemnością.

Zamknął oczy i pozwolił na zwiększenie dawki adrenaliny. Cel znajdował się blisko. Niczym drapieżnik wywęszył swą ofiarę w ciemnościach, nie widząc jej.

Roth powoli podniósł broń do twarzy, zaciskając obydwie dłonie wokół rękojeści i mierząc lufą pionowo w sufit. Adrenalina zaczęła płynąć strumieniami. To już koniec. Ofiara nie miała szans.

Jednym ruchem oderwał się od ściany, opuścił magnum i szybko wsunął się do salonu.

5.

Carter Webb - republikanin z Georgii, członek potężnej senackiej komisji ds. podziału środków budżetowych i przewodniczący podkomisji ds. finansowania sił zbrojnych - podniósł się sztywno z niewygodnego drewnianego fotela. Demokraci wystąpili właśnie z nowym projektem ustawy o świadczeniach społecznych, który kolidował z republikańską propozycją przeprowadzenia cięć podatkowych. Rozpoczęły się już utarczki i kularowe negocjacje. Zanościło się na długie posiedzenie.

Stąpając po grubym dywanie, Webb przeszedł w kierunku drzwi po prawej stronie mównicy. Nie miał daleko do wyjścia, gdyż po dwudziestu dziewięciu latach w Senacie siedział w pierwszym rzędzie. W tych szacownych murach tradycyjnie przestrzegano zasady, że ci, których kadencja trwała najdłużej, siedzieli najbliżej wiceprezydenta i przewodniczącego senackiej większości. W ciągu ostatnich trzech dekad zanotowano tylko jeden wyjątek od owej reguły. Ted Kennedy zachował miejsce w tylnym rzędzie, pomimo wielu lat sprawowania senatorskiego urzędu. Składając hołd swemu bratu, zajmował miejsce Jacka Kennedy'ego, który w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku jako świeżo upieczony senator, przybył do Waszyngtonu z Massachusetts.

Po opuszczeniu sali obrad Senatu Webb skręcił w prawo i powoli poszedł krótkim korytarzem do dużych podwójnych drzwi. Pchnął barkiem ich prawe skrzydło i znalazł się w przestronnej poczekalni, po czym skręcił w prawo do mniejszego pomieszczenia. Tam oparł się o wypolerowaną drewnianą boazerię i zaczął pocierać obolałą szyję, napawając się chwilą samotności.

Panował tam spokój. Zostawił za sobą bitewny zgiełk i zmagania między tymi cholernymi samarytaninami, którzy domagali się talonów na żywność dla biedoty, a jego partyjnymi kolegami, którzy chcieli obciążyć biedotę większymi podatkami. Dziesięć, a nawet pięć lat temu, nie przepuściłby takiej okazji i wojowałby z tymi hojnymi dobroczyńcami. Lecz teraz, gdy jego kariera dobiegała końca, z większą troską oszczędzał energię i ostrożniej dobierał batalie, w które się angażował.

- Dobry wieczór, panie senatorze.

Webb spojrział w lewo, wytyczając wzrok w przygaszonym świetle. Przywitał go Phil Rhodes, drobny mężczyzna, który zawsze wydawał się Webbowi zbyt niepozorny, żeby piastować tak reprezentacyjne stanowisko. Lecz Rhodes niewątpliwie odnosił sukcesy. Stał się jednym z najbardziej uznanych lobbystów, dbającym w Waszyngtonie

o interesy przemysłu zbrojeniowego. Koncerny: General Dynamics, Lockheed Martin i McDonnell Douglas bez przerwy korzystały z jego usług, starając się o duże kontrakty z Departamentu Obrony.

- Jak, u diabła, się tu dostałeś? - zapytał Webb. - Myślałem, że policja strzeże tej części budynku.

Rhodes uściśnął dłoń senatora, jakby witał się z szefem mafii: delikatnie, z głową lekko pochyloną do przodu. W rękach senatora, od dwudziestu sześciu lat członka podkomisji ds. finansowania sił zbrojnych, a przez ostatnich piętnaście lat jej przewodniczącego, spoczywały losy koncernów zbrojeniowych. Dzięki nim właśnie Rhodes mógł sobie pozwolić na garnitury od Armaniego i buty od Gucciego, więc gdyby zaszła taka potrzeba, całowałby Webba po rękach.

- Rzeczywiście budynek jest strzeżony, lecz ja jestem po imieniu z większością policjantów. Gdyby nie ja, wielu z nich nie stać by było na posłanie dzieciaków do szkół, więc od czasu do czasu oddaję mi jakąś małą przysługę. - Rhodes mówił z charakterystycznym akcentem, rodem z Brooklynu.

Przez twarz Webba przemknął uśmiech. Niestety, żart o płaceniu za szkołę prawdopodobnie nie był daleki od prawdy. Oczywiście Rhodes nie regulował rachunków osobiście. Robiły to firmy, których interesów bronił w Senacie.

- Jak tam dzisiejsze obrady, senatorze?

- Tradycyjnie nudne jak diabli.

- Ach tak. Szkoda, że nie może pan się stąd wyrwać i wrócić na kampanię wyborczą do Georgii. - Rhodes wskazał ruchem głowy na drzwi i znajdującą się dalej salę obrad. - Ale przecież pan nie musi bawić się w kampanię. - Ponowny wybór Webba, który w Senacie stanowił prawdziwą instytucję, był przesądzony.

Webb roześmiał się cynicznie.

- Tak, wątpię, czy moi koledzy uwierzyliby, że muszę wziąć sobie wolne na zbieranie głosów.

Rhodes pokiwał głową i przez chwilę nic nie mówił, obserwując, jak senator się przeciąga. Webb był wysokim, szerokim w ramionach, okazałym mężczyzną o srebrnych włosach i silnie zarysowanej szczęce; prasa często wspominała, że ma prezydencką aparycję. Lecz Rhodes wiedział, że Webb nigdy nie zostanie prezydentem. Miał zbyt wielu wrogów w obydwu partiach.

- Winorośl znów przemówiła - odezwał się wreszcie Rhodes.

Wiadomość ta nie wywołała żadnej zewnętrznej reakcji u Webba. A więc Rhodes przybył tym razem z informacjami. Dlatego właśnie ten niepozorny człowieczek tak świetnie sobie radził. Rhodes porównywał swą pracę do dwukierunkowej ulicy. Jego głównym celem była pomoc klientom z branży zbrojeniowej w uzyskaniu kontraktów, lecz jeśli posiadał ważne informacje dla drugiej strony, dla tych, którzy mogli wycisnąć pieniądze z budżetu Departamentu Obrony, przekazywał je jak najszybciej. Większość lobbystów nie rozumiała korzyści wynikających z tego rodzaju podejścia.

- Czego się konkretnie dowiedziałeś? - zapytał spokojnie Webb.

- W Nevadzie, w rejonie 51, realizowany jest bardzo ważny, ściśle tajny program. Jeśli faza eksperymentalna powiedzie się, może to być najważniejszy od lat program „czarnego budżetu”. - Rhodes nie wątpił, że rozbudził zainteresowanie Webba. - Wiem, że oficjalnie „czarny budżet” nie istnieje, ale pomyślałem, że i tak będzie pan chciał wiedzieć, co w trawie piszczy.

Webb przez moment się nie odzywał. Po raz pierwszy informacja ta dotarła do niego z zewnętrznego źródła. Niewykluczone, że był to po prostu trafny domysł jednego z klientów Rhodesa, strzał w ciemno. Lecz Rhodes nie pracował w ten sposób. Jego wiadomości miały zawsze solidną podstawę. A zatem wszystko wskazywało na to, że Rhodes mówił prawdę. Niestety, ten mały człowieczek z brooklińskim akcentem prawie nigdy się nie mylił, gdy za źródło swych informacji podawał Winorośl.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Webb.

Pytaniem tym zasygnalizował, że wiadomość lobbysty przynajmniej częściowo pokrywa się z prawdą i Rhodes nie posiadał się z radości. Właśnie wkraśl się w łaski senatora i prawdopodobnie zdobył kontrakt dla jednego ze swych klientów.

- Niech to pozostanie między nami.

- Oczywiście.

- Mam informatora w biurze senatora Malcolma Walkera.

- Ty łobuzie. - Webb klepnął swego drobnego rozmówcę w plecy i uśmiechnął się z aprobatą. - Dobra robota. - Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. Nadarzała się okazja, której nie zamierzał przepuścić.

- Moim zdaniem zawsze należy podchodzić do wroga jak najbliżej - zauważył Rhodes, dumny z faktu, że udało mu się wywołać tak żywą reakcję u zwykle powściągliwego senatora Webba.

- W pełni się z tobą zgadzam, Phil. Ten dureń Malcolm Walker puści z torbami cały przemysł zbrojeniowy.

- Święta prawda. - Rhodes sprawdził, czy przez jedno z ciemnych wyjść nikt nie przybłąkał się do poczekalni. - W każdym razie mój informator twierdzi, że senator Walker przeprowadził infiltrację rejonu 51. Najwidoczniej ma tam wtyczkę, która na bieżąco informuje go o postępach tego wielkiego programu. Gdy uzyska wystarczająco dużo wiadomości, zamierza powstrzymać jego rozwój. Wydaje się, że jego wtyczka ma możliwość badania sytuacji na bieżąco.

- Naprawdę? - Webb ożywił się nagle.

- Tak, proszę pana. O ile wiadomości mojego informatora są wiarygodne. A jak na razie nie mogę jej niczego zarzucić. - Błyskawicznie spojrzął w oczy Webba. Pożałował, że zdradził płeć swego informatora. Lecz senator prawdopodobnie nic nie zauważył i Rhodes odetchnął z ulgą. Nie chciał, żeby Webb zbyt go naciskał. - Wiem, że nie są to najlepsze wiadomości - mówił dalej - lecz pomyślałem, że będzie pan chciał jak najszybciej o tym usłyszeć.

Webb uderzył swą dużą dłonią w wypolerowaną drewnianą ścianę.

- Niektórzy idioci w tym mieście po prostu nie rozumieją, jak trudno jest bronić interesów narodu. - Kipiał ze złości. - Ten drań Walker zamierza pokrzyżować nam szyki.

- Zgadzam się z panem.

Webb odwrócił się do Rhodesa.

- Jak się nazywa? Jak się nazywa wtyczka Walkera w rejonie 51?

Rhodes pokręcił głową.

- Mój informator w biurze Walkera podaje mi tylko ogólne informacje, to wszystko. Żadnych nazwisk.

- Czym skłoniłeś swego informatora do współpracy?

- Pieniędźmi. Zaistniała taka potrzeba. Mój informator na pewno wytłumaczył sobie, że może przyjąć te pieniądze, gdyż w zamian nie podaje żadnych konkretnych informacji. Na przykład nazwiska wtyczki Walkera w rejonie 51. - Rhodesowi nie podobało się, że ich rozmowa przybrała taki obrót. - Senatorze, miło się z panem rozmawia, ale ja naprawdę muszę już iść.

- Phil. - Senator nie wypuszczał jeszcze swego rozmówcy.

- Tak? - zapytał Rhodes niepewnie.

- Chciałbym kiedyś spotkać się z twoim informatorem. Tym z biura senatora Walkera. - Webb przycisnęła śrubę.

- No cóż... - Rhodes odkaszlnął nerwowo. Tego nie przewidział. - Chętnie spełniłbym pańskie życzenie, senatorze, ale wątpię, czy osoba ta wyrazi zgodę.

- Proszę więc ją do tego zmusić - odparł Webb z naciskiem. Rhodes mógł stać się szalenie wartościowym współpracownikiem, gdyby go tylko odpowiednio oszlifować.

- Phil, możesz znacznie więcej, niż ci się wydaje. Masz znajomości w wywiadzie. Skontaktuj się z ludźmi, którzy potrafią dokopać się do najskrytszych tajemnic każdego człowieka. Niech znajdą jakieś dowody, jakiegoś trupa w szafie, co pozwoli ci dowolnie manipulować tą osobą. - Webb uśmiechnął się perfidnie. - W twojej szafie też coś by się znalazło - rzucił niedbale, jak gdyby podawał wynik meczu lub kogoś pozdrowiał.

Staął mu przed oczami obraz niebiańsko pięknej kochanki Rhodesa, o której jego pękata żona oczywiście nic nie wiedziała.

- Umówię was - obiecał cicho Rhodes. Nagle stał się marionetką w sprawnych rękach senatora z Georgii.

- Doskonale. Zadzwoń do mnie, gdy tylko zdobędziesz dane wtyczki Walkera z rejonu 51. To bardzo ważne.

- Dobrze. - Rhodes uściśnął dłoń Webba i rozplynął się w ciemności.

Webb wpatrywał się w mrok jeszcze długo po odejściu Rhodesa. Przed powrotem na salę obrad musiał jeszcze do kogoś zadzwonić.

6.

Malcolm Walker wychował się w ciepłarnianych warunkach jako jedyne dziecko pary lekarzy, którzy wyrwali się z biednych gett dzieciństwa, a poznali i pobrali podczas studiów medycznych. Studiowali dzięki stypendiom z United Negro College Fund i wreszcie osiedlili się w Homeland, eleganckiej dzielnicy północnego Baltimore. Walker zdał egzaminy do Macon Academy, ekskluzywnego liceum w Massachusetts, gdzie od drugiej klasy dał się poznać jako doskonały piłkarz i lekkoatleta. W ciągu zaledwie pięciu lat udało mu się ukończyć prawo na Harvardzie, po czym przyjął posadę w renomowanej firmie Baker and Stroud w Waszyngtonie, zajmując się prawami obywatelskimi.

Sześć lat po angażu w Baker and Stroud Walker poprowadził uwieńczoną sukcesem kampanię o mandat do senatu stanu Maryland. Cztery lata później, w wieku zaledwie trzydziestu trzech lat, został senatorem Stanów Zjednoczonych. Podczas wyborczych wystąpień wspominał, czego się nauczył jako syn rodziców, którzy dzięki pracy i determinacji nie musieli żyć w biedzie. Mówił o ich dzieciństwie, gdy chodzili głodni, ponieważ w domu nie było pieniędzy. Opowiadał o rozpadających się domach, w których mieszkali, lecz również o marzeniach, które zrealizowali. Elokwentny i przystojny, stał się zaprzysięgłym wrogiem starych politycznych wyjadaczy i zakulisowych transakcji między politykami a przedstawicielami świata wielkiego biznesu. I pomimo wszelkich przywilejów, z których korzystał w latach wczesnej młodości, w sposób naturalny sprzyjał klasie robotniczej, a ona jemu.

Przeciwnicy Walkera bez przerwy usiłowali podkopywać jego autorytet wśród wyborców. Przedstawiając go jako hipokrytę, który sam reprezentuje high life, wytykali mu dyplomy, które zdobył w elitarnych szkołach, i okazały, publicznie ujawniony pakiet inwestycyjny. Walkerowi udawało się jednak odparowywać ciosy i zachować lojalność wyborców - do chwili, gdy na politycznym horyzoncie pojawił się Elbridge Coleman, który topił miliony w programach reklamowych i próbował przeciągnąć na swoją stronę białych wyborców, którzy podczas ostatnich wyborów głosowali na Walkera. W programach tych konsekwentnie wypaczano osiągnięcia Walkera, przekonując, że popiera jedynie ustawy korzystne dla czarnej społeczności, ignorując pozostałych, co nijak się miało do stanu faktycznego. W rzeczywistości Walker nigdy nikogo nie faworyzował; brakowało mu jednak funduszy na odparcie ataków, a kampania

Colemana zaczęła wywierać silny wpływ na biały elektorat. Elektorat, którego nie mógł utracić, jeśli chciał wygrać kolejne wybory.

Walker posłał uprzejmy uśmiech prowadzącej audycję dziennikarce, która siedziała po drugiej stronie studia.

- Po przerwie na reklamy witamy ponownie w radio WBCC Baltimore. Nazywam się Cynthia Jones i słuchają państwo „Nocnych rozmów”. - Jej aksamitny głos popłynął przez mikrofon w eter. - Gościmy dzisiaj senatora Stanów Zjednoczonych, Malcolma Walkera, demokratę z Maryland. - Trzymała mikrofon blisko ust, odwracając lekko głowę, żeby nawiązać kontakt wzrokowy z Walkerem. - Bardzo dziękuję za to, że znalazł pan czas, aby wziąć udział w naszym programie. Wiem, jak napięty jest pański terminarz, senatorze.

- Bardzo proszę, Cynthia - odpowiedział Walker głębokim głosem. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- Wspaniale. Zostało nam już niewiele czasu. Mamy jeszcze tylko kilka pytań i jedną bardzo ważną rozmowę telefoniczną.

Walker rzucił dziennikarce i producentowi zdziwione spojrzenie, lecz nikt nie odpowiedział mu na jego nieme pytanie. Przed wejściem na antenę nie było mowy o rozmowach telefonicznych.

- Senatorze - kontynuowała dziennikarka - proszę nam powiedzieć, skąd się bierze tak szerokie poparcie dla pana. Jest pan czarny, lecz w ostatnich wyborach zdobył pan ponad pięćdziesiąt pięć procent białych głosów.

Walker przystąpił do wygłaszania przygotowanej naprędce mowy.

- Stąd, Cynthia, że mówię z sensem, co docenia każdy, bez względu na kolor skóry. - Już tyle razy wypowiadał te słowa, że mógłby recytować je we śnie. Był jednak wytrawnym politykiem i potrafił wykrzesać z siebie entuzjazm za każdym razem, gdy prowadził kampanię. - Jak już dzisiaj mówiłem, podczas pierwszej kadencji dwoiłem się i troiłem, żeby doprowadzić do okrojenia budżetu Departamentu Obrony, co bez wątpienia zirytowało niektóre osoby w Waszyngtonie. Wyborcy wiedzą jednak, że moje działania mają sens. Departament wydaje rocznie ponad trzysta miliardów dolarów. Trzysta miliardów dolarów. Duża część tej kwoty idzie na broń, której po prostu nie potrzebujemy. Weźmy na przykład lotniskowce. Czy naprawdę musimy topić - wyszedł mi kalambur - kolejne pięć miliardów na produkcję tych pływających tarcz strzelniczych? Chyba nie. Wiele kontraktów jest kierowanych do firm po to tylko, żeby wzbogacić skostniały wojskowy establishment. Uważam, że budżet Departamentu Obrony można spokojnie zmniejszyć o połowę i Stany Zjednoczone nadal pozostaną jedynym militarnym supermocarstwem świata.

- Cynthia - kontynuował - wyobraź sobie, co moglibyśmy zdołać, mając dodatkowe sto pięćdziesiąt miliardów rocznie, gdybyśmy faktycznie okroili budżet Departamentu Obrony o pięćdziesiąt procent. Pomyśl tylko o możliwościach. Moglibyśmy wykształcić młodzież z biednych dzielnic, aby zasilila szeregi wykwalifikowanej siły roboczej. Moglibyśmy zwiększyć liczbę dobrze wyszkolonych policjantów. Moglibyśmy doprowadzić do ogromnej poprawy w szkolnictwie. Widzi, pani, kolor skóry

przestaje mieć znaczenie, gdy jest mowa o reformach, z których wszyscy skorzystamy. Pragnę tylko, aby nasz kraj stał się dla wszystkich lepszym miejscem na ziemi.

- Senatorze Walker, czy naprawdę uważa pan, że moglibyśmy zredukować budżet wojskowy o połowę i nadal pozostać silni?

- Owszem. Wiedzą o tym również ci, którzy sprawują władzę w Kongresie i Pentagonie.

- Czemu więc nic się w tej sprawie nie robi?

- Ponieważ wielu ludzi zbija majątek na tłustym budżecie Departamentu Obrony.

To kura znosząca złote jaja.

- To poważne oskarżenie.

- Zamierzam je udowodnić.

- Mocne słowa - melodyjnym głosem kontynuowała dziennikarka. - I jeszcze jedno pytanie przed rozmową telefoniczną, senatorze.

- Słucham.

- Mam trudne zadanie, ale jako dziennikarka muszę o to zapytać. Dlaczego walka o pańskie miejsce w Senacie przed listopadowymi wyborami tak bardzo się zaostrzyła? Dlaczego, skoro proponuje pan tak sensowne rozwiązania, Elbridge Coleman, kandydat z ramienia Partii Republikańskiej, dogania pana w ostatnich sondażach?

Walker miał nadzieję, że do końca wywiadu bez konieczności odpowiedzi na to pytanie. Chciał opowiedzieć dziennikarce o machinie establishmentu, która robiła wszystko, żeby go zniszczyć. Nie znał jednak żadnych nazwisk, śladów korupcji czy czegokolwiek innego, co potwierdziłoby jego podejrzenia. A gdyby winą za ostatnie sukcesy Colemana obciążył jakąś anonimową grupę, brzmiałoby to jak lament przegrywającego.

- Chwilowe załamanie. Przyjdzie listopad, a my nadal będziemy w Waszyngtonie.

- Cieszę się, że jest pan pewien sukcesu. - Dziennikarka podniosła brew, jak gdyby wątpiła, czy Walker powinien czuć się tak bezpiecznie. - Co do rozmowy telefonicznej... - Gospodyni programu odwróciła wzrok. Wiedziała, że Walker nie ucieszy się z takiego obrotu spraw, lecz „Nocne rozmowy” musiały przyciągnąć słuchaczy. W tym tygodniu sprawdzano popularność poszczególnych audycji. Mamy na linii pastora Elijaha Pittsa, przywódcę wywodzącej się z Maryland organizacji Liberation for African-Americans.

Walker przewrócił oczami i skrzywił się. W ciągu zaledwie kilku lat LFA zdobyła rozgłos, występując z inicjatywami, które miały wesprzeć zaniedbane gospodarczo rejony. Ściąganie rządowych pieniędzy dla ubogich, zapewnianie im pracy i kontrola polityki zatrudniania, to tylko kilka ulubionych tematów pastora Pittsa. Jego organizacja pomagała zarówno czarnym, jak i białym, lecz badania sztabu Walkera wykazały, że wielu białych omyłkowo postrzegало LFA jako organizację walczącą na rzecz czarnych. Zatem Walker za podszepciem swych doradców postanowił w miarę możliwości trzymać się z dala od pastora Pittsa z obawy przed utratą białego elektoratu, którego tak bardzo potrzebował do pokonania Colemana. Walker rzucił prowadzącej lodowate spojrzenie, lecz ona tylko się uśmiechnęła.

Dobry wieczór, pastorze Pitts. Dziękuję za włączenie się do naszej rozmowy.

- To dla mnie zawsze przyjemność. - Pastor wielokrotnie gościł w „Nocnych rozmowach”. Zrobił przerwę. - Witaj, Malcolmie.

- Witam, pastorze. - Walker silił się na grzeczność. Znali się bardzo dobrze, spotykając często podczas różnych uroczystości. Walker bębnił nerwowo palcami po krzesle. Pitts zawsze usiłował zmusić go do publicznego wyrażenia swego poparcia dla LFA. Taki gest, uznali jego doradcy, doprowadziłby do katastrofy. - Jak się pan mie-
wa?

- Świetnie, senatorze - odpowiedział Pitts z podobną wymuszoną uprzejmością. - Z przyjemnością słuchałem pańskich wzniosłych frazesów. - W głosie Pittsa zabrzmiał sarkazm.

- Mmm.

Dziennikarka uśmiechnęła się. Zaczęło się robić gorąco.

- Ale, Malcolmie - teraz znów głos pastora przybrał ojcowski ton - musisz zwracać większą uwagę na swój macierzysty okręg wyborczy. Musisz wybudować most porozumienia z LFA. Razem możemy naprawdę zrealizować niektóre z twych wielkich planów.

- Uważam, że pan i LFA zrobiliście bardzo wiele dobrego dla Maryland. - Walker spojrzął na zegar ścienny. Za minutę prowadząca program będzie musiała się pożegnać. Wydawało się jednak, że wskazówki stanęły w miejscu. - Bardzo wiele dobrego.

- Umiejętnie unika pan odpowiedzi. Oczywiście jest pan zdolnym politykiem, więc czegoż mogłem się spodziewać? Senatorze Walker, niech pan wstąpi w szeregi LFA. Razem będziemy jeszcze silniejsi. Już teraz! Na antenie! - grzmiał Pitts.

Walker odchrząknął. Jeszcze trzydzieści sekund.

- Malcolmie.

- Pastorze, powinniśmy się spotkać i wymienić poglądy. Może przyjedzie pan do Waszyngtonu?

- Malcolmie!

- Niestety, panowie, nasz czas dobiega końca - wtrąciła się dziennikarka. - Dziękuję, senatorze, że zechciał pan być naszym gościem w „Nocnych rozmowach”.

Walker odetchnął z ulgą, gdy dziennikarka zakończyła audycję. W przyszłości dobrze się zastanowi, zanim wystąpi w tego typu programie na żywo.

7.

Roth rozejrzał się szybko po pokoju, wodząc pistoletem w prawo i w lewo. Jedno oko miał przymknięte, a drugim obserwował przez mały celownik przy lśniącej lufie szare i zielone kształty idealnie wychwytywane przez noktowizyjne okulary.

Na lewo regał z książkami. Na środku pod wykuszowym oknem biurko z odsuniętym krzesłem. Między szufladami pod biurkiem nikt się nie krył. Z jednej strony biurka duży skórzany fotel, z drugiej zamknięta szafa. Ani śladu człowieka. Jeszcze raz sprawdził przestrzeń pod biurkiem, żeby się upewnić. Niemożliwe, żeby ktoś w tak krótkim czasie zdołał się wymknąć z pokoju.

Wzrok Rotha padł na szafę. Oto odpowiedź. Ofiara jakoś wyczuła jego obecność i wybrała najbardziej oczywiste schronienie, żałośnie usiłując ratować życie. Jakby szafa nie była pierwszym miejscem, które sprawdzi. Lecz tylko w niej można się było schować, a Roth wiedział, że chęć przetrwania jest najsilniejszym ludzkim instynktem.

Wycelował magnum w drzwi szafy i nie spuszczać z nich oczu, odszedł bezszelstnie do ściany. Wiedział, że ofiara, próbując przez zaskoczenie zyskać nad nim przewagę, może nagle wyskoczyć.

Roth dotknął galki przy drzwiach szafy, lecz szybko cofnął rękę, jakby porażony prądem. Początkowo chciał wyprowadzić ofiarę z domu i dokonać egzekucji w jakimś odległym miejscu, żeby nie zostawić tropu dla policji, która tu niechybnie trafi. Nie mógł jednak narazić na szwank swej szalenie ważnej misji. Istniała przecież niewielka szansa, że jego ofiara ucieknie, gdy będzie próbował wyprowadzić ją z domu. Musiał zabić ją na miejscu. Nie miał innego wyjścia.

Przywierając lewym bokiem do ściany przy szafie, Roth wyciągnął prawą rękę z pistoletem - narażając jedynie ramię, na wypadek, gdyby ofiara miała broń - i skierował lufę w stronę drzwi. Wystrzelił trzy razy w drzwi szafy, dokładnie półtora metra nad podłogą, tworząc w drewnie regularny wzór. Kule, jedna po drugiej, z trzaskiem przebiły się przez drzwi w odległości kilku centymetrów od siebie.

W tej chwili coś osunęło się ciężko na dno szafy. Roth chwycił za galkę i szybkim ruchem otworzył drzwi. Na podłodze leżał worek z bielizną. Spadł z haka na tylnej ścianie, gdy jedna z kul przecięła sznurek. Roth przeklął cicho. Jego ofiara wcale nie była taka głupia.

Odwrócił się i omiół w/rokiem pokój. W jego mózgu zakiełkowało maleńkie ziarno niepokoju. Ofiara wymykała mu się z rąk.

Do jego uszu dotarło przenikliwe bzyczenie nocnych owadów. Na twarzy poczuł leciutki, prawie niewyczuwalny dotyk słonego powietrza. Dziwnie głośnie bzyczenie owadów. Słone powietrze. Spojrzał w stronę okna. Szybko podszedł do biurka, pochylił się nad nim i przycisnął dłoń do szyby. Okno było lekko uchylone.

Z dużego porcelanowego kubka wysypały się ołówki i długopisy, gdy Roth wskoczył na blat biurka i otworzył na oścież jedno skrzydło okna. Wchodząc na parapet, potrącił lampę, która zachybotowała i roztrzaskała się na podłodze. Nie zwrócił na to uwagi. Nie myślał teraz o zostawianych śladach. Dziury po kulach, kubek i lampa - tym zajmie się później. Teraz musiał jak najszybciej wytropić ofiarę. Przecisnął się przez okno i zeskoczył z wysokości dwóch metrów na ziemię.

Przynaglona strzałami dobiegającymi z domu, Jesse rzuciła się do ucieczki, mając za przewodnika tylko księżyc. Liście smagały ją po twarzy, rękach i ubraniu, gdy biegła przez gęstwinę drzew i krzewów, potykając się w ciemnościach i omijając w miarę możliwości ostre gałęzie. Wcześniej w pokoju, choć do końca nie wiedziała w jaki sposób, wyczuła zabójcę, który wpatrywał się w okno. Być może jej uszy wychwyciły obcy dźwięk lub jej nos wywęszył nieznany zapach. Cokolwiek to było, natychmiast zrozumiała, że musi uciekać, choć nie przez frontowe drzwi.

Nagle uderzyła ramieniem o ukryte w ciemnościach niewielkie drzewo i upadła ciężko na pokrytą liśćmi ziemię, rozsypując zawartość teczki Robinsona. Ostry ból przeszył całe jej ramię aż do koniuszków palców. Musiała zagryźć wargę, żeby nie krzyknąć. Przez chwilę leżała na ziemi, masując obolałe ramię, po czym wstała, zdjęła rękawiczki, wcisnęła je do kieszeni w spodniach i zaczęła zbierać rozrzucone wśród suchych liści dokumenty. Ruszyła dalej. Nie wolno jej było się zatrzymać. Czowała, że polujący na nią drapieżnik czai się gdzieś w ciemnościach.

Zamierzała przebyć kilkadziesiąt metrów lasem, wykorzystując drzewa jako osłonę, aż dotrze w poblizsze miejsce, gdzie zaparkowała samochód. Wtedy przetnie drogę, znajdzie ukryty w zagajniku wóz i odjedzie. Dużo łatwiej byłoby pobiec asfaltową szosą, lecz instynkt podpowiadał jej, że tam stanowiłaby zbyt łatwy cel. Przecież istniała duża szansa, że intruz nie działa sam, a poza tym, choć poruszała się wolniej, pod osłoną drzew była dużo bezpieczniejsza.

Wiedziała, że musi mieć się na baczności. Boże, szkoda, że wcześniej nie doceniła wagi listu od Robinsona. Nagle ziemia usunęła jej się spod nóg i Jesse stoczyła się w dół wąwozu. Gdy pochłaniała ją ciemność, z gardła wyrwał jej się krzyk.

Roth błyskawicznie odwrócił głowę. Krzyk, krzyk przerażenia, ludzki, nie zwierzęcy. Sądząc po głosie - kobiecy. Niedaleko. Bliżej, niż mógł sądzić. Poczuł głęboką ulgę, sunąc w stronę linii drzew na skraju krótko przystrzyżonego trawnika. Jego szanse nagle się zwiększyły.

Jesse podniosła się, ociekając wodą, i wydostała ze strumienia. Podniosła teczkę, która leżała na zboczu wąwozu. Sprawdziła: nie została zniszczona. Wtem usłyszała chrzęst kroków. Ktoś stąpał po suchych dębowych liściach.

Zamarła na chwilę w bezruchu, zastanawiając się, co robić dalej: uciekać czy się schować. W końcu odwróciła się, przebrnęła przez strumień i zaczęła wspinać się na górę po drugiej stronie wąwozu. Lecz jak na złość wilgotna ziemia nie stanowiła dobrego

punktu zaczepienia i po pokonaniu kilku metrów Jesse ześlizgnęła się z powrotem w dół.

Przywarła do zbocza wąwozu i nasłuchiwała przez chwilę, próbując wychwycić dźwięki, których nie zagłuszałoby bicie jej serca. Ktoś wciąż zbliżał się szybkimi krokami. Spojrzała w prawo i w lewo, po czym ruszyła wzdłuż strumienia w stronę Gull Road.

Starła się iść brzegiem, lecz strumień nagle skręcił i po ciemku wdepnęła w płytkie zagłębienie, zanurzając nogi w lodowatej wodzie.

Roth usłyszał pluśnięcie wody i zwrócił swe kroki w tę stronę. Ofiara była już blisko. Chwyił mocniej magnum i przyspieszył kroku. Wtem i on ześlizgnął się do wąwozu. Kilkakrotnie przeturlał się, zanim wylądował w wodzie. Szybko wstał, otrząsnął się i nastawił uszu. Po upadku był zdezorientowany i nie potrafił stwierdzić, z której strony doszedł do niego plusk wody. Mijały sekundy. Ofiara oddalała się. Musiał podjąć decyzję.

Jesse usłyszała upadek Rotha, lecz nie rzuciła się instynktownie do szaleńczej ucieczki. Poruszała się wolniej niż przedtem. Uważała, żeby znów nie wpaść do wody, żeby iść jak najciszej, żeby nie zdradzić swego położenia. Nie ulegało już wątpliwości, że myśliwy znajduje się blisko.

Nagle ogarnęło ją przerażenie. Chciała zawołać o pomoc, lecz udało jej się zapamiętać nad strachem. Uświadomiła sobie, że prawdopodobnie nikt jej nie usłyszy - oprócz tego, który ją ścigał. Zatrzymała się na chwilę, przygłębła do dużej płaskiej skały, żeby nabrać w płuca trochę ciepłego, wilgotnego powietrza i ruszyła dalej.

W panujących ciemnościach, przez gałęzie drzew prześwitywał księżyc, a pod nim oczom Jesse ukazał się most. Ten sam most, przez który przeszła dwadzieścia minut temu, gdy po ukryciu samochodu zdążyła do domu Robinsona. Minęło tylko dwadzieścia minut, lecz teraz wydawało jej się, że minęło kilka godzin. Spojrzała do góry na wiadukt, ciemny kształt na tle granatowego nieba. Samochód znajdował się niedaleko, ledwie kilkadziesiąt metrów od mostu.

Chwyliła mocniej teczkę i pomknęła dalej. Przy moście zbocze wąwozu nie było pokryte liśćmi i łatwiej jej było się poruszać. Dotknęła ręką mokrej kieszeni w spodniach i wyczuła kluczyki. Włączenie silnika mogło ją zdradzić, lecz zanim jej prześladowca zdąży zareagować, jej już tam nie będzie. A gdy już znajdzie się w samochodzie, nawet piekielne furie jej nie zatrzymają.

W pobliżu mostu powietrze zrobiło się chłodniejsze i bardziej stęchłe. Od powierzchni wody odbijało się połyskujące światło księżycy, rzucając na cement niesamowite jasne refleksy. Natomiast ciche odgłosy jej kroków zdawały się odbijać głósnym echem pod mostem.

Gdy już wyszła spod mostu, przebrnęła przez strumień, zaczęła wspinać się na górę. Zbocze wąwozu po tej stronie Gull Road opadało łagodnie i Jesse wydostała się z niego po kilku sekundach. Rzuciła się pędem przez pole koniczyny w stronę sosnowego zagajnika, w którym prędko odnalazła swojego chevroleta. Nerwowo wydobyla z kieszeni kluczyki, włożyła je do zamka, otworzyła drzwi i usiadła za kierownicą. Zanim umieściła kluczyki w stacyjce, poklepała deskę rozdzielczą wozu - delikatnie, jak starego przyjaciela.

Samochód z warkotem obudził się do życia. Chwyliła za drążek skrzyni biegów i wrzuciła pierwszy bieg, zwolniła sprzęgło i przycisnęła pedał gazu. Auto ruszyło do przodu, a Jesse włączyła światła. Ogarnęło ją poczucie satysfakcji, gdy wrzuciła drugi bieg i zmierzała polną drogą w kierunku Gull Road. Potrafiła doskonale prowadzić. Dopilnowali tego jej starsi bracia.

Jadąc między rzędami sosen, sięgnęła po skórzane rękawiczki, które wepchnęła do kieszeni. Wyciągnęła jedną i rzuciła ją na fotel pasażera. Ale gdy po raz drugi zagłębiła rękę w kieszeni, okazało się, że jest pusta.

- Do diabła!

Polna droga prowadziła do Gull Road. Jesse obiema rękami skrzyła kierownicę w prawo, chcąc oddalić się od domu Robinsona i polującego na nią człowieka. Wozem lekko zarzuciło, gdy zabłocone opony zetknęły się z asfaltem, lecz Jesse z łatwością wyprowadziła samochód na prostą.

Włączyła długie światła i nagle ujrzała swego prześladowcę. Stał na środku szosy z czapką naciągniętą na oczy i celował prosto w nią. Błyskawicznie Jesse wrzuciła trzeci bieg i wcisnęła gaz do dechy. Lecz postać nieznanego ani drgnęła i Jesse krzyknęła, gdy samochód pędził w jego stronę.

Sześćdziesiąt metrów, pięćdziesiąt, czterdzieści. Roth czekał do ostatniej chwili, zanim władował w chevroleta ostatnie sześć naboju z magazynka. Kule przebiły przednią szybę, której drobne kawałki rozsypały się wewnątrz samochodu, po czym roztrzaskały szybę z tyłu.

Wystrzeliwszy ostatni pocisk, Roth dał nura w przydrożne zarośla, lecz spóźnił się o ułamek sekundy i lewy zderzak samochodu otarł się o jego nogę. Uderzenie wyrzuciło go w powietrze, a z nogi zleciał mu but. Opadł ciężko na ziemię, uderzając twarzą i kolanem o żwir na poboczu. Pomimo bólu, który czuł w policzku i nodze, podniósł głowę, żeby sprawdzić numery rejestracyjne. Lecz w tej chwili kierowca zgasił światła.

Jesse podniosła się szybko z siedzenia pasażera, na które padła tuż przed tym, gdy postać na drodze zaczęła strzelać. Wszędzie leżało szkło, lecz Jesse nie zwracała uwagi na ostre kawałeczki i niewielkie draśnięcia na ramionach. Wiatr rozwiewał jej włosy, a ona zacisnęła lewą rękę na kierownicy, a prawą znów włączyła światła. Gdy próbowała się oprzeć, zdała sobie nagle sprawę, że zniknął zagłówek. Odstrzelony jedną z kul, wyleciał przez roztrzaskaną tylną szybę.

Roth wypuł kurz i piasek, po czym usiadł, żeby rozmasować pulsującą z bólu nogę. Krew z rany nad lewym okiem spływała mu po policzku, lecz przez kilka chwil zdawał się tego nie zauważać. Wpatrywał się w ciemność, zasluchany w odgłosy umykającego mu samochodu. Pokiwał głową, gdy włączyły się światła - zbyt daleko, żeby mógł dostrzec numery na tablicy rejestracyjnej. Ktokolwiek prowadził ten samochód, był godnym przeciwnikiem - wrogiem, którego musiał odnaleźć i zniszczyć, jeśli misja miała się powieść. Lecz samochód szybko się oddalał i w tym miejscu urywały się ślady.

Roth sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął skórzaną rękawiczkę, którą znalazł w liściach. Nie potrzebował niczego więcej, żeby podjąć trop na nowo.

Masz coś? Głos mężczyzny brzmiał spokojnie.

- Skórzaną rękawiczkę. Sądząc po małym rozmiarze i fasonie, powiedziałbym, że należy do kobiety. - Noga wciąż sprawiała Rothowi nieznośny ból. Nie takie rzeczy znosił. - W rękawiczce znajdował się włos. Długi włos. I znów powiedziałbym, że należał do kobiety. Być może przed założeniem rękawiczki, odgarnęła dłonią włosy.

- A więc mamy choćby to.

- Tak.

- Jaki masz plan? - zapytał mężczyzna.

- Mieliliśmy szczęście. Włos miał cebulkę i z jej komórek możemy odtworzyć próbkę DNA. Wiemy, że osoba, którą dzisiaj ścigałem, jest jednym z dwudziestu dwóch pracowników oddziału. Jeśli uda mi się zebrać próbki włosów tych ludzi, na przykład ze szczotek lub kołnierzy, możemy przeprowadzić porównawczą analizę DNA.

- Zebranie próbek zabierze trochę czasu - zauważył mężczyzna.

- Ja działam szybko - zapewnił go Roth.

- Ale nawet jeśli uda ci się szybko zdobyć próbki włosów, dużo czasu zajmie zbadanie cebulek w laboratorium. Prawdopodobnie od dwóch do trzech tygodni. Co innego próbki krwi, ale tej nie mamy. Nie mamy też aż trzech, czy choćby dwóch tygodni. - Mężczyzna zaczynał się niepokoić.

- Więc załatwimy to w inny sposób.

- Jaki?

- Mamy do czynienia z grupą dwudziestu dwóch osób. Jesteśmy niemal pewni, że nasz cel znajduje się wśród nich.

- Tak.

- Laboratorium wyeliminuje podejrzanych, badając zebrane przeze mnie próbki i porównując je z włosem z rękawiczki pod kątem koloru i budowy. Poza tym, jeśli laboratorium znajdzie na włosie z rękawiczki pewne chemikalia, na przykład składniki konkretnych farb do włosów lub szamponów i te same chemikalia znajdują się choćby na jednej z dostarczonych przeze mnie próbek, będziemy mogli być całkiem pewni, że mamy właściwą osobę. „Całkiem pewni” brzmi nieźle w tym przypadku.

- Całkowicie się zgadzam.

- Jest jeszcze jeden sposób - zaproponował Roth.

- Mianowicie?

- Rękawiczka ma wszytą metkę z nazwą sklepu, w którym została kupiona. To ekskluzywny sklep z galanterią skórzaną w centrum Baltimore. Może obsługa sklepu udzieli nam jakichś informacji. Teraz, gdy sklepy wyposażone są w elektroniczne czytniki i komputery, pewnie będą mogli sporządzić dla mnie listę osób, które kupiły tego typu rękawiczki w ciągu ostatniego roku. Przynajmniej tych, którzy płacili kartą kredytową. Jeśli na tej liście znajdzie się osoba pracująca w urzędzie skarbowym Robinsona, powinniśmy natychmiast się nią zająć.

- Jasne. - Nagle mężczyzna poczuł się znacznie lepiej.

- Mogę znów skorzystać z odznaki Departamentu Sprawiedliwości? Dzięki niej pewnie szybciej zdobędę informacje.

- Korzystaj, z czego chcesz. Znajdź tylko tę osobę, która sprzątnęła nam z domu Robinsona jego teczkę.

8.

Jesse szybkim krokiem przemierzała długi korytarz z grubą kopertą pod pachą. Postanowiła nie zawiadamiać policji o wczorajszym zdarzeniu w domu Neila Robinsona. Skargi wnoszone na policji nie są utajniane, więc osoba, która ją wczoraj ściagała, prawdopodobnie sprawdzi je w pierwszej kolejności.

Skręcając do swego pokoju, niemal zderzyła się z mężczyzną, który właśnie z niego wychodził. Nie знаła go, a ponieważ wciąż była roztrzęsiona po doświadczeniach ostatniej nocy, natychmiast wzbudził w niej podejrzenie.

- Przepraszam - powiedział cicho.

Miał długie blond włosy, brodę i wąsy. Zauważyła, że wcisnął do kieszeni w spodniach foliową torebkę.

- Mogę w czymś pomóc?

- Tak, szukam Sary Adams.

Jesse spojrzała na plakietkę, którą miał przypiętą do koszuli. Sara musiała go oczekiwać. W recepcji nie daliby mu plakietki, gdyby wcześniej się z nią nie skontaktowali.

- Proszę iść tym korytarzem i skręcić w lewo. - Wskazała palcem, gdzie ma iść. - Czwarte drzwi po prawej.

- Dzięki. - Mężczyzna minął ją bez słowa.

Jesse popatrzyła za nim. Lekko utykał. Może powinna zadzwonić do Sary. Potrząsnęła jednak głową i odpędziła od siebie niepokojące myśli. Wyobrażała sobie nie wiadomo co.

Czując na plecach czyjąś rękę, Jesse aż podskoczyła i wydała stłumiony okrzyk. Natychmiast obróciła się na pięcie, zakrywając ręką usta. Odplynęła w myślach daleko, odtwarzając wczorajszy pościg i poranne spotkanie z nieznanym, który wychodził z jej pokoju. Zastanawiała się, czy powinna była zawiadomić policję. Zastanawiała się, czy nieznanomy szukał właśnie jej. Wiedziała, że tak było.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem, Jesse, ale chciałbym, żebyś kogoś poznała. - Profesor wskazał ruchem głowy na stojącą obok niego kobietę.

- Tak, oczywiście. - Jesse wzięła kilka płytkich wdechów, żeby się uspokoić

- Elizabeth Gilman, Jesse Hayes - powiedział cicho profesor. Nie chciał, żeby usłyszał go któryś z gości, gdyż mógłby być posądzony o faworyzowanie niektórych. -

Jesse jest moją najlepszą studentką.

- To raczej nie ulega wątpliwości, biorąc pod uwagę dzisiejszą dyskusję. - Elizabeth uśmiechnęła się serdecznie do Jesse. - Naprawdę uważam pani wypowiedzi za świetne. Najlepsze z całej grupy.

- Bardzo mi miło, że tak pani uważa, pani Gilman. - Głos Jesse lekko drżał. Nic dziwnego, pomyślała sobie, przecież Elizabeth Gilman była legendą w świecie finansów. Pod koniec lat siedemdziesiątych utworzyła Sagamore, małą firmę ubezpieczeniową, którą rozwinęła w jeden z najsukuczniejszych, najwyżej notowanych funduszy inwestycyjnych w kraju.

- Proszę mi mówić Elizabeth. - Kobieta roześmiała się. - Czy naprawdę wyglądam aż tak staro? - Wymierzyła palec w profesora. - Proszę nie odpowiadać. Chyba, że nie chce pan, abym tu jeszcze kiedyś przyjechała.

Jesse dostrzegła iskierki w oczach Elizabeth, gdy profesor wybuchnął śmiechem. Pomimo starszego wieku, zachowała dynamizm i urodę. Miała zupełnie siwe włosy, zaczesane do tyłu, co eksponowało szczupłą twarz o klasycznych rysach - twarz praktycznie pozbawioną zmarszczek i starczych plam, twarz nadal pełną energii i entuzjazmu. Jesse spuściła wzrok. Nagle zaschło jej w gardle i czuła, że ma pustkę w głowie. Czy mogła powiedzieć coś, co zainteresowałoby tak ważną osobę.

Profesor wyczuł zakłopotanie Jesse i sam podjął rozmowę:

- Elizabeth, nie wiem, jak ci dziękować za to, że znalazłaś trochę czasu, żeby przyjechać tu i wziąć udział w zajęciach - oznajmił. - Dla studentów to bardzo ważne, żeby spotykać się z ludźmi z prawdziwego świata, nie tylko z akademikami. A dla nas goszczenie osoby twojego formatu, to...

- Dziękuję. - Elizabeth delikatnie przerwała profesorowi, nie spuszczać wzroku z młodej kobiety. - Jesse, zaimponowałaś mi swymi uwagami na temat giełdy. - Diamentowe kolczyki Elizabeth lśniły w świetle żyrandoli.

- Dziękuję.

Elizabeth pochyliła się, żeby profesor jej nie usłyszał:

- Nie ma powodów, żeby się denerwować, Jesse. Jem i śpię tak samo jak ty. Po prostu dopisało mi szczęście przy niektórych inwestycjach. - Starsza pani wróciła do poprzedniej pozycji.

- To nie tylko szczęście - odparła Jesse. - Pani sukces, to umiejętność ustawiania się na najlepszej pozycji częściej niż inni. Umiejętność wykorzystywania dobrych okazji.

- Prawda. - Elizabeth kiwała głową z aprobatą. - Słuchaj, może odwiedzisz nas w Sagamore? Bezustannie szukamy młodych talentów.

- Cudownie! - Praca na Wall Street straciła nagle znaczenie.

- Właściwie już teraz chciałabym cię z kimś poznać - kontynuowała Elizabeth. Skinęła na młodego mężczyznę, który rozmawiał z kilkoma kolegami Jesse z grupy.

David dyskretnie potwierdził, że zauważył jej gest, przy pierwszej nadarzającej się okazji przeprosił swych rozmówców i podszedł do Elizabeth.

- Jesse, poznaj Davida Mitchella. - Elizabeth poklepała Davida po jego szerokich barkach, a on uściśnął dłoń Jesse i uśmiechnął się. - David jest jednym z moich dyrektorów

inwestycyjnych w Sagamore. Poprosiłam go, żeby przyjechał ze mną właśnie na wypadek, gdybym tu w szkole znalazła kogoś, kto mógłby przydać się nam w Sagamore.

- Cześć, Jesse. - David delikatnie wypuścił jej dłoń. Niebieskooka, przemiła blondynka. W przeciwieństwie do innych, z którymi musiał konwersować, ona zasługiwała na szczególną uwagę.

- Jesse, myślę, że powinnaś przez kilka minut porozmawiać z Davidem o Sagamore. - Elizabeth ledwie skończyła mówić, gdy zaniósł się gwałtownym kaszlem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał profesor, zaskoczony gwałtownością ataku.

- Tak - wyszeptała. - Nic mi nie jest. Muszę się tylko napić trochę wody.

- Oczywiście, Elizabeth. Chodź ze mną, zaraz zdobędziemy dla ciebie wodę. -

Profesor wziął ją pod ramię.

Elizabeth zakasłała jeszcze kilka razy, po czym zwróciła się do Jesse:

- Cieszę się, że cię poznałam. Liczę, że już niedługo będziemy cię mogli gościć w Sagamore.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że lepiej się pani czuje.

- Nic mi nie jest. - Zrobiła krok do przodu i poklepała Jesse po dłoni. - Do widzenia.

- Do widzenia.

David milczał przez chwilę po odejściu Elizabeth i profesora.

- Więc co chcesz wiedzieć na temat o Sagamore? - zaczął. - Patrzył gdzieś za Jesse, popijając swego drinka. Starał się zachować dystans, nie chcąc, żeby od razu dostrzegła jego zainteresowanie.

Jesse szybko i dyskretnie obejrzała Davida od góry do dołu. Był przystojny - miał kruczoczarne włosy, naturalny uśmiech, dołeczek w lewym policzku i biło od niego zdrowie, co oznaczało, że dbał o ciało. Lecz wszystko w jego postaci jednoznacznie wskazywało, że reprezentuje establishment. Od ciemnego garnituru zapinanego na trzy guziki i dokładnie odmierzonych mankietów u spodni do drogiego krawata i krótko obciętych włosów, wyglądał jak modelowy konserwatysta. Roześmiała się w duchu. Biorąc pod uwagę jej nader skromne dzieciństwo, powinno ciągnąć ją do tego mężczyzny jak pszczołę do miodu. Mężczyźni z pieniędzmi dawali szansę bezpieczeństwa finansowego, którego nigdy nie zaznała. Zwykle jednak tego typu mężczyźni ją nudzili. Uwielbiali sport, rzeczy, które kupowali i samych siebie, a ona potrzebowała czegoś więcej. Potrzebowała nowych wrażeń, mężczyzny, który będzie dzielił z nią życie i pokaże jej świat.

Może jednak powinna posłuchać rady Sary i umawiać się z mężczyznami, którzy oferują stabilizację finansową, zamiast zajmować się imponderabiliami. Znów spojrzała na Davida. Zdecydowanie robił wrażenie konserwatysty. Lecz w jego oczach dostrzegła łobuzerskie błyski, a gdy uważniej przyjrzała się jego fryzurze, zauważyła, że jest nieco awangardowa. Jego włosy z tyłu i z boku były ścięte trochę za krótko, a na górze trochę za długo. Spodobało jej się to.

- Jakimi pieniędzmi obraca teraz Sagamore? - zapytała niewinnie, wiedząc, że informacja ta była starannie strzeżoną tajemnicą.

David pokręcił głową.

- Nie mogę ci tego zdradzić - oznajmił, po czym uśmiechnął się szeroko. - Zresztą sam nie wiem. Takim szaraczkom jak ja nie mówią tak ważnych rzeczy. Każą nam tylko pomnażać pieniądze.

Jesse zakryła usta ręką i roześmiała się. A więc nie traktował samego siebie zbyt poważnie. To też jej się spodobało.

Dwie godziny później, przechodząc przez podwójne drzwi sali przyjęć w stronę czekającej limuzyny, Elizabeth położyła rękę na przedramieniu Davida. - Zauważyłam, że po moim odejściu prowadziłeś z Jesse Hayes ożywioną rozmowę.

- Zgodnie z twoimi oczekiwaniami, prawda?

- Tak. Od razu sobie pomyślałam, że po skończeniu szkoły będzie pasowała do naszego zespołu w Sagamore. Co o tym myślisz, Davidzie?

- Wydaje się bystra i energiczna.

- Dokładnie. - Elizabeth pomachała jeszcze profesorowi, gdy kierowca otwierał drzwi limuzyny. - Davidzie, chciałabym, żebyś lepiej ją poznał. Zabierz Jesse kilka razy na kolację, na koszt firmy oczywiście. Sprawdź, czy rzeczywiście się do nas nada. - Puściła do niego oko. - W Sagamore brakuje kobiet na stanowiskach kierowniczych.

David uśmiechnął się i przechylił głowę na bok. Czekало go całkiem przyjemne zadanie.

9.

Pokój, urządzony prosto i praktycznie, był ukryty głęboko wewnątrz budynku. I nie bez powodu. Konspiratorzy, którzy spotykali się w tym ustroniu, wymagali pełnej dyskrecji i odosobnienia dla omawiania swych planów. Urządzenia podsłuchowe nieprzyjaciół mogły być ukryte wszędzie, nawet gdzieś w pobliżu. Gdyby te urządzenia coś wychwytyły, skutki mogłyby okazać się katastrofalne.

Wchodzili do budynku głównym wejściem pod płaszczykiem etycznego postępowania, choć mieli zwykle dużo mniej szlachetne intencje. W dniu spotkania ochroniarze, którzy sami nie znali prawdziwego celu ich wizyty, wyprowadzali ich mrocznymi korytarzami i odludnymi klatkami schodowymi z publicznie dostępnej części budynku.

Pokój wyposażono w proste, lecz skuteczne środki bezpieczeństwa. Nie było w nim okien, bowiem nowoczesny sprzęt audiodetekcyjny mógł wyczuć nawet najmniejsze drgania szyby, wywołane choćby przytłumioną rozmową, a następnie przełożyć je na słowa. Małe głośniki, wbudowane w odpowiednich odstępach w ściany pokoju, emitowały niesłyszalne dźwięki, zakłócające działanie „pluskiew”, którymi ich przeciwnicy mogli naszpikować okoliczne korytarze i pokoje. Przed każdym zebraniem specjalista z sił wywiadowczych przetrząsał pomieszczenie szukając aparatów podsłuchowych. Przed wpuszczeniem uczestników spotkania do pokoju rewidowano ich za pomocą elektronicznego urządzenia. A podczas spotkań konspiratorzy siedzieli blisko siebie przy małym stole i rozmawiali zniżonymi głosami przy dźwiękach opery lub symfonii. Środki ostrożności wydawały się nieco przesadzone, lecz jak dotąd nie doszło nigdy do przecieku informacji.

Przewodniczący skinieniem głowy przywitał każdego uczestnika zebrania, po czym zwrócił się półgłosem do osoby ubiegającej się o członkostwo w sprzysiężeniu:

- Prosimy o najnowsze wiadomości.

Elbridge Coleman, kandydat do Senatu z ramienia Partii Republikańskiej, kiwnął głową i zaczął:

- Jutro rano ukaże się najświeższy sondaż CNN i magazynu „Time”. Ludzie z mojego sztabu wyborczego uzyskali już jego rezultaty za pośrednictwem naszego przyjaciela w CNN. Według sondażu wyprzedzam Malcolma Walkera o dwa punkty. Mówiąc konkretnie, gdyby wybory odbyły się dzisiaj, otrzymałbym czterdzieści sześć procent głosów, a Walker czterdzieści cztery.

- Co oznacza, że mamy dziesięć procent niezdecydowanych - zauważył przewodniczący.

- Zgadza się. - Odpowiadając, Coleman słyszał, że ktoś jeszcze się odezwał, lecz nie rozumiał poszczególnych słów. Akustyka w pokoju była straszna. Kolejny przejaw ostrożności. - Słucham? - W przyziemnym świetle udało mu się nawiązać kontakt wzrokowy z osobą, która prawdopodobnie przemówiła.

- Jaki jest statystyczny margines błędu? - Tym razem głos zabrzmiał tylko troszkę głośniejsze.

- Plus minus cztery punkty - odpowiedział spokojnie Coleman.

- Więc nie możemy być jeszcze całkowicie pewni zwycięstwa w wyborach.

Coleman uśmiechnął się uprzejmie, choć zirytowała go tak oczywista dedukcja oraz użycie liczby mnogiej. Nie mógł podważać argumentu, że odgrywali dużą rolę w tym, co się działo, ale to przecież on w pocie czoła prowadził kampanię wyborczą.

- Nie, nie możemy. - Coleman skubał rękaw marynarki. Był wysokim i szczupłym mężczyzną o budzącej zaufanie twarzy, mocnej sylwetce i naturalnej prezencji. Był przystojny, lecz nie w sposób rzucający się w oczy. - Myślę, że warto przypomnieć, iż ledwie półtora miesiąca temu, pod koniec lipca, Walker wyprzedzał nas o pięć punktów. W ciągu jedynie czterdziestu pięciu dni zdobyliśmy dziewięć punktów. - Coleman uważał, żeby irytacja nie zabarwiła jego głosu. Uczestniczył w konkursie piękności i w każdej chwili mogli podziękować mu za udział, jeśli nie będzie się grzecznie zachowywał. Schowanie do kieszeni dumy było niewielką ceną za przyjęcie do tego grona. - Mamy tendencję zwykłą i niezłe przyspieszenie. Wszystko wskazuje na to, że za miesiąc miejsce Walkera w Senacie będzie należało do mnie. Jego kampania spali na panewce. Listopadowe wybory będą tylko formalnością.

- Pan i pański sztab wyborczy, Elbridge, spisaliście się na medal. - Przewodniczący wyczuł lekkie zdenerwowanie Colemana. - Rzeczywiście mamy niezłe przyspieszenie. Chcemy po prostu utrzymać je na obecnym poziomie. Musimy wygrać. Wszyscy wiążemy z tym ogromne nadzieje.

- Oczywiście. - Coleman przytaknął posłusznie przewodniczącemu. Ucieszył się z komplementu dotyczącego pracy sztabu wyborczego. Zanim przemówił, spojrzął na każdego uczestnika spotkania z osobna. - Zyskujemy na sile, a Malcolm Walker traci grunt pod nogami. Nic więcej nie trzeba dodawać.

- Doskonale, doskonale. - Przewodniczący nie krył zadowolenia. - Zostało ci jeszcze dużo pieniędzy?

- Mój skarbnik zapewnia mnie, że dochody netto ze sprzedaży akcji Coleman Technology jak najbardziej wystarczą na sfinansowanie dalszej części kampanii. A poza tym w moich rękach nadal znajduje się czterdzieści procent udziałów. W każdej chwili możemy je spieniężyć, jeśli będziemy potrzebowali dodatkowych funduszy na kampanię.

- Świetnie - ocenił przewodniczący. Sprawy postępowaly zgodnie z planem. - To wszystko.

Coleman rozumiał aluzję. Miał wyjść. Wstał, uklonił się z szacunkiem każdemu

uczestnikowi spotkania i skierował kroki w stronę drzwi.

- Elbridge - zawołał cicho przewodniczący.

- Tak? - Coleman zatrzymał się na chwilę.

- Proszę przypomnieć ochroniarzowi, żeby poprowadził pana do wyjścia na Potomac.

- Dobrze. - Odwrócił się i zniknął za drzwiami.

Przewodniczący odwrócił się do uczestników spotkania.

- Myślę, że możemy być bardzo zadowoleni z kampanii pana Colemana. Jak wszyscy wiemy, w życiu niczego nie można być pewnym, lecz tu szanse na powodzenie są bardzo wysokie. Na zachodzie prowadzimy dwie inne kampanie w fazie wstępnej, lecz chyba nie będziemy się tam angażować.

- Powinniśmy też przykręcić śrubę na drugim froncie. - Nagle ktoś mu przerwał. - Musimy mieć absolutną pewność, że wygramy te wybory. Wszystko zostało zaaranżowane, wydaliśmy mnóstwo pieniędzy. Skorzystajmy teraz z tego.

Przewodniczący kiwnął głową.

- Zgadzam się - rzekł. - Nie chciałem wyklądać tego asa zbyt wcześnie. Ale myślę, że rzeczywiście teraz nadeszła odpowiednia chwila. Wybory tuż tuż i Walker nie będzie w stanie przeprowadzić skutecznej kontrofensywy. Osobiście się tym zajmę.

- Dziękuję. - Uczestnik spotkania, od którego wyszła propozycja, był wdzięczny przewodniczącemu za poparcie.

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której powinniście wiedzieć. - Głos przewodniczącego przybrał poważny ton, wzbudzając natychmiast niepokój wśród uczestników spotkania. - Doszło do niewielkiego przecieku informacyjnego. - Oczy wszystkich zwróciły się nagle ku niemu. - Jak wiecie dwa dni temu zajęliśmy się sprawą urzędu skarbowego. Gordon Roth uciszył Neila Robinsona. Na zawsze. Jak się okazuje, podejrzania Robinsona co do kampanii Elbridge'a Colemana były poważniejsze, niż początkowo uważaliśmy. Powinniśmy cieszyć się, że Robinson został wyeliminowany. - Przewodniczący zrobił krótką pauzę. - Niestety, Robinson był sprytniejszy, niż nam się wydawało. - Wiedział, że informacja, którą przekaze, wywoła prawdziwą burzę. - Robinson zdołał po swej śmierci podzielić się swymi podejrzeniami co do Colemana.

- Co to ma znaczyć? - zapytał jeden z obecnych. - Jak Robinson mógł podzielić się swymi podejrzeniami po swej śmierci?

- Kilka dni temu, być może w odpowiedzi na telefoniczne naciski pana Rotha, Robinson przygotował krótką notatkę służbową, w której pokrótce opisał swe podejrzenia dotyczące kampanii wyborczej do Senatu. Zapisał to na twardym dysku.

- Ale przecież dostaliśmy się chyba do jego biura przed innymi. I chyba skonfiskowaliśmy twardego dysku z jego komputera i wszystkie dyskietki.

Przewodniczący kiwnął głową.

- Dostaliśmy się tam rano, nazajutrz po jego śmierci. Niestety, nie miało to znaczenia. Robinson wykorzystał opcję w miejscowej sieci komputerowej, która pozwalała mu wysłać ze swojego komputera wiadomość z opóźnieniem. Wiadomość miała być wysłana automatycznie, gdyby przez kilka godzin po włączeniu komputera nie zablokował tej

opcji. Do wczoraj co rano włączał komputer i blokował wysłanie wiadomości. Rzecz jasna wczoraj rano nie zrobił tego, więc notatka automatycznie powędrowała do swego adresata. Gdy tam dotarliśmy, było już zbyt późno, żeby powstrzymać wysłanie notatki.

- Powinniśmy więc prześledzić linię elektroniczną. W ten sposób zidentyfikujemy adresata i natychmiast podejmiemy odpowiednie działania.

- To nie takie proste - stwierdził przewodniczący. - Robinson postarał się, aby notatkę przesłano do centrali na Florydzie i stamtąd z powrotem do Baltimore.

- Dlaczego to zrobił?

- Prawdopodobnie po to, żeby ukryć tożsamość adresata. Gdyby przesłał wiadomość bezpośrednio przez system lokalny, byłoby łatwo wskazać, do którego komputera została przesłana. Natomiast przesyłając ją najpierw do centrali na Florydzie, a potem z powrotem do Baltimore, zatarł ślady. Dzięki osobie z urzędu skarbowego, która dla nas pracuje, dowiedzieliśmy się, do której komórki wysłano notatkę. Lecz centrala wymazała połączenie z komórki do komputera odbiorczego.

- Co to jest komórka?

- Grupa osobistych komputerów, oddział.

- Więc do którego oddziału ją wysłano?

- Urzędników skarbowych.

- Ilu ich tam jest?

- Dwudziestu dwóch.

- Musimy więc sprawdzić ich komputery.

- Już sprawdziliśmy. Bez rezultatów. Osoba, która otrzymała notatkę, była na tyle sprytna, żeby usunąć ją z pamięci komputera i jej nie kopiować. Sprawdziliśmy też pamięci drukarek.

- Skąd wiemy, że wiadomość od Robinsona miała jakiś związek z kampanią Colemana?

- Nie wiemy - odparł przewodniczący. - Zgaduję tylko, ale prawdopodobieństwo jest cholernie duże. Wśród rzeczy Robinsona znaleźliśmy nie zaadresowaną dyskietkę. Powiadał osobę, która ją odczyta, że coś się z nim stało. Prosił o pomoc i podał wskazówki, jak dojechać do domu nad rzeką Severn. Miały się tam znajdować: dokumentacja dotycząca kampanii wyborczej do Senatu i dowody manipulacji wyborami. A dzięki rozmowie, którą Roth przeprowadził z Robinsonem w hotelu, wszyscy wiemy, o którą kampanię mu chodziło. Jestem niemal pewien, że notatka wysłana pocztą elektroniczną dzień po jego śmierci miała identyczną treść.

- Gdzie odnaleziono dyskietkę z treścią notatki?

- W garniturze, który Robinson miał na sobie w dniu śmierci.

- Co? - Niepokój uczestników spotkania wzrósł jeszcze bardziej.

- Tak. Zupełnie jakby Robinson zamierzał przekazać ją komuś przed spotkaniem z Gordonem Rothem w hotelu. Koroner w kostnicy miejskiej odnalazł dyskietkę w marynarce Robinsona. Na szczęście zdołaliśmy dobrać się do niej w pierwszej kolejności. Dobraliśmy się też do koronera. Tak na wszelki wypadek. - Roth działał diabelnie skutecznie.

- Czy odzyskaliśmy dokumenty z domu nad rzeką?
- Próbowaliśmy, ale ktoś nas ubiegł. Niemal na pewno ta sama osoba, która otrzymała opóźnioną wiadomość od Robinsona.

- Więc co, u diabła, mamy teraz robić?

Przewodniczący złożył dłonie.

- Dowiedzieć się, który spośród dwudziestu dwóch urzędników skarbowych otrzymał korespondencję od Robinsona, a potem podjąć stosowne kroki - oświadczył. I módlmy się, żeby odnaleźć tę osobę, zanim ona wpadnie na nasz trop. - Jego twarz rozchmurzyła się. - Na szczęście nie jesteśmy zupełnie bezradni. Osoba, która sprzątnęła nam sprzed nosa dokumenty z domu nad rzeką, nieopatrnie zostawiła ślad. Trop, za którym możemy pójść i zapewniam was, że to zrobimy.

Wszyscy kiwali zgodnie głowami.

Przewodniczący podniósł wzrok.

- Na pewno nie uszło waszej uwadze, że brakuje dzisiaj kilka osób z naszego grona. Przebywają w rejonie 51. Proszę trzymać kciuki za udany lot A-100.

10.

Prototyp samolotu A-100 wzbił się ostro w powietrze z rejonu 51 i zniknął w zalegających właśnie nad Nevada ciemnościach. Samolot rozpoczął czwarty i ostatni z planowanych lotów próbnych. Gdyby ta ostatnia misja zakończyła się powodzeniem, firma zbrojeniowa, z którą potajemnie zawarto umowę, mogła natychmiast rozpocząć pełną produkcję nowego samolotu myśliwsko-bombowego marynarki wojennej. Umowa ta w ciągu następnych siedmiu lat miała przynieść firmie sto pięćdziesiąt miliardów dolarów, czyniąc z niej jedną z najpotężniejszych firm w przemyśle zbrojeniowym.

Podwozie samolotu schowało się w kadłubie odrzutowca, gdy opony straciły kontakt z ziemią, tworząc idealną sylwetkę do ataku: niską i praktycznie pozbawioną kątów prostych. Opływowe kształty w połączeniu z unikalną powłoką samolotu oraz zainstalowanymi na pokładzie urządzeniami zagłuszającymi czyniły z A-100 jednostkę niemal niewidzialną dla systemu radarowego wroga.

Słyszając znajomy odgłos zamykania klapy podwozia, pilot rozluźnił się w fotelu i rozpoczął pierwszą kontrolę bezpieczeństwa lotu. Od położonego na północ celu dzieliło go trzysta kilometrów.

Pułkownik Richard Pierce cieszył się reputacją jednego z najbardziej doświadczonych pilotów oblatywaczy w całej Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych. W chwilach próby zachowywał się tak spokojnie i trzeźwo, jak to tylko możliwe. Lecz pomimo swych imponujących osiągnięć bojowych i wielu godzin próbnych lotów przy urządzeniach sterowniczych tego i innych prototypów, przez cały dzień odczuwał niepokój. Ten konkretny samolot wart był prawie pięćset milionów dolarów, a co ważniejsze, reprezentował ambicje marynarki wojennej, starającej się odzyskać miejsce równoprawnego i nieodzownego członka triumwiratu sił zbrojnych.

Bez „czarnego skrzydła”, jak Pierce nazywał A-100, marynarka wojenna musiałaby odstąpić prowadzenie misji głębokiego uderzenia siłom powietrznym i ich bombowcom typu stealth. W konsekwencji lotniskowce warte pięć miliardów dolarów padłyby ofiarą polityków, którzy pragnąc zaskarbić sobie przychylność wyborców, szukaliby sposobów ograniczenia federalnych wydatków. Sposobów, które w swoim czasie wpłynęłyby na wielkość produkcji niszczycieli, krążowników, a także, co najważniejsze, kwot przydzielanych z budżetu.

W skład marynarki wojennej wchodziły siły podwodne, nawodne i powietrzne, do których należały lotniskowce. Lotnictwo i armia lądowa bez przerwy kwestionowały konieczność utrzymywania nawodnego i powietrznego sprzętu marynarki ze względu na ogromne możliwości techniczne pocisków sterowanych. Twierdzono, że jednostki nawodne i lotniskowce są dla nich łatwym celem, przez co stały się niepotrzebne. Przedstawiciele lotnictwa i armii liczyli na sporą część z wynoszącego dziewięćdziesiąt miliardów budżetu marynarki, gdyby przeznaczono go do podziału w następstwie ich zakulisowych manewrów. Bez A-100 marynarka wojenna mogła stać się pionkiem w grze obronnej, gdzie stawką było trzysta miliardów dolarów rocznie. Dzięki niemu marynarka wojenna mogła usprawiedliwić swe operacje nawodne i powietrzne i być traktowana na równej stopie z lotnictwem i armią lądową.

Pierce wykonał łagodny pięciostopniowy skręt na północ. Był to szalenie ważny lot, lecz tylko garstka ludzi wiedziała o istnieniu samolotu. Naturalnie tak już bywało z „czarnymi programami”. Wszystko było ściśle tajne. Cywilni pracownicy przylatywali i odlatywali z rejonu 51 - odosobnionego ośrodka rządowego w Nevadzie - w samolotach z zamalowanymi na czarno oknami. Rewidowano wszystkich, którzy wchodziłi i wychodzili z potężnego hangaru, w którym mieściło się pięć prototypów. A ludziom znającym szczegóły projektu A-100 groziło dziesięć lat pobytu w więzieniu Leavenworth, gdyby udowodniono im przekazanie osobie nie wtajemniczonej informacji choćby o samym tylko istnieniu projektu.

Milczenie obowiązywało wszystkich. Żona Pierce'a nie miała pojęcia, gdzie się teraz jej mąż podziewa. I gdyby dzisiejszy lot zakończył się katastrofą, czego nie można było całkowicie wykluczyć, pochowano by pustą trumnę, choć żona Pierce'a nigdy by się o tym nie dowiedziała. Zawsze istniała możliwość, że kawałek powłoki samolotu, której złożona struktura okryta była tajemnicą, utkwii w szczątkach Pierce'a, a jakiś międzynarodowy agent-grabarz znajdzie ją i dostarczy swym zwierzchnikom.

Lecz Pierce gotów był poświęcić nawet własne życie. Był całkowicie oddany sprawie projektu A-100, ze względu na jego rangę w historii marynarki wojennej, oraz osobom kierującym projektem. Zrobiliby wszystko, o co by go poprosili, żeby doprowadzić do jak najszybszego rozpoczęcia produkcji samolotu na pełną skalę.

Wszystko.

Mając ponad jedenaście metrów długości i dwadzieścia jeden metrów rozpiętości skrzydeł, A-100 rzeczywiście wyglądał jak potężne skrzydło, cud aerodynamiki. Po zakończeniu prac projektanckich i odbyciu lotów próbnych A-100, jako startujący z lotniskowców samolot myśliwsko-bombowy marynarki wojennej, miał zastąpić trzydziestopięcioletniego Intrudera A-6. Intruder A-6 służył w marynarce od czasów Wietnamu, lecz polityczne przepychanki i napięty budżet uniemożliwił jego wymianę.

Pierce spojrział lewym oknem na rozpościerające się za nim skrzydło. Co za piękny samolot. Czują, mocny i praktycznie niewidzialny - tak wspaniałą maszyną jeszcze nigdy nie latał.

Zbadał wzrokiem komputerową mapę topograficzną, na którą nałożono zarys samolotu, następnie kilkakrotnie pomniejszył obraz na ekranie, zmniejszając rozmiary samolotu i zwiększając zasięg mapy. Zlokalizował pas startowy, z którego właśnie wystartował. Cztery minuty po rozpoczęciu lotu, a on pokonał już osiemdziesiąt kilometrów.

Pierce ponownie zwiększył zasięg mapy i odszukał cel, tzw. skrzynkę, umiejscowioną daleko na środku pustyni Nevada, gdzie samoloty marynarki wojennej symulowały lądowania i starty na morzu. Skrzynkę tworzyły białe światła, ustawione w kształcie prostokąta na pasie startowym, wyznaczające rozmiary pokładu lotniskowca. Wyposażona była w liny hamujące i katapultę.

Pierce szybko zlokalizował skrzynkę. Znajdowała się w odległości nieco ponad dwieście dwadzieścia kilometrów na północ.

Celem ostatniej misji była symulacja lądowania i startu na morzu, dwóch najbardziej niebezpiecznych manewrów, które piloci marynarki wojennej musieli regularnie wykonywać. Pierce miał wylądować między białymi światłami, po czym wystartować za pomocą katapulty. Gdyby mu się udało, kontrahent mógł natychmiast rozpocząć produkcję A-100. Natomiast admirałowie byłiby mu wdzięczni po wsze czasy.

Ponownie spojrzął na skrzynkę na ekranie i po raz pierwszy połączył się z kontrolerem ruchu powietrznego.

- Zbliżam się, Tygrys sześć dwa trzy. - Chcąc ograniczyć liczbę świadków obserwujących lot, KRP miał zastąpić wszystkich kontrolerów zwykle odpowiedzialnych za doprowadzenie odrzutowca do lądowania po cyklu operacyjnym. Ze względu na bezpieczeństwo wprowadzono tego typu ograniczenia przy realizacji „czarnych programów”. - Jak mnie słyszysz?

- Głośno i wyraźnie - odpowiedział zwięźle KRP.

Pierce usłyszał napięcie w głosie kontrolera. Boże, pewnie nad głową tego biedaka stoją wszystkie grube ryby, przyprawiając go o rozstrój nerwowy. Admirał Cowen, szef operacji morskich, William Harcourt, Sekretarz Marynarki Wojennej i Jack Finerty, prezes GEA, firmy zbrojeniowej odpowiedzialnej za wyprodukowanie A-100. Wszyscy w najwyższym stopniu podnieceni obserwowali skrzynkę w ośrodku dowódczym i czekali na chwilę, gdy Pierce sprowadzi bezpiecznie na lądowisko na środku pustyni ich maszynę wartą pięćset milionów dolarów.

- Proszę o pozwolenie na lądowanie.

- Tygrys sześć dwa trzy, droga wolna. Ale czy mógłbyś najpierw oddać mi przysługę i włączyć latarnię kierunkową? Przez ten cały sprzęt antyradarowy na pokładzie, twój piekielny samolot jest nie do zlokalizowania, a parę zgromadzonych tutaj osób chciałoby jednak wiedzieć, gdzie się teraz znajdujesz.

- Zrozumiałem. - Pułkownik Pierce włączył latarnię. A-100 wytwarzał teraz wyraźne, regularne impulsy, dzięki którym radary stanowiska kontroli mogły zlokalizować samolot. Pierce zaśmiał się w duchu. Sprzęt antyradarowy na pokładzie rzeczywiście był niesamowity. Piloci będą mogli nadlecieć nad miasto wroga, zrzucić ładunek i zniknąć, zanim ktokolwiek zorientuje się, co się stało. - Przewidywalny czas przylotu - przerwał, żeby sprawdzić dane na komputerze - za jedenaście minut i dwadzieścia dwie sekundy.

- Zgłoś się przy osiemnastce. - KRP prosił o kolejne połączenie w odległości osiemnastu kilometrów od celu.

- Rozkaz - odparł Pierce.

W odległości osiemnastu kilometrów Pierce zgłosił się zgodnie z poleceniem. Przez okno w kokpicie ujrzał skrzynkę, która teraz wyłoniła się z ciemności: maleńkie białe światła idealnie odpowiadające rozmiarom pokładu lotniskowca. W tym momencie skrzynka znajdowała się tysiąc pięćset metrów pod nim, osiemnaście kilometrów na północ.

- Można lądować.

Pierce szybko opadł na wysokość trzystu metrów, wypoziomował maszynę i ustawił kurs, który miał zaprowadzić ją na północ, wprost do skrzynki. Po kilku chwilach zmniejszył prędkość do trzystu pięćdziesięciu węzłów i zszedł na wysokość dwustu pięćdziesięciu metrów.

Trzy i pół kilometra na południe od skrzynki Pierce ograniczył prędkość do dwustu pięćdziesięciu węzłów i opuścił podwozie. Kokpit natychmiast zakołysał się pod wpływem turbulencji powstałej na skutek zmiany kształtu samolotu, który stracił swą opływową linię.

W odległości niecałych dwóch kilometrów od skrzynki i na wysokości stu osiemdziesięciu metrów nad piaskami pustyni Pierce jeszcze raz skorygował kurs i przystąpił do finałowego manewru. Jego samolot był ustawiony idealnie wzdłuż światła biegnących ze środka skrzynki.

Pierce chwycił mocno drążek. Lądowanie nie było niczym innym, jak kontrolowanym wypadkiem. I choć przeprowadził ich już bardzo dużo, zawsze szarpały mu nerwy, zwłaszcza teraz, gdy w jego rękach ważyły się losy całej marynarki wojennej.

Kilka sekund później Pierce znajdował się w odległości dziewięciuset metrów na południe od skrzynki. Zszedł na wysokość dziewięćdziesięciu metrów i zwolnił do stu pięćdziesięciu węzłów. Leciał dużo wolniej niż jeszcze kilka chwil wcześniej, lecz nawet przy takiej prędkości zatrzymanie maszyny ważącej dwadzieścia ton na bardzo ograniczonej przestrzeni było niesamowitym wyczynem.

- Ląduj! - krzyknął przez radio w ucho Pierce'a oficer nadzorujący operację.

Pierce sprawdził punkty odniesienia: trzy zielone światła na lewo, trzy na prawo i żółty punkt na środku. Światła te pozwalały zorientować się pilotowi, czyjego kąta nachylenia jest odpowiedni do lądowania.

- Ląduj! - krzyknął znowu oficer.

Pierce uśmiechnął się. Oficer nadzorujący lądowanie przeżywał ten sam stres, co kontroler ruchu powietrznego. Zwykle nie był tak niecierplivy.

- Tygrys sześć dwa trzy, A-100 przystępuje do lądowania, sześć i pół - informował spokojnie, przy czym ostatnia wiadomość dotyczyła wagi paliwa w samolocie.

- Tygrys, zaczynaj. - Oficerowi zrobiło się lżej na sercu. - Wszystko wygląda dobrze.

Czteryście metrów. Dwieście metrów. Przy jarzących się światłach Pierce z ledwością dojrzał cztery liny hamujące rozciągnięte w poprzek lądowiska. Jedna szesnasta. Podczas lądowania, gdy maszyna styka się z ziemią, zawsze dziwi prędkość, z jaką się

leciało. Na wysokości dziewięciu tysięcy metrów nie ma możliwości prawdziwej oceny prędkości, nawet wówczas, gdy przelatuje się przez chmury.

Koła uderzyły o ziemię i Pierce natychmiast odciął paliwo. Gdyby z jakiegoś powodu nie trafił w liny hamujące, wystartowałby i ponownie spróbował wylądować. Kontrahent nadal uznałby misję za udaną, gdyby wylądował za drugim razem - pod warunkiem, że podczas pierwszej próby koła oderwą się od pasa startowego przed minięciem białych świateł na północnym krańcu skrzyni.

Nie było jednak żadnych powodów do obaw. Skrępowanego pasami Pierce'a rzuciło do przodu. Zgadywał, że trzecia lina zaczepiła o hak samolotu. Szybko wyłączył silniki.

Jack Finnerty, prezes General Engineering and Aerospace (GEA), odetchnął z ulgą, obserwując, jak A-100 zatrzymuje się na symulowanym pokładzie lotniskowca. Przez kilka chwil po prostu patrzył przed siebie, pozwalając, aby radość z udanego lotu wypełniała jego ciało, zastępując potworny stres, który towarzyszył mu od dwóch i pół roku. Jeszcze tylko parę chwil. Samolot musiał przejść jeszcze jedną próbę - start z katapulty - po czym mogli rozpocząć produkcję. Gdy tylko A-100 wzbije się w powietrze, będzie mógł dalej przekazać dobrą nowinę.

Pułkownik Pierce podniósł kciuk do góry, okazując swe zadowolenie członkowi obsługi lądowiska, który zbliżał się do A-100. Wykona jeszcze jedno zadanie i szefowie będą zadowoleni.

Dochodziła północ, gdy do samochodu Phila Rhodesa wsunęła się kobieta. Była zdenerwowana i bez przerwy wyglądała przez okno, sprawdzając, czy po pogrążonej w mroku stronie ulicy nie dzieje się nic podejrzanego.

- Rozluźnij się - powiedział łagodnie, próbując ją uspokoić.

Nie znosiła jego brooklińskiego akcentu.

- Nie mogę. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył mnie z tobą, a to miejsce jest zbyt ruchliwe. - Kilkakrotnie otworzyła i zamknęła schowek przed fotelem pasażera, próbując jakoś wylądować nerwową energią. - Po co mnie wezwałeś?

- Potrzebne mi jest nazwisko informatora senatora Walkera w rejonie 51. Rhodes od razu przeszedł do sedna sprawy.

Kobieta roześmiała się głośno, słysząc jego prośbę.

- Zwariowałeś? - Pokręciła głową. - Wykluczone. Powiedziałam ci. - Żadnych szczegółów. Nic, co może mnie obciążyć.

- Dostałaś pieniądze, dziesięć tysięcy dolarów.

- Wszystko w gotówce, której nie da się wytropić - odparła. - Nie zrozum mnie źle, jestem wdzięczna za te pieniądze. Były mi potrzebne. Ale nie dostarczę ci nazwiska informatora Walkera.

- Proszę cię jeszcze raz.

- A ja jeszcze raz powtórzę - odpowiedziała szybko głosem drżącym ze zdenerwowania. - Niczego ode mnie nie dostaniesz. - Sięgnęła ręką do klamki. - Muszę już iść. Powinniśmy chyba zapomnieć o całej sprawie.

Zanim zdążyła wysiąść z wozu, Rhodes wyciągnął rękę, zatrzasnął drzwi i rzucił jej na kolana brązową kopertę.

Spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Co to jest?

- Zdjęcia. - Carter Webb miał rację, pomyślał Rhodes. Każdy jest w którymś momencie wystawiony na pokusę. Każdy chowa w szafie przynajmniej jednego trupa. W przypadku tej kobiety odnalezienie go zabrało dwie doby.

- Zdjęcia? - Jej palce zadrżały, gdy dotknęła koperty. Od dłuższego czasu bała się tej chwili, lecz w ciągu ostatnich kilku lat przekonała samą siebie, że zdjęcia te zniknęły i nigdy nie ujrzą światła dziennego.

- Tak. Twoje i innej kobiety, uprawiających perwersje, które mogą okazać się interesujące dla senatora Walkera i reszty świata. Mamy tu sado-maso, stosunki ze zwierzętami i kilka erotycznych akcesoriów, których nigdy wcześniej nie widziałem. Coś dla każdego. - Rhodes czuł wyrzuty sumienia, gdyż nigdy nikogo nie szantażował, lecz mówił dalej: - Jeszcze nie widziałem takich zdjęć, a myślałem już, że nic nie jest w stanie mnie zadziwić. Wtedy też potrzebowałaś pieniędzy.

- Owszem - łkała cicho. - Nie miałam nic. Jak je znalazłeś?

- Ja mogę znaleźć wszystko.

Plakała cicho, ściskając kompromitującą kopertę.

Gdy deszcz zaczął delikatnie pukać w szybę, poczucie winy Rhodesa nagle wyparowało. Jego celem było zacieśnienie stosunków z Webbem i tej sprawie był teraz całkowicie oddany. Chciał stać się prawdziwym graczem. I jeśli musiał zastosować szantaż, cóż.

- Nikomu ich nie pokażę - skłamał. Nie obchodziły go już jej uczucia. Była nikim, marnym pionkiem.

- Na pewno - zadrwiła, obgryzając paznokcie. Jak mogła ulec tamtemu draniowi od zdjęć? Pieniądze nie mogą być aż tak ważne.

- Obiecuję, że nikt ich nie zobaczy. Podaj mi tylko nazwisko informatora.

- To wszystko, co muszę zrobić?

- Tak - skłamał ponownie. Za każdym razem szło mu coraz łatwiej.

- Kapitan Paul Nichols.

Rhodes szybko zarejestrował dane w pamięci.

- Mogę już iść? - Kobieta wytarła nos i usta papierową chusteczką.

- Chcę znać wszystkie ważniejsze informacje z biura senatora Walkera. Wszystko, co dotyczy projektu A-100.

- To się nigdy nie skończy, prawda? - zapytała apatycznie.

- Prawda. - Rhodes odwrócił wzrok, po czym spojrzał na nią. Nagle stała się jego uczniem; władza na drugim człowiekiem upajała go. Jakie to łatwe, Webb miał absolutną rację. Musiał po prostu znaleźć jej słaby punkt i go wykorzystać. - Możesz już iść. Będę w kontakcie.

Otworzyła drzwi i zniknęła w nocnym mroku.

11.

Halo! - zawołała głośno Jesse, otworzywszy kluczem drzwi wejściowe skromnie wyglądającego domu. Choć był środek dnia, a dom stał w sercu spokojnej dzielnicy, jej matka zawsze zamykała drzwi na klucz. Tym bardziej, że mieszkała teraz sama. - Gdzie jesteś, mamó?

- W kuchni, kochanie.

Jesse zostawiła torebkę na stoliku w przedpokoju i skierowała się do kuchni.

Wzięła dzień wolny z okazji urodzin, choć nie miała głowy do zabawy. Śmierć Neila Robinsona głęboko nią wstrząsnęła.

- Oj, przepraszam. - Jesse stanęła jak wryta w kuchennych drzwiach. - Pewnie przeszkadzam. - Ojciec Francis McCord, ksiądz z kościoła pod wezwaniem Świętego Serca w Glyndon, siedział przy stole z matką Jesse, Connie.

- Nie wygłupiaj się, Jesse. - Ojciec McCord wstał od stołu. - Rozmawialiśmy właśnie z matką o jej cennej pracy dla kościoła. - Posłał Connie uśmiech. - Jest niestrudzoną wolontariuszką w naszej parafii i wszyscy ją ubóstwiamy. Jest dla nas natchnieniem.

Connie załapała się rumieńcem, słysząc komplementy księdza.

- Muszę uciekać - oznajmił ojciec McCord. - Dziękuję za herbatkę, Connie, i do zobaczenia na jutrzejszej wencie dobroczynnej.

- Do widzenia, ojcie. - Connie ucałowała pomarszczoną dłoń księdza i przeżegnała się dwa razy.

- Szczęść Boże - wymamrotał.

- Szczęść Boże - odpowiedziała.

Ojciec McCord podszedł do Jesse, stąpając po kuchennej terakocie.

- Dawno cię nie widziałem. Co słychać?

- Wszystko dobrze, ojcie. - Spojrzała na sztywną białą koloratkę, która wyróżniała się na tle czarnej koszuli i marynarki. W przeszłości wiele razy zamierzała otworzyć się przed tym człowiekiem, wyznać mu, co się stało tej strasznej nocy dawno temu, lecz za każdym razem rezygnowała. Ze względu na jego bliską znajomość z matką, jej wyznanie postawiłoby go w bardzo trudnej sytuacji, niezależnie od faktu, że był księdzem. Lepiej, żeby nie wiedział, więc poszukała rady gdzie indziej.

- Wpadnij do mnie kiedyś.

- Dobrze, ojcze. - Wiedziała jednak, że tego nie robi.
- No to żegnajcie. Nie musicie mnie odprowadzać. - Ojciec McCord uklonił się Jesse i jej matce, po czym wyszedł do przedpokoju.

Gdy zniknął, Jesse podeszła do matki i objęła jej delikatną postać.

- Jak się masz, mammo?

- Świetnie, kochanie. A w ogóle wszystkiego najlepszego. Nie do wiary. Moje najmłodsze dziecko ma już dwadzieścia dziewięć lat.

Jesse usłyszała, jak za ojcem McCordem zamykają się drzwi.

- Nie do wiary? A co ja mam powiedzieć? Za rok stuknie mi trzydziestka - jęknęła.

- Ależ wyglądasz fantastycznie. Nie chcę słyszeć żadnych jęków. Czego bym nie dała, żeby znów mieć dwadzieścia dziewięć lat.

Jesse wypuściła matkę z objęć. Connie była drobną kobietą o życzliwej twarzy i niezależnej osobowości. Nawet w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat tryskała energią, pracując kilka dni w tygodniu na terenie parafii. Mimo to Jesse martwiła się, że matka mieszka sama.

- Co słyszać w parafii, mammo? - Kościół był teraz całym jej życiem.

- Wszystko w porządku. Naprawdę powinnaś odwiedzić ojca McCorda. Ciągłe o ciebie pyta. Nasza rodzina zawsze znajdowała w nim oparcie. Pomagał mi, gdy zmarł twój ojciec. Miałś wtedy szesnaście lat. Pomagał mi też zeszłej wiosny, gdy odszedł twój ojczym. Ojciec McCord odwiedzał mnie i dzwonił, gdy tylko mógł. - Connie uśmiechnęła się ciepło do Jesse. - Nie wiem, co bym bez was dwojga zrobiła. Ojciec McCord był moją opoką, a ty moim aniołem. Zawsze byliście przy mnie, gdy was potrzebowałam. Czego nie mogę powiedzieć o twoim rodzeństwie - wybąkała Connie pod nosem, wstając od stołu i podchodząc do zlewu.

- Oni też cię wspierali, mammo.

Connie wzięła do ręki talerz i zaczęła zmywać.

- Wiem, że twoi bracia i siostry żyją własnym życiem, ale miło by mi było, gdyby kontaktowali się trochę częściej niż raz na miesiąc, wykonując obowiązkowy telefon.

- Mają własne dzieci. Sama wiesz, jak jest ciężko. Wychowałam dziewięcioro.

Connie odłożyła talerz na suszarkę i wzięła następny ze zlewu.

- Ty pracujesz na cały etat, a wieczorami chodzisz do szkoły. I znajdujesz czas, żeby mnie odwiedzić - pociągnęła nosem.

Jesse usiadła przy kuchennym stole i pokręciła głową, wspominając zebraną wokół niego rodzinę i wspaniałe czasy, kiedy wszyscy byli szczęśliwi, choć musieli obywać się bez luksusów. Wspaniałe czasy, zanim umarł jej ojciec.

- Co słyszać u Todda Coltona? - zapytała Connie.

Todd Colton był starym kumplem Jesse ze szkoły.

- Chyba wszystko w porządku. Kilka miesięcy temu byłam z nim na obiedzie. Czemu pytasz?

- Zawsze sądziłam, że tworzylibyście dobraną parę. On przystojny, ty śliczna. Zawsze świetnie się dogadywaliście. On też jeszcze się nie ożenił. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego nie doszło między wami do czegoś więcej.

- Próbowaliśmy dawno temu, mamó. - Jesse zawahała się. - Po prostu nam nie wyszło. Ale nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, choć nie widzimy się zbyt często.

- Pamiętam, jak kiedyś patrzyłaś na Todda. Mogło wam być dobrze ze sobą.

- Mamó, proszę cię.

- Teraz wygląda jeszcze lepiej niż w szkole - droczyła się Connie.

- Kiedy się z nim widziałaś? - Jesse nie mogła powstrzymać ciekawości.

- Wpadł kiedyś, żeby zapytać, co słyhać. Bardzo miły chłopak.

- Nie przeczę. - Jesse zauważyła, że na suficie luszczą się farba. - Starcza ci pieniędzy, mamó?

- Jakoś - oznajmiła beznamiętnie Connie.

- Nie wykręcaj się - zganiła ją łagodnie Jesse. - Powiedz mi prawdę.

Connie wypłukała ostatni talerz w zlewie, po czym podeszła ociężale do stołu i usiadła.

- Mam trochę pieniędzy w banku, dostaję co miesiąc czek z Social Security i rentę po ojcu.

Jesse podniosła wzrok. Na jej twarzy malowało się lekkie zdziwienie. Tyle razy pytała matkę o jej sytuację finansową i nigdy niczego się nie dowiedziała. Teraz wreszcie dostała odpowiedź.

- Trochę pieniędzy w banku, to znaczy ile?

- Kilka tysięcy dolarów.

- To wszystko? Czy tato nie miał żadnej polisy ubezpieczeniowej na życie?

- Tak, ale te pieniądze poszły na rachunki za leczenie szpitalne twego ojczyma. Na jego zawały. Okazało się, że Joemu nie przysługują zasiłki zdrowotne.

Na dźwięk imienia ojczyma w Jesse natychmiast wezbrała złość. Joe Schuman był dobry tylko w jednym - wydawaniu pieniędzy jej ojca.

- Mamó, jak mogłaś wydać pieniądze taty na Joego.

- Nie mówmy o tym - westchnęła Connie.

Jesse próbowała opanować gniew, który wzmógł się jeszcze bardziej.

- A co z domem? Mieszkasz w nim od dwudziestu pięciu lat, więc musi być spłacony. Na pewno możesz dostać jakiś kredyt pod jego zastaw.

Connie położyła rękę na ramieniu Jesse.

- Zaskakujące, ile kosztują ubrania i aparaty ortodontyczne dla dzieci. Wydawało mi się, że nigdy nie wyjdziemy z ojcem na prostą. Braliśmy kredyt za kredytem. Podpisałam tyle tych papierów, że nawet nie pamiętam ile.

- Czy Joe nic ci nie zostawił?

- Nie. - Connie zawsze chciała, żeby Jesse dogadała się z Joem, ale nic z tego nie wyszło. Teraz, gdy Joe już nie żył, szansa na pojednanie przepadła na zawsze. - Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego nie dawałaś Joemu żadnych szans. Był dobrym człowiekiem, a nie potworem, którego z niego zrobiłaś. Potrzebowałam kogoś. Przecież nie mogłaś go winić za to, że zmarł twój ojciec.

Jesse poczuła, jak węzeł w jej żołądku zaciska się, lecz zmusiła się do milczenia. Nie wyrzuciła z siebie historii, którą tak bardzo chciała opowiedzieć.

- Ile dostajesz z Social Security i ile wynosi renta po ojcu?
- Razem osiemset dolarów miesięcznie.
- Naprawiłaś już dach?
- Jeszcze nie. Wszystko idzie na jedzenie i bieżące rachunki. Staram się nie ruszać pieniędzy z banku. Zostawiam je na czarną godzinę. - Connie posmutniała. - Mówiłam ci, żebyś nie zadawała mi tych pytań. Analizowanie tych spraw jest przygnębiające. Ale to nie twój problem.

Szafa pełna ciuchów będzie musiała poczekać. Jesse wstała od stołu, przyniosła z przedpokoju torebkę i znów usiadła.

- Co ty robisz? - zapytała Connie podejrzliwie.

Jesse bez słowa wyciągnęła z torebki dwa banknoty studolarowe i położyła je na stole.

- Proszę, mam. Nie naprawisz za nie dachu, ale będzie ci trochę lżej.
- Nie mogę ich wziąć, Jesse. Dałaś mi pieniądze w zeszłym miesiącu i przysięgłam sobie, że więcej od ciebie nie wezmę.

- Bierz.

- Ale...

- Mam, bardzo proszę. - Jesse była stanowcza.

Palce Connie powoli przesunęły się nad blatem stołu w stronę pieniędzy.

- Naprawdę jesteś aniołem.

Mężczyzna wypuścił z ust kłęb gęstego dymu, który rozpląnął się w słabo oświetlonym biurze.

- Pan pali, pułkowniku Pierce?

- Nie, proszę pana.

- Może się pan czegoś napije? - Wskazał stojący w rogu barek. - Wiem, że nie pozwala pan sobie na alkohol, ale są tam też napoje bezalkoholowe.

- Nie, dziękuję.

Zaciągając się znowu cygarem, mężczyzna przyglądał się przez chwilę lotnikowi. Pułkownik Pierce miał na sobie cywilne ubranie, ale krótko ostrzyżone włosy, stalowe oczy i sztywno wyprostowana postawa zdradzały, że ma się do czynienia z wojskowym.

- Jestem wdzięczny, że tak szybko przyleciał pan z Nevady. Wiem, że musiał pan pokonać wiele kilometrów po to tylko, żeby odbyć ze mną rozmowę, ale jest coś, czego nie mogłem omówić przez telefon.

- Nic się nie stało. W odrzutowcach, które pilotuję, to tylko krótki lot. Poza tym mam do załatwienia w Waszyngtonie jeszcze jedną sprawę, więc dobrze się złożyło.

- Świetnie. - Mężczyzna potarł palcami usta, zanim znowu przemówił. - W rejonie 51 mamy pewien problem.

- Jaki problem?

- Problem, którego rozwiązanie wymaga umiejętności pana i innych członków

pańskiej jednostki. Dowiedziałem się, że ktoś z rejonu 51 przekazuje senatorowi Malcolmowi Walkerowi ściśle tajne informacje dotyczące projektu A-100. Informacje, które Walker chce wykorzystać, aby storpedować projekt.

Usta pułkownika wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

- Marynarka wojenna potrzebuje A-100, pułkownik Pierce. My wszyscy potrzebujemy A-100 - podkreślił mężczyzna.

- Tak.

- Powołaliśmy pańską jednostkę na wypadek takich właśnie sytuacji. Wie pan, co robić.

- Oczywiście.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Chroni pan swój kraj, pułkownik Pierce. Postępuje pan słusznie. W naszych działaniach nie zawsze możemy postępować według przepisów.

- Rozumiem, proszę pana - odrzekł Pierce reżolutnie. - Kim jest zdrajca?

- To kapitan Paul Nichols. Zna go pan?

- Tak. Zajmiemy się nim.

- Doskonale. - Mężczyzna znów pyknął z cygara. Problem został zlokalizowany i miał być rozwiązany bardzo szybko.

Jesse ukloniła się grzecznie recepcjonistce i wyszła na korytarz. Tam oparła się o ścianę, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Niespodziewane spotkanie z ojcem McCordem i rozmowa z matką przywołały wspomnienia. Na szczęście Becky mogła ją przyjąć bez wcześniejszego zgłoszenia.

12.

Middleburg w stanie Wirginia, położony pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Waszyngtonu, szczycił się najpiękniejszymi i najdroższymi posiadłościami na wschodnim wybrzeżu. Okazałe kamienne rezydencje znajdowały się za dwumetrowymi ogrodzeniami, które ciągnęły się kilometrami, przecinając faliste wzgórza i zielone pola malowniczego krajobrazu.

Middleburg szczycił się również końmi czystej krwi, które należały do najdroższych na świecie. Dla wielu mieszkańców tej bogatej enklawy hodowla koni była jedynym zajęciem, urozmaicanym kolejnymi wyścigami lub sprzedażą za astronomiczną sumę jakiegoś szczególnie okazałego ogiera bogatemu emirowi arabskiemu. Ludzie ci posiadali po tysiąc akrów ziemi, wiele koni, na zakupy jeździli starymi modelami volvo, a na jesienne zawody rolls-royce'ami i z niecierpliwością czekali na wiosenne żniwo: żrebaki. Nigdy nie rozmawiali o pieniądzach, nigdy się nimi nie chwaliли i nigdy im ich nie brakowało. Oni byli pieniędzmi.

Piętnastoakrowa posiadłość Jacka Finnerty'ego leżała pośrodku tego zasobnego rejonu. Jego dom, budynek w stylu kolonialnym z sześcioma sypialniami, był kiedyś domem gościnnym należącym do ogromnego majątku Auchincloss, który teraz otaczał posiadłość Finnerty'ego z trzech stron. Cztery lata temu Finnerty kupił tę nieruchomość z okazji wyboru na stanowisko prezesa General Engineering and Aerospace, potężnego konglomeratu zbrojeniowego z siedzibą w waszyngtońskiej dzielnicy Falls Church.

W przepięknym popołudniowym słońcu, które jarzyło się na bezchmurnym, błękitnym niebie, David Mitchell spoglądał w stronę stajni Finnerty'ego, na której powiewała niebiesko-biała wyścigowa flaga. Stajnia znajdowała się w odległości dwustu metrów od domu, po drugiej stronie starannie przystrzyżonego trawnika. Pokręcił głową. Wszystko wyglądało tu tak pięknie, prawie niezziemsko. Ale czy naprawdę chciałby mieć do czynienia ze snobizmem i blichtrzem takiego stylu życia? Roześmiał się. Kogo chciał oszukać? Pragnął właśnie tego, dlatego był skłonny ponosić tak ogromne ryzyko. Finansowe bezpieczeństwo. Tego zawsze pragnął.

David zrobił kwaśną minę. Boże, już nie mógł się doczekać. Wczoraj miał się odbyć lot próbny, a Finnerty miał zadzwonić z Nevady, żeby przekazać dobrą wiadomość. O tym, że A-100 odbył lot pomyślnie i że gwałtowny wzrost cen akcji GEA będzie tylko kwestią czasu. Wtedy David wkroczy do biura Arta Mohlera i rzuci na

jego antyczne biurko gazetę z artykułem o A-100 i jego przemożnym wpływie na notowania GEA.

Lecz Finnerty nie zadzwonił do niego z Nevady. Zadzwoniła natomiast jego sekretarka z wiadomością, że David jest zaproszony do domu Finnerty'ego na rozmowę w cztery oczy. A to nie wróżyło niczego dobrego. Rozmowa w cztery oczy zamiast zwykłej rozmowy telefonicznej. Może lot próbny nie przebiegł tak jak powinien? Nagle Davida ogarnęły wątpliwości.

- Dzień dobry, Mitchell. - Finnerty wyszedł ze swego gabinetu z ramionami skrzyżowanymi na klatce piersiowej.

David zdał sobie sprawę, że rzadko kiedy widział Finnerty'ego bez skrzyżowanych rąk.

- Witaj, Jack. - Zawsze zwracał się do Finnerty'ego po imieniu, choć Finnerty zawsze używał nazwiska Davida. David przypuszczał, że używanie przez Finnerty'ego nazwisk podczas rozmowy, nawet wtedy, gdy zwracał się do bliskich znajomych, było zwyczajem, który sięgał czasów jego służby w wojsku.

- Przepraszam, że musiałeś czekać. - Finnerty mówił wyraźnie, a jego nosowy głos zabarwiony był lekkim akcentem z Nowej Anglii. Miał jasną karnację, krótkie rude włosy, świadczące o jego irlandzkim pochodzeniu i bostońskich antenatach. Ten były żołnierz piechoty morskiej sprawdził się też jako biznesmen. Wyrzucał słowa szybkimi seriami, absolutnie przekonany o słuszności swych uwag i opinii.

- Nie szkodzi. - Lecz głos Davida zabrzmiał chłodno. Chciał, żeby Finnerty zrozumiał, że wczorajszy brak wiadomości z Nevady go zirytował.

- Co słyhać na Wall Street? - Finnerty uściśnił mocno dłoń Davida.

David szybko cofnął rękę. Nie cierpiał sposobu, w jaki ten człowiek zawsze próbował zmiażdżyć dłoń osoby, z którą się witał. Zupełnie jakby uprawiał jakiś sport, w którym chodzi o wymuszenie na twarzy przeciwnika zbolalej miny.

- Już ci mówiłem, Jack, że nie pracuję na Wall Street. Jako dyrektor inwestycyjny kupuję to, co Wall Street sprzedaje.

Finnerty przechylił głowę na bok, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, który zdawał się mówić: „Nic mnie to nie obchodzi, a poza tym nie oczekiwałem odpowiedzi”.

- Czy to ważne, kto kupuje, a kto sprzedaje? Ważne są pieniądze, a Wall Street kojarzy mi się z pieniędzmi. - Finnerty przerwał na chwilę. - Nie mam czasu, żeby martwić się smogiem i drapaczami chmur na Manhattanie. Produkuję sprzęt wojskowy dla amerykańskiego rządu. - Pomasaował szczękę. - I jestem w tym cholernie dobry.

- Na giełdzie mają inne zdanie - odparł chłodno David, na którym przemowa Finnerty'ego nie zrobiła żadnego wrażenia. - Wasze akcje były warte dwadzieścia pięć, gdy przekonałem moich ludzi w Sagamore, żeby wykupić od GEA nową emisję. Teraz spadły do dwudziestu jeden i pół - tak notowano je dziś rano. I ty, i ten cholerny Mafioso, do którego mnie wysłałeś, obiecaliście, że to pewna sprawa.

Muszą go zżerać nerwy, skoro tak szybko przechodzi do sedna sprawy, pomyślał Finnerty.

- Wiesz, że nadeszły ciężkie czasy dla przemysłu zbrojeniowego, biorąc pod uwagę cięcia budżetowe i koniec zimnej wojny.

David wyczuł melancholię w głosie Finnerty'ego na wspomnienie o zimnej wojnie, lecz nie zamierzał wdawać się z byłym żołnierzem piechoty morskiej w rozmowę na temat sposobów załatwienia Związku Radzieckiego.

- Jak poszło wczoraj na pustyni, Jack?

- Wyjdźmy na spacer, Mitchell. Rozmowa o tych sprawach w nie zabezpieczonym miejscu nie byłaby rozsądna. Ściany mają uszy. - Strach Finnerty'ego przed urzędzeniami podsłuchowymi graniczył z paranoją.

- Czyż nie każesz agentom CIA codziennie przeczesywać swojej rezydencji? - zapytał David. Robił wszystko, żeby pohamować niecierpliwość, lecz z każdą minutą było mu coraz trudniej.

- Dość tego, Mitchell. - Nagła irytacja w głosie Finnerty'ego poraziła Davida jak prąd elektryczny. Nigdy nie słyszał w jego głosie takiego tonu, tonu o złowieszczej nucie.

- No dobrze. - David kipiał wewnętrznie, choć na zewnątrz zachowywał pozory spokoju.

Po wyjściu z rezydencji mężczyźni skręcili w prawo i przeszli powoli starannie przystrzyżonym trawnikiem w stronę stajni.

- Jak poszło wczoraj na pustyni? - David nie mógł już czekać ani chwili dłużej.

Zatrzymali się pod potężnym dębem. Finnerty odwrócił się do Davida. Miał posępną twarz.

- Mitchell, lądowanie poszło bez zarzutu. Lecz start z katapulty... - Finnerty przerwał i wbił wzrok w ziemię - ...wypadł doskonale. - Nagle na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech; widocznie gra na emocjach młodszego mężczyzny sprawiała mu ogromną przyjemność. - Cały lot wypadł lepiej, niż mogliśmy sobie wymarzyć. Miliard dolarów od Sagamore był kluczowym czynnikiem, który zadecydował o sukcesie A-100. GEA nie poradziłaby sobie bez tych pieniędzy. Bez nich nie powstałby prototyp. - Finnerty położył dłoń na ramieniu Davida. - Na pewno musiałeś świecić oczami przed swoimi zwierzchnikami, gdy akcje poszły w dół, ale spokojna głowa, Sagamore dzięki tej transakcji zgarnie olbrzymie zyski.

- Lot próbny zakończył się pomyślnie - wyszeptał David, jak gdyby jeszcze nie wierzył tym słowom. Jak gdyby po dwóch i pół roku zdjęto mu z ramion ciężar całego świata.

- Tak.

- Naprawdę? - zapytał ponownie, wciąż nie przekonany.

- Tak. Co najdziwniejsze, w czasach przecieków informacyjnych i wtyczek, udało nam się przez dwa i pół roku utrzymać projekt w tajemnicy. „Czarny program” nie został prześwietlony. Bardzo mnie to podbudowuje. Gdyby ktoś przemycił informacje o A-100, ceny akcji GEA zaczęłyby skakać.

David ledwie słyszał słowa Finnerty'ego. W mgnieniu oka nieznośny stres zamienił się w euforię. Ale jedna sprawa wciąż nie dawała mu spokoju.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie wczoraj z Nevady? Przecież obiecałeś.

Finnerty ruszył w stronę stajni. Do innych zadzwonił natychmiast, ale Mitchell nie musiał o tym wiedzieć.

- Nie mogłem znaleźć bezpiecznego telefonu. - Licha wymówka, ale musiała wystarczyć Mitchellowi.

- Ale prosiłem...

- Co to za różnica? - Finnerty przerwał ostro Davidowi. - Dowiedziałeś się dzisiaj.

Doszli do stajni i stanęli przy furtce prowadzącej na wybieg dla koni. Finnerty rozejrzał się, czy w okolicy nie kręci się jakiś stajenny.

- Samolot bez problemów spełnił wszystkie wymogi techniczne. Możemy natychmiast rozpocząć produkcję. - Na chwilę opuścił ręce. - Sto pięćdziesiąt samolotów rocznie przez następne siedem lat. W sumie ponad tysiąc maszyn, nie wspominając o konserwacji. - Finnerty mówił teraz konspiracyjnym szeptem. - Gdy szczegóły kontraktu wyjdą na jaw, inwestorzy oszaleją. Produkcja A-100 oznacza dla GEA dodatkowe dwadzieścia, dwadzieścia pięć miliardów dochodu rocznie. Może więcej.

David kiwał głową, lecz nic nie mówił. Był wściekły na Finnerty'ego za to, że skazał go na dodatkowy dzień męczarni. Wymówka o braku bezpiecznej linii telefonicznej była żalosna i obydwaj zdawali sobie z tego sprawę.

- Akcje GEA pójdą w górę w zawrotnym tempie - stwierdził Finnerty.

- Według moich szacunków, wobec przyrostu strumienia pieniądza w związku z projektem A-100, ich wartość bardzo szybko wzrośnie do stu dolarów za sztukę - zgodził się David. Ich cena miała teraz z pewnością przewyższyć poziom pięćdziesięciu dolarów, o co tak bardzo martwił się Art Mohler. David podniósł jedną brew. - Dzięki ternu prawo pierwokupu nowych akcji GEA, które ty i twój zarząd przyznaliście sobie sześć miesięcy temu, stanie się niezwykle cenne. - Obserwował reakcję Finnerty'ego.

- Nie twoja sprawa. - Finnerty zmrużył oczy. - Nie zapominaj, Mitchell, że i ty masz prawo poboru akcji GEA. Załatwiłem je dla ciebie i zarejestrowałem w firmie maklerskiej, która dysponuje nim w twoim imieniu. Jeśli akcje wzrosną do choćby pięćdziesięciu dolarów za sztukę, zarobisz dziesięć milionów dolarów. Dla ciebie osobiście jest to bardzo korzystny układ. - Lekka bryza podniosła obłok kurzu z wybiegu i Finnerty odwrócił na chwilę głowę. - Zawsze zastanawiałem się, jak zarząd Sagamore zareagowałby na wiadomość, że jednym z narzuconych mi przez ciebie warunków, od których uzależniłeś inwestycję w GEA, było otrzymanie osobistego prawa poboru akcji. - Finnerty znowu skrzyżował ręce na klatce piersiowej. - Oczywiście nikt nie będzie wiedział o tym drobnym szczególe - Finnerty spojrzął na Mitchella złowrogo - ...oprócz mnie.

David odchrząknął nerwowo. Wynegocjował prawo pierwokupu jako polisę ubezpieczeniową, premię za ponoszenie tak wielkiego ryzyka w imieniu Sagamore.

- Zapewne chcieliby też się dowiedzieć o milionie dolarów, który zdobyłeś dwa i pół roku temu, żeby opłacić twojego Mafioso - kontynuował Finnerty. Nadszedł czas, żeby przycisnąć Davida Mitchella do muru; czas, żeby zdał sobie sprawę, że wpadł do labiryntu, z którego nie ma ucieczki. - Na pewno musiałeś się nieźle nagłowić z zaksięgowaniem tej kwoty. - Oto dlaczego Finnerty nie zadzwonił z Nevady, dlaczego poprosił o rozmowę w cztery oczy. Żeby móc zacząć przykręcać śrubę. Mitchell musiał zrozumieć, że mimowolnie stał się ich pionkiem. - Jak nazwałeś łapówkę dla tego

człowieka, Mitchell? Pożyczką dla dostawcy?

David głośno przełknął ślinę. Faktycznie, tak właśnie zaksięgował łapówkę. Informacje Finnerty'ego były podejrzanie dokładne.

- Zamierzasz oddać te pieniądze z dochodów, które przyniosą akcje GEA, nieprawdaż?

David już miał kiwnąć głową, lecz w porę się powstrzymał.

- Bo nawet, gdy osobiście je oddasz, zostanie ci jeszcze mnóstwo kasy dzięki prawu poboru akcji. Poza tym nie stracisz pracy. - Finnerty mocno zaciskał skrzyżowane na piersiach ramiona. - Także FBI chciałoby się zapewne dowiedzieć o tym wszystkim.

- Po co te groźby, Jack? - zapytał David cichym głosem.

- Nie potrzebuję twoich komentarzy na temat prawa pierwokupu akcji, które ja i mój zarząd sobie przyznaliśmy.

- Zrobiłem tylko uwagę.

Finnerty'emu nie zależało ani trochę na tym, co Mitchell sądzi o jego poczynaniach. Rozmowa w ogóle tego nie dotyczyła. Chodziło o skomplikowany proces inicjacji. Zupełnie jak w wojsku - najpierw trzeba złamać delikwenta, a później na nowo go ulepić, jak z gliny. - Nie zapominaj, Mitchell, że to ja wprowadziłem cię do gry i ja w każdej chwili mogę cię z niej wykopać. I mogę bardzo utrudnić ci życie.

David poczuł nagle, jak burzy mu się krew.

- Myślisz, że nie potrafiłbym się zrewanżować? - Nie powinien tego mówić, ale niech Finnerty nie myśli sobie, że może tak łatwo nim manipulować. - Wydasz mnie, a mojemu Mafioso też się dostanie. FBI wysledzi, że pieniądze trafiły do niego. Wątpię, czy byłby ci za to wdzięczny.

Finnerty uśmiechnął się słabo. Mitchell był twardym orzechem do zgryzienia. Dlatego im się podobał.

- Naprawdę sądzisz, że FBI trafi w końcu do niego?

David nie zrozumiał aluzji.

- Mogę narobić tyle hałasu, że produkcja A-100 zostanie zawieszona na czas nieokreślony. Pokrzyżowałbym wam plany, co Jack? Być może nawet GEA zmuszona byłaby do ogłoszenia bankructwa. GEA potrzebuje A-100, żeby przetrwać. Czyż nie mówiłeś mi tego na samym początku?

Finnerty milczał.

- Wiesz, co by było, gdybym naprawdę poszedł do FBI? - David nie przestawał mówić. - Boże, wszędzie wszczęto by śledztwa, od Białego Domu do Senatu. Wyszłoby na jaw istnienie „czarnego budżetu”. Utrzymanie tego w tajemnicy byłoby wówczas zupełnie niemożliwe. Aferą zajęłaby się prasa. Watergate i proces OJ Simpsona razem wzięte nie mogłyby się z nią równać. Cały naród z zapartym tchem oglądałby w telewizji przesłuchania. Już to widzę, Jack. Widzę, jak siedzisz za jednym z tych stołów w sali przesłuchań i spowiadasz się przed kilkoma rzędami senatorów, aż ci pot zalewa oczy. - David zrozumiał, że przejście A-100 z fazy prototypowej do produkcyjnej nie oznacza końca jego problemów. To dopiero początek sprawy, która będzie się za nim ciągnęła do końca życia.

- Uważaj, David, może nie wiesz wszystkiego - wymamrotał Finnerty cicho.

David nie pamiętał, żeby Finnerty kiedykolwiek zwrócił się do niego po imieniu i aż zatkało go z wrażenia.

- Pozory czasem myślą.

- Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć, Jack?

Finnerty wymierzył palec w młodszego mężczyznę.

- Domyśl się. Pomimo tej rozmowy uważam, że łebski z ciebie gość. Ale pamiętaj, na świecie pełno jest łebskich facetów. A niektórzy mają o wiele więcej doświadczenia niż ty.

David wpatrywał się w oczy swego rozmówcy, usiłując go rozgryźć. Nagle jego uwagę przykuła długa limuzyna, która toczyła się drogą dojazdową do posiadłości Finnerty'ego.

- Spodziewasz się kogoś? - Skinął głową w stronę limuzyny.

Finnerty pokręcił głową.

- Nie, zamówiłem ją dla ciebie. Nie chcę, żebyś do Baltimore tłuł się pociągiem.

- Ależ jesteś łaskawy.

- Nie ma o czym mówić - odparł cierpko Finnerty, gdy ruszyli w stronę domu.

Limuzyna zakręciła na placu przed domem i stanęła przed kamiennymi schodami prowadzącymi do głównego wejścia.

- Pamiętaj, Mitchell, masz jeszcze do wypłacenia dwa miliony dolarów. Milion przy podpisaniu kontraktu. Dwa miliony po rozpoczęciu produkcji. Taka była ostateczna umowa. Produkcja ruszyła, a ty musisz wypłacić drugą ratę swemu Mafioso, jak go lubisz nazywać.

- Wypłacę, nie martw się.

Gdy dwaj mężczyźni zbliżali się do limuzyny, wyskoczył z niej drobny mężczyzna i szybko podszedł do tylnych drzwi, żeby je otworzyć.

- Chciałem się tylko upewnić... - Finnerty zawahał się przez chwilę na widok kierowcy - ...czy nie zmieniłeś zdania.

- Ależ skąd. - David zauważył dziwne spojrzenie, którym Finnerty obrzucił kierowcę. - Nie zmieniłem. - Wsiadł do samochodu, nie podając Finnerty'emu dłoni do uściśnięcia.

Kilka minut później limuzyna skręciła w lewo z podjazdu, coraz bardziej oddalając się od posiadłości Finnerty'ego. Co, do diabła, miał na myśli, mówiąc, że pozory czasem myślą? David spojrzął w lusterko wsteczne i w oczy kierowcy.

- Ma pan tu coś do picia?

- Wszystko jest w barku pod telewizorem. - Kierowca obrócił się lekko w swym fotelu, mówiąc głośno przez otwartą szklaną przegrodę oddzielającą go od pasażera.

- Dzięki. - David szybko napelnił do połowy szklanę szkocką z lodem i pociągnął długi łyk. Zwykle nie przepadał za whisky, lecz dziś wyjątkowo mu smakowała.

Za przyciemnionymi szybami samochodu migały pola, a David rozsiadł się w skórzanym fotelu i pociągnął kolejny łyk whisky. W jaki sposób Finnerty trafił na niego dwa i pół roku temu? Pytanie to zawsze męczyło Davida, choć nigdy nie zadał go Finnerty'emu, przypuszczając, że odpowiedź nie będzie prosta.

- Gdzie jedziemy? - Kierowca znów się odwrócił.
- Baltimore - odpowiedział David mechanicznie.
- Pan też z Sagamore?
- Słucham? - David natychmiast spojrzął w lusterko wsteczne.
- Przepraszam, ale wydawało mi się, że jest pan z tej samej firmy, co ten drugi.
- Jaki drugi?
- Ten, którego wiozłem wczoraj późno w nocy, a właściwie dzisiaj nad ranem.

David pochylił się do przodu.

- Pamięta pan, jak się nazywał? - Starał się, żeby jego pytanie zabrzmiało tak, jakby w ogóle nie był zainteresowany odpowiedzią.

- Chyba tak. Nazywał się Mohler. Ale z niego pracoholik. Żeby o trzeciej nad ranem jechać do biura.

David nie słyszał ostatnich słów kierowcy. Nie przypominał sobie, żeby Mohler znał Jacka Finnerty'ego. Mohler wprawdzie towarzyszył Davidowi podczas podróży służbowej dwa i pół roku temu, gdy w Sagamore dopiero zastanawiano się nad możliwością zainwestowania w GEA, lecz Finnerty nie uczestniczył wówczas w żadnych spotkaniach. Mohler już od pewnego czasu interesował się akcjami GEA i mógł na własną rękę skontaktować się z Finnertym, żeby wypytać go o sytuację finansową firmy. I nie byłoby nic dziwnego w tym, że osoba z zarządu, a nawet sam prezes, wychodzi naprzeciw takiej prośbie. W końcu Sagamore zainwestował miliard dolarów w GEA, trzydzieści procent udziału w kapitale własnościowym. Ale dlaczego Mohler spotkał się z Finnertym w jego prywatnej posiadłości? Siedziba firmy GEA znajdowała się znacznie bliżej Baltimore. I dlaczego spotkali się o trzeciej nad ranem?

- Gdzie mam pana zawieźć w Baltimore?

Finnerty na widok kierowcy zachowywał się dziwnie, jakby chciał go wziąć na bok i coś mu powiedzieć. Pewnie rozpoznał go i przestraszył się, że facet może się wygadać.

- Panie!
- Co?
- Gdzie mam pana zawieźć?

David zastanowił się przez chwilę.

- Hotel Stouffer w centrum Baltimore.
- Dziękuję.

Pozory czasem mylą. David wychylił szkocką jednym haustem i nalał sobie jeszcze jednego drinka.

Elizabeth Gilman wstała ze swego miejsca przy głównym stole i lekkim krokiem ruszyła w stronę podium przy wrzawie tysiąca gości zgromadzonych w największej sali balowej hotelu Stouffer. Zgotowali jej owację na stojąco. Grupa Okrągłego Stołu, którą tworzyli najbardziej prominentni biznesmeni, przywódcy polityczni i filantropi z całego stanu, wybrała ją właśnie Kobiętą Roku stanu Maryland.

Na podium czekał już na nią gubernator. Lekko ucisnął dłoń Elizabeth i szepnął jej do ucha parę słów, po czym wzniosł ręce do góry, prosząc zebranych o ciszę. Wrzawa

po chwili ucichła, a ludzie z powrotem zasiedli przy stołach.

- Szanowni państwo, zanim oddam głos naszej Kobiecie Roku, chciałbym powiedzieć od siebie kilka słów. - Rozbłysły flesze fotoreporterów, którzy dokumentowali całe wydarzenie dla jutrzejszego wydania „Baltimore Sun”. - Elizabeth. - Gubernator odwrócił się do niej, a jego głos rozbrzmiewał w ogromnej sali. - Jesteś dla nas wszystkich niedościgłym wzorem. Zarządzasz jednym z największych i najlepiej prosperujących funduszy inwestycyjnych w kraju, a mimo to bez przerwy zadziwiasz nas swą chęcią poświęcania czasu i energii na działalność charytatywną. Musimy ci podziękować przede wszystkim za nowe skrzydło szpitala dziecięcego. Ale, szanowni państwo - odwrócił twarz w stronę zebranych gości - nie chodzi tylko i wyłącznie o pieniądze. Elizabeth poświęca dzieciom także swój cenny czas. Dzieciom pozbawionym rodzin, które pomogłyby im w tym trudnym dla nich okresie. Widziałem zapłakaną pięcioletnią dziewczynkę, która leżała sama w sterylnym łóżku, zastanawiając się, co to jest rak, dlaczego dotknął właśnie ją i dlaczego musi przejść kolejną operację. Widziałem, jak ta wspaniała kobieta, która stoi teraz obok mnie, zdołała osuszyć jej łzy. Spędziła przy łóżku dziewczynki wiele godzin i natchnęła tę małą istotkę nadzieją. Mogę tylko dodać, że jej postępowanie jest dla nas wszystkich inspirujące. Jest wiele do zrobienia i każdy z nas może dorzucić swą cegiełkę. Panie, panowie: Elizabeth Gilman.

Tłum gości znów wstał z miejsc i wyraził swą aprobatę gromkimi brawami.

Elizabeth podeszła bliżej mikrofonu, natomiast gubernator zrobił kilka kroków w tył, żeby zwolnić dla niej miejsce w świetle reflektorów. Przesunęła wzrokiem po audytorium, wyglądając jak uosobienie wdzięku i skromności. Ruchem ręki pozwoliła gościom zająć miejsca, lecz gest ten sprawił tylko, że owacja przybrała jeszcze na sile.

David wraz z innymi klaskał na stojąco, lecz jego wzrok nie był zwrócony ku podium; obserwował Arta Mohlera przy sąsiednim stole. Po co pojechał do posiadłości Finnerty'ego? Dlaczego o trzeciej nad ranem? Dlaczego Mohler nie powiadomił go o zamiarze odwiedzenia Finnerty'ego? Dlaczego Finnerty nic mu nie powiedział?

Pytania tłoczyły się w głowie Davida.

Odwrócił się i utkwiał wzrok w Elizabeth, która wciąż przyjmowała owację publiczności. Postanowił sobie, że uzyska odpowiedzi na swe pytania.

13.

Todd Colton miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat, a już kupił sobie nagrobek, na którym kazał wyryć: „Tu leży człowiek, który atakował życie”. Twierdził bowiem, że nie wiadomo, ile jeszcze pożyje, a wolałby, żeby napis na nagrobku brzmiał tak, jak chciałby on, a nie ktoś inny. Na garnitury reagował alergią, nie lubił się angażować w dłuższe związki i był koszmarem dla agenta ubezpieczeniowego.

W weekendy przeważnie ścigał się na motorach, skakał ze spadochronem, a ponadto był jeszcze entuzjastą nurkowania. W dni robocze zarabiał na swoje hobby jako prywatny detektyw, zdobywając stałe zlecenia od przyjaciół z policji stanowej Maryland. Był bezpretensjonalny, hojny aż do przesady i bezwzględnie szczery.

W niektóre weekendy Todd odpoczywał od zajęć, przy których ryzykował życiem lub kalectwem, żeby oddać się jeszcze bardziej niebezpiecznej rozrywce. Od czasu do czasu grywał bowiem w oczko w Atlantic City.

Rozdający karty krupier w czarnej muszce wbił wzrok w Todda. Krupierzy wolą, żeby gra toczyła się szybko, gdyż przegranych jest dużo więcej niż wygranych. Dlatego im więcej graczy, tym większe zyski dla kasyna. Todd sączył bourbona z wodą i przyglądał się kartom. Wiedział, że denerwuje krupiera, lecz nie zwracał uwagi na jego palce bębniące po pokrytym zielonym filcem stole. Stawką było pięćset dolarów i zamierzał zastanawiać się tak długo, jak to konieczne.

Krupier wyciągnął asa. Todd miał piętnaście punktów i był prawie pewien, że z takim wynikiem nie przebiję krupiera. Gdyby z kolei wziął jeszcze jedną kartę, mógł się spodziewać, że przekroczy próg dwudziestu jeden i przegra. Nagle w głębi sali rozdzwoniły się automaty do gry, co zabrzmiało jak przeciągnięcie paznokciem po tablicy.

- Chcesz jeszcze jedną, kolego? - popędzał go krupier.

Todd skrzywił się.

- Dawaj.

Krupier uśmiechnął się, a pozostali gracze pokręcili głowami. Kiepski pomysł.

Todd zmrużył oczy, gdy krupier szybkim ruchem wyciągnął kartę z maszyny i odwrócił ją. Serce zabiło mu mocniej. Szóstka trefl. Oczko. Przechylił głowę i uśmiechnął się triumfalnie do krupiera.

Gram znowu oświadczył głośno, po czym spojrzął na sufit. - Nic mnie teraz nie powstrzyma. - Kierownicy kasyna spacerowali piętro wyżej, spoglądając w dół przez weneckie lustro i nadzorując pracę krupierów. - Sprzyja mi dzisiaj szczęście.

Lecz szczęście wcale mu nie sprzyjało. Szóstka trefl była tylko chwilowym zawieszeniem złej passy. W następnej kolejce postawił tysiąc dolarów - wszystko, co miał - i stracił je, gdy krupier wyciągnął króla kier do ósemki kier i piątki pik Todda. Tym razem krupier uśmiechnął się triumfalnie.

- Fatalnie - mlasnął z obrzydzeniem starszy mężczyzna w szarym podkoszulku i dżinsach, który tronił w kasynie swą emeryturę. - Niezły ten krupier.

- Zaraz wracam. - Todd uśmiechnął się szeroko i poklepał emeryta po plecach. - Popilnuj mojego miejsca, Charlie.

- Jasne. - Charlie roześmiał się. Był pełen podziwu dla swego młodszego kolegi, który potrafił uśmiechać się w takiej sytuacji. Charlie zaobserwował ten sam scenariusz kilka tygodni wcześniej. Todd dużo postawił, wszystko szybko stracił, lecz przyjął porażkę z uśmiechem na twarzy.

Todd odszedł od stołu i przeszedł długim, hałaśliwym korytarzem, który oddzielał stoły do gry w oczko od stołów do gry w kości. Musiał znaleźć Harry'ego.

Harry siedział w małym pokoju na czwartym piętrze kasyna, przeglądając blankiety wyścigowe. Był potężnym, łysym mężczyzną z mocnym akcentem, rodem z Filadelfii. Todd zapukał do drzwi.

- Witam, panie Colton - rzucił Harry od niechcenia, podnosząc wzrok znad papierów. - Już schrubał pan ostatnie pięć tysięcy?

- Mówiąc prawdę... - Todd zawahał się. Czuł się zażenowany. - Zgadł pan.

- Pan nigdy nie zmądrzeje, co?

- Odkuję się przy następnym rozdaniu, Harry.

Harry od lat zajmował się pożyczaniem pieniędzy. Wiedział, jak to się skończy.

- Wszyscy tak mówią.

- Mogę dostać jeszcze pięć tysięcy? - zapytał Todd niecierpliwie. Chciał jak najszybciej wrócić do stolika.

- Panie Colton, jest nam pan już winien dwadzieścia pięć tysięcy. Pożyczyliśmy panu piętnaście pod zastaw samochodu i dziesięć bez zabezpieczenia. Naprawdę uważa pan, że dobrze robi, pożyczając kolejne pięć tysięcy?

- Przestań, Harry, tylko bez kazań.

- Wkrótce będzie pan musiał spłacić nam kredyt.

- W porządku.

- Ja nie żartuję.

- Jasne. - Harry powtarzał to samo od miesięcy.

Otworzył szufladę pod biurkiem, wyjął plik nowiułtkich banknotów studolarowych i odliczył pięćdziesiąt. Przeliczył pieniądze jeszcze raz. Ułożył je starannie i wyciągnął rękę do Todda. Lecz gdy Todd sięgnął po nie, Harry nagle cofnął rękę.

- Wezmę pięćset dolarów jako odsetki za kwotę, którą ci już pożyczylimy. - Harry wyciągnął pięć studolarowych banknotów z pliku trzymanego w dłoni i położył je na blankietach wyścigowych. - Zostało tylko cztery i pół tysiąca, lecz pożyczka opiewa na pięć tysięcy. Nadal chcesz te pieniądze?

Todd odebrał pieniądze od Harry'ego i uśmiechnął się szeroko.

- Jak najbardziej. Do diaska, prawdopodobnie za godzinę będę tu z powrotem, żeby spłacić cały dług. Czuję, że dziś szczęście mnie nie odstąpi. - Todd odwrócił się i

podreptał w stronę windy z nowym zapasem gotówki w kieszeni koszuli.

Harry wziął do ręki blankiety wyścigowe. To nie szczęście go dziś nie odstąpi, lecz sam diabeł.

Kapitan sił powietrznych, Paul Nichols, obserwował przez okno swego gabinetu dwa samoloty F-22, które wzbijały się jednocześnie w powietrze. Jasne słońce odbijało się w ich połyskujących podwoziach, gdy unosiły się coraz wyżej nad pustynią. Przepiękny widok. Nie odwracał od nich wzroku i dopiero, gdy zamieniły się w dwie czarne plamki na tle lazurowego nieba wstał, wyszedł z biura i ruszył korytarzem w stronę toalety.

- Kapitan Nichols?

Kapitan zatrzymał się w drzwiach toalety.

- Słucham. - Ujrzał sierżanta, a za nim dwóch członków żandarmerii.

- Otrzymałem rozkaz, aby natychmiast pana aresztować.

Kapitan zaczął protestować, lecz szybko doszedł do wniosku, że protesty nie mają sensu.

Po przetrzymaniu kapitana przez kilka godzin w małej celi bez okien zawiązano mu oczy i dyskretnie doprowadzono do ładowni samolotu C-130. Po chwili usłyszał znajomy dźwięk śmigieł, które zaczęły się obracać. Z trudnością, gdyż ręce miał związane z tyłu, utrzymał równowagę, gdy samolot ruszył do przodu i wyjechał z hangaru.

- Słyszysz mnie? - zawołał mu ktoś do ucha, próbując przekrzyczeć ryk silników samolotu, który zaczął rozpędzać się na pasie startowym.

Natychmiast przytaknął, chcąc sprawić wrażenie osoby chętnej do współpracy. Słyszał plotki o niewielkich oddziałach, które ponoć strzegą tajemnic „czarnego budżetu”, ale nigdy nie wierzył, że mogą faktycznie istnieć. Teraz nie był już tego taki pewien.

- Przekazałeś senatorowi Malcolmowi Walkerowi informacje dotyczące „czarnego programu” A-100, prawda? - Ten sam głos znów zawołał mu do ucha.

Tym razem kapitan Nichols nie odpowiedział od razu. Głowę miał pochyloną pod kątem trzydziestu pięciu stopni, przyjmując typową postawę osoby, której zawiązano oczy.

Pytanie zostało powtórzone.

Nichols powoli kiwnął głową. Wypieranie się nie miało sensu. Prawdopodobnie sfilowali go, gdy szperał w dokumentach. Boże, jak mógł być tak głupi?

- Wstawaj!

Ponieważ nie zareagował natychmiast, kilka par rąk zmusiło go do przyjęcia pozycji stojącej i zaczęło popychać w nieznanym kierunku.

- Hej, co wy wyprawiacie? - zawołał, kręcąc szybko głową w jedną i drugą stronę. Lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi od swych prześladowców.

Nagle zrozumiał, co go czeka. Zaczął kopać i wyrwać się z ich uścisku, lecz nic nie wskórał. Po prostu podnieśli go i siłą przyciągnęli pod drzwi.

- Następnym razem dobrze się zastanów, gdy zechcesz strzępić język, ty bydlaku! Wiatr smagał twarz Nicholisa, gdy samolot wzbijał się do góry.

- Błagam, nie róbcie tego! - krzyknął głośno, zdzierając struny głosowe.

Przez kilka chwil trzymali go tam, kiwającego się na krawędzi śmierci, czekając, aż samolot osiągnie odpowiednią wysokość. Na wysokości trzech tysięcy metrów wypchnęli go z samolotu.

Przekoziółkował kilka razy i gdy spadał z zawrotną prędkością w nocnym mroku, próbował uwolnić się od krępującego mu ręce sznurka. Pułkownik Pierce pozostał blisko kapitana Nicholasa, obserwując bez skrpułów jego żalosne wysiłki. Z wojskowymi, którzy łamali wbrew przysiędze przepisy i którzy narażali na szwank bezpieczeństwo narodowe, należało postępować jak najsurowiej. W tego typu sprawach jedyną alternatywą był szybki i surowy odwet.

Kapitan Nichols zdał sobie sprawę, że zostało mu już niewiele cennego czasu.

Wiele razy skakał ze spadochronem i szóstym zmysłem potrafił określić wysokość.

Teraz mógł być najwyżej na wysokości tysiąca pięciuset metrów, a może tysiąca dwustu lub nawet tysiąca. Krzyczał z całych sił, pędząc z ogromną prędkością w dół z zawiązanymi oczami. Zginie błyskawicznie, bez ostrzeżenia. Nie będzie nawet wiedział, w co uderzy. Może i lepiej, że tak się stanie. Wtem poczuł konwulsje wstrząsające jego ciałem. Koniec musiał być blisko.

Pułkownik Pierce ponownie spojrzał na wysokościomierz i skierował pilota w stronę spadającego kilkaset metrów niżej ciała, oznaczonego migającymi światłami ultralekkiego spadochronu, który nałożyli kapitanowi podczas szamotaniny w ładowni. Nacisnął guzik, a następnie pociągnął linkę własnego spadochronu.

Spadochron otworzył się, reagując na elektryczny impuls pilota pułkownika Pierce'a i kapitan Nichols poczuł nagle, że całym jego ciałem zawładnęły potężne siły. Szarpnęło nim tak, że przez moment jego głowa znalazła się na dole, lecz zaraz jego ciało przybrało właściwą pozycję pod czaszą spadochronu, opadając powoli na pustynne podłoże.

Leżał na piasku pod spadochronem, łkając, lecz po chwili poczuł, że ktoś zdjął z niego materiał i uklęknął przy nim. Wtem usłyszał jakiś głos:

- Nikomu nie piśniesz o tym słówka do końca życia. Sześć miesięcy spędzisz w więzieniu, po czym zostaniesz wyrzucony z armii. Przyjmiesz tę karę bez dyskusji. Każda próba zmiany tego scenariusza sprawi, że następnym razem spadochron się nie otworzy. Czy to jasne, kapitanie Nichols? - Głos pułkownika Pierce'a brzmiał spokojnie.

Nichols powoli podniósł głowę. Wciąż miał zawiązane oczy.

- Tak - jęknął. Wtedy jego głowa opadła z powrotem na piasek. Stracił przytomność.

Dwie godziny później, gdy nad pustynią Nevada budził się świt, kapitan Nichols znajdował się z powrotem w bazie. Fizycznie wrócił do siebie po przebytych doświadczeniach, lecz nigdy już nie odzyskał spokoju ducha.

Pierce obserwował z satysfakcją, jak ludzie z jego oddziału wpychają Nicholasa do celi. Wykrzywił usta w uśmiechu. Informator Malcolma Walkera z rejonu 51 został zneutralizowany.

14.

Jesse przyglądała się przez stół Toddowi, który solił sobie frytki. Był wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną o wyrazistej, opalonej twarzy, otoczonej długimi kasztanowymi włosami. Nie była to twarz, która mogłaby zagościć na okładce miesięcznika „Gentleman”, ale miała coś w sobie. Tym czymś mogła być ekstrawertyczna osobowość Todda, naturalność, szelmowski uśmiech lub spojrzenie jego oczu. Boże, co za oczy. Mogły zmienić kolor i w zależności od światła były stalowobłękitne lub ciemnozielone. Złapała się na tym, że zapatrzyła się w nie, fantazjując, lecz zaraz odwróciła wzrok. Niemożliwe. Becky bez przerwy jej to powtarzała.

- Miło cię znów widzieć, Jess. - Todd nigdy nie wymawiał ostatniej samogłoski jej imienia.

- I ciebie.

- Mama wspominała ci, że wpadłem do niej w zeszłym tygodniu?

Jesse natychmiast wróciła myślami do ostatniej wizyty u matki i wspomnień związanych z ojczymem, przywołanych nieoczekiwanym spotkaniem z ojcem McCord i rozmową o problemach finansowych matki.

- Wszystko w porządku, Jess? - Być może tylko mu się wydawało, ale sprawiała wrażenie roztargnionej.

Kiwnęła szybko głową.

- Tak. To miło z twojej strony, że ją odwiedziłeś.

- Prawdziwy ze mnie słodki chłopak, prawda? - Roześmiał się.

- Oj tak - przyznała cicho. - Jak leci? - Wiedziała o jego niebezpiecznym hobby.

- Świetnie. Tyle że kilka tygodni temu skakałem z samolotu kolegi i spadochron otworzył się dopiero trzysta metrów nad ziemią. Wylądowałem na wierzchołku sosny, zwichnąłem nogę w kostce i spotkałem się oko w oko z zadziornym dzięciołem, który wcale nie był zadowolony z mojej wizyty. Kostka ciągle mnie pobolewa, ale poza tym czuję się świetnie. - Gdy się uśmiechnął, kącik ust z jednej strony powędrował znacznie wyżej niż drugi. - A jak ty żyjesz, Jess?

Pamiętała o jego braku umiejętności angażowania się. Lecz, pomimo upływu czasu, wciąż uśmiech ten robił na niej piorunujące wrażenie, choć oczywiście nie mogła mu tego powiedzieć. Mógłby podjąć próbę ożywienia czegoś, co od tak dawna tliło się w niej, a to mogłoby zakończyć się katastrofą. Mogłoby zburzyć jej delikatną równowagę emocjonalną i doprowadzić do ujawnienia wszystkiego.

- Jess?

Był z nią tej straszliwej nocy dwanaście lat temu. Wydawało się jej niesprawiedliwe, że musi trzymać go na dystans, choć to on właśnie przyszedł jej wtedy z pomocą i przytulił, gdy płakała. Lecz Becky zapewniała Jesse, że tak musi być, że Todd może być dla niej tylko zwykłym kumpłem. Chyba że nie chce sprawować kontroli nad niebezpiecznymi emocjami. Chyba że nie chce ukrywać bolesnej prawdy przed matką. Ponowny kontakt z przeszłością, a wszystko wyjdzie na jaw, powtarzała jej wciąż Becky. A Todd był nierozzerwalnie związany z przeszłością. Z tamtą nocą.

Jesse skrzywiła się. Becky nie byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała, że Jesse przyjechała prosić Todda o pomoc i że teraz najprawdopodobniej będą się spotykać częściej. Ale Jesse wydawało się, że nie ma wyjścia. I tym razem Todd okazał się jedyną osobą, do której mogła się zwrócić.

- Jess - powiedział głośno Todd - co się dzieje?

Nagle dotarło do niej, że Todd usiłuje zwrócić na siebie uwagę.

- Co?

- Halo! Tutaj jestem.

- Przepraszam, ale myślałam o czymś, co muszę załatwić w pracy.

- A ja sądzę, że jesteś po prostu oszołomiona spotkaniem ze mną.

Jesse pokręciła głową. Nie chciała dać mu pretekstu do dalszych umizgów. Ale czy na pewno? Po co właściwie chciała się z nim spotkać?

- No to przejdźmy do sedna sprawy. - Todd wziął z talerza kilka frytek i włożył je sobie do ust. Przeżuwał, uśmiechał się. - Przerabiamy to za każdym razem, gdy się spotykamy. Co nie zdarza się zbyt często, mógłbym dodać. Oczywiście będziesz się piekliła. Ale, co mi tam.

- O czym ty mówisz?

- Będziesz się ze mną spotykać? - Todd uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc, jak Jesse automatycznie kręci głową. - No widzisz, mówiłem. - Wymierzył w nią oskarżycielsko palec. - Za każdym razem, gdy się spotykamy, zadaję ci to samo pytanie i za każdym razem słyszę „nie”.

- Todd, przestań.

- Myślę, że problem polega na tym, że ty umawiasz się z tymi facecikami w garniturach i krawatach. Jeśli uważasz, że pasują do ciebie, to się mylisz.

Odwróciła wzrok, nic nie mówiąc.

- Daj sobie spokój z tymi smutasami, Jess. Potrzebujesz kogoś, kto nie siedzi cały dzień za biurkiem, wprowadzając dane do komputera.

- Todd, przestań! - Nagle Jesse zdała sobie sprawę, że ludzie w restauracji przyglądają im się z zaciekawieniem.

- O co chodzi? - Wciąż się uśmiechał. Przekomarzanie się z nią sprawiało mu przyjemność.

- Umówiłam się z tobą, bo potrzebuję twojej pomocy.

- A więc jestem: do twoich usług, gotów do najwyższych poświęceń.

- Bądź poważny. - Jesse spłótła ręce na stole przed swoim talerzem. Może spotkanie z nim nie było aż tak dobrym pomysłem.

- Przepraszam. - Zauważył, że irytacja Jesse szybko zamienia się w złość. - Po prostu wariuję, kiedy cię widzę. Wiesz o tym.

Jesse próbowała powstrzymać uśmiech. Z nim tak zawsze. Pomimo wszelkich starań nie potrafiła się na Todda złościć.

- No, Jess, kto jest twoim przyjacielem? - Todd uśmiechnął się figlarnie.

- Przestań. - Czuła, że zaraz zmusi ją do uśmiechnięcia się, a nie chciała dać mu tej satysfakcji.

- Kto jest twoim kumplem?

- Przestań.

- Kto jest twoim druhem?

Poddała się w końcu.

- Ty. - Podniosła rękę, żeby zasłonić uśmiechniętą twarz.

Todd roześmiał się.

- Byłoby lepiej, gdybyś przyznała się, że i ty trochę wariujesz na moim punkcie, ale wiem, że mówienie takich rzeczy sprawia ci trudność.

- Co masz na myśli?

Wysunął nieco dolną wargę, jak zwykle, gdy myślał nad czymś intensywnie.

- Czasem jesteś trochę sztywna.

- Nieprawda.

- Ależ prawda. - Powiedział to z takim przekonaniem, że dalsze protesty z jej strony byłyby daremne. - Tyle tylko, że masz do tego prawo.

Jakże dobrze ją znał.

- Staram się nie być taka.

Todd wziął w palce jeszcze kilka frytek.

- Musisz po prostu spędzać ze mną trochę więcej czasu. Wyluzujesz się.

- Nie wątpię.

- Co to ma znaczyć? - zapytał szybko.

- Nic.

Todd obserwował ją przez kilka sekund i korciło go, żeby naciskać dalej. Dostrzegł niewielką szparę, delikatny sygnał z jej strony, że może w końcu gotowa jest zaryzykować. Albo tylko mu się wydawało.

- W czym mogę ci pomóc? - Po raz pierwszy, odkąd usiedli przy stole, przybrał poważny ton. - Chciałbym wprawdzie wierzyć, że umówiłaś się ze mną, bo chciałaś mnie zobaczyć, ale chyba jest jakiś inny powód. Byłaś trochę zdenerwowana, gdy rozmawialiśmy przez telefon.

Jesse przypomniała sobie słowa kończące list od Robinsona: „Nikommu nie ufaj”. Ale było to niemożliwe. Nie mogła wykonać zadania, które zostawił jej Neil, zupełnie sama. Potrzebowała pomocy i choć Todd zachowywał się czasem nieodpowiedzialnie i lekkomyślnie, nie znała nikogo bardziej godnego zaufania.

- To może być niebezpieczne - ostrzegła.

- Spójrz na mnie. Już się trzęsę.

- Ta nie żartuję. W sprawę mogą być zamieszane grube ryby.

Kiwnęła głową. Jesse nie miała skłonności do przesady, a poza tym wyczuł, że może

chodzić o coś więcej niż wytwór bujnej wyobraźni.

- Wiesz co. Po lunchu wybierzemy się na spacer.
- Zgoda.

Szybko zjedli, uregulowali rachunek i wyszli z baru. Pięć minut później stali już na końcu długiego mola w porcie Baltimore.

Todd oparł się o balustradę.

- No więc o co chodzi?

Jesse przysunęła się do niego. Mężczyzna siedzący na ławce pięć metrów dalej zdawał się być żywo zainteresowany ich rozmową, a Jesse nie chciała ryzykować, że ktoś oprócz Todda usłyszy jej słowa.

- Kilka dni temu mój szef, Neil Robinson, zmarł na atak serca w barze hotelu Hyatt - zaczęła cicho. - Nazajutrz rano otrzymałam od niego wiadomość wysłaną z opóźnieniem pocztą elektroniczną, w której prosił mnie o pomoc. Wspomniał o intrydze, na której trop wpadł. Napisał, że w swym domu nad rzeką schował teczkę z dokumentami, a ja miałam ją zdobyć.

- Zrobiłaś to?
- Tak.
- I co w niej było?

Jesse ponownie spojrzała na mężczyznę na ławce, lecz teraz wyglądał, jakby nie zwracał na nich uwagi.

- Osobiste i firmowe zeznania podatkowe Elbridge'a Colemana z kilku ostatnich lat oraz notatki Neila z rozmowy, którą przeprowadził z kimś, kogo nie mogę zidentyfikować. Najwidoczniej Neil miał podejrzenia co do kampanii wyborczej Colemana.

Todd podniósł brwi. Wybory do Senatu. Robiło się interesująco.

- Jakiego rodzaju podejrzenia?
- Że Coleman jest tylko marionetką. Że jest opłacany przez ludzi, którzy chcą się pozbyć człowieka aktualnie zajmującego w Senacie miejsce, które chce zdobyć Coleman.

- Chodzi ci o Malcolma Walkera.
- Tak.

- Dlaczego ktoś chciałby się pozbyć senatora Walkera?
- Jak wynika z notatek Neila, powodem jest fakt, że Walker otwarcie krytykuje kręgi wojskowe. Chcą się go pozbyć, bo od sześciu lat, odkąd został wybrany na senatora, prowadzi wojnę z Departamentem Obrony.

- Prowadzi wojnę z Departamentem Obrony. Ładnie to ujęłaś.
- Chyba tak. - Jesse uśmiechnęła się. - W każdym razie prowadzi samotną krucjatę, dążąc do okrojenia budżetu wojskowego i podczas pierwszej kadencji odniósł pewne sukcesy. Neil i jego anonimowy informator uważają, o czym przeczytałam w jego notatkach, że Coleman jest opłacany przez ludzi związanych z przemysłem zbrojeniowym. Ludzi, którzy woleliby, żeby budżet wojskowy przestał się kurczyć.

- Czy Neil zdradził, kim mogą być ci ludzie?
- Nie.
- Czy w teźce było coś jeszcze?

- Nie.
- To tyle? - Todd nagle wydał się poirytowany. - To wszystko, co masz? Kilka deklaracji podatkowych i notatki szefa.
- Tak.
- Jess, nie chcę obrażać ani twojego szefa, ani tym bardziej ciebie, ale on chyba miał trochę nierówno pod sufitem. - Todd dotknął palcem skroni. - Słuchaj, ludzie mają najróżniejsze podejrzenia, lecz w co najmniej dziewięciu przypadkach na dziesięć, są całkowicie bezpodstawne. Wierz mi, w moim fachu bez przerwy się z tym spotykam. I tym razem prawdopodobnie mamy do czynienia z takim przypadkiem. To smutne, że Neil umarł, ale powinnaś się z tym pogodzić.
- Przyznałabym ci rację, ale... - zacięła się.
- Ale co?
- Tej nocy, gdy przyjechałam do domu nad rzeką po teczkę Neila, ktoś inny też tam był. Przypuszczam, że również szukał teczek. I nie nawiązał ze mną przyjaznych stosunków.
- Jak to?
- Ten facet gonił mnie przez las, a gdy już byłam w samochodzie, strzelał do mnie.
- O Boże, nic ci się nie stało?
- Mam tylko kilka zadrapań na rękach. - Podwinęła rękaw bluzki, żeby pokazać mu ślady.
- Jak myślisz, widział twoje numery rejestracyjne? - Z głosu Todda znikły sceptyczne nuty.
- Chyba nie. Oślepiły go światła, a gdy go minęłam, zgasiłam je.
- Czy zgłosiłaś ten wypadek zwierzchnikom albo policji?
- Nie. Nie miałabym im nic konkretnego do powiedzenia, a poza tym pomyślałam, że ktoś mógłby w ten sposób mnie namierzyć. To znaczy, gdybym złożyła oficjalne zeznanie.
- Todd kiwnął głową.
- Czy pojechałaś do warsztatu, żeby wstawili ci szybę? - zadał szybko następne pytanie.
- Nie. Pomyślałam, że to też nie byłby dobry pomysł. Tą drogą także ktoś mógłby mnie wysledzić. Sara Adams, z którą pracuję, podwozi mnie do urzędu. Mieszkamy blisko siebie.
- Pamiętam ją. Przedstawiłaś mi ją, gdy w zeszłym roku wpadłem do waszego biura.
- No rzeczywiście.
- Jest twoją dobrą przyjaciółką, prawda?
- Jesse i Sara znały się już od sześciu lat.
- Bardzo dobrą przyjaciółką.
- Sprytnie postąpiłaś, nie naprawiając samochodu. Prawdopodobnie zapłaciłabyś kartą kredytową, zostawiając ślad temu, kto cię szuka. Wpadłby na twój trop, sprawdzając

warsztaty samochodowe. Wiesz co, wypożyczę samochód na moje nazwisko i będziesz nim jeździć, aż to wszystko się skończy.

- Dzięki. To miło z twojej strony. Zwrócę ci pieniądze.

Machnęła ręką, chcąc dać jej do zrozumienia, że nie powinna się o to martwić.

- A co z e-mailem? Czy mogą go wykorzystać, żeby do ciebie dotrzeć?

- Rozmawiałam o tym w pracy ze specjalistą od systemów komputerowych. Usunęłam ten plik z mojego komputera i gdy przeszukał cały system, nie znalazł żadnego śladu wiadomości, którą przesłał mi Neil. Nie wiem, jak Neil zatarł ślady, ale mu się udało. Nie zrobiłam też wydruku, więc e-mail nie jest zapisany w pamięci drukarki.

W odległości kilku stóp na balustradzie przysiadła mewa. Todd obserwował, jak muska pióra. - Nie wierzysz, że twój szef miał atak serca?

Milczała przez chwilę.

- Cała sprawa wygląda dziwnie. Odnalazłam kobietę, która obsługiwała Neila tego wieczoru w hotelowym barze. Siedział przy stoliku z jakimś mężczyzną. Kelnerka nie pamiętała wiele, tyle tylko, że ów mężczyzna ulotnił się, gdy Neil zasnął. Sanitariuszki pytali, czy Neil był z kimś i choć powiedziała, że tak, nikt się nie zgłosił. Nie sądzisz, że to dziwne?

- A i owszem. Sprawdziłaś kalendarzyk w biurze Neila? Może tam jest nazwisko tego gościa?

- To kolejna zagadkowa sprawa. Niedługo po śmierci Neila ktoś wyniósł z jego biura sporo rzeczy.

- Serio? Co na przykład?

- Jego notes, twardy dysk z komputera, dyskietki, trochę dokumentów i parę jeszcze innych rzeczy.

- Domyślasz się, kto to mógł zrobić?

- Nie. Ale około wpół do dziewiątej rano pojawili się dostawcy z nowym biurkiem. Zdaniem sekretarki Neila, to oni ogołocili jego gabinet, ponieważ później okazało się, że nikt nie zamawiał nowego biurka, natomiast ona zauważyła kradzież około dziesiątej, niedługo po ich wyjściu. Biedaczka. Wtedy nie wiedziała jeszcze, że Neil nie żyje. Pomyślała sobie tylko, że się spóźnia.

- Czy zawiadomiła kogoś o zniknięciu tych przedmiotów?

- Wezwała policję, lecz nic jeszcze nie mają.

- I prawdopodobnie nie będą mieli.

W porcie rozległ się sygnał potężnego frachtowca, który odcumował od brzegu i w asyście holowników wypływał na pełne morze.

- Czy jest jeszcze coś?

Jesse spojrzała w stronę frachtowca. Wciągnęła głęboko słone powietrze.

- Pewnie sobie pomyślisz, że brak mi piątej klepki.

- Nie gadaj głupstw. Zbyt dużo tu zbiegów okoliczności i dziwnych wydarzeń, żeby cokolwiek bagatelizować.

- Nazajutrz rano po mojej wizycie w domu nad rzeką poszłam do archiwum naszego urzędu. Musiałam odszukać stary dokument, którego nie było w bazie danych komputera. No w każdym razie, gdy wróciłam, wpadłam na faceta, który wychodził z mojego pokoju. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

- I co?
- Twierdził, że szuka Sary. Zapytałam ją później, czy rzeczywiście był u niej, ale ona nie wiedziała, o czym mówię. Facet miał przypiętą plakietkę gościa, więc pomyślałam, że zanim go wpuścili, musieli porozumieć się z Sarą. Zawsze tak robią przed wpuszczeniem kogokolwiek do budynku. Od czasu zamachu bombowego w Oklahoma City ochrona jest naprawdę szczelna.
- Rozmawiałaś o tym ze strażnikami przy wejściu?
- Jesse kiwnęła głową.
- W księdze rejestrowej nie było żadnego wpisu o osobie odwiedzającej Sarę w tym czasie.
- Musi mieć wolny wstęp do budynków rządowych - zauważył Todd. - Czy na jego plakietce było jakieś nazwisko?
- Nie pamiętam.
- Wiem, że brzmi to niedorzecznie, ale czy Sara może być zamieszana w tę sprawę?
- Jesse nie spuszczała z oczu mewy, która drobnymi kroczkami zbliżała się do nich. Sara rzeczywiście zadawała jej ostatnio mnóstwo pytań, a gdy zagadnęła ją o człowieka, który miał ją odwiedzić, wydawała się zmieszana. Ale nie mogła poważnie jej podejrzewać.
- Nie.
- Czy ten facet robił coś podejrzanego w twoim pokoju?
- Nie wiem. Dosłownie wpadliśmy na siebie w drzwiach. Ja wchodziłam, a on wychodził.
- Czy to był ten sam człowiek, który ścigał cię wtedy nad rzeką? Przyjrzałaś mu się tamtej nocy?
- Widziałam go tylko przez moment, w światłach samochodowych reflektorów. Na twarz miał naciągniętą czapkę z daszkiem, więc niewiele mogłam dostrzec, ale jestem prawie pewna, że nie miał brody. Facet w moim biurze ją miał.
- Todd oparł się mocniej o balustradę.
- Doklejenie sobie brody, to żaden problem.
- Dziękuję za pocieszenie.
- Przepraszam - powiedział delikatnie Todd. - Ale jeśli to był ten sam facet, miał przecież okazję podjąć jakieś działania przeciw tobie, czego nie zrobił. A zresztą jak mógł cię odnaleźć, skoro nie widział tablicy rejestracyjnej, a ty nie wstawiłaś samochodu do warsztatu?
- Jesse zamyśliła się, odgarniając za uszy długie blond włosy.
- Nie wiem.
- Przez chwilę stali w milczeniu, obserwując kursujące w porcie statki handlowe i wycieczkowe.
- Podobają mi się teraz twoje włosy.
- Co? - Jesse zajrzała mu w oczy.
- Pamiętam, że zawsze nosiłaś je upięte do góry. Rozpuszczone, wyglądają dużo lepiej. Teraz zawsze chodzisz z rozpuszczonymi?
- Aha. - Nie chciała mu tłumaczyć, że dziś rozpuściła je po raz pierwszy od bardzo dawna.

- A przy okazji, spóźnione o jeden dzień życzenia urodzinowe. Kupiłem ci prezent, ale zapomniałem go przynieść.

- Ależ oczywiście. - Szturchnęła go figlarnie. - Zawsze tak mówisz. Jakoś żaden prezent od ciebie jeszcze do mnie nie dotarł.

- Mówię serio. Naprawdę mam dla ciebie prezent.

- O mój Boże! - zaniepokoiła się nagle.

- O co chodzi?

- Zupełnie zapomniałam. Mam o drugiej spotkanie. - Zerknęła na zegarek. - A już pięć po.

- Więc teraz sprawiam, że zapominasz o bożym świecie. - Todd posłał jej łobuzerski uśmiezek. - Wreszcie po tylu latach starań robię chyba jakieś postępy.

- Chodźmy. - Ruszyła szybkim krokiem.

Kilka minut później dochodzili już do budynku urzędu, w którym pracowała Jesse. Zbliżając się do głównego wejścia, zwolniła kroku.

- Cześć! - zawołał David. Oderwał się od długiej czarnej limuzyny, o którą się opierał, i podszedł do nich. Zauważył, że Jesse jest zaskoczona. - No tak. - Strzelił palcami, jak gdyby przypominał sobie o czymś. - Mówiłem, że przyjadę po ciebie, ale chyba nie wspomniałem, jakim samochodem. - David zmierzył wzrokiem Todda, po czym znów spojrzął na Jesse. - Świetnie dziś wyglądasz. Z rozpuszczonymi włosami.

Zanim zdążyła zaprotestować, David wziął ją za rękę i pocałował w policzek.

- Dziękuję - wymamrotała, spoglądając na Todda.

David minął Jesse i wyciągnął rękę do jej towarzysza.

- Nazywam się David Mitchell.

- Todd Colton.

Ściskając dłonie, wymienili krótkie ukłony.

- A więc. - David puścił dłoń Todda i odwrócił się do Jesse. - Gotowa do wycieczki po Sagamore?

- Tak. Ale daj mi jeszcze minutkę.

- Naturalnie. - David natychmiast pojął aluzję i wrócił do limuzyny.

Todd zagwizdał cichutko.

- A więc w taki sposób spędzamy teraz popołudnia, co Jess? Przejazdźki czarnymi limuzynami? Przypuszczam, że bankierzy nie są w końcu aż tak nudni. Nic dziwnego, że tak się tu spieszyliśmy.

- Przestań. David pracuje w Towson dla funduszu inwestycyjnego o nazwie Sagamore. W szkole, jakiś czas temu, poznałam kobietę, która nim zarządza. Zaprosiła mnie do siebie. Po dyplomie cudownie byłoby podjąć tam pracę. To wszystko. - Zamilkła na chwilę. - Ale czy ja muszę się tobie tłumaczyć?

- Dla ciebie może i to wszystko. - Todd wskazał głową Davida. - Ale na pewno nie dla niego.

- O co ci chodzi?

- Ja z zamkniętymi oczami rozpoznam psa na kobiety, który złapał trop, Jess. Ten tutaj tak się napalił, że aż mu z uszu dymi.

- Cicho bądź. - Uśmiechnęła się do Davida, zapewniając go tym samym, że potrzebuje jeszcze kilku sekund, po czym odwróciła się do Todda. Widzieliśmy się tylko

raz. Niczego między nami nie ma. - Chwyliła go za rękę. - Słuchaj, czy mogę na ciebie liczyć w sprawie, o której rozmawialiśmy?

Todd spojrział na Jess w milczeniu, zupełnie jakby starał się sam ocenić, czy łączy ją coś z Davidem.

- Tak, ale będziemy musieli wkrótce porozmawiać o moim wynagrodzeniu.

- Wynagrodzeniu?

- No tak - odpowiedział z uśmiechem na twarzy. - Niektórzy muszą zarabiać na utrzymanie. Niektórych nie stać na czarne limuzyny.

- No już dobrze. - Jesse podniosła rękę. - Zadzwoń do ciebie - rzuciła przez ramię odchodząc. Zajmując miejsce w limuzynie, pokręciła głową. A więc zamierzał domagać się od niej wynagrodzenia.

Todd odprowadził wzrokiem elegancki samochód, który zjechał z chodnika na jezdnię. Od Jesse Hayes planował wyciągnąć tylko jedno: jej czas. I od tej pory zamierzał wykradać go jak najwięcej.

- Jechałaś już limuzyną? - zapytał David z fotela naprzeciwko.

- Nie - odparła szorstko, wciąż zła na Todda. Jakże delikatne jest męskie ego. Zastanawiając się teraz nad tym, pomyślała, że nigdy nie widziała Todda zazdrosnego. Uśmiechnęła się do siebie. Odrobina zazdrości mu nie zaszkodzi.

- Witajcie. - Elizabeth wstała zza ciemnego biurka, odsłaniając kwieciste obicie krzesła, gdy tylko zauważyła w drzwiach Jesse i Davida.

- Elizabeth, pamiętasz Jesse Hayes? - David przez chwilę odgrywał rolę gospodarza.

- Oczywiście. - Elizabeth' wzięła Jesse za rękę i poprowadziła ją do części wypożyczynkowej przestronnego biura. - Jak ci się u nas podobało?

- Bardzo. - Jesse usiadła na wygodnej sofie, a Elizabeth i David zajęli fotele. - To bardzo miło z pani strony, że mnie tu zaprosiła. - Wyrzała przez okno, podziwiając imponujący widok, a następnie rozejrzała się po biurze umeblowanym wspaniałymi antykami i obrazami. Jakże różniło się to miejsce od jej zapyziałej szarej dziupli w urzędzie.

- Nie ma o czym mówić. Lubię zapraszać ludzi, w których drzemie ogromny potencjał. Twój profesor polecił mi ciebie przed zajęciami i gdy tylko usłyszałam, co masz do powiedzenia na temat rynku, wiedziałam, że miał rację. Bardzo często kieruję się pierwszym wrażeniem, nieważne, czy chodzi o akcje, czy o ludzi.

David uśmiechnął się kurtuazyjnie.

- No, nie wiem, Elizabeth. Nie znam nikogo, kto miałby tak wielką wiedzę o tylu spółkach. Przed zakupem akcji zawsze robisz szczegółowy wywiad. Wystarczy spojrzeć na twoje osiągnięcia.

- Mówi tak, bo jestem jego szefową. - Elizabeth mrugnęła porozumiewawczo do Jesse.

Tym razem Jesse roześmiała się.

- Przyznałabym pani rację, gdyby nie to, że David powiedział prawdę o pani osiągnięciach. Są niesamowite.

Elizabeth milczała przez chwilę, wpatrując się w Jesse.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś do mnie podobna.

Jesse spuściła wzrok, zawstydzona tak szczerą uwagą.

- Przepraszam, ale mam tupet. - Elizabeth pokręciła głową, dostrzegając nagłe zażenowanie Jesse. - Wiele bym dała, żeby być znów młoda. O mój Boże. No więc z kim się dziś spotkałaś?

- Z Frankiem Wellesem, Scottem Millerem, Rayem Humem i Artem Mohlerem. - Jesse wyliczyła nazwiska.

- To dobrze. Bardzo się cieszę, że miałaś okazję porozmawiać z Artem Mohlerem. Zajmuje w firmie ważne stanowisko. Właściwie to on ostatnio nią kieruje. Ja jestem praktycznie tylko figurantką.

- Bzdura - zaprotestował David. - Elizabeth jest wciąż bardzo aktywna.

- Ale nie w dziedzinie inwestycji - uściśliła Elizabeth. - Bardziej koncentruję się na sprowadzaniu nowych funduszy. - Uśmiechnęła się. - Nie chcę już zarządzać pieniędzmi. Kilka pechowych lat mogłoby mi popsuć życiorys.

- Pani Gilman. - Do pokoju zajrzała młoda sekretarka. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale rozmowa z Nowym Jorkiem, na którą pani czeka, jest już na linii trzeciej.

Elizabeth westchnęła.

- Przepraszam, Jesse, ale muszę się tym zająć - tłumaczyła, wstając z fotela. - David zaprasza cię dziś na kolację, prawda?

Jesse rzuciła Davidowi szybkie spojrzenie. Nie wspominał nic o tym.

- Eee, tak.

- Cudownie. - Elizabeth wzięła Jesse za rękę. - Mam nadzieję, że wkrótce ponownie się zobaczymy. Chciałabym, żebyś poważnie zastanowiła się nad możliwością pracy w Sagamore. - Nagle podniosła rękę do piersi i zakasłała cicho.

- Dziękuję. Dobrze się pani czuje?

- Dobrze, ale naprawdę muszę odebrać ten telefon.

Gdy Elizabeth rozpoczęła rozmowę, Jesse i David szybko opuścili jej biuro.

- Nie mówiłeś nic o kolacji - poskarżyła się Jesse, gdy zaczęli iść korytarzem do jego biura.

- Bałem się, że powiesz „nie”. Wiedziałem, że przy Elizabeth nie odmówisz.

Po odebraniu kilku wiadomości z automatycznej sekretarki i dwóch krótkich rozmowach telefonicznych David chwycił neseser i poprowadził Jesse w stronę recepcji.

- Dokąd idziemy? - zapytała, gdy czekali na windę.

- Café Royal. To francuska restauracyjka na parterze.

Jesse słyszała o Café Royal. Jeden z najbardziej popularnych nowych lokali w Baltimore. I jeden z najdroższych w mieście.

- Świetnie. - Drzwi otworzyły się i weszli do kabiny. - Czy mogę zadać ci dość osobiste pytanie?

- Możesz zapytać o wszystko, choć nie obiecuję, że odpowiem na każde pytanie. - David przycisnął guzik. - Zwłaszcza w windzie.

- Przecież jesteśmy sami.

- Nie szkodzi. Jedna z pierwszych zasad w biznesie brzmi: nigdy nie poruszaj ważnych spraw w windzie.

- Dlaczego zamknąłeś na klucz drzwi do swego biura, gdy wyszliśmy? - Nie zamierzała rezygnować z powodu jakichś absurdalnych zasad.

- A zamknąłem? - zapytał niewinnie.

- Tak.

- Chyba z przyzwyczajenia.

- Nie uważasz, że zamykanie biura na klucz jest dziwne?

David zaśmiał się w duchu. Elizabeth Gilman miała rację. Jesse była bystra i spostrzegawcza.

- Nie, a ty nie zamykasz swojego?

- Nie, nie zamykam nawet szafki na akta. Ufam ludziom, z którymi pracuję.

- Może to błąd.

Drzwi windy otworzyły się i ruszyli w kierunku Café Royal. Przykryte białymi obrusami i zastawione srebrem oraz lśniąca porcelaną stoły ustawiono z dala od siebie, a niektóre znajdowały się w kameralnych wnękach. Choć restauracja była pełna gości, nie wyglądała na zatłoczoną dzięki odstępom między stolikami. Światło było przygaszone, a w odległym zakątku restauracji ktoś podgrywał na pianinie.

- Całkiem romantycznie - oceniła Jesse, gdy zbliżali się do kierownika sali.

- Tak, mają tu naprawdę cudowną atmosferę. - David uśmiechnął się nieśmiało.

Jesse próbowała wytłumaczyć sobie ten uśmiech. Czy odgrywał rolę dobrego pracownika, który zabawia kogoś, kogo chciałaby zatrudnić szefowa? W końcu to Elizabeth wspomniała o kolacji. A może miał inny motyw? Po raz pierwszy Jesse uświadomiła sobie, że Todd mógł mieć rację w sprawie Davida.

- Tędy proszę. - Ubrany w smoking kierownik sali dał znak ręką, żeby poszli za nim, i poprowadził ich do małego stolika w rogu sali. - Proszę.

Kelner odsunął krzesło dla Jesse. Podziękowała mu.

Następnie wziął neseser Davida i zabrał go do przechowalni.

David usiadł, sięgnął po kartę win i natychmiast zaczął ją przeglądać.

- Limuzyny, biura umeblowane antykami jak z Muzeum Sztuki w Baltimore, a teraz kolacja w jednej z najdroższych restauracji w mieście. Sama nie wiem, co mam myśleć.

- Cóż mogę powiedzieć? - David nie podniósł wzrok z nad karty. - Sagamore jest porządną firmą. - Słowa te wypowiedział rzeczowo, a nie jakby próbował jej zaimponować.

- Davidzie, jak długo pracujesz w Sagamore?

Znalazł wino, którego szukał.

- Może być czerwone? - zapytał, ignorując przez chwilę jej pytanie. - Opus One jest doskonałe.

Imponował jej, nie mogła zaprzeczyć. Był elegancki i elokwentny, zarabiał oczywiście mnóstwo pieniędzy, a poza tym otaczała go aura obojętności, która działała na nią zniewalająco. Często przez kilka minut pozostawiał pytanie bez odpowiedzi, ale zawsze wracał do niego na późniejszym etapie rozmowy, bez specjalnego ponaglenia.

Kilkakrotnie zauważyła ten jego nawyk podczas swej wizyty w Sagamore. Poza tym miał w oku tę wiecznie tłącą się iskrę, którą zauważyła podczas przyjęcia na uczelni. Takie spojrzenie nazywały z Sarą łobuzerskim i czasem trudno było mu się oprzeć.

- Tak, Opus One, to dobry wybór. - Jesse jęknęła w duchu. Boże, teraz ona próbowała odgrywać koneserkę, żeby zrobić na nim wrażenie. Wino piła bardzo rzadko i nie byłaby w stanie odróżnić zinfandela od beaujolais. Próbowwała robić wrażenie na mężczyźnie czy na przyszłym współpracowniku? Zanim przyjechał po nią dziś po południu, odpowiedziałyby na to pytanie szybko i stanowczo. Teraz zaczęła mieć wątpliwości.

- A więc piłaś już Opus One? - zaciekał się David.

Jesse zawahała się, nie wiedząc, jak poradzić sobie z zaistniałą sytuacją. Mogła brnąć dalej i ryzykować, że prawda wyjdzie na jaw później, albo przyznać się, że zupełnie nie zna się na winach i ujawnić przed nim element swego nader skromnego pochodzenia. Być może przechodziła pierwszy test z etykiety.

- Nie, ale podoba mi się nazwa. - Nie zamierzała udawać kogoś, kim nie była.

David uśmiechnął się. A więc potrafiła z wdziękiem wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Skinął na kelnera, który natychmiast zjawił się przy stoliku.

- Proszę butelkę Opus One.

- W tej chwili. - Kelner odszedł, aby zrealizować zamówienie.

David obserwował go, aż zniknął za drzwiami kuchni.

- Pracuję w Sagamore od czterech lat.

No i znów zgodnie z przyzwyczajeniem odpowiedział na pytanie sprzed kilku minut.

- I jakie masz doświadczenia? - zapytała.

Zrobił zbolalą minę.

- To dopiero szkolne pytanie.

- No przecież ja chodzę do szkoły. - Przeszła nagle do defensywy.

- Zapytaj mnie o coś konkretnego, o coś trudnego, o coś, dzięki czemu będziesz mogła podjąć świadomą decyzję, gdy zaproponują ci pracę. Później będziesz wdzięczna za taką okazję.

Zrobił się szorstki i rzeczowy i ta zmiana w jego zachowaniu zbiła ją z tropu.

- No dobrze. Ile można zarobić w Sagamore? - Zepchnie go do defensywy.

Była pewna, że nie odpowie na to pytanie.

- W zeszłym roku zapłacili mi w sumie trochę ponad trzysta tysięcy dolarów. - Mówił o swym wynagrodzeniu bez żadnych zahamowań. Był dumny z tego, że ciężko pracował i dobrze go opłacano. - Mam pensję w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy, a w styczniu Elizabeth przyznała mi premię w wysokości drugich stu pięćdziesięciu tysięcy. - Rozwinął płócienną serwetkę i rozłożył ją na kolanach. - A nie miałem przecież bardzo dobrego roku w porównaniu z innymi. - Ostatnie słowa wypowiedział takim tonem, jak gdyby nie mógł pojąć, czemu nadal płacą mu tak dobrze. - Niektórzy powiedzieliby, że jestem bogaty.

- Ja na pewno tak.

- Być bogatym - cicho wyznał David - tego zawsze pragnąłem.

Trzysta tysięcy dolarów. Niezła konkurencja dla Wall Street. Często mówiło się o milionowych pensjach młodych geniuszy z Manhattanu, lecz Jesse wiedziała, że większość ludzi w wieku Davida zarabiała w bankach inwestycyjnych w Nowym Jorku sumy sześć-, a nie siedmiocyfrowe.

- Są też szanse na dużo większe zarobki - kontynuował. - Wiem, że niektórzy dyrektorzy inwestycyjni regularnie wyciągają siedmiocyfrowe sumy.

- Czy pracują w firmie dłużej od ciebie?

Kiwnął głową.

- Ponad pięć lat.

- Cóż, nie wiem zbyt dużo o siatce płac w funduszach inwestycyjnych, ale te zarobki wydają się dość wysokie.

- Owszem. Są bardzo atrakcyjne, zwłaszcza gdy weźmiesz pod uwagę fakt, że Sagamore znajduje się w Baltimore, gdzie wszystko jest dużo tańsze niż w Nowym Jorku. Dlatego nikt nie odchodzi z Sagamore. Pieniądze działają jak narkotyk. Ludzi wyrzuca się, gdy nie spełnią oczekiwań, ale sami nigdy nie odchodzą.

- Zwolnienia zdarzają się często?

Przez chwilę bawił się nożem, pograżony w myślach.

- Elizabeth zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, że ci to mówię, ale co mi tam. Kazałem ci wykorzystać okazję, a ty od razu zahaczyłaś o sedno sprawy. - Odłożył nóż. - Zwykle człowiek dowiaduje się o tym dopiero po zatrudnieniu w firmie, tak jak było w moim przypadku. - Roześmiał się cynicznie. - Decyduje pierwsze pięć lat. Nikt tego nie mówi, ale wszyscy o tym wiedzą. W tym czasie pracujesz pod ogromną presją sukcesu. Jeśli go nie odniesiesz, zostajesz zwolniona w piątą rocznicę zatrudnienia. Jeśli ci się uda, witaj w klubie. Nikogo nigdy nie zwolniono z Sagamore po przekroczeniu tej cezurę. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem.

Jesse pokręciła głową.

- Boże, a więc praca musi być szalenie stresująca.

- Bo jest, a egzekucja nieszczęśnika zamienia się niemal w wydarzenie publiczne. Oczywiście wymówienie dostaje się za zamkniętymi drzwiami, ale wszyscy w firmie wiedzą, komu niedługo stuknie piąta rocznica. Gdy skazaniec dostaje wezwanie na spotkanie z kierownictwem, praca ustaje i wszyscy żartują, że siada światło. No wiesz, że niby krzesło elektryczne pochłania całą energię.

Jesse kiwnęła głową.

- Ilu dyrektorów inwestycyjnych zostało zwolnionych po pięciu latach, odkąd pracujesz w Sagamore?

- Dwóch. Jednemu się udało.

- A ty? Nie niepokoisz się?

David pomyślał o A-100 i o umowie z Mafioso. - Dopóki nie minie piąta rocznica, nie ma mowy o spokoju.

- Ale przecież powiedziałeś, że w zeszłym roku dostałeś sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów premii. Pewnie świetnie ci idzie. Nie płaciliby ci takich pieniędzy, gdyby nie byli z ciebie zadowoleni.

David przez chwilę nie odpowiadał. Popukał w zegarek, który przestał chodzić. Zannotował w pamięci, że musi kupić nową baterię.

- Dlatego jest tak ciężko, gdy cię zwalniają. Człowiek przyzwyczaja się do pieniędzy. A płacą bardzo dobrze, nie bacząc na nic. I gdy twoje wyniki są poniżej oczekiwań, odcinają cię od złotej żyły i spadasz w przepaść.

- Raczej zaczepiasz się w innej firmie - podsunęła Jesse.

Szybko pokręcił głową.

- Kierownictwo innych dużych funduszy inwestycyjnych wie, że Sagamore pozbył się ciebie, więc i oni nie będą cię chcieli przyjąć. Wcałe bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że kierownictwo Sagamore ostrzega innych przed zwolnionymi delikwentami. Art Mohler, ten facet, którego dziś poznałaś, ten, którego Elizabeth tak chwaliła. On byłby do tego zdolny. Kawał z niego drania. Ona tego nie dostrzega. Jest zbyt dobrodusznym. - David sięgnął do zakrytego serwetką koszyka po gorącą bułeczkę i położył ją na talerzyku, po czym podał koszyk Jesse. - Oczywiście nadal potrafi zwolnić kogoś, jeśli czyjeś wyniki nie spełniają wymogów Sagamore. Tak już jest w firmie. Chodzi tylko o robienie pieniędzy, nic innego. Musisz koniecznie zdawać sobie z tego sprawę. Nie zrozum mnie źle: przyjęcie propozycji pracy w Sagamore wiąże się z wieloma pozytywnymi. Ale nie zapominaj o ciemniejszej stronie. Jeśli nie odniesiesz sukcesu, stracisz świetnie płatną pracę i nie zdobędziesz podobnej. Zostanie ci praca w kuchni w MacDonalddie.

Jesse wzięła bułeczkę z koszyka i położyła ją na talerz.

- I jeśli ktoś sobie z tym nie radzi, popełnia samobójstwo?

David rzucił jej szybkie spojrzenie, odsuwając na bok koszyk z pieczywem.

- Pańskie wino, bardzo proszę. - Kelner pochylił się, żeby zademonstrować etykietę na butelce.

- Świetnie, dziękuję.

W milczeniu obserwowali kelnera, który otworzył butelkę i postawił ją na stole. David wziął do ręki korek, powąchał go i kiwnął głową z aprobatą.

Gdy kelner odszedł od ich stolika, David pochylił się konfidencjonalnie w stronę Jesse:

- Co miałaś na myśli, wspominając o samobójstwie? - Tym razem nie czekał długo, żeby nawiązać do zadanego wcześniej pytania.

- Rano przeprowadziłam mały rekonesans. Znalazłam artykuły prasowe o dwóch pracownikach Sagamore, którzy w ciągu ostatnich kilku lat popełnili samobójstwo.

Pozory czasem mylą. Słowa Jacka Finneerty'ego.

- Ci dwaj byli starsi. Nie zostali zwolnieni - zapewnił ją. - Mówiłem ci, po pięciu latach nikogo nie zwalniają. - Wziął do ręki butelkę wina i nalał ciemnego, aromatycznego płynu najpierw do kieliszka Jesse, a później do swojego. - Zdrowie. - Trącił kieliszek Jesse swoim.

- Zdrowie. - Jesse podniosła kieliszek i pociągnęła łyk wina, przymykając oczy.

Dawno nie czuła się tak zrelaksowana, że zapomniała o obowiązkach związanych z pracą i studiami, dawno tak dobrze się nie bawiła. Otworzyła wreszcie oczy. - Czemu mi to wszystko mówisz? Sam stwierdziłeś, że Elizabeth nie byłaby z tego zadowolona.

- Bo żałuję, że mnie nikt nie poinformował o tych sprawach, zanim zacząłem pracę w Sagamore. Pewnie i tak bym się zdecydował ze względu na pieniądze. Ale mimo wszystko chciałbym wcześniej wiedzieć.

Trzysta tysięcy rocznie, kilka milionów po zdaniu egzaminu pierwszych pięciu lat. Jesse trudno było nawet sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby dostawała taką pensję. Jakąż cieszyłaby się wówczas wolnością i spokojem ducha, mimo stresu, o którym mówił David. A z tego, co powiedział, wynikało, że jedna osoba na trzy ma szansę odniesienia sukcesu w ciągu pierwszych pięciu lat pracy. Całkiem nieźle. Poza tym Elizabeth zapalała chyba do niej sympatią. To jeszcze zwiększało jej szanse.

David znów trącił jej kieliszek.

- Powiedziałem ci o tym wszystkim - zawahał się - bo cię lubię.

Todd miał absolutną rację co do zamiarów Davida, zrozumiała Jesse. Czytała w jego oczach i w normalnych okolicznościach czułaby się mile połączona. Był przystojny, bogaty i całkiem miły: niezła partia. Ale jakkolwiek romans z nim był wykluczony. Mogłaby w ten sposób zaprzepaścić okazję zatrudnienia w Sagamore.

Elizabeth zapewne nie podtrzymałaby swej propozycji, gdyby wiedziała, że David i Jesse są w związku.

- Za początek wspaniałej współpracy w firmie - wzniosła toast.

- Słusznie - odrzekł, pojmując prawdziwe znaczenie jej słów. - Za współpracę w firmie. - Lecz uśmiech Davida zdradził jego zamiary.

15.

Choć krople deszczu kapały miarowo, spacer po kampusie Uniwersytetu Georgetown sprawiał mu przyjemność. Studenci wrócili już z wakacji, lecz o tak późnej porze teren miasteczka uniwersyteckiego był opustoszały. Pozwolił sobie na krótki odpoczynek od telefonów, które bez przerwy brzęczały w jego biurze i w domu. Napawał się chwilą samotności, która obecnie była dla niego prawdziwym luksusem. Życie senatora było szalenie pracowite. Im dłużej nim był, tym tempo życia stawało się coraz bardziej burzliwe.

Senator Webb pochylił nieco swój zielonkawy parasol, ukrywając twarz przed parą młodych ludzi, którzy wylonili się spod korony wielkiego klonu, kołyszącego się nad alejką w lekkim wietrze. Ale niepotrzebnie się martwił, że go rozpoznają. Nie rozglądali się. Szli przytuleni do siebie, z głowami ukrytymi pod małym parasolem, chcąc jak najszybciej dostać się do akademika.

Gdy para studentów minęła go, Webb zatrzymał się na chwilę, żeby przyjrzeć się drzewom w upiornym świetle lampy ulicznej. Koniuszki liści zaczęły nabierać jesiennych barw. Wciągnął głęboko powietrze. Wyczuwało się już lekki chłód oraz delikatny zapach dymu z kominka jakiegoś zmarzlucha. Jeszcze jedna sześćioletnia kadencja po listopadowym pewnym zwycięstwie. Na początku tej kadencji wskaże swego następcę (miał taki przywilej) i zapozna go z senackimi obowiązkami, a zwłaszcza z komisją ds. podziału środków budżetowych. Wtedy będzie mógł przejść na emeryturę i wyjechać do ukochanej Georgii, żeby tam delektować się wojennymi łupami.

- Dobry wieczór, senatorze - przywitał się cicho Phil Rhodes, nadchodząc z tej samej strony, co para studentów. Rhodes uścisnął dłoń senatora.

- Witaj, Phil. - Głos Webba brzmiał pogodnie. Myśl o powrocie do Georgii po ostatniej kadencji nagle poprawiła mu samopoczucie.

- Cieszę się, że jest pan w dobrym nastroju. - Zadowolenie senatora nie umknęło uwadze Rhodessa.

- Dziękuję. - Webb rozejrzał się, lecz nie zauważył, by ktoś się do nich zbliżał. - Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

Rhodes zagryzł wargę. Senator był w dobrym nastroju, ale informacja, którą miał dla niego, niechybnie popsuje mu humor.

- No mów, Phil. Obiecałem żonie, że będę w domu za pół godziny. - Webb stracił raptem cierpliwość. - Nie trać czasu.

- Dobrze. - Rhodes opuścił parasol bliżej głowy, ponieważ deszcz zaczął padać coraz mocniej. - Pamięta pan, że mam wtyczkę w biurze Malcolma Walkera?

- No jasne.

- Przekazała mi wiadomość, o której, jak myślę, powinien się pan dowiedzieć. Nie chciałem mówić o tym przez telefon.

Webb kiwnął głową. Rhodes okazał się solidnym źródłem informacji.

- O co chodzi?

- Malcolm Walker w najbliższych dniach chce zwołać konferencję prasową i ujawnić tajny projekt realizowany w Nevadzie. - Ze zdenerwowania brookliński akcent Rhodesa zaznaczył się jeszcze wyraźniej. Senator na pewno się wkurzy. - Chodzi o samolot znany jako A-100. Przypuszczam, że z racji swej pozycji wie pan o tym projekcie.

- Cholera! - Webb kopnął gałąź leżącą na ziemi. Diabli wzięli tak przyjemny spacer.

Rhodes skulił się. Zwykle nie warto być zwiastunem złej wiadomości. Nawet jeśli nie ma się z nią nic wspólnego, a informacja wydaje się cenna.

- Skurczybyk. Powinien wiedzieć, kiedy ma trzymać język za zębami. Chryste, to ściśle tajny projekt, a on zacznie teraz rozdzierać szaty. Po prostu nie zna zasad tej gry. Nie mogą ścierpieć tej nowej rasy dobroczyńców i ich politycznej poprawności. Nie mają pojęcia, co znaczy obrona państwa. Nigdy nie brali udziału w wojnie. - Webb spojrział groźnie na Rhodesa. Ciężko dyszał. - Do diabła z Walkerem! Nie szkodzi. Samolot przeszedł już wszystkie próby i zaczyna się jego pełna produkcja.

- Zdaje się, że po stracie swego informatora z rejonu 51 Walker przestraszył się i postanowił jak najszybciej ujawnić sprawę.

Webb przytaknął. Pułkownik Pierce świetnie się spisał, uciszając kapitana Nicholasa.

- Walker zamierza nastawić opinię publiczną przeciw projektowi - kontynuował Rhodes. - Prawdopodobnie dysponuje danymi określającymi, ile za produkcję A-100 zapłacą podatnicy. - Rhodes pokręcił głową. - Muszę przyznać, że w kontrakcie wymienia się horrendalne sumy. Jeśli senator Walker nie przeszkodzi w jego realizacji, akcjonariusze GEA bardzo się wzbogacą. Szkoda tylko, że żaden z moich klientów nie miał szansy zapoznania się z ofertą, ale nigdy nie słyszałem o niej ani słowa. Jestem tu od dawna i z reguły o wszystkim się dowiaduję. GEA musiała wyrwać kontrakt po cichu. - Rhodes wbił oskarżycielski wzrok w Webba. Wiedział, dlaczego tak się stało.

Webb zignorował jego spojrzenie.

- Mogę bardzo utrudnić życie senatorowi Walkerowi. Być może powinienem złożyć mu wizytę przed konferencją prasową.

- Walker zastanawiałby się, skąd pan o tym wie - zmartwił się nagle Rhodes. Nie chciał trafić na pierwszą stronę „Washington Post”. Jego klienci nie byłiby z tego zadowoleni.

Webb natychmiast zrozumiał obawy lobbyisty.

- Nie martw się, Phil. Twoje nazwisko pozostanie anonimowe.

Rhodes odczuł wielką ulgę. Senator Webb zawsze dotrzymywał słowa. A więc zostanie anonimowy.

- Musi pan wiedzieć o jeszcze jednej sprawie. - Rhodes był skłonny rozmawiać teraz swobodniej, gdy senator obiecał mu dyskrecję. - Kolejny powód, dla którego powinien pan podjąć działania przeciw niemu.

- Tak?

- Podobno postanowił ujawnić wszystko, co wie na temat „czarnego budżetu”. Jak funkcjonuje, kto jest zamieszany. Zrobi to podczas tej samej konferencji prasowej.

- Rhodes wyczuł, że w senatorze wzbiera gniew. - Pomyślałem, że chciałby pan o tym wiedzieć.

- Dureń! - Webba ogarnęła wściekłość, wybuchając jak wulkan. Lecz stłumił w sobie gniew równie szybko, jak w niego wpadł. W końcu planowane wystąpienie Walkera nie oznaczało katastrofy, a szansę, na którą czekali.

Zwrócił się do Rhodesa:

- Phil, na horyzoncie pojawił się nowy, bardzo lukratywny kontrakt dotyczący produkcji helikoptera transportowego dla armii. Myślę, że któryś z twoich klientów będzie bardzo szczęśliwy, gdy zdobędzie ten kontrakt, co oznacza, że zarobiłeś dziś sporą sumkę za pośrednictwo. - Webb chwycił dłoń lobbysty i mocno ją uściśnął.

Rhodes uśmiechnął się do Webba zaciekawiony. Nie rozumiał do końca, co się właśnie stało, lecz był szczęśliwy, bo dzięki przekazanej wiadomości zapewnił sobie jakiś wielomiliardowy kontrakt. - Dziękuję, senatorze.

- Tobie należą się podziękowania, Phil. Trzymaj się. Muszę już iść. Będę się kontaktował.

- Senatorze - wtrącił szybko Rhodes - zanim pan odejdzie, odpowie mi pan na jedno pytanie?

Webb skinął głową.

- Dlaczego spędził pan tyle czasu w Senacie? Przedtem był pan chyba prawnikiem, zgadza się?

Webb znów potaknął.

- Przecież mógł pan zarobić dużo więcej pieniędzy, prowadząc prywatną kancelarię, nie martwiąc się o wszelkie minusy publicznego życia, bez tych wszystkich petentów, z których każdy wyciąga rękę po jałmużnę? Czemu wciąż wraca pan do Waszyngtonu?

Webb przyjrzał się bacznie Rhodesowi. Nie mógł znać prawdy o jego prawdziwej sytuacji finansowej. Lecz pytanie wydało mu się ciekawe, a jego bezpośredniość go zaskoczyła.

- Chodzi o władzę - przyznał wreszcie. Po raz pierwszy odpowiedział na to pytanie, także przed samym sobą.

- Jak to?

- O możliwość manipulowania ludźmi, o zabawę marionetkami.

16.

Elijah Pitts ruszył w kierunku kościelnej ambony i w tym samym czasie chór zaintonował pieśń gospel. Gdy wstępował na pierwszy z piętnastu stopni prowadzących do kazalnicy, wierni - wyłącznie czarni - wstali z miejsc, podnieśli ręce i dołączyli do chóru.

Gdy znalazł się na podwyższeniu i wyciągnął do nich ramiona, śpiew ciągnął rozszalałe crescendo. Kobiety, mężczyźni i dzieci śpiewali, klaskali i kołysali się w rytm muzyki z takim zapamiętaniem, że rozmowa nawet z najbliższym sąsiadem byłaby niemożliwa. Ale nikt się tym nie przejmował. Nikt nie chciał rozmawiać. Przybyli, żeby zobaczyć Elijaha Pittsa, przywódcę organizacji pod nazwą Liberation for African-Americans i oczy wszystkich wpatrzone były tylko w niego.

LFA istniała zaledwie trzy lata, lecz liczyła już ponad pół miliona członków. Postawiła sobie jasny cel: rozwój społeczności afro-amerykańskiej przy zastosowaniu pokojowych środków. I w ciągu trzydziestu sześciu krótkich miesięcy działalności z charyzmatycznym Pittsem na czele LFA stała się siłą, z którą należało się liczyć.

Pitts powoli podniósł do góry swe wyciągnięte ręce i odchylił głowę do tyłu, kierując wzrok w stronę nieba. Ciała drżały, a gardła śpiewały aż do utraty głosu. Jedynie ustawionym przed sceną ochroniarzom pastora, dwudziestu potężnym młodym mężczyznom w czarnych garniturach, ciemnych muszkach, białych koszulach i ciemnych okularach, nie udzielał się entuzjazm. Stali zupełnie nieruchomo, z założonymi rękami i kamiennymi twarzami.

Pitts opuścił ręce i trzysta głosów natychmiast umilkło.

- Bracia i siostry, mam zaszczyt być tu z wami dziś wieczorem. - Miał głęboki, hipnotyczny głos. Jakaś kobieta w pierwszym rzędzie krzyknęła jego imię i padła zemdlnona, lecz pastor nie zwrócił na to uwagi. Ochroniarz wziął ją na ręce i wyniósł na zewnątrz. - Za każdym razem, gdy widzę przed sobą takie zgromadzenie, nie posiadamy się ze szczęścia. Widzę, że marzenie sprzed trzech lat dzisiaj się ziściło. Kochani, jest nas już pół miliona. Nie możemy pozwolić, by nas ignorowano. Nasze głosy słyhać głośno i wyraźnie w Annapolis, a co ważniejsze, także w Waszyngtonie.

W tłumie rozległy się liczne okrzyki zadowolenia.

Wielebny poprosił gestem ręki o ciszę.

- Gdy zakładaliśmy naszą organizację, wszyscy nas ignorowali. - Jego głos zaczął drżeć. - Rzadko kto odpowiadał na moje telefony. Rzadko zapraszano mnie na narady

zespołów i komisji, które decydowały o naszym losie. Rzadko proszono mnie o radę. - Na chwilę przerwał orację, po czym zaczął kiwać głową. - Teraz mamy władzę.

Kilka osób ze zgromadzenia zawołało „amen”.

Twarz pastora przybrała triumfalny wyraz.

Okrzyki stawały się coraz głośniejsze.

- Teraz mamy tyle pracy, że muszę prosić asystentów, aby wyręczali mnie w niektórych obowiązkach. Teraz na każdy telefon otrzymujemy natychmiastową odpowiedź, nie musimy już czekać.

Ludzie skakali w miejscu, wykrzykując imię pastora. Choć mówił przez mikrofon, musiał teraz krzyżeć, żeby być słyszonym.

- A wszystko dzięki takim ludziom jak wy - grzmiał. - Dzięki takim zgromadzeniom w całym wielkim stanie Maryland. Słuchają nas! Jesteśmy silni! Nie zginiemy!

W kościele rozpętała się burza oklasków. Pastor zrobił na ambonie jeden krok do tyłu, powoli się uklonił i zaczął schodzić na dół. Z chóru buchnęła kolejna pieśń gospel. Gdy zszedł na dół, wrócił na scenę, pomachał do rozszalałego tłumu i zniknął za purpurową kotarą w głębi prezbiterium.

- Piękny występ, pastorze. - Derek Holmes, wiceprzewodniczący LFA uściśnął Pittsa, gdy ten ukazał się za kotarą. Holmes poprowadził go między dwoma rzędami ochroniarzy i sympatyków do małych bocznych drzwi kościoła, przy których czekała już na nich limuzyna.

Gdy znaleźli się w wozie, Pitts położył się na długim siedzeniu.

- O której mamy następne spotkanie? - zapytał Holmesa, pocierając oczy.

- O dziewiątej - odparł Holmes. - Mamy jeszcze mnóstwo czasu: jest dopiero ósma trzydzieści. - Pastor skończył właśnie czwarte wieczorne wystąpienie i czekały go jeszcze cztery. - Wszystko w porządku? - zapytał młodszy mężczyzna.

- Jak najbardziej! - zapewnił go głośno Pitts, podnosząc się, gdy limuzyna ruszyła spod kościoła. - Wszystko w absolutnym porządku. Potrzebowałem tylko kilku sekund wytchnienia i teraz znów jestem gotów.

Holmes nie mógł się nadziwić, jak wielkimi pokładami energii dysponuje sześćdziesięcioletni Pitts.

- A może się pan zdrzemnie na dwadzieścia minut? Gdy będziemy na miejscu, obudzę pana.

- Nonsens, to tylko strata czasu. Poza tym musimy o czymś porozmawiać. - Pitts spoglądał na migające za oknem pędzącego samochodu światła centrum Baltimore.

- Tak?

- Musimy porozmawiać o Malcolmie Walkerze.

Holmes spodziewał się, że pastor podejmie ten temat. Senator Walker stał się w ostatnich tygodniach obsesją Elijaha Pittsa.

- To znaczy?

Pastor przeciągnął się.

- Przed chwilą powiedziałem zebranym, że teraz wszyscy odpowiadają na nasze telefony. I to prawda, choć jest jeden wyjątek. Tym wyjątkiem jest Malcolm Walker. Wciąż usiłuje się od nas dystansować.

- Przecież wie pan dlaczego - tłumaczył Holmes. - Senator uważa, że jeśli będzie zanedbano kojarzony z LFA przez białych wyborców, zwrócą się przeciw niemu podczas listopadowych wyborów. I pewnie ma rację. Konserwatywne media z powodzeniem lansują pogląd, że jesteśmy wrogo nastawieni do białej społeczności, choć to wierutne kłamstwo. Biali stanowią siedemdziesiąt sześć procent elektoratu Maryland i Walker musi utrzymać poparcie białych, które zdobył sześć lat temu, żeby pokonać Elbridge'a Colemana. Chodzi o czystą matematykę. Bez białego elektoratu po prostu przegra.

Pastor pozostawał nieprzejednany.

- Jest senatorem Stanów Zjednoczonych. Jedną z najbardziej uznanych kolorowych osób w tym kraju. Musi publicznie okazać nam swój szacunek.

Holmes milczał. Pitts wpadł w mentorski ton, jakby wygłaszał jedno ze swoich kazań, sygnalizując tym samym Holmesowi, że nie można mu przerywać.

- Walker lubi swój senatorski tytuł. Nie, on się nim rozkoszuje - Pitts poprawił samego siebie - tak jak wszystkim, co jest z tym związane. Derek, LFA stała się najpotężniejszą organizacją w stanie Maryland, w stanie, który daje mu tytuł senatora. Mógłbym nastawić przeciw niemu wielu wyborców, co najmniej pół miliona, i odebrać mu ten tytuł. Teraz prowadzi zjadłą walkę z Colemanem. Gdyby stracił poparcie LFA, straciłby również miejsce w Senacie. Musi zdawać sobie sprawę, że to ja mam władzę, nie on. Proszę go tylko, aby okazał nam należny szacunek.

Holmesa męczyła ta rozmowa. Wrócili do tego tematu codziennie przez cały ostatni tydzień.

- Dlaczego tak strasznie panu na nim zależy?

- Pomyśl, ile mógłby dla nas zrobić.

- Pastorze, do tej pory jakoś radziłeś sobie bez...

- Mógłby nas awansować - przerwał Pitts młodszemu mężczyźnie. - Mógłby wprowadzić nas do pierwszej ligi. Być może pomógłby naszej organizacji przybrać charakter ogólnonarodowy. Powinien robić wszystko, żeby pomóc swym czarnym braciom.

- Sądzę, że pomaga, ale żeby robić to dalej, musi wygrać wybory. W ten sposób najlepiej będzie nam służył.

- Musi uznać źródło swej władzy, tak jak wszyscy politycy.

- Niech pan pozwoli Walkerowi wygrać listopadowe wybory - przekonywał łagodnie Holmes - i dopiero wtedy zacieśni z nim stosunki. - Udzielanie rad należało do jego obowiązków, nawet jeśli wielebny się z nimi nie zgadzał. Pitts ustalił z nim to na samym początku.

- Po wyborach stracę kartę przetargową. Nie będę już miał takiego wpływu. Wtedy będzie mnie mógł po prostu zignorować. - Pitts wycelował palec w młodszego mężczyznę. Czasem mnie martwisz. Musisz być bardziej przebiegły politycznie.

- Pod tym względem nie ustępuję innym - zripostował Holmes. - Nie wierzę własnym uszom. Zawsze mówił mi pan, że mam wygłaszać swe opinie, nie zważając na nic, pod warunkiem, że jesteśmy sami. Właśnie to robię.

Pitts patrzył na Holmesa gniewnie, lecz po chwili jego twarz złagodniała.

- Przepraszam, Derek. Zawsze byłeś moim najlepszym doradcą. Jestem ci za to wdzięczny.

Holmes próbował opanować zdenerwowanie.

- Dlaczego osoba senatora Walkera tak bardzo pana absorbuje? - W jego głosie wciąż pobrzmiwała irytacja.

Pastor odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

- Pastorze Pitts, dlaczego? - Holmes nie ustępował.

- Sprawdzales ostatnio naszą sytuację finansową, Derek? - Głos pastora był opamnowany.

- Nie. Uznaję zasadę podziału pracy. Nie zajmuję się czymś, na czym się nie znam.

- Mamy na koncie bieżącym tysiąc dolarów. Ledwie starczy na tę limuzynę.

Holmes otworzył ze zdziwienia usta.

- Tylko tysiąc dolarów? Jak to możliwe?

- Kierowanie taką organizacją, Derek, wymaga pieniędzy. Dużo pieniędzy. Rozrastamy się tak szybko, że datki naszych członków nie wystarczają, żeby nas utrzymać. Kiedyś tak będzie, ale jeszcze nie teraz.

- Ja nadal nie widzę związku między naszymi potrzebami finansowymi a Malcolmem Walkerem.

Pastor miał nadzieję, że nie jest przezroczysty, gdyż tak się czuł.

- Nasi zwolennicy, którzy trzy lata temu dostarczyli nam pieniądze i od tamtej pory utrzymują nas dzięki dobroci serca i odwadze przekonań, dali mi do zrozumienia, że chcą ustępstw ze strony Walkera teraz, póki mam na niego wpływ. Wstrzymali fundusze do czasu, gdy bliżej zwiążę senatora z nami. Nie podzielają twego poglądu, że powinniśmy zaczekać do zakończenia wyborów. Chcą, żeby to się stało teraz. - Pitts przerwał na chwilę. - Musimy szybko zdobyć te pieniądze, Derek. Bardzo szybko. Mnóstwo ludzi jest ode mnie uzależnionych.

Derek Holmes w milczeniu analizował słowa pastora. Nigdy nie poznał tych anielskich sponsorów, o których bez przerwy wspominał pastor. Z tego co wiedział, nie znał ich ani on, ani nikt inny z LFA, oprócz samego Pittsa. Teraz chciał uzyskać odpowiedź. Zdał sobie nagle sprawę, że motywy owych aniołów wcale nie muszą być czyste, jak to od dawna głoszono.

- Kim są ci ludzie, pastorze Pitts?

- Co za różnica? Ważne jest, byśmy zdobyli pieniądze.

Holmes pokręcił głową, usiłując zrozumieć, dlaczego pastor konsekwentnie unika odpowiedzi na to pytanie. Wtem dotarła do niego straszliwa prawda i aż odwrócił głowę, żeby pastor nie dostrzegł szoku w jego oczach.

Lecz Pitts zauważył zmianę na twarzy Holmesa i wyczuł, że młodszy mężczyzna skojarzył fakty.

- Derek - zwrócił się do niego łagodnym głosem. - Wszyscy musimy czasem pójść na krótkotrwały kompromis, żeby osiągnąć dalekosiężne plany. Kompromis i działanie wbrew sobie są elementami naszej rzeczywistości, przed którymi nie ma

ucieczki. Są częścią naszego życia, której nie możemy uniknąć. Musimy robić wszystko, co w naszej mocy, i żyć dalej. Ja tak robię. Tak samo musisz robić i ty.

17.

Corsica liczyła sobie ledwie piętnaście kilometrów długości, lecz jej koryto było na tyle szerokie i głębokie, że nawet w czasie odpływu nadawała się do żeglugi. Rzeka meandrowała na zachód ze wschodniego wybrzeża Maryland i wpływała do rzeki Chester, która z kolei wpadała do Zatoki Chesapeake kilka kilometrów dalej na zachód. W swym górnym biegu Corsica tworzyła jedynie niewielki strumień, lecz jak większość rzek w tym rejonie, szybko się rozszerzała, osiągając w większości punktów kilkaset metrów szerokości.

Jesse stała na mostku żaglówki obok Davida, który uważnie sterował długim na jedenaście metrów dickersonem przy lekko wzburzonej wodzie i w ciemnościach rozświetlanych jedynie poświatą księżycy i żółtą lampą na dziobie. Wypożyczyli tę luksusową łódź z tekowym pokładem i mahoniowymi ozdobami rano w przystani w Baltimore i spędzili cudowną sobotę, żeglując po Chesapeake. Teraz płynęli do położonego nad Corsica domu przyjaciela Davida, gdzie mieli spędzić noc.

Pierwotnie zamierzali wrócić do przystani przed zmrokiem, lecz pogoda i wiatr były tak wspaniałe, że późnym popołudniem okazało się, iż są za daleko od przystani, by wrócić tam przed zmrokiem. David zadzwonił do swego przyjaciela przez telefon komórkowy i teraz płynęli Corsica, wypatrując na jej brzegu świateł domu.

David niezbyt chętnie wypowiadał się o warunkach, jakich można oczekiwać w domu przyjaciela. Obiecał tylko bieżącą wodę i - ponieważ Jesse wyraźnie zaznaczyła, że nie będą spać razem - osobne sypialnie. Jesse wahała się, czy w ogóle przyjąć zaproszenie Davida na wspólną wyprawę, lecz uznała, że będzie mogła dowiedzieć się jeszcze więcej o Sagamore. Musiała przyznać, że nie żałowała swej decyzji.

- Nad czym się zamyśliłaś, Jesse? - zapytał David cicho. - Od jakiegoś czasu nic nie mówisz.

Podniosła kołnierz swetra zarzuconego na ramiona. Po zachodzie słońca ochłodziło się.

- Tak sobie myślę.

- O czym?

- O Sagamore i piątej rocznicy. O tym, co mi wtedy powiedziałaś podczas kolacji.

O tym, co mi powiedziałaś dzisiaj.

- Nie przejmuj się zbytnio tym wszystkim. Chyba nie powinienem był ci tego

mówić, naprawdę. Strzepnął komara z ramienia. - Słuchaj, nie jest to złe miejsce pracy. Mają duże oczekiwania, bo dużo płacą. Ot, kapitalizm.

- Ależ cieszę się, że mi wszystko opowiedziałeś. Wcałe się nie przestraszyłam. - Przytrzymała się bomu, gdyż łódź zakołysała się w jedną i drugą stronę na pofalowanej wodzie. - Nie tak łatwo mnie przestraszyć.

- To dobrze.

- Zresztą wszystko jedno - wybąkała.

- Jak to?

- Pewnie i tak nie zaproponują mi pracy.

- Nie byłbym tego taki pewien. - David wy tężył wzrok, usiłując zlokalizować następną boję. Na chwilę odwrócił się do niej, choć jego oczy nadal lustrowały ciemną toń przed nimi.

David sprawdził się jako żeglarz.

- Naprawdę uważasz, że Sagamore proponuje mi pracę, gdy skończę studia?

- A dlaczego nie?

- Podczas mojej wizyty zauważyłam, że firma szuka osób z odpowiednim pochodzeniem. Takich jak ty. Ja bym nie pasowała do wizerunku firmy. Nie chodziłam do ekskluzywnych szkół. Moja rodzina nie wywodzi się z arystokracji. A ja nie potrafię nawet zamówić wina. Sam widziałeś.

A więc Jesse sądziła, że pochodził z warstwy uprzywilejowanej. Nie zamierzał dobrowolnie wyprowadzać jej z błędu. Jeszcze nie teraz.

- Nie musisz wybierać wina tylko właściwe akcje. Zdaniem Elizabeth nadajesz się. A skoro podobasz się Elizabeth, jesteś już w firmie.

- Elizabeth odniosła niebywały sukces.

- To prawda.

Jesse pochyliła się, żeby sprawdzić wskazania kompasu.

- Opowiedz mi o sobie, Davidzie.

Poczuł, jak przyspiesza mu puls. Nie chciał opowiadać jej o szeregowym domu z biednej dzielnicy, o grze w nogę łątaną piłką na podwórku, o okradaniu sklepów, żeby nie chodzić głodnym, i o kolekcji poliestrowych garsonek matki. Gdyby się dowiedziała, wydałby jej się dużo mniej interesujący.

- Co chcesz wiedzieć?

- Skąd pochodzisz, gdzie chodziłeś do szkoły. Zwykłe rzeczy.

- Co to? Konkurs piękności?

- Nie - roześmiała się. - Przesłuchanie. - Wyprostowała się, przestając studiować kompas. - Gdybym ci nie ufała, pomyślałabym, że coś ukrywasz.

- Przejrzałaś mnie. Jestem podwójnym agentem z Berlina - przyznał z potwornym niemieckim akcentem. - A praca w Sagamore jest tylko przykrywką. Teraz ty wyjaw swój mroczny sekret.

Ale tym razem, choć David wydał polecenie z identycznym niemieckim akcentem, Jesse nie uśmiechnęła się.

- Dzisiaj powiedziałam ci wszystko. Jestem najmłodsza z dziewięciorga dzieci. Gdy dorastałam, nie mieliśmy wiele. Nie byliśmy biedni, ale zawsze nosiliśmy ubrania

dotąd, aż do niczego się nie nadawały. Mój ojciec pracował prawie cały dzień, żeby nie zabrakło nam jedzenia. Umarł, gdy miałam szesnaście lat.

- Przykro mi.

- Dziękuję. Był wspaniałym człowiekiem, Davidzie. Wciąż za nim tęsknię.

- Nie wątpię. - David pomyślał przez sekundę o własnym ojcu, który spoczywał na zaśmieconym cmentarzu w Glen Owens.

- Życie mojej matki toczyło się i toczy wokół miejscowego kościoła - kontynuowała Jesse. - Ciągłe zbiera pieniądze dla ubogich, organizuje wycieczki albo po prostu sprząta.

- Wspaniale.

- To duża parafia. Ksiądz McCord potrzebuje do pomocy każdej chętnej pary rąk, a ona uwielbia wprost pomagać. Nie wiem, co by bez tego wszystkiego zrobiła. - Jesse przerwała na chwilę. - Czasem trudno jest jej powiązać koniec z końcem. Kolejny powód, dla którego powinnam zacząć trochę więcej zarabiać po uzyskaniu dyplomu. Chcę ją trochę wesprzeć.

- Chyba utrzymujesz z matką bardzo bliskie stosunki.

Jesse kiwnęła głową.

- Tak.

- Czy po śmierci ojca matka ponownie wyszła za mąż?

- Nie. - Dziwnie się czuła, nie mówiąc Davidowi prawdy, ale w tej chwili nie chciała myśleć o Joem Schumanie. Nie chciała znów przez to przechodzić. Nie chciała psuć sobie nastroju tego cudownego dnia. - No i znów tylko ja gadam.

- Mmm.

Zamilkli pośród ciszy spokojnej rzeki. O tej porze na wodzie nie było już żadnych łodzi i tylko przez gęsty las porastający oba brzegi prześwitywały nieliczne światła. Jedynym dźwiękiem był chłopot wody uderzającej o kadłub żaglówki i słabe pobrękiwanie małego silnika. Zwinęli żagle, wpływając na wody Corsici, nie chcąc halsować na całej długości wąskiego koryta rzeki. Bezpośrednio nad nimi połykiwała tarcza księżycy w pełni, otoczona zamgloną aureolą.

- Jest przepięknie, prawda? - zauważył David. Księżyc odbijał się wyraźnie na tle czarnego nieba.

- Też tak myślę.

Po stronie lewej burty rybołów dał nura do wody za swą ofiarą. Jesse wzdrygnęła się. W jednej chwili znalazła się nieopodal domu Neila Robinsona, przedzierając się przez las i uciekając przed prześladowcą.

- Nic ci nie jest?

- Nie. - Przycisnęła dłonie do piersi, w której tłukło się serce.

- Na pewno?

- Na pewno - odpowiedziała, tym razem bardziej stanowczo.

- OK. Przejmiesz ode mnie ster, Jesse? Dzięki, że pozwoliłaś mi pobawić się w kapitana, ale to ty bardziej znasz się na żeglowaniu, a ja nawet nie widzę oznaczeń. Nie chciałbym, żebyśmy utknęli na mieliźnie. Wątpię, czy pracownicy wypożyczalni byliby zadowoleni.

- W porządku. - Wciąż ciężko oddychała.

David usunął się na bok, zwalniając miejsce przy sterze.

- Właściwie to kiedy nauczyłaś się tak dobrze żeglować? Chryste, dzisiaj w pewnym momencie mieliśmy taki przechył, że mało brakowało, a byłaby wywrotka. Muszę jednak przyznać, że wspaniale jest płynąć tak szybko.

- Nauczyłam się od przyjaciela - wyjaśniła, zaciskając palce wokół pokrytego chromem steru. Uczył ją Todd, jesienią w ostatniej klasie szkoły średniej. Co weekend wypływali na wody zatoki w małej żaglówce, którą Todd kupił z grupą przyjaciół i w ten sposób stała się ekspertem. Podczas jednego z takich rejsów po raz pierwszy się zakochała.

- Czy przypadkiem tym przyjacielem nie jest gość, którego poznałem wtedy, gdy przyjechałem, żeby zabrać cię do Sagamore.

- Masz na myśli Todda?

- Chyba tak.

- Todd jest w porządku. Na pewno go polubisz.

- Pewnie - odparł cierpko David.

Przy sterze wisiała mapa rzeki.

- Słuchaj, tutaj robi się płytko - wskazała na mapę. - Niedługo Corsica będzie miała trzy metry szerokości i metr głębokości, a my utknemy w błocie. Właściwie gdzie my płyniemy?

- Byłem tam tylko raz, i to samochodem.

- Cudownie. Całą noc będziemy pływać w tę i z powrotem po Corsice.

- Bez obaw. Znalezienie tego domu nie powinno być trudne.

- A to dlaczego?

- Nad rzeką nie ma zbyt wielu domów i... - David przerwał, gdy żaglówka wypłynęła zza zakrętu, i wskazał ręką w stronę brzegu. - I mój przyjaciel obiecał, że zostawi dla nas zapalone światła.

Otworzyła szeroko oczy.

- Tam?

- Aha.

W odległości stu metrów znajdował się przepięknie oświetlony długi pomost, wcinający się w głąb rzeki. Zacumowano przy nim kilka łodzi motorowych i żaglówkę typu Alden.

Gdy Jesse kierowała dickersona w stronę pomostu, ich oczom ukazały się światła domu położonego dalej na wzgórzu.

- Boże, ale ogromny - dziwiła się.

- Siedem sypialni i sześć łazienek - oznajmił David. - W piwnicy można urządzić mecz piłki nożnej.

- Czyj to dom?

- Martina Broadbenta. Jest członkiem zarządu Sagamore. Jego letnia posiadłość. - David mrugnął do Jesse. - Dobrze być królem, jak mówią.

Gdy żaglówka dopłynęła do pomostu, David chwycił linę przy rufie i wyskoczył na pomost. Szybko zatrzymał łódź, przywiązał linę do palika, po czym zrobił to samo z liną przy dziobie. Upewnił się, że liny nie są naprężone, aby łódź mogła unosić się i

opadać wraz z przypływem. Ukląkł i pomógł Jesse wydostać się z łodzi. Stali przez chwilę na przystani twarzą w twarz.

David podniósł wreszcie rękę i delikatnie dotknął nią policzka Jesse.

- Dziękuję za cudowny dzień.

- Dziękuję.

David powoli pochylił się, żeby ją pocałować.

Ona też świetnie się bawiła i wiedziała już na pewno, że David może być kimś, kto mógłby ją zainteresować. Lecz gdy pocałunek robił się coraz bardziej namiętny, wyrywała mu się. Nie mogła stracić szansy na pracę w Sagamore.

- Chodźmy lepiej do domu. Jest późno i jeśli ktoś na nas czeka, nie powinniśmy dłużej nadużywać jego gościnności.

- Aha. - David uśmiechał się w duchu, gdy wzięła go za rękę i zaczęła prowadzić pomostem w stronę domu. Już widział ten błysk zainteresowania w jej oczach. Pamiętał go z wieczornego przyjęcia na uczelni, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- Dobry wieczór, Elijah.

Pitts nie znośił tych spotkań.

- Dobry wieczór. - Nie był człowiekiem, któremu łatwo przychodziło okazywanie komuś względów, lecz w tym przypadku było to konieczne.

- Nie mam dużo czasu, więc będę się streszczał.

- W porządku.

- Potrzebuję twojej pomocy, Elijah.

Pitts wzdrygnął się. Wszyscy zwracali się do niego per pastorze, natomiast on zawsze używał jego imienia, subtelnie zaznaczając, kto kim rządzi w tym związku.

- O co chodzi? - zapytał cicho Pitts.

- Już kiedyś o tym mówiliśmy.

- Malcolm Walker.

- Zgadza się. Czyżbym wyczuwał irytację, Elijah?

- Nie. - Głos pastora brzmiał jednak niezbyt przekonująco.

- Wiedziałeś, że prędzej czy później zwrócę się do ciebie z tą prośbą.

- Mhm.

- LFA jest w rozpaczliwej sytuacji finansowej - przypomniał mu rozmówca. - Dostaniecie nowy zastrzyk gotówki, gdy tylko wykonasz zadanie.

Rachunek bieżący został już opróżniony, a za kilka dni musiał wypłacić pensję. Pitts potrzebował pieniędzy natychmiast, w przeciwnym wypadku wszystko pójdzie na marne. Organizacja przestanie istnieć w chwili, gdy zaczęła właśnie rosnąć w siłę. Kiedyś w przyszłości nie będą potrzebowali tego szatańskiego patrona, lecz teraz byli od niego całkowicie uzależnieni.

- Co mam zrobić?

W sklepie unosiła się ciężka woń skóry, lecz Roth nie zważał na to. Podeszedł do sprzedawcy, który stał za oszkloną ladą.

- Dobry wieczór, panu. Mogę w czymś pomóc? - Sprzedawca uśmiechnął się szczerze, choć było już późno i miał za sobą bardzo pracowity dzień.

- Mam taką nadzieję - odpowiedział uprzejmie Roth. Wszedł do sklepu, gdy zbliżała się godzina zamknięcia i tak jak przypuszczał, nie było w nim klientów. - Potrzebuję pewnych informacji.

- Jakiego rodzaju? - niepewnie zapytał sprzedawca.

Roth sięgnął do kieszeni i wyciągnął ciężką odznakę.

- Pracuję dla zastępcy prokuratora generalnego. - Jego głos przybrał poważny ton. Zamknął szybko portfel z odznaką. - Prowadzę ważne dochodzenie i potrzebne mi są informacje o rękawiczce, którą prawdopodobnie zakupiono w tym sklepie. Informacje te muszę uzyskać natychmiast.

- Może zawołam kierownika. - Sprzedawca nie zamierzał brać odpowiedzialności za tę sprawę.

Kwadrans później Roth opuścił sklep, otrzymawszy dokładnie to, po co przyszedł. Teraz miał jeszcze odwiedzić laboratorium, w którym analizowano próbki włosów, choć teraz właściwie było to już zbędne.

18.

Panno Hayes?

Do biura Jesse zaglądał nieśmiało Rob Forester, specjalista od analizy systemów, który również sporządzał raporty dochodzeniowe dla urzędników skarbowych.

- Cześć, Rob.

- Mam raport, o który prosiłaś.

- Wejź, skarbie. - Wstając od biurka, skinęła ręką, żeby wszedł do środka. - Nie stój tam jak zablakane dziecko.

Młody mężczyzna wykonał polecenie.

- Sprawiałaś wrażenie bardzo zamyślonej. Nie chciałem przeszkadzać ci w pracy.

- Cieszył się za każdym razem, gdy miał sporządzić raport dla Jesse. Traktowała go z szacunkiem w przeciwieństwie do innych urzędników skarbowych, którzy chcieli, aby ich zlecenia traktowano jak rozkazy samego Boga. - Nie chciałem cię niepokoić.

Rzeczywiście zamyśliła się, choć z pracą nie miało to nic wspólnego. W sobotę rozmawiała z Davidem do trzeciej nad ranem; siedzieli sami na ogromnej osłoniętej werandzie olbrzymiego domu Broadbenta nad rzeką. Dyskutowali o wszystkim: od win i żeglowania do Sagamore, o Elizabeth Gilman i Arcie Mohlerze. Choć spędzili ze sobą cały dzień, nie zabrakło im tematów do rozmowy.

Gdy wreszcie zamilkli z wycieńczenia, David grzecznie odprowadził Jesse do sypialni i uściśnął jej dłoń na dobranoc. Zachował się jak prawdziwy dżentelmen i nawet była nieco zawiedziona, że nie próbował znów jej pocałować. Ale i tak przecież nie pozwoliłaby mu na to.

- Panno Hayes?

Jesse ponownie otrząsnęła się z marzeń na jawie i podeszła do Roba, żeby odebrać raport.

- Bardzo dziękuję ci za pomoc.

- Jeśli będę mógł coś jeszcze zrobić, proszę dzwonić.

- Oczywiście.

- OK. - Rob przystanął na chwilę w drzwiach, z rękoma wepchniętymi do kieszeni, mając nadzieję, że od razu przedstawi mu kolejne zlecenie. W końcu machnął niecierpliwie ręką i wyszedł.

Jesse uśmiechnęła się, zamykając drzwi, po czym wróciła do biurka. Rob był miły i pochlebiał jej, że ktoś się w niej durzy.

W zeszły piątek otrzymała z federalnej komisji wyborczej listę wszystkich oficjalnych uczestników kampanii Elbridge'a Colemana, łącznie z ich numerami ubezpieczeniowymi. Rob w swym raporcie skorzystał z tych numerów i sporządził zestawienie wszystkich miejsc pracy, w których w ciągu ostatnich dwóch lat zatrudnieni byli ludzie Colemana. Od pracodawców zawsze wymagano, by odliczali od zarobków podatki i przesyłali je do urzędu skarbowego, używając dla celów identyfikacyjnych numerów ubezpieczeniowych. Po zdobyciu tych numerów sporządzenie raportu było bardzo proste.

Celem tych działań było prześwietlenie kampanii Colemana. Miała nadzieję, że coś naprowadzi ją na właściwy trop. Mogła się mylić, lecz od czegoś musiała zacząć. Wyciągnęła z szuflady listę ludzi zaangażowanych w kampanię Colemana i zaczęła porównywać ją z raportem Roba.

Niemal w tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Halo.
- Jess?
- Todd. Co tam słyhać?
- Wszystko w porządku, a u ciebie?
- Też. - Popijała kawę, nie przestając porównywać listy pracowników Colemana z raportem placowym Roba.

- Zmęczona? - zapytał Todd.
- Nie, dlaczego? Skąd to pytanie?
- A nic. Słuchaj, mam kilka pomysłów związanych ze sprawą, o której wtedy rozmawialiśmy.

- Ale nie ustaliliśmy jeszcze twojego niebotycznego honorarium - docięła mu. - I pewnie zażadasz zaliczki, prawda? - Nagle jeden z pracodawców z raportu Roba przykuł jej uwagę.

- Przestań, Jess. Wiesz, że żartowałem.

Wpatrywała się w nazwisko, nic nie rozumiejąc. Po co Coleman miałby zatrudnić osobę, która tam pracowała?

- Jess, jesteś tam jeszcze?

Nic nie rozumiała.

- Jess!

- Jestem - odpowiedziała, próbując rozwikłać zagadkę.

- Posłuchaj, jaki mam plan.

- Nie. - Głos Jesse zabrzmiał nagle lodowato. - Nie przez telefon. - Uświadomiła sobie, że w biurze można z łatwością zainstalować podsłuch. - Spotkajmy się dziś wieczorem tam, gdzie zwykle chodziliśmy po kinie.

- Jak za dawnych czasów? - roześmiał się Todd.

- Tak. O siódmej.

- Stało się coś?

- Nie. Po prostu przyjdź tam. - Szybko odłożyła słuchawkę, ucinając dalszą rozmowę, po czym wstała od biurka. Rob mógł jej jeszcze w czymś pomóc.

Otwierając drzwi, niemal zderzyła się z Sarą.

- Cześć, Jesse.

- Cześć. - Odruchowo schowała za siebie raport Roba.

- Nad czym pracujesz? - Sara zauważyła gest Jesse. - To chyba coś ściśle tajnego.

Pochyliła się i wskazała na raport.

- Ach, to. - Jesse wyciągnęła raport z za pleców. - To kontrola pewnego biednego farmera z hrabstwa Carroll. Usiłuję znaleźć jakiś sposób, żeby nie obciążać go grzywną, ani nie nasylać na niego kontrolera, choć od dwóch lat nie płaci podatku dochodowego. Ale żeby mu pomóc, potrzebuję jeszcze jednej rzeczy. Idę teraz do archiwum. Potrzebujesz czegoś?

Sara pokręciła głową.

- No to zaraz wracam. - Jesse minęła Sarę. - Może zjemy razem lunch - rzuciła na odchodnym.

Sara patrzyła uważnie za oddalającą się Jesse. Miała iść do archiwum, tymczasem szła w przeciwnym kierunku.

Todd kierował białą corvetta na długim żwirowym podejździe prowadzącym do jego domu; jechał ostrożnie, chroniąc podwozie samochodu przed większymi kamieniami, które wylatywały spod kół. Wreszcie zatrzymał corvette przed drewnianym budynkiem.

Było to doskonale mieszkanie dla kawalera: praktyczne, spokojne, odosobnione. Kiedyś dom ten służył dzierżawcy opiekującemu się dużą posiadłością, której właściciele mieszkali w białej rezydencji na wzgórzu. Dzierżawca zmarł jednak rok temu, a właściciele zawarli umowę na uprawę swych ziem z kimś innym. Domek zatrzymali i wynajęli Toddowi.

Wysiadając z corvetty, Todd usłyszał odgłosy innego wozu, którego koła trzeszczały na żwirowym podejździe. Nadjeżdżającym samochodem był lśniący czarny cadillac - ogromny i drogi. Lecz jego kierowca nie okazywał takiej troski o swój pojazd jak Todd i pędził szybko wysadzaną drzewami drogą.

To Harry składał swą cotygodniową wizytę. Gdy czarna limuzyna była już blisko, Todd zatrzasnął drzwi corvetty. Z jakichś dziwnych przyczyn Toddowi podobała się zabawa w kotka i myszkę, którą z nim prowadził. Harry mówił dużo, lecz nigdy nie spełniał swych gróźb. I gdy tylko Todd potrzebował pieniędzy, po prostu mu je pożyczał.

Harry zatrzymał cadillaca za corvetta, blokując ją, i wysiadł z dwójką silnie zbudowanych mężczyzn. Podeszedł powoli do Todda, natomiast jego dwaj kompani oparli się o maskę samochodu.

- Cześć, Todd. - Głos Harry'ego brzmiał nieprzyjemnie.

- Cześć, Harry. - Todd starał się przybrać nonszalancką pozę.

Harry podszedł do Todda tak blisko, że ich twarze oddalone były tylko o kilka centymetrów.

- Przyjechaliśmy po pieniądze.

Todd uśmiechnął się szeroko.

- Jasne, Harry.

Nagle Harry wymierzył potężny cios w brzuch Todda, który w jednej chwili stracił oddech i osunął się na kolana, trzymając się za brzuch.

- Mój szef suszy mi głowę w sprawie twojej pożyczki. Jesteś nam winien trzydzieści tysięcy dolarów. Piętnaście wzięłeś pod zastaw samochodu, a drugie piętnaście przepuściłeś na weekendach spędzonych przy stolikach do gry w oczko w Atlantic City, kiedy nie dopisywało ci szczęście. Do poniedziałku chcemy z powrotem co najmniej pięć tysięcy, a wyrównanie do końca miesiąca. Jasne?

- Tak - wydyszał Todd.

Harry skinął przez ramię na swych kumpli, którzy wyciągnęli spod długich skórzanym płaszczy łańcuchy i szybko rozbili nimi przednie i tylne reflektory corvetty. Gdy skończyli, Harry chwycił Todda za włosy i odchylił do tyłu jego głowę.

- Chciałem zostawić ci małą pamiątkę po naszej dzisiejszej wizycie.

- Dziękuję - wymamrotał Todd. Powietrze zaczęło powoli wracać do jego płuc.

- Nie ma za co, przyjacielu. - Harry uśmiechnął się. - I jeszcze jedno. - Harry ponownie walnął Todda pięścią w spłot słoneczny. Tym razem Todd upadł jak długi na ziemię. - Pamiętaj, kolego: pięć tysięcy do poniedziałku, reszta do końca miesiąca. A odsetki wzrosły do dwudziestu pięciu procent. - Harry roześmiał się, po czym zrobił w tył zwrot i poszedł do swego samochodu. Wsiadając do cadillaca zawołał jeszcze do Todda: - Wiemy też, gdzie mieszka twoja siostra. Ma ślicznego małego bobaska.

Cała trójka zatrzasnęła drzwi, zaryczał silnik, koła zakręciły się i cadillac ruszył gwałtownie, obsypując corvette żwirem spod kół. Todd próbował się podnieść, ale znów padł na ziemię.

Harry po raz pierwszy spełnił groźbę. Zabawa się skończyła i Todd zdał sobie sprawę, że to nigdy nie była zabawa.

19.

W przeciwieństwie do innych funduszy, które inwestowały wyłącznie w akcje spółek giełdowych, Sagamore wykupywał również kontrolne pakiety udziałów firm prywatnych, gdy zarząd funduszu widział szansą taniego wykupu udziałów, poprawienia sytuacji firmy i sprzedania jej udziałów kilka lat później z ogromnym zyskiem.

Jedną z takich firm była Doub Steel, zajmująca się odzyskiwaniem stali ze złomu. Odzyskiwana w ten sposób stal kosztowała mniej niż stal produkowana z surowców. Rok po rozpoczęciu pracy w Sagamore David namówił zarząd do zakupu osiemdziesięciu procent udziałów Doub Steel za ponad 70 milionów dolarów. Firma miała doskonałe kierownictwo, świetne wyniki, dobry produkt i proponowała korzystną cenę.

Ale wkrótce po zawarciu transakcji z Sagamore wyniki finansowe Doub Steel pogorszyły się, a zarząd zadaniem przywrócenia zyskowności firmie obarczył wyłącznie Davida. Po roku sytuacja uległa pewnej poprawie, lecz biorąc pod uwagę dokonania Davida w Sagamore, Doub Steel należała do jego największych porażek - zaraz po GE A.

David potraktował Doub Steel jak większość przeszkód w swoim życiu: spróbował ją wykorzystać. Tydzień po przydzieleniu mu zadania poprawienia kondycji firmy, wystarał się o miejsce w radzie nadzorczej Doub Steel i został mianowany głównym doradcą finansowym przez zarząd Sagamore. Rewident firmy prowadził księgowość, listę płac oraz rozliczenia, natomiast zarząd miał opiniować wszelkiego rodzaju poważniejsze posunięcia finansowe. Mimo to, jako główny doradca finansowy, David cieszył się sporą swobodą. Dzięki niej dwa i pół roku temu w Waszyngtonie mógł wypłacić Mafioso milion dolarów bez zbędnych pytań. Jack Finnerty zgadł: David nazwał tę wypłatę pożyczką dla opóźniającego się z rozliczeniami dostawcy, czym wyprowadził w pole księgowych i zapalił zielone światło dla kontraktu GEA.

Siedziba Doub Steel mieściła się pod Frederick w stanie Maryland, czterdzieści pięć minut na zachód od Baltimore, jadąc autostradą międzystanową numer 70, niedaleko Szlaku Appalaskiego. Wyglądając przez okno z gabinetu na trzecim piętrze biurowca Doub Steel, David dostrzegł w oddali góry. Porastające je drzewa przybrały już jesienną szatę, lecz David wcale nie rozkoszował się widokami. Myślał o płatności, którą miał uiszczyć tego dnia.

Z milionem dolarów dla Mafioso w Waszyngtonie jakoś sobie poradził. Doub Steel była dość dużą firmą, przynoszącą rocznie prawie 400 milionów dolarów dochodu. Ukrycie jednego miliona nie było łatwe, lecz przy pewnej pomysłowości wykonalne. Teraz musiał wystać temu człowiekowi jeszcze dwa miliony. Zgodnie z umową, płatność ta należała mu się wraz z rozpoczęciem produkcji A-100.

Lecz ukrycie dwóch milionów stanowiło dla Davida większe wyzwanie. Księgowi za sześć miesięcy prawdopodobnie zażądadają od dłużnika pisemnego potwierdzenia.

David przysunął krzesło do biurka. Tak jak sugerował Finnerty, rozwiązać ten problem mogło prawo Davida do kupna akcji GEA. Ich cena pójdzie gwałtownie do góry, gdy tylko wiadomość o programie A-100 zostanie ujawniona. Dzięki zarobionym pieniądzązom odda milion, który wyciągnął z Doub Steel dwa i pół roku temu, oraz sumę, którą miał wypłacić teraz. Jeśli tylko zwróci pieniądze do 31 stycznia, czyli do końca roku fiskalnego Doub Steel, zamknie usta niezależnym księgowym. Ślady zostaną zatarte i nie będą mieli żadnych powodów do rozpoczęcia dochodzenia.

Nie było to rozwiązanie optymalne, bowiem cena akcji GEA prawdopodobnie będzie wzrastała dalej, już po sprzedaniu ich przez Davida, przez co nie da mu się osiągnąć maksymalnego zysku z ich sprzedaży. Lecz z drugiej strony dożywotnio zapewni sobie pracę w Sagamore, a poza tym po zwróceniu sum należnych Doub Stell zostanie mu jeszcze część akcji.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer miejscowego banku. Finnerty dwukrotnie dzwonił w tym tygodniu, ponaglając Davida, aby przesłał pieniądze. Nie chciał denerwować Finnerty'ego, gdyż mógłby mu utrudnić nabycie akcji GEA. Gdyby tylko zechciał, mógłby bardzo utrudnić mu życie, co tak ochoczo przypomniał mu podczas ich ostatniego spotkania w jego posiadłości.

- Halo, Hagerstown National, mówi Ida - usłyszał znajomy głos.
- Ida, tu David Mitchell z Doub Steel.
- Witam, panie Mitchell, czym mogę służyć? - zapytała uprzejmie.

W ciągu następnych dwudziestu minut, po czterech rozmowach telefonicznych i serii telegramów, David przelał 2 miliony z rachunku Doub Steel na konto w banku National Bancorp na Kajmanach. Konto miało inny numer niż to, na który przelewał pieniądze dwa i pół roku temu, lecz dane otrzymał od Finnerty'ego, więc ich nie kwestionował.

Gdy David odłożył słuchawkę po załatwienie sprawy, oparł głowę o blat biurka. Musiał wciąż sobie powtarzać, że nikt nie ucierpi na tym wszystkim, że osobiście odda pieniądze, które przelał z rachunku Doub Steel. Nikt na tym nie straci, a więc nie zrobił nic złego.

Wstał od biurka. Wybrał sobie złą porę na analizowanie etycznej strony swego zachowania. Musiał szybko skontaktować się z rewidentem i wyjaśnić, że przelew jest pożyczką dla kolejnego dostawcy, który zalegał z płatnościami, oraz stworzyć dla porozu odpowiednią dokumentację. Wyszedł z biura i ruszył po schodach na dół.

Zatrzymał się przed biurem Richa Grainy'ego na drugim piętrze. Zapukał, lecz nikt nie odpowiadał. Miał szczęście. Będzie mógł przeprowadzić wszystko bez żadnych wyjaśnień.

Nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Nie były zamknięte na klucz. W małym biurze Grainy'ego stało tylko metalowe biurko i kilka rozklekotanych krzeseł. Grainy za pracę rewidenta otrzymywał 43 tysiące dolarów rocznie. Miał trójkę dzieci i dwa stare amerykańskie samochody. Brał w roku tylko tydzień urlopu, który spędzał w Ocean City, w stanie New Jersey, gdyż na nic więcej nie było go stać. A mimo to był szczęśliwy. David rozejrział się po ponurym pomieszczeniu. Niektórzy nie mają wygórowanych wymagań, pomyślał.

Podszedł szybko do biurka, usiadł i włączył komputer. Grainy korzystał z osobistego hasła, lecz David znał je i bez trudności uruchomił system. Zamierzał wejść do głównego rejestru i stworzyć nowe konto debetowe. Następnie miał wypisać notę kredytową na firmowym druku Doub Steel i poprosić zaprzyjaźnioną osobę o złożenie na niej podpisu. Następnie David zamierzał umieścić notę w oficjalnych dokumentach firmy. Po spłaceniu pożyczki, dzięki pieniądзом ze sprzedaży akcji, miał usunąć z dokumentów i komputera wszelkie ślady transakcji.

Oficjalne druki Doub Steel znajdowały się w prawej dolnej szufladzie biurka Grainy'ego i gdy David wyciągał trzy kartki, zauważył otwartą kopertę wciśniętą za pudełko z papierami. Wyjął ją stamtąd i sprawdził adres zwrotny. Trzeci oddział Huntington Bank. Przedstawiciel tego banku zadzwonił do niego kilka lat temu, usiłując namówić go do nawiązania współpracy, lecz odrzucił ich ofertę.

Zajrzał do kopert. Były w niej wyciąg i anulowane czeki. Dziwne. Grainy nie mógł otworzyć rachunku bankowego bez uzyskania zgody Davida. Kilkakrotnie dał to Grainy'emu wyraźnie do zrozumienia.

David wyjął wyciąg z koperty i spojrział na datę: piętnastego maja, cztery miesiące wstecz, po czym wyjął anulowane czeki. Były tylko dwa, lecz gdy położył je na biurku, krew zaczęła mu szybciej pulsować w żyłach. Obydwa czeki opiewały na sumę miliona dolarów, a ich odbiorcą było jakieś LFA. David nie miał pojęcia, kto lub co kryło się za tym skrótem i w tej chwili nie miało to dla niego większego znaczenia. Powodem, dla którego krew buchnęła mu tak nagle do twarzy, był podpis na obydwu czekach: David J. Mitchell. Podpis ten cholernie przypominał jego własny, lecz on nigdy nie podpisywał tych czeków. Nie wiedział nawet, że firma Doub Steel posiadała rachunek w Huntington Bank. Dotknął palcem podpisu i przyjrzał się literze M. To nie było jego M, ale podpis został podrobiony cholernie dobrze.

David podszedł szybko do kserokopiarki stojącej na stoliku za metalowym biurkiem. Gdy podnosił pokrywę maszyny, robił kopie obydwu czeków i wkładał je do kieszeni garnituru, drżały mu ręce. Opuścił pokrywę kserokopiarki i podszedł znów do biurka, by włożyć czeki z powrotem do koperty, a przez cały ten czas do głowy cisnęły mu się pytania.

- Mogę w czymś pomóc, panie Mitchell? - W drzwiach stał Rich Grainy, wpatrując się w otwartą kopertę, którą trzymał w ręku David. David podjął błyskawiczną decyzję. Zamiast się tłumaczyć, pomyślał, że lepiej będzie od razu zaatakować. Wstał wolno od biurka i rzucił kopertę na blat.

- Co to ma znaczyć? - Wskazał na kopertę.

Grainy przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

- Rich - nie ustępował David - co tu się, do jasnej cholery, dzieje?

Grainy wciąż milczał.

- Rich! - David walnął pięścią w blat metalowego biurka. - Wykradałeś pieniądze Doub Steel? Czy mam od razu zadzwonić po policję?

- Może lepiej najpierw zadzwonić do Arta Mohlera. - Głos Grainy'ego był ledwie słyszalny, lecz nie wyczuwało się w nim strachu. - To on założył ten rachunek i kazał nikomu o nim nie mówić. Ja nie zaglądałem do tej koperty, bo nie chciałem wiedzieć, co się w niej znajduje. - Przerwał na chwilę. - Nie podoba mi się, że oskarża mnie pan o kradzież. Pracuję dla Doub Steel od dwudziestu lat. Jestem uczciwym człowiekiem.

Lecz David nie słyszał skarg Grainy'ego. On też miał powody, żeby się zdenerwować. Najpierw Mohler bez powiadomienia o tym Davida odwiedził Finnerty'ego w jego posiadłości w Middleburg. Teraz okazuje się, że bez jego wiedzy był również w Doub Steel. Co gorsza, otworzył tajny rachunek, wypłacając grube pieniądze LFA, cokolwiek ten skrót miał znaczyć, a ponadto podrobił jego podpis.

Mohler wrabiał go. Teraz nie mógł już mieć żadnych wątpliwości. Ale dlaczego? Nagle przez plecy przeszedł mu zimny dreszcz. Pokręcił gwałtownie głową. Nie, to niemożliwe, pomyślał David.

20.

Więc dlaczego tutaj? - zapytał Todd. Przytknął delikatnie rękę do brzucha, który wciąż go bolał od ciosu, który za karę wymierzył mu Harry.

- To było jedyne miejsce, które rozpoznałbyś bez wymieniania przeze mnie nazwy. - Jesse usiadła na krześle, które przytrzymał Todd. - Nie czuję się swobodnie, rozmawiając przez biurowy telefon - wyznała cicho.

- Mówisz poważnie? - zapytał, siadając naprzeciw niej przy stoliku.

- Tak.

- Dlaczego?

- Witam. - Rozmowę przerwała im kelnerka. - Co państwo zamawiają?

- Dietetyczną colę - odpowiedziała szybko Jesse, nie podnosząc wzroku.

- A ja koktajl czekoladowy. - Todd uśmiechnął się sympatycznie do kobiety.

- Za chwilę. - Kelnerka odeszła spokojnym krokiem.

Todd oparł się na łokciach.

- Wspaniale, prawda? Nic się nie zmieniło od czasu, gdy przychodziliśmy tu jako uczniowie.

Jesse się roześmiała. - Zmieniło się, i to bardzo. Inne są meble. Wtedy serwowali pizzę i hamburgery, teraz dania meksykańskie. I nazwa jest inna.

Todd uśmiechnął się.

- Chodziło mi o atmosferę tego miejsca. Rozejrzyj się. - Wskazał głową. - Chłopcy w skórzanych kurtkach, którzy uganiają się za dziewczętami w krótkich spódniczkach. Te rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Powinna ostrzec dziewczyny przed chłopakami tego typu.

- No wiesz? Ja też nosiłem taką kurtkę.

- No właśnie - droczyła się z nim.

Kelnerka niedługo wróciła z napojami. Podała je i poszła do stolika obleganego przez hałaśliwych nastolatków.

- Jak spędziłaś weekend? - Todd wziął szklankę z koktajlem i pociągnął łyk przez słomkę.

- Uczyłam się. - Nie uznała za stosowne opowiadać mu o żeglowaniu z Davidem.

- Dzwoniłem do ciebie o północy w sobotę i odpowiedziała mi automatyczna sekretarka.

Wiedziała, że będzie mu przykro, jeśli pozna prawdę. Zawsze w miarę możliwości oszczędzała ludziom cierpień.

- Byłam w domu, ale nie odbierałam telefonu. Byłam zmęczona. - Zaczęła drzeć papierową chusteczkę na małe kawałeczki.

- Nie wierzę, pod tym względem jesteś podobna do mnie. Zawsze odbierzesz telefon. - Obserwował, jak nerwowo bawi się chusteczką.

- Byłam w domu - powtórzyła stanowczo.

Todd odstawił szklankę; miał poważną minę.

- Jess, tęskniłem za tobą.

- Co? - Usłyszała, co powiedział, ale chciała zyskać na czasie. Zastanawiała się, jak zareagować. Zupełnie zbił ją z pantałyku.

- Ostatnio dużo o tobie myślałem. Podczas naszego wspólnego lunchu w zeszłym tygodniu zdałem sobie sprawę, jak bardzo chciałbym się z tobą spotykać. To wspaniałe uczucie - widzieć cię dzisiaj. Od dłuższego czasu unikasz mnie i chyba wiem dlaczego. Ale czy nie minęło już dość czasu?

Nie chciała teraz tego roztrząsać.

- Bardzo bym chciał, żebyśmy znów chodzili ze sobą - ciągnął dalej. - Chciałbym zabierać cię na kolacje i spędzać z tobą czas. Nie będę cię popędzał. Będę zachowywał się jak dżentelmen tak długo, jak będziesz chciała. Niczego nie będę oczekiwał. Jeśli przeszłość znów stanie nam na drodze, trudno, zrezygnujemy.

- Nie mogę.

- Chodzi o tego faceta, który przyjechał po ciebie limuzyną? - Todd rozłożył się nagle.

- Nie.

- Nie?

- Nie! Już ci mówiłam. Poznaliśmy się dopiero tydzień temu. Pracuje w Sagamore.

- Spędziłaś z nim sobotni wieczór?

Jesse odwróciła szybko wzrok. Nie mogła zaprzeczyć.

- Wiedziałem.

- Nic nie rozumiesz, Todd. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Rozmawialiśmy o pracy.

- W sobotę o północy?

- Tak.

- To urzędas, Jess. Zanudzi cię.

Po raz pierwszy usłyszała w jego głosie prawdziwe uczucie.

- Nie o tym chciałam dziś z tobą rozmawiać - rzekła. Zapragnęła nagle spotkania z Becky. Może skontaktuje się z nią wieczorem.

Todd podniósł do góry ręce.

- Martwisz się, że nie potrafię się zaangażować, że niczego nie traktuję poważnie? Że każdego weekendu ryzykuję życie? Mogę się zmienić, Jess. Naprawdę.

- Nie chcę, żebyś się zmieniał - odparła łagodnie. Porozmawiajmy, proszę, o tym, w jaki sposób dowiemy się, czy w kampanii Colemana są jakieś nieprawidłowości. Dziś rano odkryłam chyba coś naprawdę ważnego.

Todd milczał przez chwilę, doszukując się prawdy w jej twarzy.

- Dobrze. - Uśmiechnął się najczulej, jak potrafił. - Co odkryłaś?

Jesse wyciągnęła rękę przez stół i dotknęła lekko jego ramienia.

- Nie gniewasz się? - Przyszło jej to z wielką trudnością.

- Nie. Nie lituj się nade mną. Nie cierpię tego. No już, mów co masz.

- Todd, jesteś pewien, że chcesz się tym dalej zajmować? Może powinniśmy zapomnieć o całej sprawie?

- Jess! - zawołał, podnosząc jedną rękę. - To sprawa zawodowa. Poradzę sobie tak dobrze, jak ty. - Uśmiechnął się szeroko, żeby ją uspokoić. - Chcesz ze mną chodzić czy nie, wciąż jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi. Skoro ktoś cię ściga i rozwała ci szybę w samochodzie, znajduję gościa i sprawię, że przeklnie dzień, w którym się urodził.

Był jej bardzo oddany.

- OK, dziękuję.

- No więc co odkryłaś?

Wypiła łyk coli.

- Chciałam sprawdzić ludzi pracujących dla Colemana, więc w zeszłym tygodniu otrzymałam z federalnej komisji wyborczej listę osób zaangażowanych w jego kampanię. Dziś rano w pracy kolega sporządził dla mnie raport. Wyszczególnił w nim wszystkie miejsca pracy, z których w ciągu ostatnich dwóch lat ludzie Colemana otrzymywali pensje.

- Jak to ci się udało zrobić?

- Miałam numery ubezpieczeniowe tych ludzi. Udostępniłam je koledze, który w banku danych urzędu skarbowego odnalazł wszystkich pracodawców, którzy przesyłali nam zaliczki podatku dochodowego na te numery.

- Niezła z ciebie manipulantka - skomentował Todd.

- To nic w porównaniu z tym, co wyprawiają niektórzy urzędnicy.

- Opowiedz mi o tym.

- Może innym razem. - Urzędnik skarbowy mógł zdobyć wszelkie informacje o danej osobie. Stanowiło to pokusę, której, jak we wszystkich innych zawodach, niektórzy ulegali. - W każdym razie coś odkryłam.

- Co takiego?

- Jeden z ludzi Colemana otrzymał niedawno dwie płatności od organizacji zwanej Liberation for African-Americans. Dostał te pieniądze, pracując jednocześnie dla Colemana.

- Czy LFA nie jest przypadkiem tą wojującą grupą na czele z pastorem Elijahem Pittsem?

- Szefem grupy jest faktycznie Pitts, ale organizacja wcale nie ma agresywnego charakteru. Zrobiła bardzo dużo dla biednych mieszkańców Baltimore. No wiesz, praca z młodzieżą, programy edukacyjne, tego typu rzeczy. Nie rozumiem jednak, dlaczego ktoś, kto pracuje dla LFA, miałby pracować również dla Elbridge'a Colemana. Musisz przyznać, że LFA i republikański konserwatysta pokroju Colemana znajdują się na przeciwległych biegunach sceny politycznej.

Todd wysunął dolną wargę.

- Zgadzasz się, ale może ten człowiek pracuje w sekretariacie bez specjalnych politycznych sympatii. Może po prostu ma dzieci, które musi wyżywić. Może zarabia trochę na boku w jednym miejscu i pracuje na pełen etat gdzie indziej.

- Dobrze rozumiesz - zgodziła się Jesse - i faktycznie ta osoba otrzymuje regularną pensję za udział w kampanii Colemana, co potwierdzałoby twoją teorię.

Chodzi o to, że mogę określić roczne dochody tej osoby na podstawie wysokości zaliczki podatku. Jeśli nie pomyliłam się w obliczeniach, osoba ta dostaje prawie sto tysięcy dolarów rocznie za pracę dla Colemana.

- Sekretariat odpada.

- Na pewno.

- A pieniądze od LFA? - dopytywał się Todd.

- I tu sprawa robi się coraz bardziej interesująca. Sądząc po zaliczce, musi zarabiać prawie dwieście tysięcy dolarów brutto.

- O Jezu. - Todd pokręcił głową. - Jesteś pewna, że ta osoba jednocześnie znajduje się na liście płac Colemana?

- Tak.

- Dziwne, zwłaszcza biorąc pod uwagę te sumy.

- Poczekaj - powiedziała Jesse. - To jeszcze nie wszystko. Tydzień po wpłaceniu zaliczki przedstawiciele LFA przybyli do urzędu skarbowego, twierdząc, że zaszła pomyłka. Mówili, że powstał błąd w systemie komputerowym. Że tej zaliczki w ogóle nie powinni wpłacać.

- Zupełnie jakby coś ukrywali.

- Właśnie. Więc czemu ktoś miałby pracować w dwóch miejscach?

- Pracuje dla jednej strony, a o drugiej zbiera informacje - zasugerował Todd. - To pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy.

- Racja. I wydaje mi się, że osoba ta pracuje naprawdę dla LFA i próbuje zdobyć informacje o Colemanie. - Jesse mówiła szybko. - Dlaczego Coleman interesowałby się LFA?

- Może chce wiedzieć, czy LFA zamierza organizować demonstracje podczas jego wystąpień, czy coś w tym rodzaju.

- Nie brzmi to zbyt przekonująco. Zbyt duże ryzyko i zbyt małe korzyści dla Colemana.

- Przynajmniej się staram.

- Przepraszam, nie powinnam cię krytykować.

- W porządku. - Todd podniósł do ust szklankę i pociągnął kolejny łyk koktajlu. - Zabiłaś mi klina. Ale po co ludzie z LFA chcieliby wiedzieć, co się dzieje w obozie Colemana?

- Może LFA przekazuje informacje Malcolmowi Walkerowi. Myślę, że senator Walker ma bliskie związki z LFA- w każdym razie w telewizji Pitts bez przerwy nazywa Walkera dobrym przyjacielem. Może osoba ta szpieguje dla Walkera, ujawnia strategię, tego typu rzeczy. Jeśli zarabia u Colemana sto tysięcy dolarów, musi być jednym lub jedną z najważniejszych doradców, gdyż jest to ogromna suma, nawet jak na

organizatora kampanii wyborczej do Senatu Stanów Zjednoczonych. Ma dostęp do najbardziej chronionych informacji.

- A więc osoba ta informuje Walkera o planach Colemana za pośrednictwem LFA, żeby go ustawić w lepszej pozycji. A gdyby sprawa się wydała, to LFA, a nie Walker dostałby w dupę.

- Racja.

Todd pokręcił głową.

- Przepraszam, ale muszę podważyć twoją teorię, Jess. Mówiłaś mi przecież, że dokumenty znalezione w letnim domu Neila Robinsona wskazują na nieprawidłowości w kampanii Colemana.

Jesse nie odpowiadała przez chwilę.

- Wiem. To wszystko się nie zgadza. - Wydała się nagle zniechęcona. - A więc co dalej, prywatny detektywie?

- Mamy do wyboru tylko dwie możliwości - odparł szybko.

- Jakież?

- Spróbujemy rzucić okiem na dane osobowe w kwaterze Colemana lub LFA. - Todd wyjął słomkę i wychylił do dna resztę koktajlu.

- Naprawdę uważasz, że Coleman lub LFA, ot tak po prostu, udostępnią nam dane osobowe swoich ludzi?

Uśmiechnął się cynicznie.

- Oczywiście, że nie.

Zaparło jej dech.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz się włamać do ich biur?

Todd pokręcił głową.

- Jeśli mam być złapany na włamaniu, wolałbym, żeby nie było to biuro kandydata na senatora Stanów Zjednoczonych.

- A więc chcesz je wykraść z siedziby LFA?

- W ciemną noc, kochanie. - Todd wałnął mocno pięścią w stół. Na chwilę ucichł gwar rozmów w restauracji, a ludzie spojrzeli na Todda i Jesse, po czym natężenie hałasu powoli wróciło do normy. - Przepraszam. - Todd puścił do niej oko, chowając jednocześnie głowę w ramionach, jak zółw kryjący się w skorupie. - Trochę mnie poniosło.

- Na pewno chcesz się włamać do LFA? - Kręciła głową. Gdy coś go zainteresowało, zachowywał się jak pies myśliwski na tropie. Nic nie mogło go powstrzymać.

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Rano przez telefon mówiłem co innego, ale wszystkie pomysły jakoś się rozplynęły.

- Nie chcę, żebyś wpakował się w kłopoty.

- Dlatego zrobimy to razem. Jeśli wpadniemy, będziesz mogła nas wybronić.

- Nie mogę z tobą tam iść!

- Musisz. Nie będę wiedział, czego mam szukać. I jeśli nie zdobędę danych za pierwszym razem, na pewno tam nie wrócę.

Jesse znów próbowała zaprotestować, ale zrozumiała, że Todd ma rację. Pokiwała głową powoli:

- No już dobrze.

Todd zatarł ręce. Kolejna okazja, żeby być przy niej. A poza tym w tak niebezpiecznej sytuacji wyjdzie ze swojej skorupy. Może wtedy uda mu się wreszcie złamać jej opór.

- Jesteś pewien? - Mężczyzna ledwo się hamował.

Całkowicie - odparł Roth. - Mam kopię rachunku z zeszłego marca, kiedy kupowała rękawiczki. A w laboratorium potwierdzają, że włos z rękawiczki niemal na pewno należał do blondynki. W urzędzie pracują tylko dwie blondynki, których włosy długością odpowiadają próbce z rękawiczki.

- Natychmiast ją zlikwiduj. Upozoruj wypadek.

- Tak jest.

- Jeszcze jedno, Roth, zdobądź tę teczkę. I spraw, żeby dziewczyna nie dożyła jutrzejszego dnia.

Becky Saunders była psychoterapeutką Jesse od dwunastu lat i nigdy nie wzięła ani grosza za jej liczne wizyty, choć klóciło się to z przyjętymi w tym zawodzie zasadami. Becky miała dyżur, gdy tamtego dnia przyjęto Jesse do szpitala na operację. Dziewczyna była wówczas emocjonalnym wrakiem człowieka. Jej przypadek tak poruszył Becky, że po rutynowej rozmowie o tym, co się stało, została przy jej łóżku przez pięć godzin, zapewniając, że Jesse nie jest niczemu winna. Nawiązały wówczas więź, która trwała do tej pory. Jesse każdego roku wypełniała Becky formularze podatkowe, ale nie robiła tego, żeby odwdzińczyć się za wizyty. Były po prostu przyjaciółkami, które pomagały sobie najlepiej, jak potrafiły.

Tak jak tego wieczoru. Było już po dziesiątej i Becky miała za sobą wizyty sześciu pacjentów. Jesse zadzwoniła i poprosiła o spotkanie w ostatniej chwili. Natychmiast się zgodziła.

Becky otworzyła drugą tego dnia paczkę papierosów, zapaliła jednego i zaciągnęła się.

- A więc Todd Colton wraca do twojego życia?

- Tak.

- Poprosił cię, żebyście znów mogli się spotykać, tak?

- Tak - powtórzyła Jesse. - Odmówiłam mu.

- Ale chciałaś się zgodzić.

- Owszem - przyznała.

- Myślisz, że to dobry pomysł: znów się z nim spotykać?

- Chciałabym się tego od ciebie dowiedzieć.

Becky po raz kolejny zaciągnęła się papierosem.

- Wiesz, co ja o tym myślę.

- Powiedz mi jeszcze raz. - Jesse słyszała opinię Becky tyle razy, ale powtarzanie jej zawsze działało na nią terapeutycznie.

Z koniuszka papierosa sączyła się smuga dymu, spowijając postać psychoterapeutki.

- Zacznę od samego początku ostrzegła.
- Wiem.

Becky czuła nadchodzącą migrenę, lecz zignorowała przytępiony ból w okolicach czoła.

- Od rana żeglowałaś z Toddem. - Od wieloletniego palenia papierosów miała zachrypły głos. - Jest piękny dzień, świetnie się razem bawicie i oboje zdajecie sobie sprawę, że szalejecie na swoim punkcie. Idźcie do jego domu, gdyż rodzice Todda wyjechali. Po raz pierwszy w życiu kochacie się.

- Tak.

- Później Todd odprowadza cię do domu. Przy drzwiach całuje cię na pożegnanie i odchodzi. Wchodzisz do domu. Jesteś już godzinę spóźniona. Twój ojczym, Joe, czeka na ciebie i gdy tylko przestąpiłaś próg, zaczyna ci robić wyrzuty.

- Robić wyrzuty? - powtórzyła Jesse sarkastycznym tonem. - Mało powiedziane. Wrzeszczał na mnie. Boże, jak ja go nienawidziłam.

- Trochę już sobie wypił. Normalnie byłby trzeźwy, ale tego dnia matka jest na wycieczce z parafii. Joe idzie za tobą do sypialni, nie przestając krzyczeć.

Jesse poczuła, że jak zawsze wzbiera w niej gniew i złość. Ale to jej pomagało.

Czuła się lepiej, mogąc podzielić się z życzliwą osobą fizycznym bólem i psychicznymi cierpieniami, które przyniósł jej tamten dzień. Bólem i cierpieniami, których nie zdołało uleczyć dwanaście lat. Czuła się lepiej, mogąc podzielić się tym wszystkim z osobą, która jej nie osądzała, która się nie oburzała. Przeszły przez to już wielokrotnie, lecz za każdym razem Jesse przeżywała *catharsis*, gdy przechodziły przez scenę ataku.

- Popycha cię na łóżko, zdiera z ciebie ubrania i...

- ...gwałci mnie. - Jesse dokończyła zdanie za Becky i głęboko odetchnęła. - Gwałci mnie - powtórzyła. Wypowiedanie tych słów, ich powtarzanie, było elementem terapii. Dopiero pięć lat po napaści po raz pierwszy wydusiła je z siebie.

Teraz potrafiła je powtórzyć dwa, a nawet trzy razy pod rząd.

- A więc tego samego dnia tracisz dziewictwo z Toddem i zostajesz zgwałcona przez ojczyma. Jesteś w psychicznym bagnie, a najbliższa ci na świecie osoba, do której ze wszystkim się zwracasz, nie może się o tym dowiedzieć. Tym razem nie możesz jej pozwolić, by ci pomogła.

- Możesz sobie wyobrazić, co by było, gdybym zwierzyła się matce lub poszła na policję i wniosła oskarżenie? Możesz sobie wyobrazić, co by było, gdyby matka dowiedziała się o wszystkim? Gdyby dowiedziała się, że mąż zgwałcił jej córkę. Wiedziałyby o tym cała parafia. Jest gorliwą katoliczką. Załamałaby się. Popelniłaby samobójstwo. Nie mogłam jej o tym powiedzieć.

Becky poczekała, aż Jesse skończy, po czym ciągnęła dalej.

- Miesiąc później dowiadujesz się, że jesteś w ciąży i nie wiesz, kim jest ojciec. - Becky zamknęła oczy i pokręciła głową. - Nie wiem, jak to wytrzymałaś. Byłaś bardzo silna, nawet wtedy.

Jesse poczuła spływające łzy i kilka razy zakasłała, żeby je powstrzymać.

- Nie czułam się taka.

Becky dostrzegła łzy.

- Wciąż tak gwałtownie reagujesz na to wszystko. Dlatego nie uważam za dobry pomysł, żebyś znów spotykała się z Toddem, czy kimkolwiek innym, kto kojarzy ci się z gwałtem. Myślę, że siedzą w tobie jeszcze demony, których nie wywołałyśmy. Jeśli zaangażujesz się w związek z Toddem, te demony mogą dać o sobie znać. Nie jestem pewna, czy dobrze by ci to zrobiło.

- Ale badania wykazały, że ojcem dziecka nie był Todd. - Jesse wzięła jego stronę. - Ojcem był Joe. Natomiast Todd zaopiekował się mną. Zabrał mnie do szpitala i zapłacił za zabieg. - Jesse oparła głowę na rękach, a łzy zaczęły skapywać jej na bluzkę. - Miałam się znaleźć w rejonowym szpitalu. Todd nie chciał o tym słyszeć. Nalegał, bym poszła do dobrego szpitala i znalazła się pod fachową opieką. Kto wie, co by się ze mną stało w rejonowym szpitalu? Tydzień później został zamknięty, ponieważ na stole operacyjnym zmarła młoda kobieta.

- Traktuj go na dystans, Jesse. On też dźwiga niezły ciężar.

- Wiedział, że ojcem dziecka był Joe, a mimo to zatroszczył się o mnie. I nigdy nikomu nic nie powiedział. Jeśli tylko potrzebowałam pomocy, zawsze mi jej udzielał. - Jesse otarła łzy. - Był wtedy dla mnie taki dobry. To on zapewnił mi twoją pomoc.

Becky obserwowała uważnie Jesse. Musiała ulegać jakimś bardzo stresującym naciśkom. Znów stała się bezbronna.

- A więc o to chodzi.

- Nie rozumiem.

- Twierdzisz, że to on wyciągnął cię z tego wszystkiego. Uważasz, że jesteś mu coś winna? Czy w tym tkwi prawdziwy problem?

21.

Schodzili się jeden po drugim do słabo oświetlonego pokoju, w którym zwykle się spotykali. Okoliczności sprawiły, że do ponownego zebrania musiało dojść nadzwyczaj szybko.

Senator Webb odczekał chwilę, aż wszyscy zajmą wskazane miejsca.

- Jeśli można, chciałbym już zacząć. - Grobowy głos senatora przywoływał wszystkich do porządku, a w tle pobrzmiwała muzyka Bacha.

Uczestnicy spotkania zgodnie kiwali głowami, przysuwając krzesła do stołu.

- Pierwszą sprawą będzie przeciek informacyjny, o którym wspomniałem podczas ostatniego spotkania - rozpoczął Webb. - Jak was wówczas informowałem, ktoś wykradł teczkę z domu Neila Robinsona, zanim my zdążyliśmy się do niej dostać. Uważamy, że teczka zawiera obciążające materiały dotyczące walki wyborczej między Malcolmem Walkerem i naszym człowiekiem, Elbridge'em Colemanem. - Wskazał ruchem głowy na Colemana. - Z przyjemnością mogę was dziś zawiadomić, że ustaliliśmy tożsamość osoby, która ukradła teczkę - oświadczył triumfalnie.

- Kim jest ta osoba? - zapytał Finnerty ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i zmartwionym wyrazem twarzy.

- Pracownica urzędu skarbowego z Baltimore. Współpracowała z Robinsonem przed jego przedczesnym zgonem.

- Jak ją odnaleźliście? - dopytywał się admirał Cowen.

Theodore „Ted” Cowen był szefem operacji morskich, najwyższym rangą oficerem marynarki Stanów Zjednoczonych i Webb nagle zdziwił się, że Cowenowi udało się zdobyć takie stanowisko trzy lata temu. Cowen był tęgim, smagłym mężczyzną i jak na tak wysokiego rangą oficera za bardzo interesował się mało istotnymi szczegółami. Lecz w ważniejszych sprawach, takich jak projekt A-100, z łatwością zdobywano jego poparcie, a ponadto potrafił, wtedy, kiedy było trzeba, wpłynąć na Sekretarza Marynarki Wojennej i Sekretarza Obrony, toteż przymykano oczy na jego zafascynowanie najdrobniejszymi detalami.

- Zdobyliśmy rękawiczkę, którą miała ze sobą w dniu wizyty w domu Robinsona - tłumaczył Webb. - Dotarliśmy do sklepu, gdzie została kupiona, po czym porównaliśmy listę osób, które kupiły ten model rękawiczek w ciągu ostatnich sześciu miesięcy

z nazwiskami urzędników skarbowych. Jedna osoba była na obydwu listach.

- Świetnie. - Cowen uśmiechnął się. - Wygląda na to, że identyfikacja wypadła pomyślnie. Pomyłka nie wchodzi w rachubę.

- Nie - zapewnił go Webb. Oczywiście zawsze istniała możliwość popełnienia pomyłki. Można było jedynie zbadać wszystkie zebrane dowody i wybrać najbardziej prawdopodobny wariant. Ale jeśli Cowen miał poczuć się lepiej, słysząc, że pomyłka nie wchodzi w grę, tak już miało zostać.

- To dobrze. - Cowen poklepał się po swym wielkim brzuchu. - Nie chciałbym tylko, żeby ucierpieli niewinni ludzie.

Cowen był cholernie obłudny. Nie miał nic przeciwko popełnieniu mordu, gdy ustalono ponad wszelką wątpliwość, kto dopuścił się przestępstwa. Przestępstwa tak strasznego, jak przywłaszczenie sobie teczek z dokumentami. Ale niech Bóg broni, gdyby chodziło o niewinnego przechodnia. Co za idiotyzm, pomyślał Webb i doszedł do wniosku, że wszystkiemu winne wojskowe wykształcenie. Wszystko, co przeszkadza realizacji zadania, należy usunąć. Użycie siły w innych przypadkach jest niedopuszczalne.

- Nie chcę, żeby sprawa ta ciągnęła się za nami dłużej niż to konieczne - stwierdził Art Mohler. - Kiedy problem zostanie rozwiązany?

- Jeszcze dzisiaj - odpowiedział szybko Webb, patrząc, jak Cowen ściska fałdę tłuszczu na swym brzuchu.

- Świetnie. - Mohler odczuł ulgę.

- I drugi punkt porządku obrad - zapowiedział głośno Webb. Nie chciał tracić czasu. Był wyczerpany męczącym dniem w Senacie. - Sprawa Malcolm'a Walkera... lecz nie w związku z wyborami - dodał.

Pozostali podnieśli wzrok, słysząc złowrogi ton w głosie Webba.

- Dowiedziałem się, że Walker miał w rejonie 51 swego człowieka - ciągnął dalej Webb - który przekazywał mu informacje dotyczące A-100.

- Co? Bzdura - warknął Cowen przez zaciśnięte zęby. - Rejon 51 jest szczelny. To jedna z najlepiej zabezpieczonych baz w naszym systemie. Cywile uczestniczący w projekcie są dokładnie prześwietlani i kontrolowani. Nigdy nie mieliśmy żadnych problemów.

- Informator senatora nie był cywilem, admirał. Był kapitanem sił powietrznych. - Webb spojrzął na leżącą na stole kartkę. - Nazywa się Paul Nichols. Za informacje dostawał pieniądze, a dodatkowym bodźcem dla niego była szansa zaprzepaszczenia projektu marynarki wojennej.

- Żartuje pan! - Cowena ogarnął nagle niepokój.

- Ależ skąd. Senator wypłacał mu ponoć ogromne sumy. Jak się mówi, każdy ma swoją cenę, a pensje wojskowych są śmieszne. Zatem osoby o wątpliwej sile charakteru stanowią łatwy cel. W każdym razie zająłem się już tym problemem. Kapitan Nichols został uwięziony. Przez jakiś czas nie będzie nam przysparzał problemów. Mogę go zatrzymać w więzieniu bez procesu przez co najmniej sześć miesięcy. - Webb stłumił uśmiech, wyobrażając sobie, jak kapitan spada z wysokości trzech tysięcy metrów nad Nevada z pułkownikiem Pierce'em u boku.

- Czy Nichols zdążył przekazać senatorowi Walkerowi coś ważnego? - Mohler zdjął okulary i położył je na stole. Był wyraźnie zmartwiony.

- Prawdopodobnie tak. Mój przyjaciel twierdzi, że Walker organizuje jutro konferencję prasową, podczas której ujawni tajemnice A-100.

- Jezus Maria! - Mohler podniósł dłonie do czoła.

- Cel konferencji prasowej Walkera będzie dwojaki - ciągnął dalej Webb. - Po pierwsze Walker zamierza powstrzymać produkcję A-100, podając do publicznej wiadomości sumy, jakie rząd musiałby wydać na realizację programu. Jak wszyscy wiemy, jest to program na dużą skalę i Walker zamierza grać na nastrojach społecznych, które nie sprzyjają wydatkom na obronę. Wiecie, kurki do kranów za sześćset dolarów, muszle klozetowe za tysiąc dolarów, temu podobne. Wszystkie te absurdalne historie znalazły się dzięki liberalom na łamach prasy w ciągu ostatnich kilku lat, a łatwiwierna opinia publiczna połknęła przynętę.

Walker będzie porównywał A-100 z tamtymi historiami i spróbuje powstrzymać produkcję.

- Skąd pan wie o zamiarach Walkera? - Cowen był pod wrażeniem.

- Mam wtyczkę w biurze Walkera. - Webb szybko wrócił do swego wywodu. Nie chciał, żeby Cowen skoncentrował się na tym szczególe. - Drugim i potencjalnie bardziej niebezpiecznym powodem, dla którego Walker zwołuje konferencję prasową jest zamiar ujawnienia „czarnego budżetu” i jego programów oraz zwiększenia nad nim kontroli społecznej. Zapewne został wtajemniczony w sprawy, o których nie powinien być się dowiedzieć, poprzez swego informatora z rejonu 51 i prawdopodobnie również innymi kanałami. - Webb miał teraz zacięty wyraz twarzy. - Malcolm Walker postanowił rozpocząć nowy etap swej wojny z Departamentem Obrony, etap bardzo niebezpieczny.

- A to drań! - zagrzemiał admirał Cowen. - Musi minąć co najmniej sześć miesięcy od rozpoczęcia produkcji A-100, zanim wiadomość o jego istnieniu może dostać się do opinii publicznej. W tej chwili z łatwością można jeszcze program zatrzymać. A ja muszę mieć ten samolot.

- Spokojnie, Ted. - Finnerty machnął ręką. - Bez paniki.

Finnerty jak zwykle w chwili kryzysu zachowywał zimną krew, co działa uspokajająco, pomyślał Webb.

Art Mohler podniósł ze stołu okulary i założył je.

- To, co się stało, jest dla mnie oczywiste. Walker zrozumiał, że jego pozycja w listopadowych wyborach jest zagrożona. Widział sondaże i wie, że ma mało czasu - analizował Mohler. - Elbridge idzie do przodu pełną parą i senator Walker nie jest w stanie zatrzymać tego parowozu. Zupełnie jakbyśmy przedobrzyli w sprawie Elbridge'a. Walker zdecydował się na taktikę spalonej ziemi, gdyż nie pozostało mu nic innego. Zwróci się bezpośrednio do narodu amerykańskiego ze szczegółami dotyczącymi „czarnego budżetu”, żeby pokazać w ostatniej chwili, że jest prawdziwym ryce rzem w wojnie z establishmentem.

- Może tak po prostu rozpuścić ozór przed dziennikarzami największych krajowych dzienników? - dziwił się Cowen. - Wiem, że istnienie „czarnego budżetu” nie jest żadną tajemnicą, lecz ludzie nie wiedzą, jak dokładnie funkcjonuje. Nie znają jego

rozmiarów. Na miłość boską, nie możemy pozwolić, żeby jakiś błazen na antenie telewizyjnej rozpowiadał tajemnice państwowe. - Cowen zwrócił się do Webba: - Senatorze, nie można powołać się na jakiś przepis, który zamknąłby mu usta pod pretekstem ochrony interesów państwa? Wtedy moglibyśmy posłać tam ludzi, którzy aresztują go, gdy zacznie mówić.

- To by dopiero był widok - wtrącił Finnerty. - Gestapowcy z Departamentu wkraczają do studia, zakuwają czarnego senatora w kajdany i wyprowadzają go. Kraj wolności i ojczyzna odważnych. Walker dostałby orgazmu. Prasa rozpisywałaby się na jego temat bez opamiętania. W ciągu trzydziestu sekund zburzylibyśmy wszystko, co budowaliśmy przez trzy lata, Ted.

Cowen zrozumiał, że Finnerty ma rację.

- Ale coś musimy zrobić. Nie możemy dopuścić do tego, żeby po prostu wystąpił w telewizji na oczach całego kraju i storpedował program A-100, a może nawet skończył z „czarnym budżetem” w ogóle. - Cowen głośno przełknął ślinę. - Pomyślcie, do czego może to doprowadzić. Już nawet nie wspomnę, że stracimy naszą żyłę złota. Jest jeszcze jedna sprawa. Na pewno niektórzy bardzo chcieliby się dowiedzieć, co działo się w tym pokoju. A jeśli ktoś zacznie węszyć? - Spojrzał na Webba błagalnym wzrokiem. Był zdenerwowany. - Nie możemy do tego dopuścić, prawda senatorze?

Na twarzy Webba zaznaczył się cień uśmiechu.

- Znalazłem rozwiązanie.

- Jakie? - Finnerty znał Webba od lat i wiedział, co oznacza jego śmiech. Niech go Bóg błogosławi. Miał odpowiedź na wszystko.

- Pozwólcie mi - zwrócił się do zebranych, nawiązując z nimi kontakt wzrokowy - zachować to dla siebie.

Wszyscy pokiwali niepewnie głowami. Darzyli Webba pełnym zaufaniem, lecz Malcolm Walker okazał się nagle silnym przeciwnikiem.

- Doskonale. Następnym punktem porządku obrad jest omówienie notowań akcji GEA. Dziś podniosły się o kilka punktów. - Webb utrzymywał dynamiczne tempo spotkania. - Art, poprosimy o wyjaśnienia.

Mohler powoli przysunął krzesło bliżej stołu. Był wciąż zaabsorbowany informacją, że Walker zamierza upiec swoją pieczeń na ogniu „czarnego budżetu”. Chciał przycisnąć Webba w sprawie rozwiązania tego problemu, lecz rozmyślił się.

- Prawdą jest, że zwykły kurs akcji General Engineering and Aerospace wzrósł o kilka punktów podczas dzisiejszej sesji giełdowej. Na koniec dzisiejszej sesji kurs akcji wynosił dwadzieścia siedem dolarów, o trzy dolary więcej niż podczas rannych notowań oraz pięć i pół punktu więcej od najniższego notowania. Nie sądzę jednak, by wzrost ten można było przypisać przeciekowi informacyjnemu dotyczącemu A-100. Proszę pamiętać, że w tym tygodniu na giełdzie panuje ogólna tendencja zwykła. Zresztą wszystkie akcje wojskowe lekko zwykowały na skutek pogłosek o osiągnięciu kompromisu w negocjacjach budżetowych co do wielkości środków, które w przyszłym roku mają być przeznaczone na obronę. Wprawdzie fundusze są mniejsze niż w zeszłym roku, lecz oczekiwano jeszcze skromniejszych środków.

- Art, czy obliczyłeś już, jaki wpływ będzie miał A-100 na kurs akcji GEA? Cowen

chwycił kolejną fałdę tłuszczu na swym brzuchu. Był to paskudny nawyk, lecz po tylu latach Cowen robił to nieświadomie. - Wiem, że jakiś czas temu przeprowadziłeś analizę, ale jestem ciekaw, czy ostatnio prowadziłeś jakieś obliczenia.

W pokoju zapadła cisza. Nagle oprócz symfonii, która rozbrzmiewała w tle, nie słychać było żadnego dźwięku. Padło bowiem kluczowe pytanie. Wcześniej wszyscy odnosili korzyści finansowe, lecz transakcja z GEA miała przebić wszystkie poprzednie.

- Naprawdę wolałbym nie podawać konkretnych sum na tym etapie, gdyż później będziecie mnie z nich rozliczać - żalił się Mohler.

- Proszę to jednak zrobić.

Mohler spojrzął na Webba, rozpoznając ton jego głosu. Dłużej nie mógł się wymigiwać od odpowiedzi.

- Z moich szacunkowych wyliczeń wynika, że w ciągu roku cena jednej akcji wzrośnie do prawie stu dolarów.

- Czy w tych szacunkach wzięto pod uwagę rozwój współpracy GEA z Departamentem Obrony po udanej realizacji tak prestiżowego programu, jakim jest projekt A-100? - zapytał Finnerty.

Mohler pokręcił głową.

- Nie.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział wolno Cowen, pochylając się nad stołem. - Wiem, że już o tym mówiliśmy, ale chcę mieć wszystko poukładane w głowie.

Finnerty stłumił uśmiech. Admirał Cowen był wciąż jeszcze nowym graczem. Wprowadzili go do swego kręgu trzy lata temu, właśnie w związku z A-100, ze względu na rozmiary i zasięg projektu. Webb mógł przywłaszczyć pieniądze z „czarnego budżetu”, lecz potrzebowali kogoś z Pentagonu, kto szybko i bez rozgłosu zatwierdziłby kontrakt. Trzeba przyznać, że Cowen natychmiast dostrzegł ogromny potencjał tkwiący we współpracy prywatnego funduszu inwestycyjnego z ludźmi związanymi z „czarnym budżetem”. Po kilku poufnych radach dotyczących kursów akcji Webb i Mohler uczynili z Cowena swego ucznia. Później przyjęli go do swego grona. Teraz stał się chciwy jak cała reszta.

- Sagamore zainwestował w akcje GEA miliard dolarów, zgadza się Art? - zapytał Cowen.

- Tak - padła odpowiedź. - Zapłaciliśmy dwadzieścia pięć dolarów za akcję.

- Więc jeśli ich cena wzrośnie do stu dolarów, jak powiedziałaś...

- Powiedziałem, że m o ż e wzrosnąć - poprawił go Mohler.

- Przepraszam, może.

- Właśnie.

- Oznacza to...

- To oznacza - Mohler znów przerwał admirałowi - że Sagamore osiągnie zysk netto prawie trzech miliardów dolarów na miliardowej inwestycji.

- Ile z tego trafi do nas? - zażądał odpowiedzi Webb.

Mohler przez chwilę się nie odzywał. Teraz ich oczekiwania wzrosną do astronomicznych rozmiarów; do tego nie chciał za nic dopuścić. Nie miał jednak odwagi

zignorować, czy choćby wymijająco odpowiedzieć na pytanie Webba. Z jakiegoś powodu ten człowiek napawał go strachem. Być może chodziło o jego znajomość z Gordonem Rothem, a może o fakt, że był zdolny zamknąć kapitana sił powietrznych w więzieniu na sześć miesięcy. Napawał go nawet nie strachem, lecz wręcz przerażeniem.

- Sagamore od wszelkich zysków pobiera dwuprocentową prowizję - wyjaśnił. - Z trzech miliardów zysku będzie ona wynosiła sześćdziesiąt milionów. Połowa zostanie w Sagamore, druga połowa trafi do nas.

Rozległ się śmiech Cowena. Miał zostać milionerem, a marynarka wojenna obiektem zazdrości armii i lotnictwa, dysponując najnowocześniejszym samolotem myśliwsko-bombowym na świecie. Pod warunkiem, że Malcolm Walker zostanie zneutralizowany.

- O kurwa - rzucił admirał do nikogo w szczególności.

Mohler zeszytniał na dźwięk wulgaryzmu. Nie cierpiał prostactwa Cowena. Lecz Cowen doskonale się spisał przy projekcie A-100. Początkowo Webb spotykał się z protestami, lecz zapewniał wszystkich, że Cowen i marynarka wojenna to wybór najlepszy z możliwych dla projektu, na którym zarobią miliony dolarów. I jak zwykle miał rację.

- Zyski będą ogromne, ale wszyscy ciężko pracowaliśmy i zasłużyliśmy na nagrodę. - Webb skinął na Mohlera. - Czy na pewno możesz wyssać z Sagamore tyle pieniędzy bez wywoływania zbyt dużego zaciekawienia?

- Owszem.

Finnerty zmienił temat:

- Jak sobie radzi Mitchell?

- W porządku. Wczoraj dokonał przelewu dwóch milionów dolarów na rachunek, którego numer mu podałeś. - Mohler uśmiechnął się. - Jego zachowanie jest bardzo przewidywalne.

- Ma jakieś podejrzenia?

- Wszyscy je mają.

- Następna sprawa - przerwał autorytarnie Webb. - Wybory. - Wskazał na Colemana. - Prosimy o aktualne informacje, Elbridge.

Coleman odchrząknął. Od rozpoczęcia spotkania nie powiedział ani słowa.

- Właściwie nic nowego się nie wydarzyło. Wciąż utrzymujemy silną pozycję, zwłaszcza w zachodniej części stanu i na Wschodnim Wybrzeżu. Senator Walker ma poparcie biedoty z Baltimore. W tej kwestii niewiele możemy zrobić. Porażka lub zwycięstwo uzależnione będą od głosów przedmieść Baltimore i Waszyngtonu.

- Porażka lub zwycięstwo? - Mohler okazał nagle zdenerwowanie. - Czy to oznacza, że wynik wyborów jest nadal niepewny? Myślałem, że mamy coraz większe poparcie. Niedawno była mowa o tym, że w ciągu sześciu tygodni poprawiliśmy się o dziewięć punktów.

- Owszem, mamy coraz większe poparcie - odciął się Coleman. - Jestem bardzo spokojny, jeśli chodzi o wynik. Nie chciałbym tylko lekceważyć Malcolma Walkera. Jak już dzisiaj mówiliśmy, to bardzo prężny przeciwnik.

Admirał Cowen zapukał w stół, ściągając na siebie uwagę.

- Nie wiem jak reszta, ale ja jestem zadowolony z sytuacji. Usłyszałem dzisiaj, że możemy oczekiwać ogromnych zysków z akcji GEA i świetnie, lecz musimy załatwić tę sprawę. Nie tylko ze względu na potencjalne zyski, lecz również z pobudek patriotycznych. Nie chciałbym być odebrany jak wojskowy fanatyk, ale musimy utrzymać integralność „czarnego budżetu”. Nie możemy pozwolić liberałom, żeby rozpuścili języki, gdyż wtedy produkowanie broni w tajemnicy nie będzie możliwe. Bezpieczeństwo narodowe narażone zostanie na szwank. - Zwrócił się do Webba: - Senatorze, wygląda na to, że jutro Malcolm Walker zamierza rozpętać burzę. Mam nadzieję, że zaplanował pan skuteczne środki zaradcze, bo będziemy ich potrzebować.

Wszystkie oczy zwrócił się ku senatorowi.

Webb zachowywał kamienną twarz.

- Proszę się nie martwić. Malcolm Walker może już nigdy w życiu nie zwoła następnej konferencji prasowej. A na pewno będzie żałował, że zwołał tę ostatnią.

22.

Gorąca woda spływała po ciele Jesse, delikatnie masując i rozluźniając jej zmęczone mięśnie. Jakże wspaniale było wziąć gorący prysznic po całym dniu pracy. Działał na nią usypiająco.

Znad brodzika powoli unosiła się para, spowijająca jej ciało. Zamknęła oczy, koncentrując się na maleńkich kropelkach bombardujących skórę. Kąpiel miała na nią hipnotyczny wpływ; myślami popłynęła z powrotem do restauracji i Todda. Jej odmowa przygnębiła go, co natychmiast odczytała z jego twarzy. Bardzo to przeżyła. Lecz Becky zdecydowanie uznała, że Jesse zareagowała prawidłowo. Nie była jeszcze gotowa na związek z Toddem.

Jesse zakręciła kurek i wycisnęła wodę z długich włosów. Wychodząc spod natrysku, zdjęła z wieszaka duży, gruby ręcznik i dokładnie się wytarła. Następnie, rzuciła ręcznik na umywalkę i przeszła szybko do jedynej sypialni w swym małym mieszkaniu.

Z ozdobnego wieszaka zahaczonego o drzwi szafy zwisała elegancka suknia i Jesse przystanąła na chwilę, żeby znów ponapawać się jej widokiem. Suknia, dostarczona dziś na jej domowy adres, była prezentem od Elizabeth Gilman. W przepięknie opakowanym pudle Jesse znalazła również kopertę z zaproszeniem na uroczyste przyjęcie, które Elizabeth wyprawiała na cześć gubernatora. Jesse podeszła wolno do sukni i dotknęła materiału. Jedwab. Musiała kosztować fortunę. Oczywiście nie powinna była jej przyjąć. Urzędnicy państwowi muszą stosować się do surowych zasad, jeśli chodzi o podarunki. Spojrzała na suknię rozmarzonym wzrokiem. Założy ją na przyjęcie gubernatora, a dopiero później ją odeśle, pomyślała.

Jesse odeszła parę kroków od sukni i wtedy dostrzegła w dużym lustrze stojącym w kącie pokoju swoje odbicie. Położyła ręce na biodrach i obróciła się szybko w jedną i drugą stronę, poddając ciało surowej ocenie. Delikatne ramiona, smukła talia, długie kształtne nogi oraz tyłeczek, który - musiała przyznać - doskonale wypełniał każdą parę dżinsów. Jesse odwróciła się twarzą do lustra. Wolałaby wprawdzie mieć większe piersi, ale czyż nie było to marzenie prawie każdej kobiety?

O jej nogi otarł się perski kot. Gdy Jesse schyliła się, żeby podrapać go pod bródką, odezwał się dzwonek u drzwi. Odruchowo skuliła się. Któż to mógł być o tej porze?

Znów rozległ się dzwonek. Podbiegła do łóżka, wzięła długi szlafrok frotte, narzuciła go na siebie i przeszła szybko w stronę przedpokoju.

Zatrzymała się na środku ciemnego salonu. Było pięć po dwunastej w nocy. Po co ktoś miałby zjawiać się u niej o tej porze? Zrobiła jeden krok w stronę drzwi i znów się zatrzymała. *Bądź ostrożna.* Słowa Neila Robinsona. Czy mężczyzna, który niemal dopadł ją w domu Neila, w końcu ją odnalazł? Ale po co w takim razie korzystał z dzwonka? Mogła w tym czasie uciec drogą przeciwpożarową. A może właśnie tego oczekiwał. Ktoś inny mógł czekać na nią na tyłach budynku. Tam było ciemniej. Lepsze miejsce, żeby sfinalizować to, co zaczął tamtej nocy.

Jesse powoli podeszła do drzwi, stąpając po grubym dywanie i przystawiła oko do wizjera. Ale nic nie zobaczyła. Na klatce było zbyt ciemno. Mogła wprawdzie włączyć światło na zewnątrz, ale wtedy jej gość wiedziałby, że stoi przy drzwiach. Ten człowiek nie zawahał się, żeby roztrzaskać jej szybę w samochodzie. Teraz nie zawaha się, żeby przestrzelić drzwi. Na kilka sekund zastygła w bezruchu, zastanawiając się nad następnym krokiem.

Pokręciła w końcu głową. Nie powinna się narażać. W ciągu ostatnich kilku dni przekonała samą siebie, że jej prześladowca zaniechał poszukiwań. Zdała sobie sprawę, że było to nierozsądne, jeśli nie głupie. Nikt nie strzela do kogoś z zamiarem zabicia, a potem tak szybko rezygnuje z poszukiwań. Takie myślenie jest irracjonalne. Nadszedł czas, żeby wezwać policję.

- Jesse. - Ktoś cicho wypowiedział jej imię. - Jesse! - Tym razem głośniej.
- David?
- Tak! Słuchaj, mogę wejść?

Natychmiast włączyła światło na zewnątrz, zwolniła łańcuch, przekręciła zasuwę i otworzyła drzwi. Stał przed nią, wciąż ubrany w garnitur, z krawatem pod szyją.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała.
- Niezłe przywitanie.
- Wejdz. - Chwyliła go za ramię i wciągnęła do środka, uśmiechając się z ulgą.

David wyciągnął zza pleców sweter, który Jesse miała na sobie na żaglówce w sobotnią noc. - Zostawiłaś w samochodzie.

- A ty postanowiłeś go oddać właśnie teraz?
- Długo dziś pracowałem, a mam do ciebie po drodze.
- Nieprawda.
- Gdy wybieram tę dłuższą trasę.

Uśmiechnęła się. Musiała przyznać, że czasem był czarujący.

- Nie powinnam się była zgodzić na wspólne żeglowanie - droczyła się z nim. - Nie powinnam pokazywać ci miejsca, w którym mieszkam. Boże, pewnie mnie śledzisz.

- Przecież ustaliliśmy, że jestem niemieckim tajnym agentem, pamiętasz?

- Racja. - Owinęła się szczelniej szlafrokiem. - A tak naprawdę, co cię tu sprowadza?

- Elizabeth zamierza poprosić cię o spotkanie z kilkoma osobami w Sagamore. Jeśli zrobisz dobre wrażenie, od razu zaproponuje ci pracę. Zacznesz po skończeniu szkoły. Wszystko to na razie nieoficjalnie, ale takie są plany.

Jesse zakryła usta ręką.

- Żartujesz chyba.

- Nie. Dowiedziałem się dziś po południu. Poprosi cię o spotkanie z tymi ludźmi bardzo szybko. Niektórzy z nich wyjeżdżają na jakiś czas z miasta i chyba Elizabeth chce już teraz związać cię z Sagamore. - Dłaczego, tego David nie potrafił wyjaśnić. Jesse była bystra, lecz kandydatów do pracy w Sagamore nie brakowało. - Zresztą pomyślałem, że chciałabyś się czegoś o nich dowiedzieć. Niektórzy są dość osobliwi i na pewno przed spotkaniem powinnaś wiedzieć o nich co nieco. Wiem, że jest późno, ale odniosłem wrażenie, że Elizabeth chce cię zaprosić już niedługo. Może nawet jutro. Przyszedłbym rano, ale jestem już umówiony na spotkanie i może ono trochę potrwać.

- Miło z twojej strony, że robisz to dla mnie. - Jesse bez namysłu pocałowała go w policzek.

- Pomyślałem sobie, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Jasne. - Podniosła palec. - Daj mi minutkę, dobrze? Muszę narzucić coś na siebie.

- Naprawdę musisz?

- Zaraz wracam - odpowiedziała ze śmiechem, odchodząc w stronę sypialni. - Rozgość się. W lodówce jest piwo.

David odprowadził ją wzrokiem do sypialni, po czym poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Zlustrował jej zawartość i wyjął butelkę piwa. Miał ją właśnie otwierać, gdy zauważył ciemnobrązową teczkę, która leżała na blacie przy kuchence. W górnym lewym rogu znajdowała się biała naklejka z napisem: „Elbridge Coleman”. David otworzył butelkę, pociągnął długi łyk, oparł się o zlew i wbił wzrok w teczkę.

Jesse zdjęła szlafrok, rzuciła go na łóżko i szybko włożyła dzinsy oraz bluzę. Jeszcze kilka spotkań. Jeśli dobrze wypadnie, zaproponują jej pracę w Sagamore. W Sagamore Investment Management Group, jednym z najbardziej znanych funduszy inwestycyjnych. Sara nie uwierzy jej. Jesse sama miała z tym trudności.

Usiadła przy toalecie, wzięła do ręki suszarkę i włączyła ją. Głośny szum urządzenia natychmiast zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Nagle serce zabiło jej mocniej. Teczka. Leżała na kuchennym blacie.

Upuściła suszarkę na podłogę i pobiegła do salonu. W drzwiach ujrzała Davida, który wychodził z kuchni z butelką piwa w ręku.

- Hej.

- Hej - odpowiedział, po czym pociągnął łyk piwa z butelki. - Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakby coś się stało.

- Nie, nic. - Nagle zdała sobie sprawę, że od bardzo długiego czasu wstrzymała oddech. Powoli wypuściła powietrze ustami, nie chcąc zdradzić swego zdenerwowania.

David zmierzył ją od stóp do głów i usiadł w fotelu, stawiając butelkę na stoliku.

- Świetnie wyglądasz.

- Dziękuję. - Czują przyspieszony puls.

- Na pewno nic ci nie jest? - David pociągnął kolejny łyk piwa.

- Nic, naprawdę. Pozwól, że ja też przyniosę sobie coś do picia. Zaraz wracam. - Przeszła przez wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni i podeszła do kuchenki. Teczka

Neila wciąż leżała na blacie i wyglądała na nie tkniętą. Nie mogła wiedzieć na pewno, czy David nie przejrzał jej zawartości. Gdyby ją otworzył, na pewno postaralby się, żeby odłożyć ją dokładnie w to samo miejsce.

- Co tam robisz?! - zawołał David.
- Biorę sobie piwo. Za chwilę wracam.
- OK.

Jesse schowała teczkę w szafce obok paczki z chrupkami śniadaniowymi, wyjęła z lodówki piwo i wróciła do salonu.

David uśmiechnął się do niej, gdy usiadła na kanapie naprzeciw niego.

- Muszę ci coś wyznać, Jesse.
- Co takiego? - Ogarnął ją lęk. Czyżby chodziło mu o teczkę? Co ma mu powiedzieć?

- Elizabeth naprawdę zamierza zaprosić cię na spotkanie z kilkoma osobami z firmy - powiedział. - Nie oszukuję. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego zjawiłem się tutaj.

- Mianowicie?

David zawahał się.

- Miałem nadzieję, że wkrótce znów spotkamy się na wspólnej kolacji.

Jesse odstawiła piwo na stół i podciągnęła kolana do brody, milcząc.

David błyskawicznie wyczuł jej zakłopotanie.

- Boisz się, że Elizabeth mogłoby się to nie spodobać. Że z tego powodu mogłaby nie zaproponować ci pracy?

Czytał w jej myślach.

- Owszem, przyszło mi to do głowy.

- A gdyby sytuacja wyglądała inaczej? Gdyby nie starano się pozyskać cię do firmy? Wtedy byś się zgodziła?

Jesse kiwnęła głową.

- Tak.

- A gdybym ci powiedział, że Elizabeth nie ma nic przeciwko naszemu zbliżeniu? Że napomknęła nawet, jaką wspaniałą stanowilibyśmy parę? Czy to by coś zmieniło? - David wziął do ręki wizytówkę leżącą przy telefonie i popukał nią bezwiednie po blacie stolika.

Jesse przez chwilę myślała, co odpowiedzieć.

- W takiej sytuacji wszystko byłoby chyba w porządku. - Zwróciła uwagę na wizytówkę, w którą wpatrywał się David. - Nie zrozum mnie źle, ale wolałabym usłyszeć to z jej ust.

David nie odpowiedział. Wciąż nie odrywał wzroku od wizytówki.

- Słyszałeś, co powiedziałam?

Z wizytówki wynikało, że jej właścicielka była doktorem psychologii.

- Kim jest Rebecca Saunders?

- Moją przyjaciółką - odparła cicho Jesse. Miała ochotę wyrwać mu wizytówkę, ale wiedziała, że nie może. David był zbyt bystry. Natychmiast dostrzegłby jej niepokój.

- Przyjaciółką? Wizytówka pokryta była liczbami, zapewne godzinami umówionych wizyt.

- Tak.
- Jess! - Głośne walenie w drzwi wystraszyło ich oboje.
- Jess, otwieraj!
- Mój Boże. - Jesse podskoczyła na sofie. - Co tu się dzisiaj dzieje? Jak na Dworcu Centralnym.

Walenie w drzwi nie ustawało.

- Jess, szybko! Otwórz drzwi!

Rozpoznała głos Todda.

- Co on tu robi? - Pospiesznie otworzyła drzwi.

- Witaj, królowo. - Todd był wyraźnie podekscytowany.

- Cześć - odpowiedziała chłodno. Co za, krępująca sytuacja.

- Widzę, że szalejesz ze szczęścia na mój widok, Jess. Wiem, że jest późno, ale myślę, że naprawdę... - Todd dojrzał za plecami Jesse Davida, który podszedł do drzwi.
- O Jezu. - Z jego głosu wyparował cały entuzjazm. - Przepraszam.

Jesse podniosła rękę do twarzy i pokręciła głową.

- Nic się nie stało.

- Ja już sobie pójdę. - David podszedł do Jesse i pocałował ją w policzek. - Jeśli zadzwoni Elizabeth, natychmiast skontaktuj się ze mną. Powiedz mojej sekretarce, żeby wywołała mnie ze spotkania, jeśli będzie trzeba. Udzielę ci ważnych informacji o ludziach, z którymi masz się spotkać. - Posłali sobie z Toddem chłodne ukłony, jak wcześniej przed budynkiem urzędu skarbowego, po czym Todd odsunął się i David wyszedł na klatkę schodową.

- Dziękuję, Davidzie - zawołała za nim.

Machnął ręką, nie odwracając się, i zaczął schodzić po schodach.

Jesse odwróciła się. Nagle ogarnęło ją ogromne zmęczenie.

- Naprawdę bardzo przepraszam, Jess.

- Nie ma za co.

- Zjawiłem się chyba w samą porę - bąknął Todd pod nosem.

- Co mówisz?

- Nic. Słuchaj, nie zajmę ci dużo czasu. Dowiedziałem się tylko czegoś bardzo interesującego o Elbridge'u Colemanie i chciałem ci o tym od razu powiedzieć. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął notes.

- Nie mogłeś po prostu zadzwonić? - Jesse zaniepokoiła się nagle. Napierał zbyt mocno. Becky miała rację.

- Mówiłaś przecież, że wolisz nie prowadzić rozmów przez telefon.

Podniosła wzrok. Rzeczywiście.

- No tak - odparła. Natychmiast ogarnęło ją poczucie winy za to, że kwestionowała jego motywę. Za myśl, że Becky miała rację. - Czego się dowiedziałeś?

Zamknął drzwi i zrobił kilka kroków w głąb mieszkania.

- Mam kolegę maklera, który w ciągu ostatnich dwóch lat utopił dość sporo moich oszczędności. Ma z tego powodu wyrzuty sumienia, więc poprosiłem go o przysługę. - W głosie Todda pobrzmiwało autentyczne podniecenie. - Pomógł mi z wielką ochotą.

- I?

- W tej teczce, którą zabrałaś z domu Robinsona, była mowa o zbadaniu publicznej oferty subskrypcyjnej Coleman Technology. Dlatego między innymi Robinson zainteresował się zeznaniami podatkowymi firmy. Wspomina w swych notatkach, że cena akcji wydaje się bardzo wysoka. Poprosiłem mojego kolegę maklera, żeby zbadał sprawę. Pracuje w Legg Mason, tutaj w Baltimore. Akurat Legg Mason nie należało do konsorcjum sprzedającego akcje, ale jego znajomi z innych firm sprzedawali je.

Jesse kiwnęła głową.

- Mów dalej.

Todd przerzucił kilka kartek w swoim notesie, studiował je przez chwilę i na nowo podjął relację:

- Okazuje się, że ofertą Coleman Technology zajęło się tylko kilka niewielkich firm maklerskich, drobna z Seattle lub San Antonio, bez udziału wielkich potentatów, takich jak Morgan czy Merrill Lynch. Mój kolega potwierdził, że cena faktycznie była bardzo wysoka jak na firmę związaną z przemysłem zbrojeniowym, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, jakie firmy zajmowały się ich sprzedażą. Ich klienci nie posiadali siły nabywczej klientów Morgana czy Merrilla, toteż trudno byłoby im znaleźć chętnych na akcje o tak wysokiej cenie.

- Ciekawe - przyznała Jesse. - Ale cały czas nie mamy nic na Colemana ponad to, że zrobił dobry interes.

- Słuchaj dalej. Mój kolega z Legg Mason rozmawiał z maklerem jednej z firm prowadzących emisję akcji Colemana. Firma nazywa się... - Todd znów zerknął do notesu - ...Zarb and Co. Ma siedzibę w Phoenix. Okazuje się, że nawet maklerzy z Zarb coś podejrzewali. Akcje zostały sprzedane, zanim mogli położyć na nich łapę. Właścicie musieli tylko wypisać potwierdzenia sprzedaży dla osób, których nazwiska dostarczył im ktoś z kierownictwa firmy. Zwykle maklerzy muszą obdzwaniać wszystkich, począwszy od swych najstarszych ciotek, a skończywszy na prezydencie, żeby sprzedać akcje. A w tym przypadku zostały sprzedane na pniu.

- Sprawa została ukartowana - skomentowała Jesse.

Todd kiwnął głową.

- A kupcami akcji Coleman Technology były średnie firmy przemysłowe, nie spółki lokacyjne lub prywatni inwestorzy, którzy najczęściej wykupują nową ofertę.

- Czy twój kolega może zdobyć informacje o firmach, które wykupiły udziały Coleman Technology?

- Już dawno o tym pomyślałem, Jess. Ten koleś z Zarb trochę poszperał. Co najmniej trzy spośród małych firm, które zakupiły akcje Coleman Technology, były własnością tej samej spółki holdingowej. Teraz zdobywa informacje o tej spółce. No wiesz, o tym, kto nią właściwie kieruje. Czasem zajmuje to trochę czasu.

Jesse doskonale o tym wiedziała. Ludzie nie ustalali w próbach wywiadowania w pole urzędu skarbowego poprzez tworzenie wszelkiego rodzaju skomplikowanych struktur własnościowych.

- A tymczasem podejrzewasz, że jedna spółka holdingowa mogła wykupić wszystkie akcje Coleman Technology podczas pierwszej publicznej oferty subskrypcyjnej, lecz próbowała zamaskować swe działania, rozdzielając udziały między kontrolowane przez nią firmy.

Todd przytaknął.

- Dokładnie.

Wspaniała wiadomość. Coś, co można było potwierdzić i co mogło naprowadzić ich na konkretny trop.

- Po co ktoś miałby to robić? - zastanawiała się na głos.

- Dogodny sposób finansowania kampanii wyborczej bez ujawniania, kto stoi za pieniędzmi.

Ona też wpadła na ten pomysł, ale chciała się przekonać, czy Todd dojdzie bez podpowiedzi do tego samego wniosku. Spojrzała na stół przy fotelu, w którym niedawno siedział David. Zmrużyła oczy. Wizytówka Becky zniknęła.

David zasiadł obok Elizabeth Gilman na tylnym siedzeniu limuzyny, a kierowca zamknął za nim drzwi. Musiał przejść na tyły budynku, gdzie Elizabeth kazała zaparkować limuzynę. Tam bowiem Jesse nie mogła jej widzieć.

- Co się stało? - zapytała. - Tak szybko wróciłeś.

Z ledwością dostrzegał jej profil w ciemnościach.

- Nagle pojawił się jej przyjaciel. Tego nie było w planie.

- Jaki przyjaciel?

- Nazywa się Todd Colton. Jesse twierdzi, że jest tylko przyjacielem, ale nie jestem pewien.

- Todd Colton - wyszeptwała. - Todd Colton. - Powtórzyła imię, żeby zarejestrować je w pamięci.

David zamknął oczy i odprężył się. Powoli odkrywał, że pod maską wielkiej damy, którą grała Elizabeth Gilman, kryło się dużo więcej.

- Znalazłeś coś w jej mieszkaniu? - zapytała.

David zawahał się. Teczka leżąca na kuchennym blacie zawierała oskarżenia wobec Elbridge'a Colemana o manipulowanie wynikami wyborów z grupą wpływowych osób, o współpracę z konserwatywną frakcją mającą na celu kontrolowanie przemysłu zbrojeniowego i niszczenie ludzi takich jak Malcolm Walker. Mafioso z Waszyngtonu, z którym się kontaktował, mógł należeć do tej frakcji. Także Jack Finnerty, pomyślał David. Gdy stał w kuchni, wbijając wzrok w dokumenty z teczki, jak grom z jasnego nieba spadła na niego myśl o potencjalnym związku tych ludzi z GEA, Sagamore i nim samym.

Wtedy David usłyszał, że Jesse wyłączyła suszarkę i zdał sobie sprawę, że musi odłożyć teczkę. Gdy przybiegła z sypialni, jej przerażony wzrok podpowiadał mu, że przypomniawszy sobie o teczce.

- Nie, Elizabeth, nic nie znalazłem. - Wolał wiadomość o teczce zachować dla siebie do czasu, gdy będzie mógł wykorzystać ją jako kartę przetargową. - W każdym razie nic godnego uwagi.

- Dobrze, ale chciałabym, żebyś dokładnie przeszukał jej mieszkanie. Musisz się do niej zbliżyć. Musicie pozostawać w stałym kontakcie. - Elizabeth musiała wiedzieć, co się dzieje z Jesse przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nie rozumiem, Elizabeth - powiedział David matowym głosem. - Czemu to takie ważne?

Nie mogła wyjawić mu prawdy.

- Myślę o zaoferowaniu jej pracy już teraz, oczywiście pod warunkiem ukończenia szkoły. Nie chcę, żeby odbiły nam ją banki inwestycyjne, więc zamierzam działać szybko.

- Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo zależy ci na Jesse. Kandydatów jest mnóstwo. Chociażby absolwenci szkół Ivy League. Mają dużo większe doświadczenie niż Jesse Hayes.

- Z daleka potrafię dostrzec prawdziwy talent. - Odwróciła się do niego. - Dlatego ja kieruję Sagamore - rzekła chłodnym tonem - a ty jesteś tylko dyrektorem inwestycyjnym, który może nie przetrwać piątej rocznicy pracy w firmie.

W chwili, gdy padły te karcące słowa, David poczuł jej palce na swej dłoni.

- David, przez cztery lata nie mieliśmy okazji, żeby się naprawdę poznać. - Jej głos zmiękł. Położyła jego dłoń na swych kolanach. - Może dzisiaj spróbujemy. - Zauważyła, jak na jego twarzy maluje się zdziwienie. Słowa szybko osiągnęły cel.

Udało jej się go oszołomić.

David pochylił się w fotelu i potarł rękoma czoło. Obietnica milionów i wszystkiego, co pieniądze mogły załatwić. Obietnica finansowego bezpieczeństwa. Być bogatym. Zawsze tego pragnął. Ale czy cena nie jest zbyt wysoka?

Gordon Roth obserwował zza samochodu mężczyznę, który pożegnał się z młodą kobietą przy drzwiach, odwrócił się i zszedł po schodach. Światło na zewnątrz zgasło i na chwilę sylwetka mężczyzny zniknęła, lecz Roth szybko wyłowił ją z ciemności. Mężczyzna poszedł na parking i wszedł do samochodu.

Gdy tylne światła samochodu zniknęły za zakrętem, Roth wyszedł z ukrycia, przeszedł szybko na tyły budynku i schodami przeciwpożarowymi dostał się na trzecie piętro. Przycisnął się przy oknie sypialni i ostrożnie zajrzał do środka przez firanki. Obserwował, jak dziewczyna rozbiera się i wsuwa pod koldrę. Zgasło światło i nic więcej nie zobaczył.

Czekał przez dwie godziny. Gdy wreszcie upewnił się, że młoda kobieta zasnęła, naciągnął na głowę czarną plastikową maskę i otworzył okno. Po południu odblokował je, przygotowując się do nocej akcji. W ciągu kilku sekund zakradł się do pokoju i usiadł na śpiącej okrakiem. Przycisnął kolanami łokcie kobiety i zasłonił jej usta ręką. Szamotała się przez chwilę, lecz choć Roth nie imponował rozmiarami, był niezwykle silny i jej wysiłki zdały się na nic.

Gdy przestała walczyć, Roth pochylił się nad jej uchem.

- Zabiorę rękę, ale jeśli krzykniesz, zabiję cię - wyszeptał. Wolną ręką wyciągnął zza pasa długi, ząbkowany nóż myśliwski i przycisnął ostrze do jej policzka. - Zrozumiałaś?

Pokiwała rozpaczliwie głową, szeroko otwierając oczy.

Roth wyciągnął szybko zza pasa dwa długie sznurki i przywiązał jej ręce do łóżka. Następnie zerwał z niej kołdrę i tak samo zabezpieczył nogi.

Patrzyła na niego bliska łez.

- Błagam, nie rób mi krzywdy - poprosiła.

- Potrzebuję pewnych informacji. Jeśli będziesz współpracować, nic ci się nie stanie. - Przycisnął koniuszek ostrego noża do miękkiej skóry jej szyi.

Odruchowo cofnęła szyję najdalej, jak tylko mogła, ale Roth nie ustępował, aż na skórze pojawiła się małe kropła krwi.

- To boli - powiedziała głośno.

Natychmiast zasłonił jej usta ręką.

- Mówiłem, że masz siedzieć cicho - syknął. - Następnym razem cię zabiję. - Powoli odsunął dłoń od jej ust.

- Przepraszam - wymamrotała.

Pochylił się tak, że jego usta dotknęły jej ucha.

- Gdzie jest teczka?

- Jaka teczka? - załkała.

Zadał pytanie jeszcze kilka razy, ale bez rezultatu. Najwidoczniej niełatwo było zmusić ją do współpracy. Wyciągnął z kurtki kawałek materiału, którym ją zakneblował.

- Zaraz wracam.

Przez pół godziny, zaczynając od sypialni, przetrząsał całe mieszkanie, ale nie znalazł teczki. Z ponurym wyrazem twarzy wrócił do sypialni, znów nad nią klęknął i wyjął knebel.

- Gdzie jest teczka? - zapytał z naciskiem.

- Nic nie wiem o żadnej teczce - twierdziła. - Przysięgam.

- Dałaś ją mężczyźnie, który dziś cię odwiedził?

- Powiedziałam już - łkała żałośnie - nic nie wiem o żadnej teczce. Proszę, puść mnie.

- Jeśli natychmiast nie zaczniesz współpracować, pożałujesz tego. Byłoby dużo lepiej, gdybyś mi po prostu powiedziała.

- Nic nie wiem!

Roth z powrotem wepchnął jej knebel do ust i zęcał się nad nią jeszcze przez godzinę. Nie pozostawił na jej ciele żadnych śladów, ale torturował ją psychicznie, strasząc wielkim nożem. Nic jednak nie wskórał. Wreszcie zrezygnował z dalszych prób i przycisnął jej do twarzy poduszkę. Gdy znieruchomiała, odwiązał ją i wziął ciało na ręce. Podeszedł do okna. Zginęła uduszona we własnym łóżku, lecz dla świata jej śmierć miała nastąpić w wyniku makabrycznego wypadku samochodowego.

23.

Dzień dobry, Malcolmie. - Monique Howard, wysoka długowłosa brunetka o ładnej twarzy i smukłej sylwetce, była szefem sztabu wyborczego Walkera. Pozostała z nim od czasu kampanii o miejsce w senacie stanowym i często towarzyszyła mu podczas różnych uroczystości. Pracowity tryb życia senatora nie pozostawiał mu czasu na życie prywatne. Ponieważ oboje byli samotni, krążyły plotki o ich rzekomym romansie. I gdyby senator wykazał żywsze zainteresowanie, Monique nie oparłaby mu się. Bardzo pociągały ją ostre rysy, cięty dowcip i naturalny urok senatora. Ale w ciągu dziesięciu lat ich współpracy Walker zawsze zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Zatem jak w przypadku większości waszyngtońskich plotek, ta też nie miała nic wspólnego z prawdą.

- Monique, jak dzisiaj samopoczucie? - Głos Walkera zadudnił zza wielkiego biurka zarzuconego papierami i pustymi plastikowymi kubeczkami po kawie.

Nieporządek miał we krwi. Od lat próbował przekonać Monique, że specjalnie utrzymuje na biurku bałagan, gdyż taki stan rzeczy sprzyja bardziej wyzwolonemu myśleniu. Chaos na biurku symbolizował niby wolność myśli. Ale Monique знаła prawdę. Senator po prostu nie lubił sprzątać. Więc co dwa tygodnie to ona robiła porządki na jego biurku, nie dopuszczając do pogrzebania go żywcem pod górą papierów.

Monique przyjrzała się Walkerowi podejrzliwie.

- Skąd dziś taki dobry nastrój? - Ostatnio gryzł się silną pozycją Colemana w rankingach przedwyborczych.

- Dzisiaj karta się odwróci. - Wstał szybko zza biurka i podszedł do dużych drzwi. Zanim je zamknął, skinięciem głowy pozdrowił czterech młodych studentów pracujących w biurze. Jak zwykle, gdy był podekscytowany, zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem. - Dzisiaj my znajdziemy się w centrum zainteresowania. - Walker cmoknął, jak gdyby delektował się pyszną potrawą.

- Ach, konferencja prasowa. - Monique nie podzielała entuzjazmu Walkera.

Senator nie przestawał przemierzać gabinetu.

- Tak, konferencja prasowa. - Usłyszał sceptycyzm w jej głosie. - Dlaczego tak o tym mówisz?

Monique wygładziła swą plisowaną spódnicę sięgającą do kolan.

- Przypomnij mi, jakie tematy chcesz poruszyć poprosiła, unikając odpowiedzi na pytanie.

Walker zatrzymał się przy oknie w gabinecie na pierwszym piętrze Russell Senate Office Building, żeby zebrać myśli. Miał z tego miejsca doskonały widok na siedzibę Kongresu. Tylko najstarsi senatorowie posiadali biura na samym Kapitolu. Reszta musiała docierać na obrady piechotą lub pociągiem, który kursował podziemnym tunelem, łącząc obydwie budowle.

- Po pierwsze, ujawnię istnienie bombowca myśliwskiego A-100 - zaczął. - Zapoznam naród amerykański z ogromnymi kosztami produkcji A-100, które w ciągu siedmiu lat sięgną prawdopodobnie sto pięćdziesiąt miliardów dolarów. Wyeksponuję fakt, że w ten sposób marnuje się na ogromną skalę pieniądze podatnika w czasach militarnej dominacji Stanów Zjednoczonych. Oczywiście zaznaczę, że pieniądze te można wykorzystać bardziej skutecznie do wprowadzenia wielu programów pomocy społecznej i zacytuję kilka konkretnych przypadków.

Po drugie, omówię ogólnie „czarny budżet” i powiem, jak pod jego płaszczykiem przyznano kontrakt na A-100. Zażądam pełnego zbadania procesu przyznawania kontraktów przez Senat, zarówno w Kongresie, jak i Pentagonie z zamiarem rozbicia tej starej klikki. - Wysunął buńczucznie podbródek. - No i co o tym sądzisz? - zapytał, odwracając się od okna.

Monique wiedziała, że taka strategia łączyła się z ogromnym ryzykiem.

- Co dokładnie zamierzasz powiedzieć o „czarnym budżecie”?
- Wszystko, co wiem.
- Czyli?

Walker znów zaczął chodzić po pokoju.

- Że senatorowie: trzech, dwóch lub tylko jeden, nie odpowiadając przed nikim, mogą z własnej inicjatywy potajemnie przeznaczyć aż dziesięć procent budżetu wojkowego na badania nad nowymi rodzajami broni. Że nikt nie może zakwestionować tych wydatków: ani Kongres, ani Biuro Zarządu i Budżetu, ani Główne Biuro Kontroli, ani, do jasnej cholery, nawet sam prezydent. Że zawiera się umowy z firmami zbrojeniowymi w ramach „czarnego budżetu” i nikt nie wnosi żadnych sprzeciwów. - Walker zauważył, że szefową sztabu wyborczego bardziej zajmuje stan jej spódnicy niżli jego uwagi. - Monique?

Pocierała płamę na spódnicy.

- Tak? - Plama stanowiła irytującą pamiątkę po ciastku z owocami, które kiedyś jadła na śniadanie, a którego spora część spadła jej na ubranie.

Nie podobała mu się obojętność, z jaką stale traktowała jego walkę z Departamentem Obrony.

- Ludzie muszą się dowiedzieć o „czarnym budżecie”, Monique. Muszą zrozumieć, że system ten funkcjonuje od wielu lat. Że programy „czarnego budżetu” kosztują podatnika ogromne sumy pieniędzy, co najmniej trzydzieści miliardów rocznie i że sytuacja ta stwarza wiele okazji do oszustw, a już na pewno potężny konflikt interesów. Systemu tego nikt nie kontroluje i tak już zostanie, jeśli ktoś nie przerwie tego procederu. Walczę z nadmiernymi wydatkami na obronę, odkąd zostałem senatorem. Wydaje się logiczne, że ja powinienem poprowadzić tę batalię. - Usiadł za biurkiem, wziął do ręki piłeczkę tenisową, która leżała w nie używanej popielniczce, odchylił się do tyłu

w swym skórzanym fotelu i podrzucił ją do góry. - A konferencja prasowa zapewni nam dobrą prasę w chwili, gdy najbardziej tego potrzebujemy.

- Skąd wiesz, że „czarny budżet” naprawdę istnieje? - Plama nie schodziła. A niedawno odebrała spódnicę z pralni.

- Nie wyglupiaj się - powiedział poirytowany. - Wszyscy o tym wiemy.

- Ale konkretnie, skąd o nim wiesz? Dziennikarze będą zadawać to pytanie, jeśli naprawdę chcesz pójść na całość. Lepiej przygotuj sobie odpowiedź.

- No dobrze. Może podać przykład? Bombowiec B-10 powstał dzięki pieniądзом z „czarnego budżetu”. A ile według szacunków kosztuje Amerykanów jedna z tych paskudnych hałaśliwych maszyn. Miliard dwieście, oto ile. Prawdziwe koszty były prawdopodobnie dwa razy wyższe i niejeden wzbogacił się na tym. I tak pieniądze publiczne potajemnie trafiły do prywatnych kieszeni.

- Masz jakieś dowody?

- Choćby fakt, że nikt nie potrafi wyliczyć się z tych pieniędzy. Porozmawiaj z księgową z Pentagonu, a w jej oczach pod zielonym cieniem ujrzysz tylko przerażenie. Porozmawiaj z ludźmi z Biura Budżetu lub Biura Kontroli, a rezultat będzie ten sam.

- Potrzebujesz czegoś więcej - zawyrokowała Monique.

- Słuchaj, jeśli od sześciu lat chodzisz korytarzami Kongresu, do twych uszu docierają różne rzeczy. O tym, w jaki sposób rozgrywa się walka o budżet Departamentu Obrony. W jaki sposób przyznaje się kontrakty. Nic konkretnego, nic, do czego ktoś mógłby się przyczepić, ale wiesz swoje.

- Może istnieją powody, dla których nikt do niczego się nie przyczepia - zasugerowała Monique złowieszczo, wciąż drapiąc długimi paznokciami płamę na spódnicy.

- Obiecaliśmy sobie, że nigdy nie damy się zastraszyć tym ludziom. - Walker wy-czuł jej niepokój i zrobiło mu się przykro. Była silną psychicznie kobietą i nigdy tak się nie zachowywała. - Obawiasz się o mnie?

- Nie. - Jej oczy roziskrzyły się. - Ale czasem lepiej jest pozwolić lwu, aby od-szedł z kawałkiem mięsa i nie drażnić go.

- Nie wierzę własnym uszom. - Walker znów rzucił piłeczkę w stronę sufitu.

Spadła na podłogę i poturlała się po grubym czerwonym dywanie na drugi kraniec biura. - Czy ktoś się z tobą kontaktował? - zapytał.

- Oczywiście, że nie.

- Szczerze.

- Do diabła, próbuję tylko cię chronić.

- Więc w czym problem?

- Malcolm, przypuśćmy, że masz rację. Przypuśćmy, że w ramach budżetu De-partamentu Obrony istnieje potężny fundusz osobiście kontrolowany przez jednego lub dwóch senatorów. Że w znowie tej uczestniczy mała grupa wysokich urzędników z Pentagonu i przedstawiciele przemysłu zbrojeniowego. Czy naprawdę sądzisz, że na-mówisz Kongres do zbadania tej sprawy? Jeśli taki fundusz istnieje, istnieje za przy-zwoleniem kongresmenów. Prosiłbyś o zbadanie sprawy ludzi, którzy odnoszą korzyści finansowe z istnienia „czarnego budżetu”. Innymi słowy prosiłbyś, aby zlustrowali

samych siebie. To się nie uda, a twoja kariera może w rezultacie lec w gruzach. - Dała spokój plamie i pogodziła się z perspektywą kolejnej wizyty w pralni. - Wiem, że cię rozczarowałam, ale radzę ci, abyś prowadził z nimi wojnę na poziomie projektów. Ujawnij istnienie A-100 i na tym koniec. Graj według ustalonych zasad. Zyskasz poparcie u wyborców i przeżyjesz.

- Błagam. - Machnął na nią ręką. - Zachowujesz się nieco histerycznie.

- Naprawdę?

- Tak.

- Zapomnij o „czarnym budżecie”, Malcolm. Nie chodzi o to, że się boję. Po prostu uważam, że koncentrując się na nim, popełniłbyś polityczny błąd. Jestem szefową twojego sztabu wyborczego. Płacisz mi za rady. Nie robię nic innego.

- A co powiesz na to, że w rejonie 51 aresztowano kapitana sił powietrznych, któremu nie postawiono żadnego zarzutu? - zapytał Walker. - Zamknęli go i teraz tam gnije. Nie martwi cię, że są do tego zdolni?

- Oczywiście, że martwi. A ciebie nie martwi, że cały czas milczy? Że nikogo nie oskarżył? Że boi się tak bardzo, że woli siedzieć cicho w małej celi i grać w kółko i krzyżyk na więziennym murze, niż walczyć o powrót do domu, do dzieci? Powiedziałabym, - że dobrali mu się do skóry. Jeśli jego milczenie niczego cię nie nauczy, to znaczy, że jesteś ślepy. - Przerwała na chwilę. - Nie martwi cię, że jego waszyngtoński protektor, senator Malcolm Walker, nie próbuje go stamtąd wydostać?

Walker uderzył głośno ręką o stół.

- To nie fair! Kapitan Nichols sam do mnie przyszedł. Ostrzegłem go, że jeśli go złapią, nie będę mógł nic dla niego zrobić. Wiedział, co mu grozi.

- I tak musisz mu pomóc.

Walker wstał z fotela i znów zaczął chodzić w tę i z powrotem.

- Wiem - odparł, wydając z siebie długie, nabrziałe poczuciem winy westchnienie. - I pomogę mu. Pozwól mi najpierw rozprawić się z „czarnym budżetem”. Wtedy naprawdę będę mógł mu pomóc.

- Nie sądzę jednak, żeby ktokolwiek z Kapitolu rozpoczął dochodzenie na podstawie tego, co mi powiedziałeś - powtórzyła.

- Co mam zrobić, Monique? - W jego głosie dało się nagle słyszeć zmęczenie stresem ostatnich kilku miesięcy. - Jeśli teraz nie wykonam zdecydowanego ruchu, Elbridge Coleman w listopadzie położy mnie na łopatki. Wszystkie rankingi na to wskazują. Potrzebuję sensacji. Czegoś, co skieruje wszystkie światła z niego na mnie. W przeciwnym razie będzie po mnie. Nieważne, czy spotka mnie polityczny ostracyzm, czy nie, gdyż po prostu zniknę stąd. Popatrz na statystyki. - Zatrzymał się i wcisnął ręce do kieszeni w spodniach. - Jutro w telewizji ABC pojawi się ranking, w którym Coleman wyprzedza mnie o pięć punktów.

- Od kogo się o tym dowiedziałeś? - zapytała natychmiast. Zwykle sprawowała kontrolę nad jego rozmowami.

- Od Petera Jenningsa, na litość boską. Zadzwoił do mnie bezpośrednio z prośbą o komentarz.

- Przepraszam, Malcolm.
- W porządku. - Przez chwilę tarł czoło. - Nie powiedziałem ci jeszcze o jednej sprawie. - Wziął do ręki przycisk do papieru i zaraz go odłożył. - Dysponuję pewnym dowodem.
- Co? Naprawdę?
- Tak. To nic wielkiego, ale chyba wystarczy, żeby wszcząć dochodzenie w Senacie.
- Co to jest? - ożywiła się nagle. - Jeśli rzeczywiście masz coś takiego, może wystarczyć.

Walker usiadł z powrotem w fotelu i otworzył szufladę. Wyjął z niej brązową kopertę, którą rzucił w jej stronę.

Koperta wylądowała na stosie kilku nie tkniętych numerów „Washington Post”.

Monique podniosła ją, wyciągnęła ze środka kartkę i przeczytała ją szybko. Otworzyła szerzej oczy.

- Napisana ręcznie notatka służbowa od szefa operacji morskich Teda Cowena do senatora Webba z prośbą o przyznanie funduszy z „czarnego budżetu” na projekt A-100! Występuje w niej nawet termin „czarny budżet”. I jest wyraźnie zaadresowana do senatora Webba.

Prawdziwy dar niebios. W momencie, gdy potrzebował go najbardziej.

- Dasz wiarę? - emocjonował się Walker. - Z tego, co wiem, tak ważne informacje dotyczące „czarnego budżetu” nigdy nie trafiają na papier. To tylko dowód, jak bardzo w ciągu ostatnich lat ignorowano marynarkę wojenną. Admirał Cowen pewnie nie zdawał sobie sprawy z protokołu „czarnego budżetu”.

- Czy pod notatką na pewno widnieje podpis admirała Cowena?

- Tak. Nie ma żadnych wątpliwości. Poprosiłem eksperta o zbadanie jego pisma.

- Ale skąd to masz? - Monique z ledwością panowała nad emocjami.

Walker raz jeszcze pomyślał o kapitanie Nicholcie siedzącym samotnie w celi. Zrobi wszystko, żeby go stamtąd wydostać.

- Z rejonu 51. Ostatni dowód rzeczowy, jaki zdobył kapitan Nichols, zanim go uciszyli.

Punktualnie o godzinie pierwszej po południu senator Malcolm Walker przeszedł przez szerokie drzwi głównej sali konferencyjnej Hart Building. Wielka sala wypełniona była po brzegi, głównie członkami braci dziennikarskiej. Kilku reporterów ukloniło się Walkerowi, a niektórzy pokleпали go nawet po plecach, gdy zbliżał się do podium. Zawsze cenił sobie przyjazne stosunki z dziennikarzami - nawet tymi, którzy sympatyzowali z konserwatystami i rozpisywali się o jego majątku i ekskluzywnym wykształceniu. Wiedział, że bez względu na wszystko, z prasą zadzierać nie warto. Walker przyswoił sobie tę maksymę już na początku swej politycznej kariery.

Kilka razy puknął w mikrofon i uśmiechnął się do kilku osób z tłumy.

- Witam państwa. - Przekreślił nieco głowę, pochylił ją i spojrzął prosto do kamery CNN. - Dziękuję za tak liczne przybycie. To, co dzisiaj powiem...

- Senatorze Walker! - Z głębi sali rozległ się tubalny głos, przerywając jego wywód.

Walker przysłonił oczy, raziły go bowiem mocne światła reflektorów, a chciał dostrzec osobę, która zabrał głos.

Pastor Elijah Pitts zaczął zbliżać się do podium w otoczeniu dwóch młodych ochro-niarzy.

- Senatorze Walker, od pewnego czasu LFA próbuje nawiązać dialog z waszym biurem.

Walker odwrócił się szybko do swego sekretarza.

- Cholera, jak oni się tu dostali.

Sekretarz nerwowo wzruszył ramionami, zdając sobie sprawę, że nagle jego praca zawisła na włosku.

- Senatorze! - Pastor zawołał jak na kazaniu, załamując głos dla większego efek-tu.

Walker odwrócił się do Pittsa, który kroczył w stronę podium przez szybko rozstę-pującą się rzeszę reporterów.

- Wielokrotnie usiłowałem się z panem skontaktować, ale na próżno. Pan i ja mamy sobie dużo do powiedzenia o przyszłości czarnej społeczności. - Wymierzył długi palec w Walkera. - Dlaczego ignoruje pan naszą organizację? Dlaczego ignoruje pan Liberation for African-Americans? Czy zapomniał pan, skąd się wywodzi, senatorze? - Jego ostatnie słowa odbiły się dramatycznym echem po całej sali.

Walker znów zwrócił się konfidencjonalnie do sekretarza.

- Cholera, gdzie jest policja? Powinni zabrać stąd tego człowieka.

- Nie mam pojęcia, senatorze - wyjąkał młody człowiek.

- Gdzie jest Monique?

Sekretarz wzruszył ramionami.

- Niech to diabli. - Walker spojrział w stronę kamery CNN i szybko odwrócił wzrok. Czuł, jak szansa ujawnienia projektu A-100 i „czarnego budżetu” wymyka mu się z rąk. - Jak mówiłem... - próbował ratować sytuację.

- Odpowiedz! - ryknął pastor, przekrzykując coraz głośniejszy szmer rozmów.

- Właśnie, proszę odpowiedzieć - podchwycił reporter „The New Republic”. - Dlaczego ignoruje pan LFA?

Zaczęły błyskać flesze i Walker poczuł, że na czole tworzą mu się krople potu.

Nagle zrobiło mu się piekielnie gorąco. Nigdy nie pozwól im, żeby widzieli, jak się pocisz, przypomniał sobie.

- Oczywiście później z przyjemnością spotkam się z pastorem, żeby razem zasta-nowić się nad sposobami współpracy. - Odwrócił głowę nieco na bok, żeby nie mówić bezpośrednio do płątaniny mikrofonów.

- Czy zaprosi mnie pan na podium na znak braterstwa? Czy zrobi pan to tu i te-raz? W tej chwili? - huczał pastor.

Walker rzucił w stronę kamery CNN tęskne spojrzenie Reportaż z tej konferencji prasowej będzie pokazany w wieczornych wiadomościach w każdym domu w Ameryce.

Przełknął z trudem ślinę. Jeśli otwarcie zwiąże się z LFA, zapewne straci spory odłam białego elektoratu. Z drugiej strony, jeśli teraz nie poprze Pittsa, być może straci swój rdzenny czarny elektorat. Czarni oczywiście nie będą głosować na Elbridge'a Colemana, po prostu w ogóle nie pójdą do urn. Co będzie miało równie katastrofalne skutki. Nagle okazało się, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia i poczuł, że podłoga pod stopami zamienia się w linę, na której musi balansować.

- Przyjmij mnie do siebie, senatorze Walker. Okaż szacunek dla naszych ludzi. - Pitts wypuścił śmiertelną strzałę.

Równie dobrze mogłaby być prawdziwa. Walker poczuł ból, jakby rzeczywiście strzała ugodziła go w pierś. Pokiwał głową i rozciągnął usta w szerokim, politycznym uśmiechu.

- Proszę do mnie, pastorze Pitts. - Nie miał innego wyjścia. Nie mógł odwrócić się od LFA publicznie i oczekiwać, że zachowa poparcie czarnych. Później zajmie się konsekwencjami, a teraz pozostała mu nadzieja, że wszystko jakoś się w końcu ułoży.

Pitts wkroczył na podium, chwycił Walkera za rękę i podniósł ją w triumfalnym geście. Stali tak razem z podniesionymi wysoko rękami przy trzaskach setek aparatów fotograficznych.

Senator Webb stał przy wejściu, obserwując, jak kampania Walkera zamienia się w gruzy. Wsparcie finansowe, jakim cieszyło się LFA ze strony Doub Steel, zaczęło nagle przynosić dywidendy, tak jak kontrola Webba nad policją kongresową. Zadbawszy o to, żeby wpuszczono pastora na salę, wbił pal w samo serce tego, co pozostało po kampanii Walkera. Webb uśmiechnął się i poszedł do swego biura na Kapitolu.

24.

Jesteś bardzo piękną kobietą. Spotkanie z tobą to prawdziwa przyjemność.

Siedzieli przy oświetlonym świecami stole ustawionym w rogu gustownie urządzonego prywatnego apartamentu.

- Nie uważam się za piękność - odparła cicho Monique.

Senator Webb przesunął dłonią po płóciennym obrusie i poklepał ją po delikatnych palcach.

- Ależ jesteś jedną z najbardziej zachwycających kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem - przekonywał z przesadnym akcentem z Georgii, obserwując, jak włosy Monique lśnią w świetle. - Phil Rhodes poinformował mnie, że jest pani bardzo atrakcyjna, ale nie przypuszczałem, że aż tak. Bardzo się cieszę, że zorganizował nam spotkanie. - Webb podniósł czajniczek z czystego srebra. - Może jeszcze kawy? A deser? Chciałbym, żeby ta kolacja nigdy się nie skończyła.

Dla Monique natomiast mogłaby się skończyć już dawno albo w ogóle nie zaczynać.

- Nie, dziękuję - odparła uprzejmie, próbując udawać, że dobrze się bawi.

Webb widział, że kłamstwa i oszustwa dają się Monique we znaki, ale nie martwił się tym. Stanie się jeszcze słabsza i łatwiej będzie nią manipulować. Nie mogła uciec. Dostrzegł w jej oczach, że zdała już sobie z tego sprawę.

- Rhodes wspomniał, że ma pani dla mnie coś nowego.

Monique zawahała się przez chwilę, po czym sięgnęła do torebki opartej o jedną ze stołowych nóg i wyciągnęła kopertę.

- Proszę.

Webb spokojnie wziął kopertę, wyjął ze środka kartkę papieru i szybko zapoznał się z treścią notatki.

- Czy to oryginał?

- Tak.

- Są jakieś kopie?

- Nie, to jedyny zapis korespondencji między admirałem Cowenem i panem w sprawie „czarnego budżetu”.

- Jak to się dostało w ręce senatora Walkera?

- A jak pan sądzi?

- Kapitan Paul Nichols?
- Tak. - Młodego pilota trzymano w odosobnieniu w rejonie 51. Zdradziła jego nazwisko Rhodesowi i za co? Za kilka dodatkowych dolarów i oszczędzenie sobie wstydu, gdyby opublikowano jej zdjęcia. Zakryła twarz dłońmi. Kapitan Nichols miał żonę i dwójkę dzieci. Rodzina nie wiedziała, co się z nim stało.
- Dziękuję, Monique. - Webb wsunął kopertę z jej ceną zawartością do kieszeni marynarki. - Dopilnuję, żeby jutro na pani koncie znalazła się premia.
- Nie chcę tych pieprzonych pieniędzy. - Monique wstała, rzucając chusteczkę na stół. Brzydziła się samą sobą i pokusami, którym tak łatwo uległa. - Wychodzę. - Odwróciła się do wyjścia.
- Ani mi się waż. - Głos Webba zrobił się bardzo nieprzyjemny. Nigdzie nie wyjdiesz.
- Słucham?
- Webb wypił łyk kawy.
- Wyjdiesz dopiero wtedy, kiedy ci pozwolę. Nie wcześniej. - Odstawił filiżankę i uśmiechnął się. Chciał jak najszybciej położyć ręce na tych idealnie ukształtowanych nogach. - Rozbieraj się.
- Myślała, że śni jej się najgorszy koszmar.
- Chyba oszalałeś.
- Mmm. - Webb wstał i zdjął marynarkę. - Może. - Przez ułamek sekundy jego myśli powędrowały do innych członków sprzysiężenia, do grupy młodych oddanych mu żołnierzy pod dowództwem pułkownika Pierce'a w rejonie 51, którzy rozprawili się z kapitanem Nicholsem, do jego pięknej posiadłości nad jeziorem Georgia i do ogromnych sum na koncie w szwajcarskim banku. Doszedł w życiu do niesamowitych rzeczy, robiąc dokładnie to, co w tej chwili. Manipulując ludźmi. Przypierając ich do muru i zmuszając do posłuszeństwa. Może faktycznie był trochę szalony, ale nikt nie mógł kwestionować jego sukcesów. Przypomniawszy sobie o Monique. - Rozbieraj się. Nie każ mi tego powtarzać.
- Wyciągnęła przed siebie ręce.
- Zwariowałeś. Już mnie nie ma.
- Tylko podejdziesz do tych drzwi, a z samego rana Malcolm Walker otrzyma wiadomość, że ukradłaś tę notatkę i przekazałaś ją wrogiej frakcji. Dowie się, że wydałaś kapitana Nicholisa Philowi Rhodesowi, ujawniając, że jest informatorem twojego szefa w rejonie 51. I że przyjęłaś pieniądze w zamian za notatkę Cowena i informację o Nicholsie. Otrzyma też twoje zdjęcia i pewnej blondynki. Zdjęcia, które wraz z Rhodesem oglądaliśmy już kilka razy. - Znów omiół wzrokiem jej ciało. - Oj tak. „Post”, „New York Times” i „Penthouse” też otrzymają te fotki. - Webb uśmiechnął się szatańsko. - Jeśli chcesz wychodzić, droga wolna. - Pokazał jej drzwi.
- Oczy Monique wypełniły się łzami. Wpadła w potrzask.
- Nie zrobisz tego.
- Webb roześmiał się.

- Jak długo mieszkasz w Waszyngtonie, Monique? Prawie sześć lat, zgadza się? I nie wiesz jeszcze, na czym polega ta gra? Nic dziwnego, że senator Walker wlecze się za Elbridge'em Colemanem w rankingach. Jego pieprzona szefowa sztabu wyborczego nie zna zasad gry. - Stał za Monique. Zaczął masować jej ramiona i powoli rozpinać sukienkę na plecach. - Wiesz, że bez wahania przekazałbym te rewelacje senatorowi Walkerowi i prasie. I nikt nie będzie miał pretensji do mnie czy do Phila Rhodessa. Topór spadnie na twoją szyję.

- Błagam, nie - poprosiła, gdy odpiął ostatni guzik:

Lecz Webb pozostał głuchy na błagania Monique. Zsunął sukienkę z jej ramion i ciała, aż spadła na podłogę. - Boże, ale jesteś piękna. - Szybko rozpiął stanik i rozebrał ją z koronkowych majtek, które również wylądowały na podłodze. - Chodź ze mną. - Chwyił ją mocno za nadgarstek i poprowadził do ogromnego łóża. - Uklęknij na podłodze i pochyl się nad łóżkiem.

Monique wykonała posłusznie polecenie. Nie miała wątpliwości, że Webb nie zawaha się przed spełnieniem grózb, a nie mogła dopuścić, aby Malcolm dowiedział się o jej poczynaniach. Musiała się z tym pogodzić. Teraz przyjdzie jej zapłacić za chwilę słabości.

- Grzeczna dziewczynka. - Webb szybko zrzucił z siebie ubranie i uklękł za nią. Boże, posiadanie takiej władzy nad drugim człowiekiem działało jak afrodyzjak; zmuszanie kogoś do spełniania wszystkich próśb. Do pewnego momentu chodzi tylko o pieniądze, a gdy człowiek ma już dosyć, pieniądze tracą wartość i pozostaje jedynie władza. Zmuszanie ich do tego, aby robili rzeczy, których nie chcą robić. Zmuszanie ich do sprawiania ci przyjemności. W życiu nie czuł się tak podniecony.

Nigdy nie wykorzystywał jeszcze swej pozycji do zdobywania kobiet. Nie chciał robić niczego, co mogłoby być wykorzystane przeciw niemu. Lecz teraz podczas swej ostatniej kadencji już nie zależało mu na tym tak bardzo.

Wchodząc w Monique, zdał sobie nagle sprawę, że na tym się nie skończy. Jak w przypadku laboratoryjnego szczura, który natychmiast uzależnia się od podanej mu kokainy. Webb przypomniał sobie słowa swego mentora sprzed wielu lat, gdy rozpoczął pierwszą kadencję. Rozpoznajesz niebezpieczeństwo, lecz gdy raz ulegniesz pokusie, będziesz tego potrzebował jak powietrza i jedzenia. Jego mentor nie miał na myśli tylko fizycznego aktu płciowego. Chodziło mu o władzę i dominację, które czyniły seks tak rozkosznym. Nic nie mogło zastąpić władzy. Nic nie dawało takiej radości życia. Nic nie mogło przyprawić o tak szalone bicie serca.

25.

Korytarz na dziewiętnastym piętrze siedziby banku First Maryland Trust miał ubogi wystrój oraz zniszczone i staromodne meble. Mieściły się tam biura największego banku stanowego, do których rzadko zaglądali wpływowi goście, toteż kierownictwo banku nie wydawało wielkich sum na dekorowanie tych wnętrz.

- Mogę pana czymś poczęstować? - Recepcjonista mówiąc, cmokał językiem.

- Nie, dziękuję - odpowiedział David. Śmieszne, że wydaje się tyle pieniędzy, aby zaimponować ludziom, których się nie zna, pomyślał sobie, wierząc się w niewygodnym fotelu. Korytarze poza biurami personelu banku były zapewne upiękzone kosztownymi antykami i gustownymi obrazami. Lecz pracowników biur - oś całej instytucji - którzy codziennie dbali o przepływ pieniądza, co rano witała odłóżąca szara tapeta, metalowe meble oraz recepcjonista, który cmokał językiem. Trzeba było wyciągnąć z tego jakiś wniosek, ale David był zbyt zmęczony, żeby o tym pomyśleć.

- Jaka jest teraz pogoda?

Świetnie trafił: gadatliwy recepcjonista.

- Gorąco i parno - odpowiedział zdawkowo, mając nadzieję, że mężczyzna zrozumie aluzję.

- To sierpniowa pogoda. Zwykle o tej porze, we wrześniu, nie zdarzają się w Baltimore dni takie jak dzisiejszy.

- Mhm.

- David!

Johnny Antolini miał właśnie wahadłowe drzwi prowadzące do biur. David podniósł się z fotela i spotkał się z Johnnym przy biurku recepcjonisty.

- Co, u diabła, słychać? - zapytał Johnny, ściskając dłoń Davida.

- Jakoś leci. - Johnny był najlepszym kolegą Davida w latach licealnych i choć później życie zawodowe oddaliło ich od siebie, udawało im się utrzymywać przynajmniej sporadyczne kontakty. - Uratowałeś mnie - powiedział cicho David, wskazując ruchem głowy na recepcjonistę.

- Ach, chodzi ci o Chuckiego? - zapytał głośno Johnny, wskazując kciukiem na młodego mężczyznę, który nie przestawał głośno cmokać.

David podniósł dyskretnie palec do ust.

Ale Johnny nie dał się uciszyć. Szybko odwrócił się do cmokacza.

- Te, Chuckie. Nie możesz nam tu odstraszać gości. Zresztą i tak nie przychodzi ich tu zbyt wielu. Daj im spokój, OK? Nie gadaj tyle.

Chuckie podniósł umęczony wzrok, a David poczuł się niezręcznie. Johnny w ogóle się nie zmienił. Jak zawsze walił prosto z mostu.

- Wyglupiam się, koleś. - Johnny wyciągnął rękę i mocno klepnął młodego mężczyznę w plecy. - No, David, chodźmy stąd. - Johnny pchnął wahadłowe drzwi i poprowadził Davida przez labirynt biurów do miejsca na środku sali. - Usiądź, stary. - Wskazał na krzesło przy metalowym biurku.

W pobliżu siedziało kilku innych pracowników biura. David napomknął, że trudno im będzie porozmawiać bez świadków.

- Możemy pójść do sali konferencyjnej?

Johnny roześmiał się. Podeszedł do starszej kobiety, która siedziała przy sąsiednim biurku i położył jej na plecach swą szeroką dłoń.

- Nie mamy tutaj żadnych tajemnic.

- Mówię poważnie.

Johnny dostrzegł na twarzy Davida nieznaczny ślad strachu i przyszło mu do głowy, że być może nie powinien był spotykać się ze starym kumplem.

- No dobrze. - Poprowadził Davida tym samym labiryntem do małej salki położonej w bocznej części biura i zaniknął za nimi drzwi.

- Teraz lepiej?

- Dużo lepiej.

- No to siadaj.

- Dzięki. - David usiadł na krześle o długich i cienkich nogach. Po jednej stronie siedzisko było wytarte aż do metalowej części.

- Więc jak się mają sprawy w Sagamore Investment Management, czy jak tam się nazywa ta cholerna firma?

- Dobrze, w porządku.

- Jaki masz problem, David? - Johnny przybrał nagle poważny ton. Już na korytarzu, gdy uścisknęli sobie dłonie wyczuł, że jego stary kumpel czymś się martwi.

Nadszedł czas, żeby odstawić żarty na bok.

- Nie jestem pewien. - David miał dziwny wyraz twarzy. - Potrzebuję twojej pomocy, żeby to ustalić.

Johnny złożył rękę na forniowanym blacie.

- Zawsze do pańskich usług, senior Mitchell. Zawsze służę pomocą.

Mówił prawdę. Johnny wyciągnął Davida z niejednej opresji w czasach szkolnych. David zawahał się. Nie było mu łatwo.

- No już, wyduś to z siebie. - Johnny spojrzął na zegarek. - Bez urazy, bogaty chłopcze, ale już prawie piąta. Wy w tej waszej elitarniej firmie może ślęczycie w pracy do północy, ale ci, którzy harują w First Maryland Trust w dziale przelewów zaczynają pracę o dziewiątej rano i kończą punktualnie o piątej. Zwłaszcza, gdy są umówieni na szóstą na boisku.

David podniósł rękę.

- Wystarczy, zrozumiałem. Słuchaj, chcę, żebyś sprawdził dla mnie rachunek.
- Konkretniej.

David znów się zawahał.

Johnny podniósł jedną brew. Znał Davida zbyt dobrze, żeby nie wiedzieć, co oznacza jego zachowanie.

- Musiało się stać coś naprawdę poważnego.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bardzo trudno jest z ciebie cokolwiek wydusić. I wyglądasz jak kupa nieszczęścia. Mam kontynuować? - zapytał Johnny.

- Nie. - Prosząc przyjaciela o pomoc, David po raz pierwszy werbalizował swe podejrzenia i w rezultacie stawały się one bardziej realne. Wkraczał tym samym w nowy etap działań. Mógł tylko żywić nadzieję, że się myli.

- Johnny, muszę poznać nazwisko właściciela rachunku. Mam tu numer.

- Niech zgadnę - rzucił Johnny. - Rachunek znajduje się w banku w Szwajcarii lub na Kajmanach.

- Zgadza się.

- Stamtąd bardzo trudno zdobyć jakiegokolwiek informacje. Z wiadomych powodów.

- Tak. Ale pomyślałem sobie, że może będziesz mógł pomóc.

- Wpakowałeś się w coś, David?

Gdyby jego podejrzenia znalazły potwierdzenie, okazałoby się, że istotnie wpakował się w niezłą kabałę. - Mam nadzieję, że nie.

Jesse pomachała do Davida, który wszedł do lokalu. Zauważyła, że kilka kobiet przerwało rozmowy i zmierzyło go wzrokiem, gdy przedzierał się przez tłum. Był niewątpliwie atrakcyjnym mężczyzną i Jesse zdała sobie nagle sprawę, że myślała o nim częściej niż kilka razy dziennie.

- Hej. - David pochylił się i pocałował ją lekko w policzek, gdy przecisnął się w końcu do baru. - Jak się masz?

Teraz już za każdym razem witali się lub żegnali pocałunkiem w policzek, co podobało się Jesse.

- Świetnie. A ty?

- Też. - W oczekiwaniu na swoją kolejkę przy barze ustawiły się cztery rzędy spragnionych. - Może wydostaniemy się z tego magła?

- Dobra.

Wziął ją za rękę i poprowadził przez tłum do wolnego stolika w głębi lokalu.

- Tu jest znacznie lepiej. - Przytrzymał jej krzesło, zdjął marynarkę i zawiesił ją na oparciu krzesła. Usiadł. - Na co masz ochotę?

- Dobre pytanie. - Uśmiechnęła się i obrzuciła go uwodzicielskim spojrzeniem, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Miałem na myśli coś do picia. - Też się roześmiał, klapnąwszy na krzesło, jak gdyby miał za sobą bardzo ciężki dzień. - Ale podobało mi się, jak na mnie patrzyłaś.

- Tylko nie obiecuj sobie zbyt - wiele ostrzegła go.
- Zaczynasz mnie intrygować.
- Jak to?
- Myślałem, że jesteś niewinną, naiwną dziewczyną, po czym ty robisz coś takiego.
- Pochylił się nad stołem, podpierając się łokciami. - Daje mi to dużo do myślenia.
- Proszę cię. - Zepchnęła figlarnie ze stołu jeden z łokci, na których się podpierał.
- Więc na co masz ochotę?
- Poproszę dietetyczną colę.

Rzucił jej rozczarowane spojrzenie.

- Napij się ze mną piwa, Jesse.
- Nie mogę. Wieczorem idę na zajęcia.
- Masz jakiś egzamin?
- Nie, tylko zajęcia.
- No to wypij chociaż jedno piwo.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś okropny.
- Jestem diabłem. Jeszcze się tego nie domyśliłaś?

Jesse zignorowała go.

- Nie powinnam, ale dobrze, wypiję jedno piwo. Ale tylko jedno. - Podniosła do góry palec.

- Super. - Usatysfakcjonowany tym drobnym zwycięstwem, David odwrócił się i dał znać kelnerce, że zamawia dwa piwa. - Jak minął dzień? - zapytał.

- Świetnie. Choć stało się coś dziwnego, a właściwie coś się nie stało.
- Nie rozumiem.
- Koleżanka z pracy, Sara Adams, nie pojawiła się dzisiaj w biurze.
- Dlaczego uważasz, że to dziwne?
- Jesteśmy dość bliskimi przyjaciółkami. Zwykle mi mówi, kiedy bierze sobie dzień wolny i z kim zamierza go spędzić. Ja robię to samo. Taki koleżeński układ.
- Zadzwońiłaś do niej do domu?
- Tak, ale nikt nie odpowiada. - Jesse była zmartwiona bardziej, niż to okazywała, ale nie chciała zwracać Davidowi głowy zagadkową nieobecnością Sary. Wyglądał na wykończonego. - Pewnie nic się nie stało. tobie jak minął dzień? Wyglądasz na trochę zmęczonego.

- Świetnie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Ale Jesse nie mogła dłużej powstrzymać ciekawości.

- Powiedz mi coś o sobie.
- Co?
- Chcę cię lepiej poznać. Za każdym razem, gdy cię pytam, udzielasz wymijającej odpowiedzi, po czym znów naprowadzasz rozmowę na mój temat. Muszę przyznać, że jest to miłe, gdy ktoś nie nawija bez przerwy o sobie samym, ale teraz ja chcę się czegoś dowiedzieć.

David wzruszył ramionami.

- Nie ma o czym opowiadać.
- Ale ja i tak chcę posłuchać. Powiedz mi, gdzie się wychowałeś, o rodzinie, szkołach, do których chodziłeś. Zwyczajne rzeczy.

- To brzmi jak przesłuchanie.

Kelnerka podała piwo i gdy odeszła, Jesse wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie ramienia Davida.

- Mówię poważnie. Nic mi nie chcesz zdradzić. Uświadomiłam sobie, że w zeszłą sobotę spędziliśmy cały dzień na żaglach, a ja wciąż nic o tobie nie wiem.

- Zdrowie. - Stuknął jej szklankę i napił się.

Pokręciła głową.

- Nie. To kolejna wymówka. Teraz już nie ustąpię. Nie napiję się ani kropli, jeśli nie zaczniesz mówić.

- OK. - Wciąż jednak milczał.

Sytuacja robiła się śmieszna.

- Zacznijmy od czegoś łatwego. Do której chodziłeś szkoły? Niech zgadnę.

Princeton, Harvard, Yale?

Było jasne, że nie mógł dłużej uchylać się od odpowiedzi.

- Cecil County Community College - wypowiedział cicho nazwę.

- Nie chcesz dać mi prostej odpowiedzi, co?

Jak przypuszczał, będzie zawiedziona. Jego wizerunek rozpadnie się na kawałki.

- Prostszej nie ma. Nie wygłupiam się.

Nagle zdała sobie sprawę, że David powiedział prawdę.

- Poważnie?

Kiwnął głową.

- Przecież mówiłeś, że chodziłeś do szkoły Ivy League.

- To ty tak powiedziałaś, Jesse. Nie chciało mi się wyprowadzać cię z błędu.

- Gdzie się wychowałeś?

David wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

- W tej okolicy, w centrum miasta. W Glen Owens, piekielku Baltimore. Ty też pochodzisz z tych rejonów. Wiesz, jak wygląda Glen Owens. Wyglądało tak samo, gdy ja tam mieszkałem. - Rzucił paczkę papierosów na stół i przysunął ją w stronę Jesse. - Zapalisz?

- Nie, dziękuję. Nie wiedziałam, że palisz.

- Pozwolisz, że zapalę? Jeśli ci nie przeszkadza.

- Nie. Mój ojciec też palił. Przyzwyczaiałam się.

Jedna z kobiet przy barze obserwowała każdy ruch Davida i w końcu wynagrodził jej zainteresowanie dyskretnym uśmiechem. Teraz już mógł, pomyślał sobie. Perspektywa widywania Jesse na stopie towarzyskiej właśnie daleko się odsuwała.

- Teraz już wiesz. Jestem biednym chłopakiem bez majątku.

- Dlatego nie chciałeś się przede mną otworzyć?

- W Sagamore wszyscy powinniśmy mieć arystokratyczne korzenie albo nazywać się Rockefeller. I tylko ja nie spełniam tych warunków. Jestem tam czarną owcą. Pomyślałem sobie, że gdybyś się dowiedziała, mogłabyś się ode mnie odwrócić.

- Chyba nie masz o mnie zbyt wysokiego mniemania.
- Cóż, wysyłałem dość wyraźne sygnały, że chciałbym się z tobą spotykać towarzysko, a ty je ignorowałaś. Doszedłem do wniosku, że gdybyś jeszcze dowiedziała się o moim pochodzeniu, miałabyś kolejny powód, żeby się ze mną nie spotykać.
- Wiesz dlaczego jest mi niezręcznie umawiać się z tobą. - Jesse dostrzegła spojrzenie, jakim David obdarzył kobietę przy barze i ku swemu zdziwieniu poczuła ukłucie zazdrości. - Wolałabym, żeby Elizabeth nie pomyślała sobie czegoś.
- Rozumiem. Ale à propos, dzwoniła do ciebie?
- Tak. Mam przyjść do Sagamore w czwartek wieczorem na ostatnie rozmowy. Dała mi listę osób, z którymi mam się zobaczyć i chciałabym, żebyś mi o nich w wolnej chwili opowiedział.

- Mówiłem ci już, że zrobię to z przyjemnością.
- Dzięki. - Jesse posłała kobiecie przy barze krótkie spojrzenie typu „trzymaj się od niego z daleka”. - Ale to później. Chcę jeszcze porozmawiać o tobie. Zżera mnie ciekawość. Jak można po skończeniu Cecil County Community College dostać się do Sagamore? Nie obraż się, ale trudno mi sobie wyobrazić, by firma taka ja Sagamore rekrutowała świeży narybek spośród absolwentów tej szkoły.

David roześmiał się głośno. Poczł nagle ulgę, że jej wreszcie powiedział.

- Po skończeniu szkoły kolega załatwił mi pracę w banku. Później dostałem się na szkolenie dla kadry kierowniczej, następnie do szkoły biznesu przy Uniwersytecie Wirginia i wreszcie znalazłem się w Sagamore.

- Pewnie byłeś bardzo przekonujący.
- Musiałem. Nosilem poliester i skórę dopóki koledzy ze szkolenia w banku nie zaprzyjaźnili mnie z wełną i bawełną. - Wciąż trzymał w szafie jeden z tych poliesterowych garniturów, żeby przypominał mu, skąd pochodzi. Żeby przypominał mu, że codziennie musi pracować ciężiej niż wszyscy inni, ponieważ rozpoczął wyścig na samym końcu. - Ta mała wycieczka po sklepach była jednym z najbardziej wstydlivych doświadczeń mego życia. Również jednym z najcenniejszych.

- Davidzie, na pewno świetnie radziłeś sobie w Wirginii, skoro Sagamore zainteresował się tobą. Nie jest to przecież Ivy League.

- Radziłem sobie nieźle. Ale Sagamore zainteresował się mną z innego powodu. Potrzebowali dowodu. Kogoś, o kim mogli powiedzieć: „Zatrudnimy ludzi o najróżniejszym pochodzeniu”.

Jesse dostrzegła jego zdenerwowanie, choć próbował je ukryć.

Zaciągnął się papierosem.

- W Sagamore codziennie przypomina mi się, skąd pochodzę.
- Naprawdę jest tak źle?
- Życie to po prostu lista transakcji handlowych - powiedział, po raz kolejny zaciągając się papierosem. - Skusili mnie pieniędzmi, choć wiedziałem, że żaden z tych ludzi nie zostanie moim przyjacielem. Ale tym się nie przejmowałem. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Teraz przyszła kolej na ciebie. Stawiają cię przed tym samym wyborem. I pamiętaj, Elizabeth nie będzie wiecznie szefową Sagamore. Kiedyś jej zabraknie i będziesz musiała pracować z całą resztą.

- Więc jeśli ci się nie podoba, dlaczego nie odejdziesz. Dlaczego nie znajdziesz sobie nowej pracy?

- Powiedziałem ci podczas kolacji. To nie takie proste. - Zasepił się.

- Myślisz, że Mohler spali cię w kręgach inwestycyjnych, jeśli nie zostaniesz w firmie po piątą rocznicę? Jestem pewna, że możesz znaleźć inną pracę. Przecież nie powie o tobie absolutnie wszystkim.

David pokręcił głową.

- Nie chodzi tylko o to.

- Nie rozumiem.

Wypowiedział te słowa bez zastanowienia. Nagle pożałował, że tak się przed nią otworzył. Pomyślał, że rozpuszczając język, kiedyś wpakuje się w prawdziwe tarapaty.

- Pozwól się zaprosić na kolację. Znam wspaniałą knajpkę we włoskiej dzielnicy.

- Mówiłam ci już: mam zajęcia i...

- I sądzisz, że Elizabeth mogłaby sobie coś pomyśleć, gdyby się dowiedziała - dokończył za nią David.

Jesse milczała. Pójście na piwo po pracy to jedno, a druga kolacja to co innego.

David sięgnął do kieszeni marynarki.

- Proszę.

- Co to? - Jesse wzięła od niego kopertę.

- Po prostu przeczytaj.

Zaciekawiona rozdarła kopertę i zaczęła czytać. Był to skreślony ręcznie liścik od Elizabeth, która dziękowała Jesse za zainteresowanie pracą w Sagamore. Pod podpisem Elizabeth znajdowało się jeszcze post scriptum: „David jest wspaniałym człowiekiem, ale zbyt ciężko pracuje. Może pokazałabyś mu, jak może się zrelaksować”. - Jesse skończyła czytać i podniosła wzrok na Davida.

- Pewnie jej to podyktowałeś - powiedziała, uśmiechając się.

Dziwna sprawa. Nie prosił Elizabeth o ten list. Zależało jej, żeby spędzał z Jesse jak najwięcej czasu, ale gdy indagował ją o powody, Elizabeth wyjaśniła tylko, że nie chciała, aby ktoś ubiegł Sagamore, oferując jej pracę. Śmieszne wytłumaczenie, ale Elizabeth nie chciała rozwijać tematu. A ponieważ jest jego szefową, nie mógł naciskać zbyt mocno.

- Wcale nie.

Jesse wyczuła, że mówi prawdę. A więc Elizabeth nie miała nic przeciwko temu, żeby się widywali. Jesse poczuła ciepło rozplywające się po całym ciele, począwszy od koniuszków palców. Ciepło, które zapragnęła nagle zatrzymać.

- Więc jak będzie z kolacją? - zapytał znowu. - Możesz opuścić jeden dzień zajęć. Nic ci się nie stanie.

- Chciałabym, ale dziś nie mogę.

- A może po zajęciach? - Był gotów zrezygnować z kolacji.

Jesse była zdenerwowana. Boże, a jeśli złapią ich podczas włamania do LFA?

- Naprawdę nie mogę.

- Czemu nie?

- My... em, po zajęciach jest spotkanie naszej grupy. - Wymyśliła wiarygodną wymówkę. - Potrwa pewnie do późna. Może jutro wieczorem?

- Dobrze. - Wreszcie jakiś postęp. Pochylił się nad stołem. - Teraz powiedz mi coś o sobie, Jesse.

- Jak to? - Pytanie Davida zbiło ją z tropu.

- Opowiedziałem ci o sobie. Teraz twoja kolej. Powiedz mi coś o Jesse Hayes, czego nie wiem.

- Mam dokładnie sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu.

- Mówię poważnie. Chcę poznać jakąś tajemnicę, coś, o czym nikt inny nie wie. - Uśmiechnął się jakoś dziwnie. - Jest coś takiego, o czym mogłabyś mi powiedzieć?

O co mu chodziło? Czy to miało coś wspólnego z wizytówką Becky? Wizytówką, którą na pewno zabrał. Czyżby próbował wyciągnąć z niej jakieś informacje na ten temat?

- Gdyby nawet było coś takiego, dlaczego miałabym się zwierzać tobie?

- Bo mnie lubisz. Bo dobrze się czujesz w moim towarzystwie. Bo możesz mi zaufać.

Czyżby? Co do tego wciąż miała wątpliwości.

- To ma być coś mrocznego, jakaś głęboka tajemnica, tak?

- Tak.

- No dobrze. Jestem podwójną agentką z Berlina.

David uśmiechnął się, choć dostrzegł jej chwilowe zakłopotanie. Jesse coś ukrywała, a odpowiedź prawdopodobnie związana była z Rebeccą Saunders. Skoro Jesse nie chce mu powiedzieć, są inne sposoby, żeby się dowiedzieć. Elizabeth powiedziała, że chce wiedzieć wszystko.

Drzwi windy otworzyły się na piętnastym piętrze Hughes Building. David wyszedł z kabiny i skierował się przez wyludnioną recepcję Sagamore w stronę dużych mahoniowych podwójnych drzwi prowadzących do biur. Wsunął kartę identyfikacyjną do czytnika i spojrzał na zegarek. Była prawie północ. System poinformuje kierownictwo o jego późnej wizycie, ale David nie martwił się tym. Wielokrotnie wchodził tu o późnej porze, żeby dokończyć pracę, więc nie wzbudzi żadnych podejrzeń.

Po pięciu sekundach zamek kliknął. Drzwi były otwarte. David wszedł do środka i szybko zlustrował całe piętro. Nikogo nie było.

Niesamowite dochody Sagamore. Fakt, że wyniki firmy zawsze przekraczały wskaźnik Dow Jones. Coś tu się nie zgadzało. Wszyscy inwestorzy mieli złe lata. Nikogo nie omijały. Prawdopodobieństwo, że firma inwestycyjna taka jak Sagamore utrzyma przez dłuższy czas tak doskonałe wyniki, było niewielkie. A właściwie bliskie zeru, pomyślał sobie, włączając światło. Przynajmniej nie bez sukcesów, takich jak inwestycja w GEA. Myśli te nie dawały mu spokoju od czasu, gdy dołączył do firmy cztery lata temu, ale nigdy nie sprawdził swych podejrzeń. Teraz zamierzał uzyskać przynajmniej część odpowiedzi.

David rzucił płaszcz na biurko i ruszył w stronę archiwum - pomieszczenia wypełnionego rzędami segregatorów, które zawierały informacje o wszystkich transakcjach. Pomieszczenia pilnie strzeżonego. David zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do archiwum. Słowa Jacka Finnerty'ego nie dawały mu spokoju.

Pozory czasem mylą. Odpowiedź znajdowała się być może za tymi drzwiami. David wpisał długą sekwencję cyfr na pikającej tarczy elektronicznego zamka chroniącego wstępu do archiwum. Tylko kierownictwo i asystentka administracyjna znali szyfr. Lecz David w pierwszym miesiącu pracy w Sagamore flirtował z asystentką administracyjną i zauważył kiedyś na kartce papieru, która leżała na jej biurku, długi ciąg cyfr. Zapamiętał je i szybko wrócił do swego biurka, żeby je zapisać. Został w pracy do późna w nocy i gdy wszyscy wyszli, wpisał szyfr. Drzwi otworzyły się, lecz tamtej nocy postanowił nie wchodzić do archiwum. Ktoś mógłby wrócić i nie chciał, żeby go złapano. Poza tym miał tylko sprawdzić, czy szyfr jest prawdziwy.

Posunął się tak daleko, żeby zdobyć szyfr, ponieważ uważał, że jeśli ktoś tak bardzo wysiła się, żeby coś ukryć, jest to prawdopodobnie coś ważnego i pewnego dnia może okazać się bezcenne. Dziś wieczorem miał się przekonać, czy rzeczywiście tak było.

Żeby sprawdzić starą transakcję, pracownicy firmy musieli złożyć u asystentki administracyjnej pisemną prośbę o udostępnienie dokumentu. Zwykle odnalezienie dokumentu w archiwum zajmowało jej kilka godzin i nigdy nie robiono żadnych kopii.

Kierownictwo twierdziło, że wprowadzono tak rygorystyczny system z dwóch powodów. Po pierwsze, zgodnie z wysokimi normami firmy, kierownictwu zależało na drobiazgowej rejestracji działalności i przechowywaniu wszelkich dokumentów na miejscu, a nie tylko w firmach maklerskich, które przeprowadziły transakcję. Maklerzy znani byli z niedbałego stosunku do szczegółów, a firma Sagamore nie chciała dopuścić do tego, żeby w razie kontroli nie można było dostarczyć odpowiednich dokumentów.

Drugim powodem przedstawionym przez zarząd, było uniemożliwienie dyrektorom inwestycyjnym przeglądania osiągnięć ich kolegów. Kierownictwo oczekiwało różnorodności i oryginalnych pomysłów. Tajemnicą poliszynela był również fakt, że firma nie ufała, swym pracownikom, lecz w Sagamore nie oburzano się przesadnie z tego powodu. W świecie finansów ograniczone zaufanie do pracowników było normą.

Mała lampka nad tarczą zamka zmieniała kolor z czerwonego na zielony. David nacisnął klamkę i pchnął drzwi. W środku zapalił górne światło. Zupełnie jakby cofnął się w czasie. Wzdłuż ściany rozciągały się rzędy segregatorów wypełnionych uporządkowanymi alfabetycznie według nazw firm dokumentami transakcji. O mało nie roześmiał się na głos. Jeden laptop mógł z łatwością pomieścić informacje ze wszystkich segregatorów z całego pokoju. Kierownictwo rozważało wprawdzie możliwość wykorzystania komputerów, lecz odrzuciło ją. Członkowie zarządu należeli do starszego pokolenia i nie ufali zabezpieczeniom komputerowym. Niepokoił się, że zbyt wiele osób mogłoby dotrzeć do tych informacji. Ich zaniepokojenie było podejrzanym, pomyślał David. W archiwum znajdowało się coś, co chcieli ukryć przed ludzkimi oczyma.

Przez następne dwie godziny David przejrzał kilka dokumentów, które jego zdaniem mogły pasować do schematu. Za każdym razem wyciągał zlecenie zakupu - żółtą kartkę z nazwą firmy, w akcje której inwestował Sagamore, liczbą zakupionych akcji, datą zakupu, firmą maklerską, która przeprowadziła transakcję, i nazwiskiem dyrektora inwestycyjnego, który doprowadził do zakupu - po czym przechodził do kserokopiarki i robił kopię dokumentu. Później szybko wracał do archiwum, odkładał oryginał do segregatora i przechodził do kolejnej transakcji.

Gdy zamknął ostatni segregator, zebrał czterdzieści dwa dokumenty, które mogły potwierdzić jego podejrzenia. Włożył kserokopie do małego pudełka, wyniósł je z archiwum, dokładnie zamknął za sobą drzwi i ruszył do swego gabinetu.

Minęła druga nad ranem i David walczył z sennością. Nie spał od szóstej rano, a trzy piwa, które skonsumował po odejściu Jesse, również pracowały na jego niekorzyść. Choć bez nich być może, nie miałyby odwagi, żeby to zrobić. Zastanowił się, czy nie przygotować sobie kawy w biurowej kuchni, ale zrezygnował z tego pomysłu. Chciał wydostać się stąd jak najszybciej.

Na szafce za jego biurkiem rozjaśnił się ekran, gdy David włączył sieć Bloomberg. Bloomberg to sieć informacyjna przedstawiająca wiadomości finansowe z całego świata: aktualne ceny akcji, obligacji i walut ze wszystkich giełd. Dawała również dostęp do dawnych cen akcji oraz udzielała ważnych informacji o wybranych firmach.

David wpisał hasło do komputera i sięgnął do pudełka po pierwszy dokument. Przez kolejne dwie godziny śledził ruchy cen akcji w czasie, gdy Sagamore dokonywał ich zakupu, a także wyszukiwał wiadomości o firmach, w których akcje w tym czasie inwestował Sagamore.

Wreszcie po zbadaniu czterdziestej drugiej transakcji wziął głęboki wdech i potarł oczy. Więc tak to robili. Elizabeth Gilman i Art Mohler wcale nie byli geniuszami. Byli jedynie perfekcyjnymi manipulatorami o doskonałych koneksjach. Nic dziwnego, że za wszelką cenę unikali rozgłosu. Nie chcieli, żeby Komisja Papierów Wartościowych rozszyfrowała schemat ich działań.

David wstał od biurka, włożył dokumenty z archiwum oraz materiały wydrukowane z sieci Bloomberg do pudełka, po czym schował pudełko do sportowej torby, którą przyniósł z samochodu. Po kilku sekundach znów znalazł się przy recepcji z przewieszoną przez ramię torbą, czekając na windę.

Oparł się o ścianę przy szybie windy i zamknął oczy. Była już czwarta nad ranem i niemal leciał z nóg. Lecz dokonał cennego odkrycia i teraz cieszył się, że Jesse nie miała czasu na wspólną kolację.

Pokręcił głową i otworzył oczy. Już dawno powinien wykryć proceder uprawiany w Sagamore. Powinien był zrozumieć, co się dzieje, gdy wrobili go w inwestycję z GEA. Lecz pieniądze i presja sukcesu nie pozwalały mu przejrzeć na oczy. Ale co teraz? Co ma zrobić z informacjami, które zdobył? Finnerty przypomniał mu w zeszłym tygodniu w Middleburgu, że przekupił wysokiego urzędnika państwowego i dopuścił się defraudacji w Doub Steel. Gdyby zwrócił się z tym do władz, sytuacja mogłaby się skomplikować. A sędzia okręgowy niekoniecznie musiałby uznać dokumenty z pudełka za

dowód potwierdzający jego wersję wydarzeń.

Rozległ się dzwonek windy, a nad drzwiami zaświeciła się czerwona strzałka.

David przysunął się powoli do otwierających się drzwi i zderzył się z mężczyzną, który właśnie wychodził z windy. David cofnął się, przyglądając się osobnikowi z długimi jasnymi włosami, brodą i wąsami. Widywał go wielokrotnie w ciągu ostatnich tygodni w biurze Arta Mohlera. Ale nie wiedział, jaki cel miały jego wizyty.

- Witam - rzucił mężczyzna. Sięgnął do pulpitu windy i zablokował ją.

David zrobił kolejny krok do tyłu. Po dziesiątej wieczorem windy ruszały z parteru dopiero po wpisaniu odpowiedniego kodu. Najwyraźniej blondyn znał kod dla tego piętra. Ale co tu robił o tej porze?

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał.

Gordon Roth nie odpowiedział od razu. Przez kilka sekund przyglądał się Davidowi, po czym jego wzrok padł na sportową torbę zawieszoną na ramieniu Davida.

- Być może. Co jest w tej torbie?

- Poćwiartowane ciało. - David położył na niej rękę, jak gdyby chciał ją ochronić przed obcym.

- Bardzo śmieszne. - Pod płaszczem Rotha w naramiennym futerale schowane było magnum kaliber 44. Przycisnął je do tułowia.

- Co jest w torbie? - Jego głos zabrzmiał teraz agresywniej.

- Nie pańska sprawa. A kim pan w ogóle jest? - zażądał odpowiedzi David.

- Pracuję dla pana Mohlera.

- W jakim charakterze?

- A to znowu nie pańska sprawa.

- OK, a więc jesteśmy chyba kwita. Do widzenia - David zrobił krok w stronę kabiny, lecz Roth stał mu na drodze.

- Chciałbym zajrzeć do torby - powiedział lodowatym głosem Roth. Zrobił ruch w stronę Davida, jakby chciał chwycić za pasek torby, lecz David znów zrobił krok do tyłu.

- Spokojnie. - W słabym świetle David dojrzał broń sterczącą pod płaszczem blondyna. Przełknął ślinę. Nie czas na zgrywanie bohatera. - Jeśli chcesz do niej zajrzeć, proszę bardzo. - David powoli opuścił torbę na dywan, przykleknął i rozsunął suwak. - Zaglądam, pan.

Roth wydobył z kieszeni latarkę, zapalił ją, pochylił się i zajrzał do torby. Znajdowały się w niej trzy rakietki tenisowe, kilka pudełek z piłeczkami, strój do gry w tenisa i buty. Pod sprzętem sportowym leżało pudełko z kopiami dokumentów i informacjami sieci Bloomberg, które David gromadził przez ostatnie cztery godziny.

Krew buchnęła Davidowi do głowy. Jak ma do cholery zareagować, gdy ten facet zobaczy pudełko, otworzy je i znajdzie dokumenty?

- Po co przyniosłeś to wszystko do biura? - dopytywał się Roth.

- Jeden z pracowników chciał obejrzeć raketę Wilson. Myśli o kupnie takiego samego modelu. - Serce Davida waliło jak oszalałe, gdy Roth sięgnął do torby i dotknął rakiety.

Na szczęście nie zaglądał dalej.

- Co pan tu dziś robił? - Roth wyprostował się. - Jest po czwartej rano.

David poczuł głęboką ulgę.

- Badałem firmę, którą chcę zainteresować Sagamore. To bardzo pilne. Na rynku krążą pogłoski, że ma dojść do przejęcia firmy, a ja chcę do nich dotrzeć, zanim cena pójdzie w górę. - Osobnik wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią. - Wall Street nigdy nie odpoczywa i jeśli chce się coś osiągnąć, trzeba przyjąć reguły tej gry. Co oznacza, że czasem trzeba pracować o dziwnych porach. - David zasunął suwak, przewiesił torbę przez ramię i wyprostował się, żywiąc nadzieję, że blondyn nie zauważy nienaturalnego wybrzuszenia na dnie torby. - Ale nie wiem, po co ja to wszystko panu mówię.

- Bo zapytałem - wymamrotał Roth.

- No tak. Ale teraz idę do domu, żeby się przespać. Rozmowa z panem była rozkoszą. - David zrobił krok w stronę windy, ale Roth wciąż nie dawał mu przejść.

Wreszcie odsunął się na bok. David niespiesznie wszedł do kabiny. Nie chciał sprawiać wrażenia osoby, której zależy na szybkim zniknięciu. Nacisnął przycisk i patrzył, jak długie włosy i broda znikają za zamykającymi się drzwiami. Gdy winda zaczęła zjeżdżać na parter, ciało Davida rozluźniło się.

Roth stał przy windzie nieruchomo przez dłuższy czas. David Mitchell nie wyglądał na zdenerwowanego, ale testy, które przeszedł, zanim przyjęto go do Sagamore wykazywały, że jest szalenie silny psychicznie. Dlatego oczywiście spodobał im się i dlatego go przyjęli. Roth odwrócił się i ruszył powoli w stronę podwójnych drzwi. Rano powiadomi Mohlera o tym incydencie.

Trzydzieści minut później David chwiejnym krokiem wszedł do swego mieszkania, rzucił torbę na sofę i udał się do sypialni. Już miał się rozbierać, gdy zauważył, że ma wiadomość na automatycznej sekretarce. Zmęczony, podszedł do szafki nocnej, klapnął na brzegu łóżka i włączył przycisk, aby odsłuchać wiadomość.

- David, mówi Johnny. Dowiedziałem się o tych dwóch kontaktach, o co mnie prosiłeś. Nie było to bardzo trudne. - Głos Johnny'ego stał się bardziej piskliwy. - I jeśli to jakiś żart, to bardzo ci dziękuję. Właścicielem obydwu rachunków jest David J. Mitchell. Teraz nie ma na nich żadnych lokat, a właściwie nie dokonywano na nich zbyt wielu operacji. Jedna wpłata i jedna wypłata. - Johnny przerwał na moment, po czym z sekretarki wydobył się trzeszczący śmiech. - Wpłaty były w każdym razie dość wysokie. Pierwsza milion dolarów, druga dwa miliony. Wiedziałem, że w Sagamore dobrze ci płacą, ale nie miałem pojęcia, że aż tak dobrze. Zadzwoń do mnie jutro. Miło było się z tobą zobaczyć. - Znów nastąpiła krótka przerwa. - Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Cześć.

Urządzenie wyłączyło się. David siedział przez jakiś czas na brzegu łóżka, wpatrując się w ciemność. Dostał numery rachunków od Finnerty'ego i wysłał pieniądze na Kajmany, rzekomo dla senatora Webba, który był odpowiedzialny za przyznanie projektu A-100 firmie GEA pod przykrywką „czarnego budżetu”. Rzekomo w zamian za

trzy miliony dolarów: milion po podpisaniu kontraktu i dwa miliony po rozpoczęciu produkcji. Lecz pieniądze wcale nie trafiły do Webba. David nieświadomie przelał je na własne konto. Teraz pieniądze przepadły. Wyczyścili rachunki, żeby w sytuacji, gdy David odkryje, co się święci, nie mógł zwrócić pieniędzy firmie Doub Steel. Okazało się w końcu, że został wrobiony.

Powoli opadł na materac. Mogli oskarżyć go o defraudację i sprzeniewierzenie trzech milionów dolarów, ponieważ bez wątpienia suma ta spoczywała na jakimś koncie. Na koncie, które założyli na jego nazwisko gdzieś, gdzie nie będzie go mógł odnaleźć. W odpowiedniej chwili mogli przedstawić dokumentację świadczącą o tym, że David ukrył pieniądze, które wciąż na niego czekały.

Mieli na sumieniu wiele rzeczy, ale David w żaden sposób nie mógł ich wydać. Nie byłby w stanie nic udowodnić. Natomiast oni mogliby co nieco udowodnić jemu i sąd uwierzyłby im. Był jedyną osobą, której nie opłacałoby się wniesienie sprawy do sądu. Ustawili się idealnie. Finnerty miał rację. Byli bardzo przebiegłi w tej grze.

David położył ręce pod głowę i zapatrzył się w wentylator, który obracał się z wolna pod sufitem w rzednącym mroku. Nagle zapomniał o wentylatorze, gdy wpadła mu do głowy pewna myśl. Podniósł się szybko i podbiegł do drzwi.

26.

Tędy- szepnął Todd do idącej tuż za nim Jesse, skręcając w lewo w zaciemnioną uliczkę.

Posuwali się ostrożnie wzdłuż dwuipółmetrowego ogrodzenia uwieńczonego u góry ostrym jak brzytwa drutem kolczastym. Dziesięć minut wcześniej zostawili wynajęty samochód Jesse na opustoszałej bocznej uliczce, żeby nie zwrócić uwagi pracowników ochrony, i teraz przemykali ukradkiem między magazynami.

- Daleko jeszcze? - wyszeptała.

- Już nie.

- To dobrze. - Była prawie pierwsza w nocy i Jesse czuła się wyczerpana po całym dniu pracy i zajęciach do dziesiątej.

Nagle Todd chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do budynku po drugiej stronie uliczki.

- Szybko!

- Co się dzieje? - Wtedy Jesse ujrzała nadjeżdżający w ich stronę samochód patrolowy z zapalonym reflektorem.

- Za mną, szybko!

Pod stopami zatrzeszczało im rozbite szkło, gdy przebiegli chodnikiem do dużej bramy wjazdowej, tworzącej wgłębienie w sylwetce budynku.

- Przyłgnij do ściany - rozkazał Todd - i nie patrz w stronę ulicy.

Jesse natychmiast wykonała polecenie, rozplaszczając ciało na chropowatym ceglany murze, jak gdyby chciała wcisnąć się w jedną ze szczelin między cegłami.

Samochód ochrony powoli przejechał ulicą, omiatając okolicę reflektorem. Jesse usłyszała trzaski radia samochodowego i warkot silnika, gdy pojazd powoli przetaczał się po rozbitym szkłe. Przywarła jeszcze mocniej do muru. Co za wariactwo. Złapią ich, zanim jeszcze dotrą do budynku LFA. I jak będą się tłumaczyć? Co dwoje ubranych na czarno ludzi robi w bramie magazynu o pierwszej w nocy?

Wstrzymała oddech i zamknęła oczy, gdy samochód przejeżdżał obok nich. To już koniec. Za chwilę poczuje światło reflektora w bramie i usłyszy, jak szorstki głos instruuje ich przez głośnik, żeby uklękli i założyli ręce na kark.

Ale pojazd się nie zatrzymał. Minął ich kryjówkę i dojechał do małej bocznej uliczki, z której właśnie wyszli. Skręcił w lewo i zniknął w mrokach nocy, wydając ciche odgłosy.

Todd odetchnął z ulgą.

- Mało brakowało.
- Oj mało. - Jesse rozluźniła się i strzepnęła z policzka okruszki zaprawy murarskiej.

- Dziś przyjechali trochę za wcześnie.

- Jak to? - zapytała.

- Byłem już tutaj na rekonesansie. Patrolują okolice według ściśle ustalonego rozkładu jazdy. Dzisiaj przyjechali przed czasem.

- Pracujesz na swoje honorarium, co? - Próbowwała się roześmiać, lecz głos jej się załamał. Wzięła kilka szybkich wdechów, żeby uspokoić walące serce.

- Ma się rozumieć - odparł Todd, na wszelki wypadek obserwując cały czas ulicę.
- Chodźmy już. Czas leci. - Zaczął biec chodnikiem.

Jesse wzięła głęboki wdech i pobiegła za nim.

Meandrowali w labiryncie ulic i uliczek między magazynami tej dzielnicy Baltimore. Większość wielkich budynków, które mijali, była w znośnym stanie: najwidoczniej wciąż z nich korzystano. Lecz niektóre stały jak statki widma: z powybijanymi szybami w oknach i rozsypującymi się ścianami. W ciągu dnia, gdy prowadzono tu działalność handlową, rejon ten pod względem bezpieczeństwa nie ustępował innym częściom miasta. Lecz w nocnych ciemnościach okolica jawiła im się tajemnicza i pełna grozy, gdy spieszyli do swego celu.

Wreszcie Todd zwolnił.

- To tu. - Wskazał na budynek po drugiej stronie ulicy, pochylając się, żeby złapać oddech.

Kiedyś tam również mieścił się magazyn. LFA zaadaptowała ten przestronny, dwupiętrowy budynek na biura, wznosząc w środku ścianki działowe. Wychodząca na ulicę frontowa ściana budynku tworzyła nieprzerwany niczym, nie licząc małych drzwi pośrodku, ceglany mur.

- Nigdy bym nie zgadła, że tu się mieści siedziba LFA. - Jesse przesunęła dłonią po czole, żeby wytrzeć pot. - Nie ma żadnej tabliczki informacyjnej.

- Nie bez powodów - odparł Todd. - Gdybyś prowadziła wojującą organizację, też wolałabyś się maskować.

- Ale to nie jest organizacja wojująca - zaprzeczyła stanowczo Jesse.

- Wiem - roześmiał się Todd, podnosząc ręce. - Lubię tylko się z tobą droczyć.

- Więc jak dostaniemy się do środka, panie Einstein? - zapytała Jesse. Wydawało się, że siedziba LFA jest zupełnie niedostępna.

- Za mną.

Pobiegli wzdłuż muru do nie używanej nawy załadunkowej na tyłach budynku.

Było tam zupełnie ciemno i szli po omacku, dotykając ściany. W końcu Todd zatrzymał się, wyciągnął z kieszeni małą latarkę i poświecił nią wysoko przed sobą, aż zlokalizował drogę przeciwpożarową. Znow ruszyli naprzód i znaleźli się bezpośrednio pod drabinką. Todd wyciągnął ręce jak najwyżej, żeby uchwycić pierwszy szczebel. Pociągnął mocno i zsunął skrzypiącą drabinkę na dół. Mając Jesse tuż za sobą, Todd

wspiął się po drabinie do pierwszego podestu.

- Teraz czeka nas najtrudniejsze rzucił przez ramię.
- Po co mi to mówisz? - zapytała, gramoląc się na podest obok niego.

Znów zapalił latarkę.

- Musimy wejść tam. - Oświetlił stojący pod nimi ogromny pusty pojemnik na śmieci. - Musimy dostać się brzegiem pojemnika do tamtego okna. - Skierował latarkę do góry, w stronę małego okna półtora metra nad pojemnikiem. - To okno łazienkowe. Byłem tu dziś po południu, żeby zaofiarować swoją pomoc LFA. Gdy skończyłem wypełnianie formularzy, zapytałem, gdzie jest toaleta. Będąc tam, odblokowałem okno.

- Zgłosiłeś się do LFA? - Jesse omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Oni też wyglądali na trochę zaskoczonych. - Todd uśmiechał się. - Pewnie byłem pierwszym białym, który się do nich zgłosił, ale jak twierdziła recepcjonistka, LFA nikogo nie dyskryminuje. Więc pozwoliła mi wypełnić formularze.

- A to okno? - Jesse skinęła w stronę okna tuż przy podeście.

- Sprawdzalem je dzisiaj. Niestety, jest zabite gwoździami. Chyba inspektor ochrony przeciwpożarowej dawno nie składał tu wizyty.

- Dobrze, chodźmy już. - Ostrożnie przełożyła nogę przez balustradę, stając na brzegu metalowego pojemnika ustawionego pod ścianą budynku.

- Co ty wyprawiasz?

- Idę do okna - wyjaśniła, próbując utrzymać równowagę na wąskiej krawędzi ogromnego pojemnika.

- Ja pierwszy, Jess.

Lecz ona zrobiła już kilka kroków w stronę okna, przesuając ostrożnie stopy po metalowej krawędzi szerokości dwóch centymetrów i przytrzymując się odległej o pół metra ściany. - Oświetlaj mi tylko drogę. - Podczas gdy drobila małymi kroczkami, przypomniało jej się, jak będąc małą dziewczynką, chodziła po torach kolejowych niedaleko domu w Glyndon. Tyle że tory kolejowe znajdowały się najwyżej piętnaście centymetrów nad ziemią. Tutaj od ziemi dzieliły ją trzy metry.

Wreszcie dotarła do okna. Włożyła palce pod drewnianą ramę i pchnęła ją do góry. Okno natychmiast się otworzyło. Jesse zwinnym ruchem chwyciła dolną część ramy, odepchnęła się od pojemnika i wskoczyła do środka. Wstała szybko z podłogi i wychyliła się z okna.

- Śmiało - zachęcała. - To nie takie trudne.

- Mhm. - Todd przełożył ostrożnie nogę przez balustradę podestu. Nigdy nie lubił wysokości. Nawet trzymetrowych.

- Szybko! - Jesse zaczęła tracić cierpliwość.

- Spokojnie! - To chyba nie ona miała być przewodnikiem.

Todd powoli stanął na krawędzi pojemnika i dostał się pod okno. Podał Jesse latarkę, po czym oparł się o dolną ramę. Ale gdy odbijał się od metalowego pojemnika, poślizgnął się i przez chwilę próbował odzyskać równowagę, zwisając z okna. Jesse chwyciła go mocno za koszulę, gdy Todd powoli się podciągał. Kilka sekund później oboje spadli jak kłody na wyłożoną płytkami podłogę.

- Niech żyje sprawność, panie detektywie - jęknęła Jesse.
- Musiałem opuścić w szkole lekcje wspinania się po pojemnikach na śmieci. -
Był poirytowany. - Zdaje się, że musimy się dostać do biura zarządu - przypomniał,
wstając na jedno kolano.

- Najlepiej tam zacząć poszukiwania.

Wydostali się z łazienki na wąski korytarz wyłożony tanią wykładziną. Dywan był
wytarty, a w powietrzu unosił się kurz i ciężki zapach pasty do mebli. Dotarli do zamkniętych drzwi, ale Todd z łatwością otworzył je wytrychem. Weszli do środka.

- Słabo zabezpieczony budynek - zauważyła Jesse.

- Przecież to przerobiony magazyn, Jess. Czego się spodziewałaś? Promieni laserowych i czujników temperatury? Cała ta organizacja stoi pewnie na modlitwie. Nie będą wydawać majątku na ochronę, bo nie ma czego chronić.

Chłodny ton głosu Todda wskazywał, że wciąż był zażenowany swą niezdarną próbą wejścia do budynku.

- My tu naprawdę jesteśmy, prawda?

- Tak - bąknął, pocierając kolano. - Niestety.

Zignorowała jego skargę i podeszła do segregatorów pod ścianą. One też były zamknięte na klucz.

- Czy twój wytrych poradzi sobie też z segregatorami?

- Jasne. - Todd podszedł do pierwszego i szybko go otworzył, po czym zajął się następnymi.

Jesse wyciągnęła z kieszeni spodni maleńką latarkę, otworzyła górną szufladę i rozpoczęła poszukiwania. Żeby nie zostawić odcisków palców, założyła z Toddem cienkie lateksowe rękawiczki, które Todd kupił rano w aptece. Wyciągając pierwszy plik, przypomniała sobie skórzaną rękawiczkę, zgubioną w domu Neila nad rzeką tamtej nocy. Wówczas pożyczyła rękawiczki Sary, które leżały w jej szufladzie. Nie miała własnych rękawiczek w biurze - w końcu był koniec lata, a nie chciała tracić czasu na zakupy. Sara natomiast trzymała wszystko w biurze, bez względu na porę roku.

- Co teraz? - Todd otworzył wszystkie segregatory.

- Zaczynaj szukać danych osobowych. Daj mi znać, gdy je znajdziesz.

- Dobrze.

Przez kilka minut Jesse przeczesywała dokumenty, myszując w fakturach, korespondencji i wewnętrznych notatkach służbowych. Nagle coś przykuło jej wzrok: teczka oznaczona „Doub Steel/fundusze”.

- Jesteśmy w domu - wymamrotał Todd. - Dane o pracownikach.

- Świetnie. - Jesse podniosła rękę. - Poczekaj chwilę, zaraz do ciebie idę. - Serce zabiło jej mocniej, gdy raz jeszcze spojrzała na oznaczenie. Doub Steel. Nazwa brzmiała znajomo. Gdzieś już ją słyszała.

Otworzyła cienką teczkę i zaświeciła sobie latarką. Nagle podniosła rękę do twarzy. Miała przed sobą skopiowane obydwie strony czeku na milion dolarów. Czeku podpisanego przez Davida J. Mitchella. Wszędzie poznałaby jego charakterystyczne M. Widziała, jak podpisywał czek w Café Royal, i później, gdy podpisywał się przy wypożyczeniu żaglówki.

- O mój Boże. - Doub Stell. Przypomniała sobie teraz. David wspomniał, gdy żeglowali nocą po Corsice, że była to jedna z jego głównych inwestycji. Oparła się o segregator.
- Co się stało, Jess?
- Powiem ci później. - Zamknęła szybko teczkę i położyła ją na małym stoliku przy segregatorze. - Gdzie są dane o pracownikach. - Drżał jej głos.
- Tutaj. Jess, no co się...
- Nic! - Przerwała mu, podchodząc do kolejnego segregatora.
- Co mam robić? - zapytał.

Jesse wyciągnęła z kieszeni koszuli mały kawałek papieru. Spisała na nim numer ubezpieczeniowy osoby, pracującej dla LFA i Elbridge'a Colemana. - Postaraj się, żeby nikt nas nie zaskoczył.

- OK.

Przejrzała dokładnie wszystkie akta, sprawdzając wszędzie numery ubezpieczeniowe. Wreszcie natknęła się na dokument bez numeru, a raczej na dokument, na którym numer zamazano korektorem. Delikatnie dotknęła zaschniętej plamki, po czym spojrzała w górny prawy róg kartki na zdjęcie delikwenta. Przyjrzała mu się. Znajoma twarz. Nagle poznała go i po plecach przeszedł jej kolejny lodowaty dreszcz. Mężczyzna ten w zeszłym tygodniu wychodził z jej pokoju, twierdząc, że szuka Sary. Na zdjęciu miał krótkie włosy i był ogolony, ale jak zapewnił ją Todd, nietrudno było się zamaskować. Przeczytała, jak się nazywa. Gordon Smith.

Tego szukała. Dodatkowo jeszcze natknęła się na czek z Doub Steel. Najwyższy czas, żeby się ulotnić.

- Chodźmy stąd, Todd.
- Nie zgłaszam sprzeciwu.

Jesse włożyła teczkę Smitha pod pachę, zamknęła segregatory, wzięła ze stolika teczkę Doub Steel i skierowała się w stronę korytarza. Kilka sekund później zwiisała z łazienkowego okna, badając obutymi w tenisówki stopami brzeg pojemnika na śmieci. Nerwy w niej grały. Jak wtedy, gdy wchodziła do domu Robinsona, coś kazało jej stamtąd zwięzać. Niebezpieczeństwo było bardzo blisko. Jej stopy dotknęły wreszcie brzegu pojemnika.

Todd podał jej przez okno obydwie teckki i Jesse zaczęła przesuwać się szybko w stronę drabinki. Lecz chcąc jak najszybciej znaleźć się na podeście, poślizgnęła się i z jej ust wyrwał się krótki okrzyk. Przez chwilę zastygła w powietrzu, usiłując znaleźć dla rąk jakąś podporę. Lecz gdy zaczęła odchylać się do tyłu, poczuła silną rękę Todda, który oplótł palcami jej nadgarstek. Odzyskała równowagę. Ostrożnie pokonała odległość dzielącą ją od podestu.

Po chwili dołączył do niej Todd. Gdy wdrapywał się na podest, położyła mu rękę na ramieniu.

- Dzięki - wymamrotała.
- Nie ma za co - odpowiedział szeptem. - Może powinniśmy byli poszukać drzwi na parterze.
- Nie - odparła. - Na drzwiach zainstalowane są alarmy.

- I co z tego? Zanim by tu dojechali, nas by już tu nie było.
- Wolałabym, żeby nikt nie wiedział o włamaniu. Jesse wręczyła obydwie teczki Toddowi, a sama zaczęła schodzić po drabince. - Zrzuć mi je, gdy już zejdziesz na dół.

- Dobra.

Zeskoczyła zwinnie na ziemię, omijając kilka ostatnich szczebli.

- Nie ruszać się! - zawołał ktoś, a jasne światło nagle oświetliło miejsce pod drabinką.

Odruchowo zasłoniła twarz. Złapali ją. Jesse ogarnęło przerażenie, gdy wyobraziła sobie nagłówki w prasie: URZĘDNICZKA SKARBOWA WŁAMUJE SIĘ DO LFA. Nie mogła do tego dopuścić.

Rzuciła się do ucieczki, lecz agenci ochrony przewidzieli jej ruch i po chwili leżała już twarzą do ziemi z wykręconymi do tyłu rękami.

- Zobaczmy, kogo my tutaj mamy. - Jeden z mężczyzn zaświecił jej latarką prosto w oczy, przyciskając ją kolaniem do ziemi.

- Nietypowy włamywacz, co? - roześmiał się jego kompan, wyciągając zza pasa kajdanki. - Ślicznotka z pani, ale niestety, wszystkich traktujemy tutaj tak samo. W kajdanki i do ciupy.

Jesse zamknęła oczy, odwracając twarz od światła. Scenariusz jak z koszmaru. Takiej sytuacji obawiała się najbardziej.

- No właśnie... - Lecz gdy jeden z ochroniarzy zaczął nakładać Jesse kajdanki, nocną ciszę zakłóciły dwa wystrzały i słowa uwięzły mu w gardle.

Ochroniarze odskoczyli w stronę pojemnika na śmieci, tam szukając schronienia. Chwilę później w ciemnościach rozległy się kolejne dwa strzały, a po nich nastąpił brzęk tłuczonej szyby - kule trafiły w przednią szybę samochodu patrolowego.

Jesse skoczyła na równe nogi i zaczęła biec. Wiedziała doskonale, co się stało. Ochroniarze nie zauważyli Todda, który teraz robił całe to zamieszanie, żeby odwrócić ich uwagę. Nie zamierzała marnować takiej okazji.

Padły jeszcze dwa strzały. Słyszała, jak agenci ochrony wrzeszczą siebie, po czym skręciła za róg i ich głosy ucichły. Biegła jednak dalej.

Gdy zbliżała się do wynajętego samochodu, zwolniła nieco, by w końcu się zatrzymać. Pochyliła się, łapiąc otwartymi ustami powietrze. Wiedziała, że nie powinna kręcić się przy samochodzie, który w tym rejonie miasta i o tej porze wyglądał zupełnie nie na miejscu. Policja, która za parę minut wkroczy na ten teren, zainteresuje się nim w pierwszej kolejności. Będą przy okazji dysponować jej szczegółowym rysopisem. Ruszyła niepewnie przed siebie, nie wiedząc co począć dalej.

Nie mogła zostawić Todda samego, ale nie mogła też na niego czekać. Dobiegło ją wycie policyjnych syren.

- Pospiesz się!

Jesse poczuła nagle, że ktoś klepnął ją po plecach. Podskoczyła z krzykiem. Okazało się, że Todd już wcześniej minął ją i dobiegł do samochodu.

- Pospiesz się! - krzyknął znowu. - Wyośmy się stąd! Nie mamy ani chwili do stracenia! - Uderzał ręką o dach samochodu.

Migiem znalazła się przy samochodzie, wepchnęła kluczyk do zamka w drzwiach, otworzyła je i wskoczyła do środka.

- Masz dokumenty?! zawołała do Todda, który zajmował miejsce obok.
- Są tutaj. - Wyciągnął rękę z teczkami.
- Cudownie. - Jesse chwyciła je i rzuciła na tylne siedzenie. Włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła. Silnik zawył głośno, gdy przycisnęła do oporu pedał gazu. - Trzymaj się.

Pół godziny później zatrzymała samochód na parkingu przy swoim bloku, wyłączyła silnik i światła, po czym oparła się o zagłówek i zamknęła oczy. Była pewna, że któryś z mijanych po drodze policyjnych samochodów zawróci nagle i rozpocznie pogoń. Ale jej obawy się nie sprawdziły. Teraz była zadowolona, że zabrali ze sobą zwykły samochód z wypożyczalni, a nie rzucającą się w oczy corvetę Todda.

- Niekiepski z ciebie kierowca - ocenił Todd ze śmiechem.
- Nauczyłam się od braci. - Nagle zdała sobie sprawę, że Todd ocalił jej skórę. - Nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna za pomoc.

- Nie ma o czym mówić.

Jesse sięgnęła ręką do dużej szpilki, która podtrzymywała jej upięte w kok włosy. Pokręciła głową energicznie w jedną i drugą stronę i włosy rozsypały się na ramiona.

Todd pokiwał głową z aprobatą.

- Dużo lepiej.
- Dzięki. - Wtem przypomniała sobie strzały, które rozdarły nocną ciszę, gdy leżała przycisnięta do asfaltu, czekając na założenie kajdanek. - Nie wiedziałam, że nośsisz broń, Todd.

- Nie rozstaję się z nią. - Sięgnął pod koszulę i wyciągnął rewolwer kaliber 38. - Przywitaj się z Mankiem. Nie ma już nabożów, ale dobrze się dziś spisał.

Jesse spojrzała na rewolwer.

- Rzeczywiście.

Todd włożył rewolwer z powrotem do pochwy, po czym wyciągnął z kieszeni spodni kartkę. - Prawie o tym zapomniałem.

- Co to takiego?

- Pamiętasz, kiedyś wspomniałem ci o koledze maklerze, który sprawdził dla mnie ofertę subskrypcyjną Coleman Technology? Powiedziałem ci wtedy, że wszystkie trzy firmy, które wówczas zainwestowały w akcje Coleman Technology, miały tę samą firmę macierzystą.

- Tak.

- Otóż mój kolega poszperał jeszcze głębiej.

- I co?

- Wszystkie firmy, które wykupiły pierwszą emisję akcji Coleman Technology, są kontrolowane przez Sagamore Investment Company. Dasz wiarę? Wygląda na to, że miałas absolutną rację. Oferta Coleman Technology z polecenia Sagamore była przedmiotem manipulacji małej grupy maklerów z kilku drobnych banków inwestycyjnych. - Potarł ręką brzuch. Wciąż był obolały od ciosu Harry'ego. - Ale nie umiem powiedzieć, dlaczego to zrobili.

Jesse wiedziała dlaczego. Elbridge Coleman sfinansował swoją kampanię... oraz

potężną akcją reklamową, która jej towarzyszyła, z pieniędzy ze sprzedaży akcji. Choć teraz mogła już stwierdzić, że były to pieniądze od Sagamore.

- Byłaś niedawno w Sagamore, Jess?

Do tego dochodził jeszcze ogromny czek Doub Steel dla LFA. Podpisany przez Davida. Oczywiście jej mgłą. I ten człowiek, którego opłacał zarówno Coleman, jak i LFA. Gordon Smith, jeśli było to jego prawdziwe nazwisko. Sytuacja robiła się coraz bardziej zwariowana.

- Jess?

Spojrzała na Todda. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie podzielić się z nim swymi podejrzeniami. Ale wtedy prawdopodobnie od razu będzie chciał przycisnąć Davida. A do tego wołała nie dopuścić. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Muszę już iść, Todd. Odprowadzę cię do twego samochodu. - Odwróciła się i sięgnęła ręką do klamki.

- Ale...

- Chodź już - nalegała, zamykając drzwi.

- W porządku. - Todd wyskoczył z samochodu.

- Gdzie zaparkowałeś?

- Tam.

Dojrzała białą corvetę stojącą tuż pod dużą latarnią i zaczęła iść w jej kierunku.

- Zaczekaj chwilę. - Dogonił ją dopiero przy swoim samochodzie. - Po co ten pośpiech?

- Muszę się trochę przespać. Jestem wykończona. - W świetle latarni dostrzegła nagle uszkodzenia z przodu i z tyłu wozu. - Co się stało?

- Dobrali się do niego wandalę, gdy kupowałem w sklepie jedzenie - skłamał. - Niektórych chyba na widok tak ładnego samochodu po prostu zżera zazdrość.

- To przykre.

- Nie ma się czym martwić. Niedługo będzie jak nowy.

Przez twarz Jesse przemknęło zdziwienie.

- Odkąd to kupujesz sobie jedzenie? Wydawało mi się, że stołujesz się na mieście.

- Powiedziałem, że kupowałem jedzenie? Wyszedłem tylko po piwo.

- Aha. Nie masz problemów z prowadzeniem go w tym stanie?

Pokręcił głową.

- Wymieniłem żarówki. Wszystko gra. Niedługo naprawię karoserię.

- Coś ostatnio nie mamy szczęścia do samochodów. - Jesse uśmiechnęła się.

- Prawda - przyznał, po czym zapytał pod wpływem nagłego impulsu - Jess, może pojedziemy do mnie do domu?

- Co? - Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Pojedźmy tam razem. Będzie super.

Pokręciła głową.

- Będziesz się tam dziś czuć bezpieczniej. Będę przy tobie. Poza tym, muszę ci coś powiedzieć.

- Todd, proszę cię. - Czowała, że nie poradzi sobie z tą sytuacją.

Podszedł do niej i dotknął palcami jej policzka.

- Mówię poważnie. - Zawahał się, spuścił wzrok i znów na nią spojrzął. - Naprawdę zależy mi na tobie.

Dotknęła jego ręki.

- Mnie też na tobie zależy, tylko...

- Więc pojedźmy do mnie. Nie będziemy ze sobą spali, porozmawiamy tylko, jak za dawnych czasów. Delikatnie ujął jej twarz w swe duże dłonie. – Weź jutro wolne. Boże, pomyśl tylko, przez co dzisiaj przeszliśmy. Zasłużyłaś sobie na odpoczynek.

- Bardzo bym chciała, naprawdę. Ale mam do załatwienia pewne sprawy.

- Chodzi o tego faceta, Davida Mitchella? - zapytał Todd gniewnie. - Teraz też do niego jedziesz?

- Oczywiście, że nie. - Jesse poczuła, że jego palce zaciskają się mocniej, gdy próbowała mu się wyrwać. - Todd!

- Pocałuj mnie, Jess. - Objął ją i przyciągnął gwałtownie do siebie.

- Todd, co ty wyprawiasz? - Usiłowała go odepchnąć, ale bez skutku. Był od niej dużo silniejszy.

- Pocałuj mnie. - Jedną ręką przytrzymał jej głowę, pochylił się i przycisnął usta do jej warg.

- Proszę przestań! Proszę! - Wreszcie wyrwała się z jego uścisku i stanęła obok, wycierając usta wierzchem dłoni.

Todd przez chwilę bacznie się jej przyglądał, po czym powoli spuścił wzrok i pokręcił głową.

- Przepraszam, Jess. Nie wiem, co we mnie wstąpiło - tłumaczył się cicho. - Wiesz, że nie jestem taki.

- Wiem. - Podeszła do niego, dotknęła jego ramienia i znów się cofnęła. Siła, z jaką przytrzymał jej głowę, przeraziła ją. Teraz zdała sobie sprawę, że wcale mu się nie wyrwała. Pozwolił jej po prostu na to. - Wiem - powtórzyła. - Jestem wdzięczna za to, co dziś dla mnie zrobiłeś.

Pokiwał zrezygnowany głową.

- Jasne.

- Wszystko jest w porządku. Niczym się nie martw.

Znów pokiwał głową, po czym wyciągnął z kieszeni kluczyki, otworzył drzwi i wsunął się za kierownicę.

- Jadę już.

- Todd, nie zostawajmy się w ten sposób.

Ale już jej nie słuchał. Włączył bieg wsteczny, cofnął się i odjechał.

Odprawdzając wzrokiem elegancką sylwetkę samochodu, który pędził przez parking, Jesse dotknęła palcami policzków. Boże, to dopiero było dziwne. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. Więc dlaczego teraz? Może Becky wszystko jej wytłumaczy.

Spojrziała na zegarek w świetle parkingowych lamp. Dochodziła trzecia. Odwróciła się i pospiesznie dotarła do swego wozu. Przed pójściem spać miała do wykonania jeszcze jedno zadanie.

Jak zwykle z górnej części piętrowego łóżka uśmiechały się do niej starannie ułożone wypchane zwierzęta. Jesse rzuciła im smutne spojrzenie od progu. Odkąd wyjechała z domu na dobre, matka nic nie zmieniła w jej pokoju. Wzrok Jesse przesunął się na dolną pryczę, a następnie na wąskie łóżeczko na drugim końcu niewielkiego pokoju. Dorastała tu z dwoma siostrami. Jednego dnia były nastolatkami plotkującymi o chłopakach, a następnego wyjechały, żeby prowadzić własne życie. Tak jej się wydawało.

- Jesse?
- Tak, mamo.
- O mój Boże, ale mnie wystraszyłaś. Tak się cieszę, że przyjechałaś.

Jesse odwróciła się w kierunku, z którego dochodził głos matki. Connie stała w ciemnym korytarzu w długim bawełnianym szlafroku.

- Cześć, mamo. Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć.
- Wszystko w porządku, ale dochodzi czwarta rano, kochanie. Uwielbiam twoje wizyty, ale dlaczego odwiedzasz mnie o tej porze?

Jesse schowała torbę za siebie i delikatnie postawiła ją na podłodze, mając nadzieję, że matka jej nie zauważy. W torbie znajdowała się teczka Neila Robinsona z jego domu nad rzeką, dane osobiste Gordona Smitha i teczka Doub Steel z LFA, informacje znajomego Todda, które łączyły kampanię Elbridge'a Colemana z pieniędzmi Sagamore oraz numery ubezpieczeniowe Gordona Smitha z LFA i od Colemana. W torbie znajdowało się wszystko, co zdołała zgromadzić od otrzymania wiadomości zza grobu od Neila Robinsona.

- Muszę coś zabrać - tłumaczyła się niezręcznie.
- I jak widzę coś zostawić. - Connie ruchem głowy wskazała na podłogę.
- Mhm. - Jesse nie rozwijała tematu. - Mamo, wracaj do łóżka.
- Może sobie porozmawiamy? Wiesz, jak się cieszę, gdy do mnie zagładasz. - Connie zamilkła na chwilę. - Tylko ty mnie odwiedzasz.

- Wrócę w weekend, obiecuję. - Jesse wzięła matkę za rękę i poprowadziła ją do sypialni. Pomogła Connie położyć się, po czym przykryła ją kołdrą po samą szyję. - Kocham cię, mamo. - Usiadła na brzegu łóżka i przez chwilę gładziła matkę po włosach. - Mam coś dla ciebie - szepnęła.

- Co takiego? - zapytała słabo Connie, odpływając już do krainy snów. Jesse sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła pięćdziesiąt dolarów.
- Zostawiam ci małe co nieco w szafce nocnej. - Wysunęła szufladę, do której wrzuciła zmięty plik banknotów. - Zadzwonię, żeby ci przypomnieć, gdzie są.

Ale Connie już jej nie słyszała. Jej oddech stał się regularny: zapadła w głęboki sen.

Jesse uśmiechnęła się, pocałowała matkę w czoło i szybko wróciła do swej dawnej sypialni. Wzięła torbę z dokumentami, otworzyła drzwi szafy i umieściła ją na górnej półce między grami planszowymi i układankami. Tam dokumenty będą bezpieczne.

27.

Jesse pchnęła drzwi wejściowe do swego mieszkania i powłócząc nogami podreptała do dużego pokoju. Powieki ciążyły jej, zupełnie jakby były z metalu. Przez całą drogę powrotną od matki szczypała się w nogę, żeby nie zasnąć, ale i tak kilka razy o mało nie zjechała z szosy. Teraz miała od szczypania posiniaczone udo. Minęła już szóstą, a żeby dotrzeć do pracy na ósmą, wstawała najpóźniej o szóstej trzydzięści. Westchnęła. Todd może miał rację. Powinna chyba wziąć sobie dzień wolny.

Już dochodziła do sypialni, gdy przypomniała sobie o czymś i udała się do kuchni. Kot nic nie jadł od wczorajszego rana i musiał teraz umierać z głodu.

W pierwszej chwili sylwetka rysująca się na tle porannego światła, które sączyło się przez zasłony w dużym pokoju, wydawała się niematerialna. Jesse zarejestrowała w mózgu tę postać, lecz przez ułamek sekundy wołała nie godzić się z jej obecnością. Dopiero gdy kształt poruszył się, serce podeszło jej do gardła i objęła rękoma szyję. Usiłowała krzycheć, lecz poza dziwnym zduszonym dźwiękiem, nie zdołała wydobyć z siebie nic innego, jak gdyby postać zacisnęła już swe palce mocno wokół jej szyi.

Odruchowo Jesse odwróciła się od tajemniczego cienia i rzuciła w stronę sypialni. Lecz nagle postać zapaliła światło i w pokoju zrobiło się bardzo jasno.

- Jesse!

Natychmiast rozpoznała ten głos. Przytrzymała się framugi drzwi i odwróciła głowę.

- David! Co ty tu robisz? Jak się dostałeś do środka?

David podniósł pęk kluczy, który rzucił na sofę.

- Znalazłem je w jednej z kuchennych szuflad podczas moich odwiedzin, gdy ty byłaś w sypialni.

Boże, pewnie zauważył teczkę Neila. Może dlatego tu przybył. Może właśnie po nią. Czyżby przeszkodziła mu w plądrowaniu mieszkania? Pytania przelatywały jej przez głowę. I przez cały czas nie przestawała myśleć o podpisie na czeku Doub Steel, który znalazła w segregatorze LFA.

- Dlaczego szperałeś w mojej kuchni?

- Pozwoliłeś mi wziąć sobie piwo. Tak też zrobiłem. Ale nie mogłem otworzyć butelki i szukałem otwieracza. Czyżbym źle zrobił?

- Nie. - Faktycznie poprosiła go, żeby poczęstował się piwem. - Ale jakim prawem przywłaszczyłeś sobie moje klucze?

- Skąd ta wrogość, Jesse? - Zrobił krok w jej stronę.

Cofnęła się, zachowując dystans między nimi. Teraz nie mogła być pewna jego zamiarów. Sagamore był związany z kampanią Colemana i LFA. Nie mogła już ufać pracownikom Sagamore, a David był jednym z nich. - Nie podoba mi się, gdy ktoś bez pytania o zgodę zabiera moje klucze. Czy to jasne?

- Powinnaś bardziej uważać - stwierdził złowieszczo.

- Co masz na myśli?

- To co powiedziałem.

David był wykończony. Widziała to w jego oczach. Też nie spał całą noc.

- Po co przyszedłeś?

Zawahał się przez chwilę.

- Żeby ci pomóc - wymamrotał cicho.

- Jak to?

Pomyślał, że musi zagrać w otwarte karty.

- Słuchaj, chcę być z tobą szczerzy.

- Bardzo się cieszę.

Zignorował jej cyniczny ton.

- Wtedy w kuchni zauważyłem pewną teczkę.

- Jaką teczkę?

- Nie udawaj.

Po raz pierwszy Jesse usłyszała w jego głosie lodowaty, niemal groźny ton.

- Chodzi ci o teczkę dotyczącą kampanii Elbridge'a Colemana?

- Oczywiście - rzucił.

Jesse błyskawicznie oszacowała szanse ucieczki. Na pewno nie dostanie się do drzwi wejściowych. David z łatwością zastąpi jej drogę.

- A więc widziałeś tę teczkę. I co z tego? Mój szef miał bujną wyobraźnię.

- Mówiłem ci już, że chcę ci pomóc. - Dostrzegł, że Jesse rozważa możliwość ucieczki. - Jeśli chcesz wyjść, proszę bardzo. Nie zamierzam cię zatrzymywać. - Odsunął się na bok. - Bardzo mi na tobie zależy. Jestem tu, żeby ci pomóc. Musisz mi uwierzyć. Musisz mi zaufać.

Chciała mu uwierzyć. Chciała mu zaufać. Lecz dostrzegła w jego oczach coś dziwnego: rozpacz, której nigdy wcześniej nie widziała. Rozpacz, która mogła oznaczać, że mówił prawdę albo że jest gotów zrobić wszystko, aby wypłatać się z trudnej sytuacji.

- Daj mi minutkę i pozwól sobie coś wyjaśnić. Jeśli mi nie uwierzysz, będziesz mogła odejść. Obiecuję, że nie będę cię zatrzymywał.

- W porządku.

- Świetnie. Jesse, prawda jest taka, że Sagamore Investment Management Group nie jest tym, czym się wydaje. Wcale nie mamy lepszej ręki do inwestycji niż inni. Po prostu dochodzi do pewnych manipulacji. W ten sposób mogliśmy osiągnąć tak niebywałe wyniki finansowe przez tak długi okres. Gramy znaczącymi kartami.

Jesse otworzyła szerzej oczy.

- Od dawna miałem pewne podejrzenia, ale nie mogłem ich potwierdzić - kontynuował David. - Stało się to dziś, przynajmniej potwierdziłem je przed samym sobą. To co odkryłem nie wystarczy, żeby skazać kogokolwiek przed sądem, ale nawet dziesięciolatek dostrzegłby, według jakiego schematu obraca się w Sagamore akcjami i za co naprawdę odpowiedzialne jest kierownictwo firmy.

Dzielił się z nią tymi informacjami, nie wymagając przy tym niczego w zamian. Był to dobry znak.

- Mów jaśniej - poprosiła.

- Sagamore manipuluje akcjami firm zbrojeniowych. Kupujemy też papiery wartościowe firm z innych działów gospodarki, ale koncentrujemy się na zbrojeniówce. Jest mnóstwo firm związanych w jakiś sposób z Departamentem Obrony, więc mamy duży wybór przy zakupie akcji. Budżet Departamentu Obrony wynosi prawie trzy miliardy dolarów rocznie. Mnóstwo pieniędzy do wydania i wiele różnych firm z nich korzysta. Kupujemy akcje, zanim rozejdą się dobre wiadomości, jak na przykład przyznanie dużego kontraktu przez Departament i sprzedajemy je, zanim rozejdą się złe wiadomości.

- Nie powinienesz mi tego mówić. Pracuję dla rządu federalnego - przypomniała cicho Jesse. - Mam obowiązek powiadomić swych przełożonych.

- Nikomu nic nie powiesz i doskonale o tym wiesz.

- Nie rozumiem.

- Nie dysponuję żadnymi prawdziwymi dowodami. Gdybyś zawiadomiła o tym wszystkim przełożonych, rozpoczęliby dochodzenie, o którym Sagamore szybko by się dowiedział. Zanim dochodzenie doszłoby do skutku, Sagamore miałby kilka tygodni, a nawet miesięcy, żeby usunąć wszelkie dowody nielegalnej działalności.

Miał rację.

- Ale w jaki sposób Sagamore był w stanie prowadzić ten proceder na dłuższą metę? Tak długo? Od lat firma szczyliła się świetnymi osiągnięciami.

- Ponieważ Sagamore ma swojego człowieka w Senacie. Kogoś bardzo wpływowego. Kogoś, kto nie tylko z wyprzedzeniem informuje nasze kierownictwo o wydarzeniach mających nastąpić w przemyśle zbrojeniowym, lecz również może z własnej inicjatywy potajemnie przyznawać ogromne sumy z budżetu Departamentu Obrony. Właśnie on kontroluje „czarny budżet”. Na pewno Sagamore sownie go wynagradza za jego usługi. Prawdopodobnie przelewają mu pieniądze na zagraniczne konta bankowe. - David pokręcił głową, przypominając sobie konspiracyjne spotkanie z senatorem Webbem dwa i pół roku temu. Spotkanie, podczas którego naiwnie sądził, że przekupuje senatora, gdy tymczasem on sam został skutecznie wessany w krąg intrygi. Teraz wszystko było jasne. - Pomyśl tylko, co to oznacza.

Nie zabrało jej to dużo czasu.

- Daj mi jakiś przykład - poprosiła spokojnym głosem. - W jaki sposób Sagamore korzysta z poufnych informacji senatora.

- Na przykład samolot A-100 odpowiedział. To nowy bombowiec myśliwski produkowany przez General Engineering and Aerospace dla marynarki wojennej. Przez

ostatnie dwa i pół roku prowadzono w tajemnicy prace konstrukcyjne. Wkrótce jego istnienie zostanie objawione światu. Kontrakt opiewa na sto pięćdziesiąt miliardów dolarów w ciągu siedmiu lat. Dzięki niemu ceny akcji GEA wzrosną co najmniej pięciokrotnie. Dwa i pół roku temu, tuż przed przyznaniem kontraktu firmie GEA, Sagamore kupił akcje GEA wartości miliarda dolarów. Możesz to sprawdzić na giełdzie. Inwestycję przeprowadzono jawnie i została zarejestrowana. Wierz mi, Jesse, że nieprzypadkowo przyznanie kontraktu i inwestycja nastąpiły w tym samym czasie.

- Który senator kontroluje „czarny budżet” i współpracuje z Sagamore? - Jesse chłonęła rewelacje Davida.

- Nieważne.

- Ależ przeciwnie. - Nagle zdała sobie sprawę, dlaczego Sagamore zależy na wyniku batalii wyborczej między Elbridge'em Colemanem i Malcolmem Walkerem. Coleman miał być następcą tronu, kolejnym senatorem, który będzie kontrolował „czarny budżet”, żeby Sagamore mógł prowadzić swe ciemne interesy także w następnym stuleciu. - Kto to jest?

- Tego ci nie powiem, Jesse. Naprawdę uważam, że nie powinnaś wiedzieć.

- A ty wiesz?

Pokiwał niepewnie głową.

- Ale jak Sagamore udało się utrzymać wszystko w tajemnicy? Jeśli procedura ta trwa, jak twierdzisz, od wielu lat, dlaczego nikt jej jeszcze nie wyjawił?

To proste, pomyślał sobie. Żądza pieniądza.

- Jesse, przeciętne wynagrodzenie dyrektorów inwestycyjnych, którzy pracują w firmie ponad pięć lat, wynosi rocznie nie mniej niż dwa miliony dolarów. Po co ktoś miałby się wychylać? Poza tym Sagamore nie jest jakąś potężną korporacją. Nie ma aż tylu ludzi, którzy muszą dochować tajemnicy. Przed przyjęciem do pracy każdego kandydata dokładnie się prześwietla.

- Pieniądze nie mogą wszystkich uciszyć. Ktoś nie uniesie poczucia winy.

- Nie liczylibym na to. - David wiedział, o czym mówi. - Jest jeszcze coś.

- Co takiego?

- Każdy dyrektor inwestycyjny zanim zorientuje się, o co chodzi, łamie około dwudziestu przepisów regulujących transakcje papierami wartościowymi. Począwszy od nielegalnego wewnętrznego obrotu akcjami, a na defraudacji i łapówkarstwie kończąc. Wymień jakiegokolwiek wykroczenie, a ma on je na swoim sumieniu. Co najgorsze, nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, co zrobił, aż jest już za późno.

Wypowiedź Davida brzmiała jak usprawiedliwianie się winowajcy.

- Lecz ktoś mógłby pójść na układ. Wy mi zapewnicie nietykalność, a ja wam informacje.

- Ale po co, Jesse? Po co ktoś dobrowolnie miałby iść na taki układ? Co jest prostsze: prowadzić dalej grę w Sagamore i zarabiać ponad dwa miliony rocznie czy też donieść na firmę, mieć przez chwilę poczucie dobrze spełnionego obowiązku i resztę życia spędzić w przytułku, bo nie ma się szans powrotu do zawodu? Miałabyś zamkniętą drogę. A gdy urzędnicy wycisną z ciebie wszystko, co się da, myślisz, że

zadbają o ciebie? W każdym razie nie zapewnią ci dwóch milionów rocznie.

- A ty?
- Co ja?

- Też złamałeś dwadzieścia przepisów regulujących transakcje papierami wartościowymi?

David nie odpowiedział.

- Później o tym porozmawiamy, ale wprawdzie musimy cię stąd zabrać, Jesse. Natychmiast.

Stanowczość w głosie Davida i strach w jego oczach zaniepokoiły ją.

- O co ci chodzi?
- Myślę, że grozi ci niebezpieczeństwo.
- Dlaczego?

- Przez tę teczkę z kuchni. Wtedy szybko ją przejrzałem. Wierzę, że zawiera prawdziwe informacje, Jesse. Ktokolwiek ją przygotował, miał dobrego informatora albo był geniuszem. Jestem pewien, że kierownictwo Sagamore próbuje manipulować wynikami wyborów. Wszystko na to wskazuje. Ich człowiek w Senacie - ten, który kontroluje „czarny budżet” - starzeje się. Jeśli nic nie zrobią w tej sprawie, stracą złotą żyłę i wspaniałą pozycję na rynku. Potrzebują kogoś młodszego, kto przejmie pałeczkę. Chcą też, żeby dostał się do Senatu, zanim odejdzie jego poprzednik, żeby uniknąć chaosu w okresie przejściowym. - David przerwał na chwilę. - Jestem też pewien, że zależy im na wysadzeniu z siodła Malcolma Walkera. I to w najgorszy możliwy sposób. Tym samym podczas najbliższych wyborów upieką dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Miała identyczne podejrzenia.

- Mój Boże - wyszeptła.

- Tak, to niesamowite. A najbardziej przerażające z tego wszystkiego jest to, że senator, który kontroluje „czarny budżet”, musi współpracować z kimś z Pentagonu. Senator może rozdzielać fundusze, ale potrzebuje pomocy przy zawieraniu kontraktów. Musi współpracować z jakąś szycią z Pentagonu.

Zaschło jej w ustach. To co jeszcze kilka dni temu wydawało jej się niewyobrażalne, co przypisywała wybujałej wyobraźni Neila, nagle zamieniło się w intrygę na potężną skalę.

- Ale teraz najważniejsze jest to, żebyś się stąd ulotniła - nalegał David, robiąc krok w jej stronę.

Zauważyła jego ruch, lecz tym razem się nie odsunęła.

- Jesteś jedyną osobą z Sagamore, która wie o tej tezcze. Dlaczego więc miałoby mi coś grozić?

- Myślisz, że przypadkowo Elizabeth Gilman tak szybko się z tobą zaprzyjaźniła?

- Musiał przekonać Jesse, żeby obdarzyła go całkowitym zaufaniem.

- Ty najwyraźniej tak nie uważasz.

David pokiwał głową.

- Owszem. - Dostrzegł rozczarowanie na jej twarzy. - Nie zrozum mnie źle. Jesteś inteligentną kobietą i świetnie dawałabyś sobie radę jako dyrektor inwestycyjny w

Sagamore. Ale ja znam Elizabeth od ponad czterech lat. Przede wszystkim jest szefową firmy. Wspaniale potrafi traktować ludzi, ale jeśli chodzi o Sagamore, nigdy nie dopuszcza do tego, by emocje wpływały na jej decyzje. Elizabeth wie, że ma do wyboru wielu kandydatów, ludzi o dużo większym doświadczeniu w świecie finansów niż ty. Jest po prostu nielogiczne, że tak się ciebie uczepliła. Przyznaję, że to tylko moje domysły. Ale jestem pewien, że są trafne.

- Wiesz na pewno, że Elizabeth jest wmieszana w to wszystko?

- Jezus Maria, Jesse, przecież jest w zarządzie firmy. - David zirytował się nagle.

- Nielegalne praktyki, które odkryłem, mają miejsce od lat. Elizabeth o wszystkim wie. Nie łudź się.

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Co masz na myśli?

- Jak powiedziałeś, domyślasz się tylko, że wiedzą o tej teczce, ale nie wiesz tego na pewno. Więc wiedzą czy nie?

Na twarzy Davida pojawił się wymuszony uśmiech.

- Chcesz wiedzieć, czy im powiedziałem?

- A nie powiedziałeś?

- Jesse, w głębi serca jestem uczciwym człowiekiem. Popełniłem kilka błędów, ale nadszedł czas, żeby się do nich przyznać i za nie zapłacić. Nie zamierzam dłużej uczestniczyć w tej grze. Nie pozwolę też, żeby uszło im to na sucho. - Przerwał i spojrzął jej w oczy. - Poza tym zależy mi na tobie. Nigdy bym ci nie zrobił czegoś takiego.

Wygłosił wspaniałą przemowę, ale Jesse nie zamierzała tak szybko dać się przekonać.

- Powiedziałeś mi przed chwilą, że dyrektor inwestycyjny po pięciu latach pracy w Sagamore zarabia przeciętnie dwa miliony rocznie. Twierdziłeś, że łatwiej jest dalej prowadzić grę i dostawać pieniądze. Gdybyś powiedział im o teczce, chyba bardzo szybko zapewniliś sobie te dwa miliony.

- Jeśli powiedziałem im o teczce, to w takim razie co ja tutaj robię? - Pokręcił głową. - Zresztą nie mnie by tu przysłali tylko zawodowca. Już byś nie żyła. Jeśli tworzy się tak rozbudowaną infrastrukturę i ponosi tak wielkie ryzyko, nie przerywa się gry. Zamordowanie urzędniczki skarbowej dla zachowania tajemnicy nie jest dla nich żadną przeszkodą. Zrobiliby to bez mrugnienia okiem.

Jesse powoli podniosła dłonie do twarzy. Sara. Rękawiczka zgubiona w posiadłości Neila. Czyżby próbowali ją wytropić i zamiast niej trafili na Sarę?

- Nie - powiedziała na głos. Za bardzo folgowała wyobraźni. Sara po prostu zrobiła sobie wolne na dwadzieścia cztery godziny i dziś zjawi się normalnie w pracy.

- Co „nie”? - zainteresował się David.

- Nic. - Czuła jednak, że z Sarą stało się coś strasznego. - A jak wytłumaczysz czek Doub Steel dla LFA podpisany przez ciebie? - Musiała zadać mu to pytanie.

- Czek? - powtórzył chrapliwie David, wyraźnie skonsternowany.

- Tak - odparła spokojnie. - Mam kopię czeku wystawionego na organizację zwaną Liberation for African-Americans. Jest to czek Doub Steel, podpisany przez Davida J. Mitchella. Powiedziałeś mi wtedy na załóżce, że Doub Steel należy do twojego pakietu inwestycyjnego.

- Pamiętam, co ci mówiłem - odpowiedział, wytrącony nagle z równowagi. - Jak zdobyłaś kopię tego czeku?

- Nie chcesz mi powiedzieć, który senator steruje „czarnym budżetem”, więc ja ci nie powiem, w jaki sposób zdobyłam ten czek. Ale mam go, mam też teczkę, którą widziałeś, i mnóstwo innych związanych ze sprawą obciążających dokumentów, które są schowane w bezpiecznym miejscu.

- Jesse, ja nie podpisywałem tego czeku. Podpis został sfalszowany. Musisz mi uwierzyć.

- Widziałam twój podpis w restauracji i na przystani, gdy płaciłeś za wypożyczenie żaglówki. Nie jestem ekspertem, ale masz bardzo charakterystyczne pismo. Podpis z czeku Doub Steel bardzo przypomina twój.

- Przyznaję. Byłem tym równie zaszokowany, jak ty teraz. - Czuł, jak wali mu serce. Jakim cudem czek ten trafił w jej ręce? Kierownictwo Sagamore posłużyłoby się nim tylko wtedy, gdyby próbował ich zdemaskować. To nie ulegało wątpliwości. Nie mógł jednak przewidzieć, co z nim zrobi Jesse. - Zostałem wrobiony.

- I ja mam w to uwierzyć? - Znów dostrzegła w jego oczach rozpacz. Jej głębia świadczyła o tym, że mówi prawdę. I gdyby miał jej zrobić krzywdę, nie czekałby tak długo. Nie wdawałby się z nią w rozmowę.

- Musisz mi uwierzyć - wydusił przez zaciśnięte zęby. - Posłuchaj, chcę im przeszkodzić...

- Ja też - wtrąciła gniewnie. - Pewnie oni zabili Neila Robinsona. Człowieka, którego uwielbiałam. Już nie wspominam, że próbują manipulować wynikami wyborów i złamali więcej przepisów, niż ja i ty możemy sobie wyobrazić.

- Chcę ci pomóc, Jesse. Proszę, uwierz mi.

- Wszystko, co od ciebie usłyszałam, oparte jest na domysłach. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, podaj mi fakty. - Odwróciła od niego twarz.

Nie mógł powiedzieć jej o spotkaniu z Webbem. Nie mógł wyjaśnić, skąd wie tak dużo o samolocie A-100 i kontrakcie GEA, nie mógł wyjaśnić, co łączy go z Jackiem Finnertym, nie mógł wyjaśnić, że wrobili go, zakładając na jego nazwisko zagraniczne konta. Nie mógł jej też wyjawić, jakie są jego zdaniem prawdziwe powody dziwnego zachowania Elizabeth Gilman. Pragnął, żeby Jesse mu zaufała, ale wyjawienie jej wszystkiego zbyt by go skompromitowało w jej oczach.

- Daj mi jeszcze trochę czasu. Mogę zdobyć nowe informacje - przekonywał. Widział, jak wzbiera w niej gniew. - Musisz mi zaufać - poprosił żarliwie.

W tym wszak tkwiła cała trudność.

- Zaufać ci? Ty też możesz mnie wrabiać. - Poczula nagle, że zaczął delikatnie masować jej ramiona. - Mój Boże. Kradniesz mi klucze i samowolnie wchodzisz do mojego mieszkania. Przyznajesz, że przejrzałeś moją teczkę. Nie chcesz mi powiedzieć, skąd wiesz o senatorze, który pracuje dla Sagamore, i nie chcesz mi wyjawić jego nazwiska. Przyznajesz się do wielokrotnego naruszenia prawa.

- Wcale się nie przyznałem do naruszenia prawa - poprawił ją.

- Nie musiałeś. Potrafię samodzielnie wyciągać wnioski. - Poczula, że obejmuje

ją w pasie. - David, przestań. - Ale ze zdziwieniem odkryła, że napomina go wbrew sobie. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo się boi, a jego silne ramiona wspaniale ją uspokajały. - Przestań - powtórzyła, lecz tym razem bez przekonania.

- Nie przestanę. - David powoli obrócił ją twarzą do siebie. Spojrzał jej głęboko w oczy. - Zamierzam się tobą zaopiekować. Ale potrzebuję też twojej pomocy. Razem damy draniom radę, ale musimy polegać na sobie.

Obdarzając go zaufaniem - jego czy kogokolwiek innego - wiele ryzykowała. Ale potrafił być tak przekonujący. I czyż nie miał racji? Gdyby powiedział im o teczce Neila, przecież nie przysyłałiby jego.

- Zgoda - odpowiedziała miękko.

W bladym świetle poranka Jesse jechała swym wypożyczonym samochodem za bmw Davida. Koncentrując wzrok na tylnych światłach jego wozu, czuła, że urok Davida coraz silniej na nią działa. Wiedziała, że to szaleństwo, lecz nie potrafiła się temu przeciwstawić.

„Razem damy draniom radę”. Wypowiedział te słowa z ogromną determinacją. Lecz wciąż tkwiło w niej maleńkie ziarenko zwątpienia, choć próbowała przekonać samą siebie, że nie powinno istnieć. Trudno zrezygnować z dwóch milionów rocznie. Mógł ją oszukiwać. David Mitchell miał niewątpliwie skłonności do manipulowania ludźmi. Temu nie mogła zaprzeczyć. Ale na ile silne były to skłonności? Nie wiedziała. Podczas ich rozmowy w mieszkaniu, gdy spojrzała mu głęboko w oczy, sprawiał wrażenie szczerego. A może tylko był bardzo dobrym aktorem, który odegrał życiową rolę. Ale dlaczego ją w takim razie chronił? Dlaczego nalegał, żeby jak najszybciej opuściła mieszkanie?

Zatrzymali się przed hotelem Sheraton. David wyskoczył z bmw, podbiegł do jej samochodu, otworzył drzwi i podał jej rękę, gdy wysiadała.

- Ależ z ciebie dzentelmen - pochwaliła go.

- Dziękuję. - Pocałował ją w policzek. - Naprawdę zamierzam się tobą zaopiekować. - Teraz już mu ufała. Pomimo wszelkich przeciwności zdołał ją przekonać.

Ale w końcu zawsze potrafił zjednywać sobie zaufanie ludzi, gdy mu na tym zależało. Talent od Boga. To coś w jego oczach, jak wyznała kiedyś kobieta, z którą był. - Wejdźmy do środka, Jesse. Wynajmę ci pokój i później uciekam. Ale pozostaniemy w kontakcie. - Wziął ją pod rękę. - Myślę, że nie powinnaś dzisiaj zjawiać się w pracy.

Jesse kiwnęła głową. Teraz zamierzała dokładnie wypełniać jego polecenia.

- I nie dzwoń do nikogo z pokoju. Mogą cię tą drogą wytropić. Jeśli już musisz skorzystać z telefonu, idź do pobliskiego centrum handlowego. Ale najlepiej w ogóle nie opuszczaj pokoju. Może ci grozić niebezpieczeństwo.

Znów kiwnęła głową.

David sięgnął po leżącą na tylnym siedzeniu torbę Jesse, którą pospiesznie spakowała w mieszkaniu, ruszył w stronę wejścia, ale zaraz się zatrzymał.

- Jesse, muszę wiedzieć, gdzie znajduje się teczka na temat kampanii Colemana i pozostałe dokumenty, o których wspominałaś.

Zgodziła się mu pomóc. Przecież teraz już mu ufała.

Wziął ją za rękę.

- Gdyby tak, nie daj Boże, znaleźli cię. Wtedy zostałbym sam, żeby się z nimi rozprawić. Wydaje się, że ta teczka zawiera bardzo cenne informacje. - Zawahał się. - Powiesz mi?

Todd Colton patrzył, jak Jesse szepcze Davidowi coś do ucha, po czym całuje go namiętnie. Piętnaście minut wcześniej widział, jak razem opuścili mieszkanie. Przed świtem widział, jak Jesse na kilka minut zniknęła w mieszkaniu matki. Po ich burzliwym rozstaniu na parkingu nie odstępował od niej. Wszędzie za nią jeździł. A teraz, gdy widział, jak wchodzi ramię w ramię do hotelu, gniew zakopiał w nim tak jak nigdy przedtem. A więc Jesse okłamała go. Kochała Davida Mitchella.

Dlatego odrzuciła jego załoty i odepchnęła go, gdy próbował ją pocałować. Kochała Mitchella. Jak mogła mu to zrobić? Jemu, który zawsze służył jej pomocą i wsparciem.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - Monique wsunęła się ostrożnie do gabinetu Malcolma Walkera.

Walker siedział w swym fotelu z głową odchyloną do tyłu, ukrywając w dłoniach twarz.

- Wejdz - powiedział stłumionym głosem.

Monique odchrząknęła nerwowo, po czym podeszła do krzesła przed jego biurkiem i usiadła. Pewnie wie już o zniknięciu notatki, którą Cowen przesłał Webbowi. Na myśl o Webbie, jej usta wykrzywiły się mimowolnie. Ten drań trzymał ją w hotelu do czwartej nad ranem. Musiała mu się oddać kilka razy.

- Stało się coś?

- Jak to?

- Masz dziś taką kwaśną minę. I wyglądasz na wyczerpaną.

Czuła jego wzrok na sobie, jakby chciał znaleźć przyczynę. - Nic mi nie będzie - odparła. - Chyba zjadłam na śniadanie coś, co mi zaszkodziło.

- Może powinnaś pójść do domu.

- Nic mi nie będzie, Malcolm. - Nienawidziła samej siebie. Towarzyszyła Malcolmowi od dziesięciu lat, a teraz przekazała Webbowi notatkę od Cowena, żeby nie dopuścić do opublikowania w brukowcach jej kompromitujących zdjęć. Żeby ratować swoją skórę doprowadziła do tego, że Malcolm stracił szansę rozprawienia się z „czarnym budżetem”, a także prawdopodobnie stracił swoje miejsce w Senacie. - Po co mnie wezwales?

- Oglądałaś rano telewizję?

Monique pokręciła głową.

- Wszędzie pokazują wczorajszy incydent podczas konferencji prasowej. Jest to główna wiadomość we wszystkich stacjach lokalnych i w wielu sieciach ogólnokrajowych. Czy rzeczywiście było to takie ważne? Czy naprawdę muszą to pokazywać tak często?

- Konserwatyści wytoczyli swe działa. - Czasem wydawało się, że wszelkie próby walki z nimi są daremne. Choć było to frustrujące, trzeba było się z tym pogodzić.

- Myślisz, że lokalne stacje zostały przekupione?
- Wcale bym się nie dziwiła, gdyby tak było. - Mówiła półgłosem. Chciała mu wyznać, co zrobiła. Była mu to winna. Nie potrafiła jednak się przełamać. Zresztą, cóż by przez to osiągnęła? Przekazała już notatkę Cowena. Malcolm dowiedziałby się, że jest zdrażczynią, a na szpaltach wszystkich szmatławców znalazłoby się jej ciało splecione z ciałem równie szmatławej blondyny. - Zrobią wszystko, żeby cię zniszczyć, Malcolm. Ostatnim razem zaskoczyłeś ich i wygrałeś, zanim zdążyli cokolwiek zrobić. Ale tym razem się przygotowali.

Walker spojrział na Monique ze zdziwieniem. Nigdy nie mówiła o tym tak otwarcie.

- Z samego rana dzwonił do mnie Morty Andrews z CNN - zaczął. - Wczoraj wieczorem przeprowadzili sondaż po pokazaniu konferencji we wszystkich dziennikach.

- I?

- Coleman prowadzi już dwunastoma punktami. Ja umocniłem pozycję wśród czarnych wyborców, lecz tracę poparcie białych. - Wiedział, że to już koniec. Od tego dna nie zdoła się odbić.

- Zupełnie jakbyś musiał umacniać swą pozycję wśród czarnej ludności. Cudownie. Ponieważ wczoraj wyciągnąłeś rękę do LFA, poparcie dla twojej kandydatury wśród czarnych wzrosło z dziewięćdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu sześciu procent. Wielkie rzeczy.

- Tego właśnie nie rozumiem. - Walker schował głowę w dłoniach. - Elijah Pitts musiał to przewidzieć. Dlaczego zależy mu na tym, żebym przegrał?

Idąc po schodach do mieszkania Jesse, David wyciągnął z kieszeni zapasowy pęk kluczy, które dorobił. Nie dowie się, że tu był. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, po czym włożył klucz do zamka, pociągnął za klamkę i pchnął drzwi.

Zanim zrozumiał, co się stało, musiało upłynąć parę chwil. Zupełnie jakby przez mieszkanie przeszło tornado. Fotele i kanapy zostały wywrócone, a ich obicia podarte na strzępy, a zawartość materaców wywleczona na dywan. Ze ścian zrzucano obrazy, które poniewierały się na podłodze. Miejscami dywan został pocięty i oderwany od parkietu. A w rogu leżał martwy kot Jesse z rozprutym brzuchem.

David cofnął się do balustrady na klatce schodowej. Zaczął dygotać. Nie musiał już przeszukiwać mieszkania. Na pewno znaleziono w nim to, co było warte uwagi. Nie zamykając drzwi, zbiegł ze schodów i wrócił do bmw.

Gordon Roth pochylił się, podwinął nogawkę spodni i włożył swój myśliwski nóż z powrotem do skórzanej pochwy przy łydce. Odchylił lekko zasłonę w dużym pokoju i jeszcze raz sprawdził parking. Nikogo jednak nie zauważył. Za późno.

Czatował za drzwiami sypialni i szykował się do zabicia tego, który wszedł do mieszkania. Teraz zdał sobie sprawę, że niedoszła ofiara uciekła na widok bałaganu, nie zamykając drzwi.

28.

Proszę zebranych o ciszę - warknął Webb, spoglądając przez stół na członków sprzyśnięcia. - Miło panią widzieć, pani Gilman - powiedział sarkastycznym tonem.

- Przepraszam za ostatnią nieobecność - odpowiedziała pokornie. - Miałam dużo pracy w Sagamore.

- Żeby to mi było...

- Uważam, że należą się gratulacje - odezwał się Finnerty.

Pozostali spojrzeli w jego stronę, zaskoczeni, że przerwał senatorowi.

- Mam nadzieję, że widzieli lub słyszeli już państwo o wczorajszej konferencji prasowej naszego przyjaciela, pana Walkera - kontynuował Finnerty. - Uważam, że mamy ogromny dług wdzięczności wobec senatora Webba, który przezornie wciągnął do gry LFA. Udało nam się wczoraj zniszczyć karierę polityczną naszego przeciwnika, a podziękowania należą się senatorowi.

Pozostali uczestnicy spotkania zgodnie pokiwali głowami.

- Dziękuję. - Webb przyjął pochwałę i szybko zmienił temat. - Ale mamy ważne sprawy do omówienia, więc nie zwlekajmy dłużej. - Skinieniem głowy podziękował Finnerty'emu. - Muszę państwa zawiadomić, że w ciągu ostatniej doby dotarło do nas kilka złych wiadomości.

W pokoju zapadła absolutna cisza, a na twarzach zebranych odmalował się niepokój.

- Podczas ostatniego zebrania zapowiedziałem, że zajmiemy się sprawą przecieku informacji - przypomniał Webb śmiertelnie spokojnym głosem. - Gordon Roth pozbył się młodej kobiety o nazwisku Sara Adams. Była urzędniczką skarbową w urzędzie w Baltimore. Opierając się na mocnych poszlakach, Gordon uznał, że to ona wykradła teczkę z dokumentami z domu Neila Robinsona nad rzeką Severn. Jak się jednak okazało, panna Adams nie miała z tym nic wspólnego. - Nie martwiło go, że zginęła niewłaściwa kobieta. Tragedia polegała na tym, że poszukiwana przez nich osoba wciąż pozostawała nieuchwytna i potencjalnie mogła ich zniszczyć. O Boże! - Cowen ukrył twarz w dłoniach.

- Takie rzeczy się zdarzają, admirale. - Webba wyraźnie zirytowało poruszenie Cowena. - Musimy się z tym pogodzić i działać dalej. Takie są wymogi wojny, jak pan doskonale wie.

Usta Cowena tworzyły prostą, zaciętą linię.

- Wygląda na to, że osoba, która nas interesuje - kontynuował Webb - nazywa się Jesse Hayes.

Art Mohler natychmiast odwrócił się w stronę Elizabeth, lecz ona zignorowała jego spojrzenie.

Webb zauważył ruch Mohlera, lecz nic nie powiedział.

- Panna Hayes jest również urzędniczką skarbową w Baltimore. Poza tym przyjaźniła się z Sarą Adams, co może wytłumaczyć fatalną pomyłkę Gordona Rotha.

- Tym razem jest pan pewien? - wycedził Cowen. - Jest pan absolutnie pewien, że ta Hayes jest właściwą osobą? Chryste, ją też trzeba będzie zabić? Kiedy to wszystko się skończy?

- Tym razem mam całkowitą pewność - warknął Webb. - Admirale, nie życzę sobie, żeby kwestionował pan moje polecenia. Nie odrzuca pan korzyści płynących z członkostwa w naszym kręgu. Tak jak w przypadku innych przedsięwzięć, jeśli korzysta się z łupów, trzeba pogodzić się ze stratami.

- Może nie powinniśmy się tak spieszyć, senatorze - odparł z naciskiem Cowen. - Może nie powinniśmy tak szybko pociągnąć za spust. Tego właśnie uczymy się w wojsku. Co nagle, to po diable.

- Może zechce nam pan opowiedzieć, jak wprowadzał pan w życie tę maksymę w zeszlą sobotę niedaleko Fort Myer o trzeciej nad ranem.

Twarz Cowena natychmiast znieruchomiała. Wybrał punkt na przeciwległej ścianie i wbił w niego wzrok. Jakim cudem Webb dowiedział się o młodym chłopcu, którego spotkał w lasku niedaleko miejscowego pomnika.

- Tak myślałem - warknął Webb.

Zebrani poruszyli się nerwowo na swych krzesłach. Nigdy w tym pokoju nie doszło jeszcze do takiej wymiany słów. Nigdy też nie widzieli Webba tak bardzo zdenerwowanego.

- W jaki sposób dowiedział się pan, że winowajczynią jest Jesse Hayes? - zapytał Finnerty. - Skąd wiadomo, że to ona, a nie Sara Adams?

- Zeszłej nocy doszło do włamania w siedzibie LFA. Zginęły dwie teczki. - Webb uderzył otwartą dłonią w stół. - Jedna z nich zawierała kopię czeku dla LFA z rachunku Doub Steel. Jednego z czeków, które sprokurował Art, wykorzystując podpis Mitchella.

- Co? - Art Mohler wychylił się zza stołu. - To chyba żarty. Ktoś może tą drogą dotrzeć do Sagamore. Prosto do mnie.

- Właśnie. - Webb kipiał z wściekłości. - Nie mam pojęcia, po co Pitts zrobił kopie i trzymał je w takim miejscu. Drugim skradzionym dokumentem byłateczka z danymi osobowymi Gordona Smitha.

- Gordona Smitha? - zdziwił się Art Mohler. - Czyżby chodziło o Gordona Rotha?

- Co za przenikliwość, prawdziwy geniusz. - Webb podniósł ręce do góry i zamknął oczy. - Przepraszam, Art, nie chciałem na ciebie naskoczyć. Po prostu cholernie irytuje mnie brak kompetencji. Myślałem, że Pitts ma choć trochę oleju w głowie. Nie przypuszczałem, że nie zadba o ukrycie tak ważnych dokumentów.

- Nic nie rozumiem - wtrącił się Cowen.
- Wykorzystywaliśmy LFA do opłacania niektórych działań Rotha - wytłumaczył Finnerty, który pomagał Webbowi w załatwianiu spraw związanych z LFA. - Wydawało się, że lepiej będzie zrobić to stamtąd, bez wspomniania o Sagamore czy GEA.
- A dlaczego nie z Doub Steel? - zainteresował się Cowen.
- Wykorzystaliśmy już tę firmę do opłacania LFA i zrobienia Davida Mitchella - wytłumaczył Finnerty. - Woleliśmy nie angażować jej w zbyt wiele spraw.
- A co Jesse Hayes ma wspólnego z włamaniem do LFA? - chciał wiedzieć Mohler.

- Właśnie ona zeszłej nocy dostała się do siedziby LFA i zabrała dokumenty - odpowiedział Webb. - Mamy świadków. Jeden z ochroniarzy rozpoznał ją na zdjęciu. Jesse Hayes musiała też odwiedzić dom Neila Robinsona. Wszystko się zgadza.

- Może współpracowała z tą Adams - zasugerował Mohler.

Webb posłał Finnerty'emu szybkie spojrzenie.

Teraz Finnerty przystąpił do wyjaśnień:

- Gordon Roth jest specjalistą od, powiedzmy, wyciągania z ludzi informacji.

- Chcesz powiedzieć, że jest specjalistą od torturowania ludzi - poprawiła go Elizabeth z oburzeniem.

- Dość tego, Elizabeth - skarcił ją Webb.

- Sara Adams nie miała z tym nic wspólnego - potwierdził Finnerty. Nic nie wiedziała. W przeciwnym razie Roth coś by z niej wydusił. Proszę mi wierzyć.

Elizabeth odwróciła twarz.

- Musimy odnaleźć Jesse Hayes - powiedział Mohler. - I to szybko.

- No właśnie. - Webb spojrzął na Finnerty'ego. - Gordon Roth już nad tym pracuje. Niestety, trudno ją odszukać. Od rana nie było jej w mieszkaniu i nie zgłosiła się dziś do pracy. Najwidoczniej wzięła sobie wolne.

- Dopadniemy ją dziś wieczorem - zapewnił Finnerty pozostałych. - Gdy wróci do domu.

- Jeśli wróci - wtrącił Mohler i zwrócił się do Elizabeth: - Możesz nam pomóc? Od jakiegoś czasu bardzo interesujesz się tą kobietą.

Webb łypnął okiem na Elizabeth.

Elizabeth widziała, jak ciekawość Webba natychmiast zamienia się w podejrzenia. Przelknęła ślinę i posłała senatorowi pełne szacunku skinięcie głową.

- Carter, przypadkowo staram się o zatrudnienie Jesse Hayes w Sagamore.

Webb podniósł brwi.

- Mogę zostawić jej wiadomość. Ma przybyć do Sagamore na rozmowy, więc mój telefon nie powinien wzbudzić w niej podejrzeń. Jest bardzo odpowiedzialna. Jestem pewna, że nawet jeśli zrobiła sobie wolny dzień, będzie dowiadywała się, czy są dla niej wiadomości. Postaram się, żeby do mnie zadzwoniła i umówię się z nią na spotkanie.

Webb przez trzydzieści sekund wpatrywał się w Elizabeth, nic nie mówiąc.

Wreszcie kiwnął głową.

- Zadzwoń do niej.

- Natychmiast po zakończeniu spotkania - obiecała.

Webb jeszcze przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku, po czym przeszedł do następnego tematu.

- Nie ma z nami Elbridge'a, ponieważ prowadzi kampanię. Jego batalia z Malcolmem Walkerem toczy się lepiej, niż mogliśmy przypuszczać. Odniesiemy wspaniałe zwycięstwo. Ceny akcji GEA już rosną i gdy rozpocznie się produkcja A-100, przyniosą nam fortunę. Wszystko idzie zgodnie z planem, a nawet jeszcze lepiej. - Przerwał na chwilę. - Musimy tylko odnaleźć Jesse Hayes. - Zazgrzytał zębami. - To wszystko na dzisiaj. Obrady zakończone. - Spojrzał przez stół na Mohlera. - Mogę prosić cię na słówko, Art?

Zbliżając się do drzwi, Elizabeth zauważyła, że Mohler usiadł obok Webba.

Zaczęli szeptać tak cicho, że nic nie słyszała. Zatrzymała się przy drzwiach, po czym odwróciła się i ruszyła w ich stronę. Zauważywszy, że zbliża się Elizabeth, Webb dotknął ramienia Mohlera. Przerwali rozmowę.

- Tak? - Webb podniósł wzrok.

- Mam pomysł, jak odnaleźć Jesse Hayes.

29.

Halo.

- Helga?
- Tak.
- Mówi Jesse.

- Cześć, złotko. - Głos Helgi z mocnym cudzoziemskim akcentem przebijał się przez trzaski telefonu w centrum handlowym. - W czym mogę ci pomóc?

- Chciałabym odebrać wiadomości, zanim wrócę do domu wieczorem. - Jesse przycisnęła słuchawkę do ucha. W centrum handlowym kłębiło się od hałaśliwych nastolatków kupujących dzinsy i płyty kompaktowe po drodze ze szkoły do domu.

- Masz tylko jedną nową wiadomość od jakiejś Elizabeth Gilman. Coś na temat rozmów kwalifikacyjnych i oferty pracy. Chce, żebyś natychmiast oddzwoniła. Twierdzi, że to pilne i-masz zadzwonić bez względu na porę. Sprawiała wrażenie naprawdę poruszonej. Dała mi trzy numery. Do pracy, do domu i do samochodu.

Czemu Elizabeth miałaby być poruszona? Co mogło być aż tak pilne? David ostrzegł ją, że dla Elizabeth Sagamore zawsze zajmuje pierwsze miejsce. Ale czy telefon od Elizabeth może mieć związek z teczką Neila? Skąd miałaby wiedzieć, że Jesse ją ma? Chyba że powiedział jej David. Przeszedł ją dreszcz. Postanowiła mu zaufać. Teraz znów nie miała pewności, czy podjęła słuszną decyzję.

Wtem przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl. Między LFA i Sagamore, za pośrednictwem Doub Steel, istniał jakiś związek. Kierownictwo Sagamore pewnie już wie, że włamano się do LFA i prawdopodobnie doszli już do tego, że ona jest winowajczynią. Pracownicy ochrony w LFA mogliby z łatwością ją rozpoznać. Świecili jej latarką prosto w twarz. Być może Elizabeth chce ją zwabić, żeby odzyskać dowody zebrane przez Jesse w LFA. David nie miałby z tym nic wspólnego: pod warunkiem, że mówił prawdę o sfałszowaniu jego podpisu na czeku z Doub Steel.

- Jesse. - Helga zaczęła tracić cierpliwość. - Chcesz te numery do Elizabeth Gilman?

- Przepraszam, Helgo. - Jesse nagle zdała sobie sprawę, że nie odpowiedziała za pierwszym razem. - Już je mam.

- Dobrze. Czy coś jeszcze?
- Sara jest w pracy?

- Nie. Pewnie znów zrobiła sobie dzień wolny. Ale martwimy się o nią. Wczoraj miała odwiedzić swoich rodziców i nie zrobiła tego. Nawet do nich nie zadzwoniła.

Coś tu jednak nie grało. Sara nigdy bez uprzedzenia nie opuściłaby obiadu u rodziców.

- Rozmawiałaś z jej rodzicami?
- Tak, zadzwoniłam z samego rana.
- I od tamtej pory nic?
- Nic.

Jesse ścisnęła mocno słuchawkę.

- OK, dziękuję za pomoc, Helgo.
- Jutro będziesz w pracy?
- Jeszcze nie wiem.
- Coś się stało?
- Nie.

- Nie chcę być wścibska, kochanie, ale masz jakiś dziwny głos. Jakbyś miała jakieś problemy.

- Nic mi nie jest - zaprzeczyła stanowczo Jesse.
- No dobrze. Ale zadzwoń do mnie jutro rano, jeśli nie będziesz szła do pracy.
- Zadzwonię. Mogę cię poprosić o jeszcze jedno?
- Jasne.
- Znajdź w moim kalendarzu numer do rodziców Sary. Możesz mi go podać?
- Poczekaj chwilę. - Kilka sekund później Helga była z powrotem. - Mam, kochanie.

Jesse szybko spisała numer.

- Dziękuję. Porozmawiamy później. - Wprowadziła nowy numer kierunkowy, po czym szybko wystukała numer podany przez Helgę.

- Halo. - Odebrała matka Sary. Jej głos był ledwo słyszalny.

Jesse natychmiast zorientowała się, że coś się stało.

- Pani Adams, mówi Jesse.

- Ach Jesse, ja... - Matka Sary nie mogła dalej wykrztusić ani słowa. Porwał ją gwałtowny szloch.

- Jesse?
- Tak - odpowiedziała Jesse drżącym głosem.
- Tu Bill Adams.

Ojciec Sary też ledwo mówił.

- Znaleźli Sarę. - Odkasznęła. - Miała straszny wypadek. Podobno jechała bardzo szybko i straciła kontrolę. Samochód eksplodował. Jej ciało... całkowicie się spaliło. Musieli skorzystać z danych dentystycznych... - Nie mógł dalej mówić.

- Przykro mi, panie Adams. - Jesse odwróciła twarz i wcisnęła głowę w kąt budki telefonicznej. Po policzkach zaczęły spływać jej łzy. - Tak mi przykro. - Wypadek samochodowy został upozorowany. Jesse zadrzała. Mężczyzna, który ścigał ją koło domu Neila Robinsona, nie zrezygnował z poszukiwań. Przez cały czas prowadził polowanie. Po prostu dopadł niewłaściwą osobę.

- Jesse, muszę już kończyć. Przepraszam, że tak szybko, ale...
- Rozumiem. - Jesse słyszała w tle szloch jego żony.
- Do widzenia.

- Do widzenia. - Jesse powoli odwiesiła słuchawkę. David uważał, że intryga sięgała najwyższych szczebli w Senacie i Pentagonie. A ludzie mający tak wielką władzę mogą posunąć się do wszystkiego, żeby ukryć swe zbrodnie. Jak przyznał, na pewno posunęliby się do zamordowania urzędniczki skarbowej.

Nagle ogarnęło ją poczucie winy. Mieli zabić mnie, pomyślała Jesse, a Sara poniosła konsekwencje. Wytarła łzy wierzchem dłoni, wciąż łkając. Rękawiczka. Jej prześladowca na pewno ją znalazł i dotarł do Sary.

Jesse zaczęła szukać chusteczki w torebce i nagle zamarła. Mężczyzna, który wychodził z jej biura i pytał o Sarę. Zdjęcie Gordona Smitha na karcie z danymi osobowymi w LFA. Te same oczy. Otarła się tak blisko o śmierć.

Teraz Elizabeth próbowała skontaktować się z nią, rzekomo w sprawie pracy. Dlaczego Elizabeth tak dokładnie opisała, z czym dzwoni? Zwłaszcza, że zostawiła wiadomość w obecnym miejscu pracy Jesse. Nikt tak nie postępował. Jesse oparła się o ścianę budki. Być może dowiedzieli się już, że popełnili błąd. Że zlikwidowali niewłaściwą osobę. Nie chciała przyznać Davidowi racji, ale faktycznie zainteresowanie Elizabeth jej osobą wydawało się zbyt dużym zbiegiem okoliczności.

Jesse wyjęła kolejną monetę, wrzuciła ją do automatu i zaczęła wybierać numer. Nagle przerwała. Straciła rozum, czy co? Przecież Mitchell sam to powiedział. Lepiej grać dalej i zarabiać dwa miliony rocznie. Ale przecież znalazł dla niej pokój w hotelu. Wtem przyszła jej do głowy pewna myśl. Być może bez jej wiedzy wykorzystywał ją jako zakładniczkę. Ten czek dla LFA mógł być dowodem jego malwersacji. Pieniądze te sam zgarnął. Być może próbuje ratować własną skórę, trzymając ją z daleka od nich.

Moneta wpadła do automatu, gdy Jesse pociągnęła za widełki telefonu przed zakończeniem wybierania numeru. Znów wrzuciła monetę i wybrała inny numer.

Usłyszała sygnał.

- Odpowiedz! Proszę! - Była przerażona.

- Halo.

- Todd!

- Jess?

- Tak. - Próbował wymusić na niej pocałunek wtedy na parkingu, co wytrąciło ją z równowagi. Chyba po prostu na chwilę się zapomniał, oszołomiony ucieczką z LFA. Todd wciąż był jedynym człowiekiem, któremu mogła naprawdę zaufać, a rozpaczliwie potrzebowała pomocy.

- Gdzie jesteś?

- W centrum handlowym Towson. Todd, boję się.

- Co się stało?

- Grozi mi chyba niebezpieczeństwo. Muszę się z tobą zobaczyć.

- Kiedy?

- Jak najszybciej.

- Jess, przepraszam za moje zachowanie na parkingu - powiedział zawstydzonym głosem. - Postąpiłem karygodnie.

- Nic nie szkodzi.

- Dzięki. Słuchaj, zaraz tam... - Todd dojrzał przez okno eleganckiego czarnego cadillaca, który zbliżał się szybko żwirowym podjazdem pomiędzy drzewami klonu. - Spotkajmy się w barze TGI Friday w zachodniej części centrum handlowego. Ale daj mi parę godzin.

- Parę godzin? Nie możesz przyjechać wcześniej?

- Spróbuję. Po prostu czekaj na mnie w barze.

- Dobrze.

- No to do zobaczenia. - Todd rzucił słuchawkę, podbiegł do biurka, wziął rewolwer i schował go do futerału pod pachą. Przyniósł się z powrotem do okna.

Przyjechał Harry. Tego samochodu nie mógł pomylić. Co mu strzeliło do łba, żeby zadawać się z takimi ludźmi? Na początku wszystko wyglądało bardzo niewinnie. Mały karciany dług, na spłacenie którego, jak twierdził Harry, miał dużo czasu. Teraz był im winien trzydzieści tysięcy dolarów i jeśli szybko nie zdobędzie tej sumy, mają odwiedzić w niezbyt miłych zamiarach jego siostrę i jej dziecko.

Harry zatrzymał cadillaca za samochodem Todda, skutecznie blokując mu drogę odwrotu - zupełnie jak ostatnim razem. Wyłączył silnik, wysiadł z limuzyny i przeciągnął się, jak gdyby przybył tu z przyjacielską wizytą. Z drugiej strony limuzyny wysiadł jego potężny kompan. Gdy Todd pojawił się w drzwiach domu, śmiali się głośno na widok zniszczonych zderzaków jego samochodu.

- Cześć, Todd - krzyknął Harry przez podwórko. - Piękny dzień, nieprawdaż?

- Aha. - Todd ostrożnie zszedł po schodkach prowadzących z niskiego podestu na podwórze.

- Przyjechałem po pieniądze, Todd. - Harry nie ukrywał celu swej wizyty.

- Myślałem, że mam jeszcze trochę czasu.

Harry pogłaskał się po szyi.

- Warunki płatności uległy zmianie.

Potężnie zbudowany kompan Harry'ego zaśmiał się w kułak.

- Czemu mi to robisz, Harry? - Todd zatrzymał się w odległości pięciu metrów od nich. Czuł broń, która spoczywała w pochwie przy klatce piersiowej. Mógłby jej użyć w samoobronie, lecz nie przeciw ludziom z mafii. Przy odrobinie szczęścia udałoby mu się zabić obydwu bandziorów, ale musiałyby do końca życia się ukrywać. Mafia nigdy nie rezygnuje z poszukiwań tych, którzy zabili ich towarzyszy.

- Pamiętam o pieniądzach.

Harry zaczął powoli iść w stronę Todda.

- Wiesz, że cię lubię, Todd - wyznał nieszczerze. - Chodzi o moich szefów. Nie znają cię. Nie wiedzą, jaki z ciebie równy gość. Próbowałem ich przekonać, ale nie chcą mnie słuchać. - Harry zatrzymał się półtora metra przed Toddem. - Prawdę mówię, Anthony? - rzucił Harry przez ramię do swego goryla.

- Tak, szefie. - Anthony uśmiechnął się, wychodząc zza czarnej limuzyny i zaczął powoli zbliżać się do nich. - Próbował pan, ale nie słuchali.

- No widzisz? - Harry odwrócił się do Todda. - Wstawiłem się za tobą, ale na próżno. No więc masz te pieniądze czy nie, Todd?

- Niedługo je... zdobędę. - Powinien był uciec tylnymi drzwiami do lasu, gdy zauważył nadjeżdżającą limuzynę.

- Ach tak? Skąd?

Todd zmierzył wzrokiem Anthony'ego, który stanął przy Harrym.

- Moi rodzice odłożyli dla mnie trochę pieniędzy na rachunku powierniczym. To tylko kwestia załatwienia wszystkich formalności, a zdobędę je.

- O Boże. - Harry zrobił kolejną minę, jak gdyby przeszył go ostry ból.

- Co się stało? - Todd nie spuszczał wzroku z prawej ręki Anthony'ego, którą kierował w stronę pasa. Todd mógł wyciągnąć swój rewolwer, gdyby zaszła taka potrzeba. Gdyby nie miał innego wyjścia. Spojrzał w stronę podjazdu, żeby sprawdzić, czy Harry nie zostawił kogoś na czatach, ale nikogo nie widział.

- „Egzekucja”, to takie straszne słowo. Mam nadzieję, że nie trzeba go będzie użyć w stosunku do ciebie.

- Tylko bez takich numerów, Harry. Chcesz mnie zastraszyć?

- Numerów? - Zupełnie jakby Todd włączył nagle niewidoczny przycisk na ciele Harry'ego. Na szyi wystąpiły mu żyły, gdy rzucił się w stronę Todda z wyciągniętymi rękami. I wtedy Harry dostał ostatnią w życiu zapłatę.

Kula przebiła mu czaszkę dokładnie na samym środku wielkiego czoła, tworząc równą dziurę w jasnej skórze, po czym wydostała się z tyłu głowy i odbiła od dachu cadillaca. Harry natychmiast wywrócił oczami, jak gdyby chciał obejrzeć swoją ranę, chwając się przed Toddem jak pijak. Krew zalała mu twarz i padł na ziemię.

Anthony sięgnął po broń, ale palce nie zdążyły dotknąć metalu. Druga kula przeszła powietrze, trafiając w jego szeroką klatkę piersiową. Chwycił rękami koszulę, szarpiąc za materiał i łapiąc powietrze. Rozległ się trzeci strzał; kula przeszła przez dłoń Anthony'ego i przebiła mu płuco. Zwalił się jak kłoda obok swego szefa.

Todd padł na ziemię i przeturlał się za swój samochód, wyciągając w tym czasie z pochwy rewolwer. Leżał za samochodem płasko i nieruchomo, celując rewolwerem w kierunku, z którego, jak uważał, padły trzy strzały. Wtedy zza rogu jego domu spokojnie wyszedł mężczyzna i zaczął zbliżać się do cadillaca z bronią przy boku. Todd wyciągnął rewolwer w jego stronę.

- Odłóż broń - odezwał się nieznajomy, mijając Todda i podchodząc do ciał dwóch członków mafii. Klęknął przy Harrym i sprawdził mu puls. Nie musiał się trudzić. Tę samą czynność i z tym samym rezultatem powtórzył przy Anthonym.

Todd nie przestawał mierzyć w jego stronę.

- Kim, u diabła, jesteś? - zawołał. - Co tu robisz?

- Wyjaśnię później - warknął nieznajomy, chwytając ciało Anthony'ego. - Zamierzasz tam leżeć z rozdziawioną gębą, czy ruszysz tyłek i pomożesz mi wsadzić ich do bagażnika?

Todd powoli wstał z ziemi, trzęsąc się. Nieznajomy mógł go przed chwilą bez trudu zabić, ale nie zrobił tego.

- Kim...
- Mówilem już, wyjaśnię później! - krzyknął mężczyzna. - Najpierw musimy trochę posprzątać.

- Jesse, przepraszam, że musiałaś na mnie tak długo czekać. - Todd podszedł do Jesse, która siedziała przy barze. Było już po jedenastej. Od jej telefonu minęło prawie sześć godzin.

- Wszystko w porządku? - Wstała i mocno go uściśnęła. Czuła się tak dobrze w jego silnych ramionach. Był kimś, na kim mogła całkowicie polegać. Zrozumiała to w ciągu ostatnich kilku godzin, gdy czekała na niego przy barze. Sytuacja Davida była dużo bardziej skomplikowana. Miał inne zobowiązania. W przypadku Todda nie miała żadnych wątpliwości.

- Barman przekazał mi wiadomość, że się spóźnisz.

- Czego się napijesz? - Przybycie Todda wyraźnie rozczarowało barmana.

Todd dostrzegł jego niezadowolenie. Mężczyźni tak szybko ulegali jej urokowi. Zawsze tak było i nagle Todd poczuł kolejne ukłucie zazdrości. Przeżywał to samo, co dziś rano przed hotelem, gdy widział, jak Jesse całuje Davida. Rozejrzał się dyskretnie po restauracji, zastanawiając się, dlaczego wezwała jego, a nie Davida. Myśl ta nie dawała mu spokoju, odkąd do niego zadzwoniła. Gdy wspomnienie ich pocałunku stało się bardziej żywe, zazdrość paliła go jeszcze mocniej.

- Poproszę piwo.

Barman podstawił szklankę pod kurek i zaczął nalewać piwo.

Jesse usiadła z powrotem, wzięła Todda za rękę i przyciągnęła go do sąsiedniego stołka. - Bardzo dziękuję, że przyszedłeś.

- Żaden problem. - Znów rozejrzał się po lokalu i pokręcił głową. - Słuchaj, naprawdę chciałbym przeprosić za to, jak się zachowałem na parkingu. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Postąpiłem niewybaczalnie.

- Nie martw się - powiedziała uspokajającym tonem. - Cała sprawa została zapomniana.

Barman postawił przed Toddem piwo i zostawił ich samych.

- Byłem trochę odurzony. Już dawno nie spędziłyśmy razem tyle czasu i chyba zapomniałem, jak wspaniale jest być z tobą.

- Powiedziałam już, nic nie szkodzi.

Todd uśmiechnął się i pociągnął łyk piwa.

- Dziękuję. - Spojrzał na jej wargi. Mitchell całował je dziś rano. - No więc co się stało? Dziś przez telefon sprawiałaś wrażenie bardzo zdenerwowanej.

Najpierw Neil, teraz Sara, pomyślała Jesse. A to miałam być ja.

- Sara nie żyje. - Na myśl o tym poczuła drapanie w gardle.

- Twoja przyjaciółka z pracy?

- Tak. Jej samochód zjechał z drogi i zapalił się.

- To straszne. Przykro mi.

- Nie sądzę, żeby to był wypadek, Todd.

- Nie rozumiem.

- Myślę, że została zamordowana przez ludzi, których Neil Robinson podejrzewał o manipulowanie kampanią Elbridge'a Colemana. Przez ludzi, którzy zabili Neila. Pewnie wydawało im się, że Sara wykradła teczkę Neila z jego domu nad rzeką. - Jesse ścisnęła jego dłoń. - Naprawdę się boję.

Ledwie czterdzieści pięć minut wcześniej Todd wraz z nieznajomym zepchnęli ze stromej skarpy czarnego cadillaca z zamkniętymi w bagażniku ciałami Harry'ego i jego goryla, których pochłonęły głębokie wody odludnej zatoczki Loch Raven Reservoir. Przez kilka straszliwych minut sedan unosił się na powierzchni, pochylony nieco do przodu pod ciężarem silnika. Wreszcie zniknął pod wodą ze swym martwym ładunkiem. Todd modlił się tylko, żeby nieznajomy go nie śledził.

- Wejdzimy tylko na chwilę - zawołała Jesse przez ramię do Todda, gdy szli po zatopionych w ciemnościach schodach do jej mieszkania. - Muszę tylko zabrać kota. Nie mogę go tak zostawić, bez jedzenia i picia.

Todd nie odpowiadał. Obawiał się, że człowiek, który zabił członków mafii, może się tu gdzieś czaić.

Jesse włożyła klucz do zamka, pchnęła drzwi i zapaliła światło.

- O mój Boże! - Najpierw zauważyła zniszczenia, a później kota, który leżał martwy w kącie. Odwróciła się i ukryła twarz w koszuli Todda. - Zabierz mnie stąd, Todd! Zabierz mnie stąd!

30.

David siedział w długiej limuzynie, która pędziła autostradą międzystanową numer 95 w kierunku Waszyngtonu, spoglądając w mrok za przyciemnionymi szybami samochodu. Nie spał od półtora dnia i powinien być wycieńczony. Lecz cztery kawy i adrenalina nie pozwalały mu zasnąć. Nie wiedział, gdzie dokładnie jadą i nagle zdał sobie sprawę, że nie powinien być tak chętnie przystawać na zaproszenie Mohlera, który zwabił go do limuzyny zaparkowanej przed biurami Sagamore. Teraz było już za późno.

Jesse nie było w hotelowym pokoju przez cały dzień. Dzwonił co godzinę, lecz ani razu nie podniosła słuchawki. Być może, pomimo wysiłków, żeby ją ukryć, i tak ją dopadli i podzielili los Neila Robinsona. Być może jego też czekał wkrótce ten sam los.

Mohler siedział po drugiej stronie limuzyny.

- Dokąd jedziemy, Art? - zapytał go David.

- Mówiłem ci - odparł spokojnie Mohler - że mam spotkanie z szefem małej firmy komputerowej. Podobno przygotowali jakiś rewolucyjny produkt, ale nie mają pieniędzy na produkcję. Może to być niezły kęs inwestycyjny dla Sagamore. Masz doświadczenie w tej dziedzinie. Chcę, żebyś tam ze mną był. Jestem twoim przełożonym. Koniec dyskusji.

- Umówiłeś się na spotkanie o jedenastej trzydzieści w nocy? - zapytał podejrzliwie David.

- Potrzebują szybko pieniędzy. A inne firmy inwestycyjne już pukają do ich drzwi. No cóż. Przecież wiesz, że pracujemy o różnych porach, kiedy jest to konieczne.

- Możesz mi pokazać dane o sytuacji finansowej firmy, żebym mógł się przygotować do spotkania? - David wskazał na neseser Mohlera, który leżał na siedzeniu obok.

- Jeszcze nic nie mam. To prywatna firma, a jej szef bardzo skąpi nam wszelkich informacji na ten temat przed spotkaniem oko w oko. Wiesz jacy oni są. Myślą, że wszyscy chcą im wykraść wynalazek.

Mohler świetnie sobie radził, unikając odpowiedzi. Davida ogarnęły nagle złe przecucia w związku z tą „małą wycieczką”, jak Mohler nazwał ich wyjazd z Baltimore.

Piętnaście minut później, w Laurel, kilka kilometrów na północny wschód od stołecznej obwodnicy, limuzyna zjechała z autostrady.

- Wydawało mi się, że spotkanie ma się odbyć w Waszyngtonie.
- Spokojnie, David. - Lecz głos Mohlera wcale nie brzmiał uspokajająco.

Jak mógł być tak głupi? David uświadomił sobie nagle, że w archiwum mogły być zainstalowane ukryte kamery i jego wczorajsza wizyta została nagrana. Jeśli tak, to wiedzą, że robił kopie dokumentów.

Gdy limuzyna nieco zwolniła, David delikatnie pociągnął za klamkę u drzwi, lecz były zamknięte. Dyskretnie pchnął przycisk do blokowania drzwi, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Kierowca miał kontrolę nad wszystkimi mechanizmami w samochodzie, a ich regulacja z tyłu była niemożliwa. David mógł wyjść samochodu tylko za przyzwoleniem Mohlera.

Kierowca skręcił w pustą drogę. David wyglądał przez okno, ale widać było tylko niejasne zarysy drzew i pól, gdy limuzyna pędziła przez tereny rolnicze pod Waszyngtonem. Było tam zbyt ciemno. Zbyt pusto.

David zauważył w kącie limuzyny mały drewniany barek. Znajdowało się w nim kilka dużych butelek, które można było zbić i wykorzystać jako broń. Zdziałałby niewiele, gdyby użyto przeciw niemu broni palnej, ale przynajmniej coś wymyślił. Trzeba zawsze mieć jakiś plan. Nawet jeśli nie jest zbyt dobry.

Lecz gdy David ponownie wyjrzał przez okno, jego obawy osłabły, bowiem wokół zaczęły pojawiać się światła domów. Minęli pasaż handlowy i podjechali pod hotel Marriott. Gdy limuzyna zatrzymała się przed głównym wejściem do hotelu, puls Davida wrócił do normy.

- Jesteśmy na miejscu. - Blokada drzwi została wyłączona i Mohler sięgnął po neseser. - Chodźmy.

Wyszli z samochodu i minąwszy recepcję dotarli do windy, która szybko przetransportowała ich na piętnaste piętro. Po wyjściu z windy skręcili w prawo i zaczęli iść długim korytarzem. Wreszcie Mohler zatrzymał się przed jednym z pokoiów, zapukał mocno trzy razy i pchnął drzwi. Otworzyły się powoli i Mohler wkroczył do apartamentu.

David został na korytarzu. Czy zaryzykują tutaj jakieś działania? Gdyby chcieli zrobić mu krzywdę, wybraliby bardziej odludne miejsce.

Mohler wychylił się z pokoju.

- No chodź.

Gdy David niepewnie przekraczał próg, jego nozdrza wychwyciły mocną woń dymu z cygara. Począł czekać, aż Mohler zamknie drzwi, po czym ruszył za nim do dużego salonu, w którym siedział senator Webb w towarzystwie Jacka Finnerty'ego.

- Dobry wieczór, Davidzie - przywitał go spokojnie Finnerty. - Usiądź. - Uśmiechnął się uprzejmie, wskazując na sofę po przeciwnej stronie stolika.

David stał obok Mohlera i obserwował Webba, który zaciągał się cygarem. Dwa i pół roku temu spotkał się z tym człowiekiem, żeby go przekupić. Wierzył, że pieniądze

wyludzone z Doub Steel wpłyną na Webba i przyzna on kontrakt na produkcję A-100 firmie GEA w ramach „czarnego budżetu”. I że Sagamore zarobi krocie, gdy akcje GEA pójdą do góry. Mógłby wówczas zatrzymać swą świetnie płatną pracę, a ponadto zrobić doskonały interes na sprzedaży akcji GEA, co do których wynegocjował prawo pierwokupu. Wierzył, że dzięki sprytowi i odwadze doprowadził do transakcji, która rozwiąże wszystkie jego problemy i zapewni mu fortunę, o której nie śmiał nawet marzyć. Lecz David wiedział już, że były to nadzieje i domysły żalostnego nowicjusza. Wszyscy działali w porozumieniu ze sobą i zrećnie wyprowadzili go w pole. Byli mistrzami, a on przypominał zagubione w lesie dziecko.

Mohler poklepał Davida po plecach i uśmiechnął się zycziwie.

- Siadaj, młody człowieku. - Położył swój nesesor na stoliku i zajął miejsce na końcu długiej sofy.

David nie ruszył się z miejsca, spoglądał na trzech mężczyzn, którzy z taką łatwością manipulowali nim przez ostatnie dwa i pół roku.

- Musieliście często śmiać się ze mnie przez te ostatnie kilka lat - powiedział wreszcie.

Webb po raz pierwszy wyjął cygaro z ust. Położył je na popielnicze.

- Nie znajdujemy w tym nic śmiesznego - odparł szorstko. - Co więcej, niczego nie traktujemy równie poważnie. Proszę siadać.

David posłuchał wreszcie i usiadł.

- Więc w jakim celu spotykamy się tutaj?

- Informacyjno-wyjaśniającym - odpowiedział Webb. - Nadeszła pora, żeby wtajemniczyć pana w pewne sprawy.

- Jakie na przykład?

- Transakcja z GEA została ukartowana. Dopilnowaliśmy, żeby wykonał pan brudną robotę, na wypadek, gdyby coś nie wyszło. Żeby nikt nie mógł nas połączyć z żadnym aspektem tej transakcji.

Finnerty skrzyżował ręce na piersiach, a Mohler zdjął okulary. Rozmowa miała widocznie być dialogiem między Webbem i Davidem.

- I żeby mnie zrobić - wybąkał David, jakby sam do siebie. - Pieniądze, które, jak mi się wydawało, miały trafić do pana jako wynagrodzenie za wkład w przyznanie kontraktu na produkcję A-100 firmie GEA, ostatecznie trafiły na moje konto. Teraz już wiem o tym.

Webb uśmiechnął się.

- Tak, to prawda.

- Więc gdybym stwarzał jakiegokolwiek problemy, mieliście na mnie haczyk: zarzut o malwersację. Na wypadek, gdybym chciał się wygadać. Nie byłoby żadnych dowodów, że maczaliście w całej sprawie palce, natomiast istniałby bezspreczny dowód, że wysłałem trzy miliony dolarów z Doub Steel na własny rachunek, ukrywając przelew za pomocą sfigowanych dokumentów księgowych. Zostałbym przyciśnięty do muru, lecz władze nie dostrzegłyby żadnych powiązań między Sagamore, a panem, senatorze Webb, gdyż nie istniały na to dowody. - David pokręcił głową. - I

chcieliście umożliwić mi spłatę zdefraudowanych pieniędzy, przyznając prawo zakupu akcji GEA. Teraz dopiero David przypomniał sobie, że to Finnerty po raz pierwszy wspomniał o zapewnieniu sobie prawa zakupu.

- Doskonale, Davidzie. O tym wszystkim chcieliśmy cię dzisiaj poinformować, ale widzimy, że chyba nie było takiej potrzeby.

- Nigdy nie zgodziłby się pan tak łatwo na łapówkę.

- Oczywiście.

- A pieniądze, które przesłałem sobie zostały wycofane z tych kont, żebym nie mógł unieważnić przelewu. Pieniądze pewnie czekają na mnie na koncie w jednym ze szwajcarskich banków. Ale nigdy nie będę w stanie ich odnaleźć.

- Władze mogłyby być powiadomione o sprawie bardzo szybko.

- Na pewno. - David nigdy nie był bardziej wściekły na siebie. - Boże, powinienem był zorientować się, o co naprawdę chodzi, już wtedy, gdy spotkałem się z panem.

- Nie obwiniaj się. - Webb dobrze się bawił. - Zależało ci na umowie ze mną. Zależało ci na pracy.

- Powinienem być się domyślić, że nie pozwoliliby pan przesyłać sobie pieniędzy w ten sposób. I powinienem być wiedzieć, że trzy miliony dolarów, na które w końcu się pan zgodził, nie zadowolą pana. - David podniósł wzrok na senatora. - Pewnie ma pan udział w zyskach Sagamore. Dużą, może nawet największą część.

- Oczywiście. - Webb znów wziął do ręki cygaro. - I to zasłużenie. Piętnaście lat temu zaproponowałem współpracę Elizabeth Gilman, gdy jej mała firma inwestycyjna nie odnosiła takich sukcesów jak dzisiaj. A właściwie stała na krawędzi bankructwa. Uratowałem ją. Stworzyłem cały ten mechanizm, ryzykując, że stracę wszystko. Powinienem mieć największy udział.

David zauważył, że Finnerty i Mohler kiwają głowami jak marionetki.

- Powiedzmy więc, że transakcja z GEA przyniesie Sagamore trzy miliardy zysku. Jeśli Sagamore zatrzyma dwa procent dla siebie, gdyż taką ma umowę z inwestorami - David zamilkł na chwilę i spojrzał na Mohlera, który nie przestawał kiwać głową - to wychodzi sześćdziesiąt milionów dolarów. Senatorze, pan pewnie zabiera z tego jakieś dwadzieścia milionów. - David roześmiał się cynicznie. - Dwadzieścia milionów na pewno bije na głowę dietę senatorską.

- A i owszem - odpowiedział spokojnie Webb.

- I prawdopodobnie wszystko jest całkowicie utajnione. Podatki płaci się zapewne od zysków poprzez jakiś rodzaj umowy partycypacyjnej, po czym pieniądze są dystrybuowane jakimś zawiłym systemem przez Europę, Azję Południową i Amerykę Południową. Systemem stworzonym przez specjalistów. Systemem, którego nikt nie rozgryzie.

- Zdaje się, że pan wszystko rozgryzł.

- Więc po co mnie tutaj wezwano? - zapytał David. - Całe to zamieszanie z limuzyną po to, żeby mi powiedzieć, że przelałem sobie pieniądze z Doub Steel? O tym i tak już wiedziałem.

- Jest kilka powodów, Davidzie.

Przez cały czas zachowywali się bardzo życzliwie. Zwracali się do niego po imieniu.

- Jakie powody?

- Art. - Webb skinął na Mohlera.

- Tak. - Mohler odchrząknął. - Davidzie, Sagamore Investment Management Group od lat notuje doskonałe wyniki inwestycyjne. Udaje nam się to, jak pewnie się domyśliłeś, dzięki naszym stosunkom z senatorem Webbem. Wykorzystujemy dostarczane nam przez niego informacje a on, jak sam precyzyjnie określiłeś, ma swój udział w naszych zyskach. Wszyscy dyrektorzy inwestycyjni, którzy doczekali piątej rocznicy w Sagamore, znają sytuację. Wyjaśniliśmy im ją równie otwarcie, jak tobie dzisiaj. Ponieważ tak jak w twoim przypadku, mieliśmy ich w garści.

Mohler przerwał, żeby ocenić reakcję Davida, po czym mówił dalej:

- Twoim sprawdzianem była transakcja z GEA, największa w historii Sagamore, co trzeba przyznać. Dyrektorzy inwestycyjni, którzy zostali przed tobą przyjęci do tego ekskluzywnego klubu, mieli nieczyste sumienia: tego samego rodzaju malwersacje, które i ciebie mogą zaprowadzić do więzienia - skomentował ostro Mohler, robiąc chwilową przerwę, żeby straszna prawda dotarła do Davida. - Widzisz, nam nie chodzi o wasze wyniki w ciągu pierwszych pięciu lat w Sagamore. Nie interesuje nas, że plasujesz się w drugiej połowie comiesięcznego rankingu. Wiem, że wszyscy ci, których nie pouczone, tak właśnie myślą. W rzeczywistości interesowało nas, czy będziesz w stanie wziąć na siebie odpowiedzialność za nielegalne działania, w twoim przypadku z GEA, i zatrzeć po nich ślady. Czy zechcesz przyjąć propozycję Jacka Finnerty'ego i skontaktować się z senatorem Webbem, a następnie przeprowadzić inwestycję i przesłać pieniądze senatorowi z firmy podległej Sagamore. Czy zechcesz chronić kierownictwo Sagamore, senatora Webba, Jacka Finnerty'ego, pozostałych dyrektorów inwestycyjnych i resztę członków naszego sprzysiężenia.

- I tym samym nieodwracalnie zejść na drogę przestępstwa - wymamrotał David.

- Na naszą drogę - poprawił go Webb. Odwrócił się do Finnerty'ego. - David już się o tym nasłuchał, Jack. Przekaż mu teraz dobre wiadomości.

Finnerty uśmiechnął się.

- Davidzie, w Sagamore nigdy nie mieliśmy problemów z pracownikami, którzy przeszli „inicjację”. W ciągu piętnastu lat nikt nas nie zdradził. Są po temu dwa powody. Po pierwsze, jak już powiedział Art, mamy was w garści. Możemy zarzucić wam defraudację. Ale rozumiemy też, że potrzebujecie odpowiedniej gratyfikacji. - Finnerty uśmiechał się coraz szerzej. - Jeśli zgodzisz się zachować tajemnicę, a myślę, że tak, bo nie masz innego sensownego wyjścia, otrzymasz jednorazową wypłatę w wysokości dwóch milionów dolarów gotówką.

David spojrział na Finnerty'ego z niedowierzaniem.

- Dwóch milionów? - powtórzył ledwie dosłyszalnym głosem.

- Zgadza się. I co roku możesz liczyć na co najmniej drugie tyle w formie pensji i premii. Być może na dużo więcej. Czy wyraziłem się precyzyjnie, Art? Finnerty pochylił się, żeby spojrzeć na Mohlera, którego zasłaniał mu senator.

- Tak.

Dwa miliony dolarów. Na twarzy Davida pojawił się nerwowy uśmiech, którego nie mógł powstrzymać. Naprawdę będzie bogaty.

- Powinieneś czuć się zaszczycony, Davidzie - stwierdził Webb. - Transakcja z GEA była największą, jaką kiedykolwiek przeprowadziliśmy. I wybraliśmy ciebie, żebyś działał w naszym imieniu. Osiągnąłeś doskonale wyniki podczas testów psychologicznych, którym uprzednio cię poddaliśmy. Lepsze niż ktokolwiek inny w Sagamore. Gwarantuję ci, że czeka cię długa i owocna kariera w tej firmie. Wiążemy z tobą wielkie nadzieje. Widzę cię nawet w przyszłości jako członka zarządu firmy.

- Nieże się maskowaliście. - David zwrócił się do Mohlera. - Byłem przekonany, że naprawdę chcesz, abym sprzedał akcje GEA tego dnia, gdy naskoczyłeś na mnie w moim gabinecie, wrzeszcząc, że to najgorsza inwestycja w historii Sagamore.

- Gdybyś chciał je sprzedać, interweniowałbym. - Wszyscy roześmieli się głośno.

- Byłem też pewien, że mnie nie lubisz.

- I miałeś rację - przyznał Mohler, przestając się śmiać. - Ale ci panowie przekonali mnie do ciebie. Teraz jestem im za to wdzięczny.

- Czemu nie ma tutaj z nami Elizabeth? W końcu jest założycielką firmy.

- Zwykle jest obecna - odparł szybko Finnerty - ale...

- Ale ma do załatwienia pewną sprawę - dokończył za niego Webb, lecz nie wdawał się w dalsze wyjaśnienia.

- Do piątej rocznicy w Sagamore brakuje mi jeszcze roku - zauważył David. - Dlaczego już teraz przeszedłem inicjację?

- Nie zawsze czekamy całe pięć lat. Czasem sądzimy, że bardziej opłaca nam się wtajemniczenie kogoś przed upływem tego czasu. Ty jesteś takim przypadkiem. - Webb po raz ostatni zaciągnął się cygarem, które następnie zgasił w popielniczce. Z cygara uniosła się gęsta smuga dymu. - W piątą rocznicę pracy w Sagamore Art wezwie cię na spotkanie z zarządem i dla zachowania pozorów zostaniesz oficjalnie nobilitowany. Ale będziesz już wiedział, o co chodzi.

- Rozumiem. - David strzepnął nitkę ze spodni. Jednorazowa wypłata w wysokości dwóch milionów dolarów. Co rok ogromna pensja i premie. Takie pieniądze zapewniłyby mu do końca życia mieszkanie w rezydencjach ekskluzywnych dzielnic, prywatne szkoły dla dzieci i najlepsze wakacje, jakie tylko można kupić za pieniądze. Alternatywą było więzienie. - W jakiej formie mam przyjąć waszą szczodłą propozycję?

- Wystarczy, że spojrzysz nam w oczy i powiesz, że się zgadzasz - odpowiedział zaraz Webb.

Na chwilę w pokoju zapadła absolutna cisza. Wreszcie David uśmiechnął się wdzięcznie.

- Oczywiście, że się zgadzam.

- Pamiętaj, nie będziemy spuszczać z ciebie oka - ostrzegł Webb. - Nigdy nie musieliśmy uciekać się do ostateczności, ale bez wahania zlikwidujemy kogoś, kto będzie sprawiał kłopoty, kto będzie chciał zniszczyć to, co stworzyliśmy w Sagamore.

- Czy to właśnie spotkało tych dwóch nieszczęśników, którzy rzekomo popełnili samobójstwo? - zapytał David. - Tego, który skoczył z mostu i tego, który zatrzał się tlenkiem węgla w swoim garażu? Zostali... zlikwidowani?

- Nie. Rzeczywiście popełnili samobójstwo. Mówiłem już, że nigdy nie musieliśmy posuwać się do ostateczności. Być może do samobójstwa skłoniła ich tajemnica, którą ukrywali. Może po prostu nie byli zbyt silni psychicznie. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Żałuję tylko, że te dwa wydarzenia niepotrzebnie ściągnęły uwagę opinii publicznej na Sagamore. Dlatego wprowadziliśmy testy psychologiczne, żeby zapobiec podobnym problemom. - Webb bębnił palcami o oparcie fotela. - Z przyjemnością mogę cię zapewnić, Davidzie, że tobie nie grozi śmierć z własnej ręki.

- Cieszę się - szepnął pod nosem.

- Davidzie, najważniejsze dla ciebie jest to, że możesz odtąd liczyć na bardzo dostatnie życie. - Webb powoli założył nogę na nogę. - Jest jeszcze coś.

- Co takiego?

- Dowiedzieliśmy się, że znasz kobietę, która nazywa się Jesse Hayes.

David nie chciał dać poznać po sobie, że wie, o kogo chodzi.

- Wiadomość tę przekazała nam Elizabeth Gilman.

David wciąż milczał.

- Czy mówiła prawdę? Znasz Jesse Hayes?

- Owszem - odparł cicho David. Wypieranie się tej znajomości byłoby głupie.

Webb wiedział o wszystkim, gdyż inaczej nie poruszałby tego tematu.

- Davidzie, musimy ją odszukać. I to szybko.

- Dlaczego?

- Ma coś, co chcemy odzyskać.

- Mówicie o kopii anulowanego czeku z LFA? - David wiedział, że ich zaskoczył.

Wszyscy trzej podnieśli wzrok.

- Skąd, u diabła, o tym wiesz? - zapytał Webb.

- Powiedziała mi. Zdołałem ją przekonać, żeby mi zaufała. - Wyraźnie byli pod wrażeniem jego słów. - Elizabeth Gilman prowadziła gościnne wykłady w Maryland Business School i poznała tam Jesse. Uznała, że Jesse byłaby świetną kandydatką do pracy w Sagamore na stanowisku dyrektora inwestycyjnego. Wtedy ją poznałem. Odkryłem, że z jakichś powodów Jesse interesuje się kampanią wyborczą Elbridge'a Colemana. Myślałem, że chodziło o złamanie przepisów podatkowych, czy coś takiego. W każdym razie wpadła na trop LFA i tam znalazła czek wystawiony przez Doub Steel. - David zasępił się. - Powiedziała mi, że na czeku widnieje mój podpis, którego nigdy nie składałem. - Obserwował uważnie swych rozmówców. - Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś z Doub Steel miałby wysyłać czeki do LFA albo wykorzystywać do tego celu moje nazwisko. Zamierzałem o tym powiedzieć, ale nie wiedziałem, do kogo się zwrócić. Więc siedziałem cicho.

- Postąpiłeś słusznie. - Webb pokiwał głową z aprobatą. - Możesz się z nią skontaktować?

- Jej numer jest pewnie w książce telefonicznej.

- Od rana nie wróciła do domu. Jak powiedziałem, musimy dotrzeć do niej jak najszybciej.

- Żeby odzyskać to, co zabrała? - zapytał David.

- Tak
- A następnie pozbyć się jej?

Webb pomyślał przez chwilę, czy aby David nie jest tak dobrym graczem, jak oni.

- To może się okazać konieczne.
- Nie robiłbym tego - ostrzegł David.
- Dlaczego? - zapytał podejrzliwie Webb.

- Nie rozumiem, dlaczego Elizabeth tak bardzo zależało na tym, żebym zbliżył się do Jesse Hayes, ale jak już powiedziałem, wykonałem jej polecenie. W końcu była moją najwyższą przełożoną, jak mi się wówczas zdawało. - David zauważył, że Webb i Finnerty wymienili ukradkiem spojrzenia. - Więc przekonałem Jesse, że zależy mi na niej i chyba dość dobrze się spisałem, bo wyznała mi, że jest zamieszana w coś, czego bardzo się boi. Nawet gdy znalazła podpisany przeze mnie czek Doub Steel, wystawiony dla LFA, uwierzyła, że to nie mój podpis, że padłem ofiarą jakiegoś spisku i że jestem równie zaskoczony. Faktycznie, byłem. Nie chciałem wówczas tracić z nią kontaktu z egoistycznych pobudek: ze względu na kopię czeku. Musiałem się dowiedzieć, co to wszystko znaczy i namówiłem ją do współpracy. Na szczęście kupiła wszystko, co jej powiedziałem i zgodziła się.

Słuchali uważnie każdego jego słowa.

- Jesse wyznała mi, że jej zdaniem ktoś manipuluje kampanią wyborczą Elbridge'a Colemana - kontynuował David, spoglądając na Webba. - Nie powiedziała mi dokładnie, co takiego odkryła, ale zebrała podobno sporo informacji, które w sumie mogłyby kogoś skompromitować. Powiedziała mi również, że ukryła te dokumenty i jeśli coś jej się stanie, ktoś inny przekaze je władzom federalnym. Nie możecie więc jej tak po prostu zlikwidować. To nic nie da. Wciąż będzie mogła wam zagrozić.

- Czemu jeszcze do nikogo z tym nie poszła? - zapytał Webb.

- Powiedziałem jej, że nigdy nie wiadomo, komu można zaufać i że jeśli jej dowody nie wystarczą do rozpoczęcia dochodzenia, ona sama zapłaci własną skórą. Wystraszyłem ją, ale musiałem to zrobić. Choć nie podpisałem tego czeku, nie mogłem dopuścić, żeby okazała go swym przełożonym. Czek Doub Steel z moim podpisem bardzo mógłby mi zaszkodzić. Przeczesałiby księgi Doub Steel i ktoś w końcu odkryłby, że ja przesłałem również pozostałe pieniądze. Poszedłbym siedzieć. Przepraszam, ale nie tak wyobrażam sobie przyszłość Davida Mitchella.

- Jeśli to, co mówisz jest prawdą, postąpiłeś bardzo mądrze, Davidzie - pochwalili go Webb. - Dziękuję też za radę, żeby ostrożnie się z nią obchodzić. Ale pozostaje pytanie: czy możesz się z nią skontaktować? Czy wiesz, gdzie teraz przebywa?

- Najpierw ja chciałbym zadać pytanie.

- Proszę - warknął Webb, tracąc powoli cierpliwość.

- Czy Jesse Hayes poprawnie określiła kampanię Colemana? Czy rzeczywiście ktoś próbuje ją manipulować?

David był inteligentny, może nawet za bardzo. Doskonale wiedział, co się dzieje, ale żądał potwierdzenia. Chciał wszystko czarno na białym.

- Tak, Hayes miała rację. - Webb pochylił się w fotelu. - Davidzie, związki Sagamore z „czarnym budżetem” są zbyt cenne, żeby pozwolić na ich zerwanie po moim odejściu z Senatu. Jestem realistą i zdaję sobie sprawę, że nie będę żył wiecznie, a musimy zadbać o to, by stworzony przez nas mechanizm funkcjonował dalej. Wszyscy skorzystamy z ciężkiej pracy, jaką wkładamy w kampanię Colemana. No i co - warknął przez zaciśnięte zęby. - Możesz dla nas odszukać Jesse Hayes?

David przeglądał teczki w gabinecie Rebeci Saunders. Hager, Halston, Hayes. Szybkim ruchem wyciągnął grubą teczkę z segregatora, położył ją na stole i otworzył. Przerzucając kolejne strony, zachowywał kamienną twarz. Zgwałcona przez ojczyma w wieku siedemnastu lat. Gniew, poczucie winy, strach. Aborcja. Ale gdzie? W szpitalu rejonowym czy gdzie indziej? W szpitalu mogły zachować się dokumenty z jej nazwiskiem.

Wtem na brzegu zapisanej maszynowo kartki ujrzał to, czego szukał. Nabazgraną odręcznie nazwę szpitala Edgewood General.

David włożył papiery z powrotem do koperty, zamknął teczkę, wsunął ją pod ramię i ruszył do drzwi.

Korzystał z tego, że znał się na ludziach i miał twarz, która podobała się kobietom.

- Dziękuję, skarbie - powiedział słodkim głosem, gdy pielęgniarka wręczała mu torbę. W środku znajdowały się dokumenty potwierdzające, że Jesse Hayes w wieku siedemnastu lat znalazła się w Edgewood General, gdzie przeszła aborcję. Wciąż miała w związku z tym poczucie winy. Mogli wykorzystać ten fakt przeciwko niej.

- Nie powinnam była tego robić. - Pielęgniarka pokręciła głową.

- Nie martw się. Nikt w szpitalu o niczym się nie dowie - zapewnił ją. - Obiecuję. Trzymaj. - Wsunął jej do ręki kopertę. W środku znajdowało się tysiąc dolarów.

Pielęgniarka chwyciła kopertę, sprawdziła jej zawartość i zniknęła w nocnych ciemnościach.

31.

David popijał czarną kawę z plastikowego kubeczka, trzymając jednocześnie drugą ręką telefon i wybierając numer. Była szósta rano, lecz niewiele go obchodziło, jaka jest pora dnia. Jeśli jeszcze się nie obudziła, to nie będzie długo spała.

- Hotel Sheraton - zaanonsowała głośno recepcjonistka.
- Chciałbym rozmawiać z Jesse Hayes. Mieszka w pokoju sto jedenaście.
- Chwileczkę - poprosiła rozradowanym głosem.

David jęknął cicho. Ktoś, kto o szóstej rano jest tak wesoły albo nie ma własnego życia, albo uległ praniu mózgu podczas szkolenia pracowniczego. Wreszcie usłyszał sygnał.

- Halo - odezwał się przepity męski głos.

David odsunął na chwilę słuchawkę od ucha. Co to, u diabła, miało znaczyć? - Czy zastałem Jesse Hayes? - zapytał niepewnie.

- Nikt taki tu nie mieszka.

- Przepraszam. - David odłożył słuchawkę i wcisnął przycisk ponownego wybierania numeru.

- Hotel Sheraton - przywitał go ten sam nieznośnie radosny głos.

- Przed chwilą dzwoniłem. Chciałbym skontaktować się z Jesse Hayes. Wydawało mi się, że zajmuje pokój sto jedenaście. Mogłaby pani to sprawdzić?

- Oczywiście.

Usłyszał stukanie klawiatury, po czym recepcjonistka znów się zgłosiła.

- Mieszka u nas, ale nie w pokoju sto jedenaście. Zaraz pana połączę.

- Proszę pani!

- Tak?

- Proszę mi powiedzieć, w którym jest teraz pokój.

- Przykro mi, nie mogę. Nie wolno nam tego robić.

- Jest moją narzeczoną - skłamał. - Płacę za jej pobyt moją kartą kredytową. Nazywam się David Mitchell. Może pani sprawdzić. Mogę podać numer karty. Chyba może mi pani powiedzieć.

- Niestety, proszę pana. Podanie numeru pokoju przez telefon lub w recepcji jest wbrew regulaminowi - odparła stanowczo recepcjonistka. - Czy mam pana połączyć?

- Proszę - odpowiedział szybko, godząc się z faktem, że nie namówi jej do naruszenia regulaminu.

Usłyszał pojedynczy sygnał i ktoś odebrał.

- Halo.

- Jesse?

- Tak.

- Tu David.

- Czego chcesz? - zapytała chłodno.

- Co się z tobą dzieje, do cholery? - David natychmiast wyczuł chłód w jej głosie.

- Moja przyjaciółka, Sara Adams, o której opowiadałam ci wtedy przy barze, nie żyje.

Rozpoznał oskarżycielski ton.

- Przykro mi.

- Jej zabójca miał zabić mnie.

- I dlatego zmieniłaś pokój? Na wypadek, gdyby zorientowali się, że zrobili błąd?

- Tak.

- Wiedziałaś, że recepcjonistka nie zdradzi numeru twojego pokoju?

- Tak.

- Ale tylko ja wiedziałem, w którym jesteś pokoju.

- Tak - powtórzyła.

Na chwilę zignorował znaczenie jej słów.

- Gdy zamieniałaś pokoje, dlaczego nie użyłaś innego nazwiska, skoro chcesz się ukrywać?

- Bałam się, że w recepcji będą robić trudności, gdybym chciała zmienić dane, bo mój pobyt jest opłacany z twojej karty. A ja oczywiście nie chcę używać swojej.

- Musisz we mnie wierzyć, Jesse - przerwał jej wyjaśnienia, reagując na brak zaufania, który wyraźnie pobrzmiwał w jej głosie. - Usiłuję ci pomóc. Musisz w to uwierzyć.

- Zabili Sarę. Pracujesz dla nich. Mogą uczynić cię bogatym. Zawsze ci na tym zależało. Czyż mogę ci zaufać?

- Nie dbam już o pieniądze. Chcę zrobić to, co należy. Chcę cię chronić.

- Czy w ramach ochrony pozbyłeś się mnie z mieszkania, żeby móc je splądrować w poszukiwaniu dokumentów? Powiedziałaś mi, że nic tam nie ma.

- O czym ty mówisz?

- Moje mieszkanie zostało doszczętnie zdemolowane. Byłam tam wczoraj w nocy. - Wsłuchiwała się uważnie w jego oddech, żeby stwierdzić, czy mówi prawdę.

Wiedział, co Jesse sobie myśli.

- Nie miałem z tym nic wspólnego. Musisz to zrozumieć. - Musiał coś wymyślić, i to szybko. Był zmuszony na nowo zdobyć jej zaufanie. - Pod hotelem powiedziałaś mi, że nie trzymasz w mieszkaniu teczki Neila Robinsona. Po cóż miałbym je demolować?

- To proste. Nie uwierzyłeś mi.
- Chcę się tobą zaopiekować, Jesse. - I znów, zamiast zareagować na jej słowa, starał się zaapelować do jej uczuć.

- Poradzę sobie sama - odparła lodowatym tonem.
Todd jęknął, budząc się ze snu. Jesse spojrzała na kanapę i przykryła ręką słuchawkę.

- Kto to, do cholery? - zapytał szybko David.

Todd przetarł oczy i spojrzał na Jesse.

Podniosła palec do ust.

- Todd Colton. Wczoraj czułam, że przydałaby mi się ochrona, więc poprosiłam, żeby został tu ze mną.

David uderzył w biurko otwartą dłonią.

- Nie ufaj mu, Jesse. Uciekaj od niego. Mówię poważnie.

Słyszała uderzenie ręką o biurko.

- Powiedziałam już, że od tej pory sama będę podejmować decyzje.

David przycisnął słuchawkę mocno do ucha.

- Jesse, oni mają coś na ciebie. - Musiał jej teraz powiedzieć. To była ostatnia szansa.

- Mają coś na mnie? - Jej głos załamał się nagle. - Co masz na myśli?

- Wolałbym nie mówić o tym przez telefon. Muszę pokazać ci osobiście. Zapewniam cię, że na pewno nie chciałabyś, aby wykorzystali te informacje przeciw tobie.

Zaczęła jej drżeć ręka.

- Co to jest? - Ale wiedziała już. To nie mogło być nic innego.

- Spotkajmy się.

- Żeby ktoś mógł mnie zastrzelić?

- Nic takiego się nie stanie - obiecał jej uspokajająco. - Dali mi słowo. Wyznacz miejsce. Jakiegokolwiek. Możesz wziąć ze sobą Todda, jeśli będziesz czuć się lepiej. Powiedziałem im, że masz obciążające informacje, które są bezpiecznie ukryte i jeśli coś ci się stanie, ktoś ma przekazać je władzom. Powiedziałem im, że informacje, które posiadasz, mogą wsadzić ich za kratki do końca życia. Uwierzyli. Chcą pójść na ugodę. W grę może wchodzić spora suma pieniędzy. Wszystko może się jakoś ułożyć, Jesse. Wszyscy możemy być bezpieczni. Namawiałbym cię, abyś skorzystała z ich propozycji. Oni mi uwierzyli, teraz ty musisz mi uwierzyć.

Drań. Cały czas z nimi współpracował.

Todd usiadł na kanapie, widząc smutek w oczach Jesse.

- Wyznacz miejsce, Jesse. - David nie ustępował.

Czuła, jak zaczyna ogarniać ją wzruszenie, ale zapanowała nad uczuciami. Nie było na nie czasu.

- Oddział Mercantile Bank na York Road, na północ od wesołego miasteczka - wyrecytowała przynębiona.

- O której?

- O dziesiątej.

- Dobrze. Podjęłaś słuszną decyzję, Jesse.
- Odłożyła powoli słuchawkę, nie odpowiadając.
- Co się stało, Jess? - Todd usiadł obok niej na łóżku i delikatnie wziął ją za rękę.
 - Nic. Wszystko. Proszę, przytul mnie, Todd.

O dziesiątej piętnaście Jesse i Todd przecięli York Road, manewrując między stojącymi w korku samochodami i znaleźli się przed bankiem. Od trzydziestu minut obserwowali budynek banku, ale nie wydarzyło się nic, co skłoniłoby ich do zachowania większej ostrożności. Wszystkie samochody, które wjechały na mały parking, zdążyły już odjechać i parking opustoszał. Nie było powodów do podejrzeń.

Przeszli przez szklane drzwi i podeszli szybko do kontuaru pod ścianą. W kącie przy dużej paproci stał strażnik z założonymi do tyłu rękami. Jesse spojrzała na niego, a następnie na dwa wolne okienka.

- Wszystko w porządku? - zapytał Todd.
- Tak - odpowiedziała, nie spuszczać oczu z drzwi. - Masz broń?

Pytała po raz trzeci.

- Mam ją tutaj. - Dotknął klatki piersiowej.
- Jesse.

Rozpoznała głos Davida i obróciła się na pięcie. Stał w drzwiach obok strażnika.

- Pozwolisz ze mną? - Przywołał ją ruchem ręki do siebie.

Jesse usłyszała, że otwierają się szklane drzwi i odwróciła się szybko w stronę głównego wejścia. Do sali wszedł mężczyzna z długimi blond włosami, brodą i wąsami. Natychmiast go rozpoznała i chwyciła Todda za rękę.

- To ten facet, który wtedy był w moim biurze - wyszeptwała.
- Jesse, pospiesz się - ponaglał ją David.
- Chcesz się stąd wydostać, Jess? - Todd uważnie obserwował Gordona Rotha.
- Nie wiem. - Drżała ze zdenerwowania.
- Czy wszystko w porządku, proszę państwa? - Strażnik wyszedł ze swego kąta.
- Całkowicie. - David podszedł pewnym krokiem do Jesse i Todda. - Cześć,

Todd. - Głos Davida brzmiał matowo, nie wiadomo: życzliwie czy też nie.

Todd wpatrywał się w Mitchella. Jesse na krótko zadurzyła się w nim. Ale zrozumiała już, że zrobiła błąd. Todd już o to zadbał.

David zwrócił się do Jesse. Była rozgorączkowana i zdezorientowana.

- Jesse, widziałem, jak patrzyłaś na człowieka, który właśnie wszedł. Rzeczywiście pracuje dla nich. Nie mam zamiaru zaprzeczać. Ale jest tutaj, żeby obserwować mnie, a nie ciebie. Ma pilnować mnie, żebym nie zwał z tym, co mam ci do pokazania. - Choć mistrzowsko ukrywała uczucia, w środku musiała przeżywać piekło. I czyż można było jej się dziwić? - Jesse, przejdziemy teraz do pokoju, w którym będziemy sami. Ten człowiek nie idzie z nami. Todd może go obserwować, gdy odejdziemy.

- Oszalałeś chyba. - Kto wie, na co porwie się teraz David? Musi być bardzo zdesperowany.

- Nic nie będę ci tam mógł zrobić. - Prawidłowo odczytał wyraz jej twarzy. - Wiem, że masz mnóstwo pytań. Chodź ze mną, a dam ci na nie odpowiedź.

- Jess, jeśli chcesz stąd wyjść, powiedz tylko słowo. - Todd spoglądał raz na Rotha, to znów na Mitchella.

- W porządku. - Zabrnęła już tak daleko. Musiała dowiedzieć się, co przyniósł David. - Pójdę z tobą, Davidzie, ale Todd będzie obserwował tego człowieka. Jeśli zdarzy się coś dziwnego, poprosi strażnika, żeby wezwał policję. - Przerwała. - Todd, jeśli David wyjdzie sam, zacznij krzyczeć. - Wypowiedziała te słowa głośno, żeby David mógł je usłyszeć.

- Dobrze.

David kiwnął głową.

- Świetnie. Więc chodźmy. - Wrócił do drzwi prowadzących na korytarz.

Jesse szła za nim, zatrzymując się przy każdym zakręcie korytarza i spodziewając się w każdej chwili ataku. Ale wreszcie znaleźli się w małym pokoju, który służył zwykle klientom banku.

David zamknął drzwi.

- Usiądź, proszę. - Wskazał na krzesło ustawione przy małym stoliku. - Nie martw się, Jesse. Nic ci się nie stanie. - Rzucił na stół dokumenty ze szpitala Edgewood General. - Śmiało, czytaj.

Usiadła wolno przy stole i sięgnęła po kopertę. Przez kilka sekund przyglądała się jej, po czym odsunęła ją od siebie.

- Nie wierzę ci - powiedziała ledwo słyszalnym głosem. - Widziałeś wizytówkę Becky. Tamtej nocy zabrałeś ją z mojego mieszkania. Udałeś się do jej gabinetu i zabrałeś moją teczkę, tak?

David milczał.

- Z nazwą szpitala. Z informacją, że to mój ojczym mnie zaatakował. Becky o wszystkim wiedziała. Wszystko pewnie miała zapisane w swojej teczce. - Jesse znów z ledwością hamowała łzy. - I po wizycie w gabinecie Becky pojechałeś do szpitala i zdobyłeś to. - Wskazała na leżącą na stole kopertę.

- Nie ja zdobyłem te informacje.

- Nie kłam!

- Mówię prawdę. Nie śmiałybym kłamać. Słuchaj, oni wiedzą, że zaatakował cię ojczym. Wiedzą, że dziecko było jego. I jeśli postanowisz ich zdemaskować, powiedzą o wszystkim twojej matce. O wszystkim. - Pokręcił głową. - Posuną się jeszcze dalej. Powiedzą twojej matce, że to nie był gwałt. Że doszło do stosunku za twoją zgodą. Wiedzą, jak bardzo twoja matka związana jest z kościołem. Wiedzą, jaki przeżyłaby wstrząs, gdyby się dowiedziała.

- Ty kanalio!

- Posłuchaj mnie, Jesse. Nieistotne, co teraz o mnie myślisz. Liczy się to, że mają te informacje i zamierzają z nich skorzystać.

Schowwała twarz w dłoniach, zdruzgotana tym, co usłyszała.

- Jesse, jest jeszcze coś, co mam ci przekazać.

Co? - wykrztusiła z siebie.

- Chcą cię odpowiednio wynagrodzić.
- Nie rozumiem.
- To znaczy, że chcą cię nie tylko zastraszyć, lecz także zapłacić za twoje milczenie. Uważają, że to niezwykle skuteczna strategia. To znaczy, że otrzymasz dwa miliony dolarów w gotówce i dożywotnie zatrudnienie w Sagamore.

- Naprawdę jesteś taki naiwny? Ja nigdy bym nie pomyślała, że jest to możliwe.

- Co masz na myśli?

- Nigdy nie przestaną szukać tego, co zdobyłam. Kopii czeku Doub Steel dla LFA, informacji zdobytych przez Neila Robinsona. I całej reszty. A gdy już położą na tym swoje łapy, co w końcu im się uda, będę martwa. To takie proste.

- Ale, Jesse, jeśli będziesz próbowała ich zdemaskować, pokażą wszystkie rewelacje na twój temat matce. Opublikują je i wszyscy członkowie parafii, z którą jest tak związana, przeczytają o tym. To ją zniszczy. Wiesz o tym. A później i tak ciebie zabiją. Taka jest prawda. Alternatywą jest współpraca z nimi i zdobycie bardzo uprzywilejowanej finansowo pozycji. Matka nie dowie się, co zrobił twój ojczym. Chcą pójść na ugodę. Naprawdę wierzą, że pieniądze mogą kupić milczenie.

- Ty chyba wiesz o tym najlepiej.

- Jesse, ja...

- Jak mogłeś mi to zrobić?! - krzyknęła. Krzesło przewróciło się z hukiem, gdy wstała.

Doskonale znali się na ludziach. David teraz zdał sobie z tego sprawę. Byli mistrzami manipulacji. Nie sądził, że groźba powiadomienia jej matki o aborcji tak gębokoboko ją wstrząśnie. Ale teraz, widząc, jak łzy spływają jej ciurkiem po twarzy, przekonał się, jak bardzo się mylił. Na jego oczach wpadała w histerię.

- Myślałam, że razem będziemy z nimi walczyć. - Przez chwilę próbowała się opanować, ocierając łzy z twarzy, ale zaraz kolejny spazm płaczu wstrząsnął jej ciałem. - Myślałam, że za pomocą informacji, które zdobyliśmy, wyeliminujemy ich. Jakże się pomyliłam co do ciebie, Davidzie. Nie mogę uwierzyć, że przekazałeś im wiadomość o mojej aborcji. O tym, że mój ojczym... - Nie mogła dokończyć. Stała jej przed oczami twarz matki. Jej przerażone oczy. Upokorzenie.

- Nic im o tobie nie powiedziałem - wybąkał cicho.

- Przestań kłamać - zawołała.

- Nie kłamię. - Miał ponurą minę. - To twój przyjaciel Todd im powiedział. Właśnie on zdobył dokumenty ze szpitala. Uporali się z pewnym problemem, który miał na głowie.

- O czym ty mówisz?

- Todd zadłużył się w mafii.

Jesse kręciła głowę z niedowierzaniem. Absurd.

- Boże, ale bredzisz. - Nie wierzyła już w żadne słowo Davida Mitchella.

- Powinienem ci być powiedzieć o tym wszystkim wcześniej. - David przesunął dłonią po włosach i westchnął ciężko. - Tego wieczoru, gdy byłem u ciebie i przyszedł

Todd, Elizabeth czekała na mnie na zewnątrz. Chciała, żebym przeszukał twoje mieszkanie, ale przez Todda nie mogłem tego zrobić. Elizabeth twierdziła, że to rutynowe postępowanie przy sprawdzaniu kandydata na stanowisko w Sagamore. Że po prostu chcieli się upewnić. Wiedziałem, że wciska mi głodne kawałki, ale nie chciałem stracić pracy. Gdy wróciłem do jej limuzyny, zapytała, dlaczego wyszedłem tak szybko. Wtedy powiedziałem jej o Toddzie. W ten sposób dowiedzieli się o nim. To on musiał cię zrobić, bo to nie byłem ja. Twierdzisz, że znasz go od czasów szkoły. Pewnie powiedziałeś mu, co się stało. Mam na myśli gwałt. Todd jest za wszystko odpowiedzialny.

Jesse pomyślała sobie, że Todd nie byłby zdolny do czegoś tak straszego.

W przeciwieństwie do Davida. Prosta sprawa.

- Wiem, że kłamiesz, Davidzie.

- Nieprawda. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Posłuchaj, gdybym mógł wykraść im te informacje i wiedziałbym na pewno, że mnie też nie zabiją, zwróciłbym się z tobą do władz. Przrzekam. Ale lepiej zgodzić się na to, co proponują.

- Ty kanalio! Zdradziłeś mnie, żeby ratować własną skórę. Nienawidzę cię. - Rzuciła się na niego.

Był jednak dla niej zbyt silny. Chwycił ją za ramiona i przyciskał je do tułowia, gdy mu się wrywała. Wreszcie zrezygnowała z walki i puścił ją. Pobiegła na drugi koniec pokoju i stanęła tam plecami do niego, zastanawiając się, co robić dalej.

Wtem usłyszała głos. Całkowicie wyprany z emocji.

- Z nimi nie ma żartów, Jesse. Są potężniejsi, niż ci się wydaje. Na ich hojną propozycję masz odpowiedzieć do jedenastej rano. Radzę ci, żebyś odpowiedziała pozytywnie.

32.

Sunął bezszelestnie korytarzem w stronę głównej sypialni. Przystanął na chwilę w mroku przed drzwiami i wyciągnął z kieszeni nasączoną eterem szmatkę. Wszedł zdecydowanym krokiem do pokoju, przycisnął szmatkę do twarzy śpiącej Connie Hayes i patrzył przez nałożoną na głowę pończochę na jej przerażone oczy, gdy próbowała na próżno wyrwać się z jego silnego uścisku.

Szybko było już po wszystkim. Gdy upewnił się, że straciła przytomność, schował szmatkę do kieszeni i rozpoczął poszukiwania.

Godzinę później jego determinacja została nagrodzona, gdy światło latarki padło na torbę między stosami gier planszowych i puzzli. Wyciągnął ją, rozsunął suwak i oświetlił zawartość torby latarką. Bingo.

Szybko przełożył plik papierów do innej torby, a torbę Jesse odłożył na swoje miejsce. Odkrycie to miało uczynić go bogatym człowiekiem. Uśmiechnął się szeroko i wyjrzał przez okno. Na horyzoncie zaczęło się rozjaśniać.

- Udało się. - Mohler triumfalnie odłożył słuchawkę w sali konferencyjnej. - Podobno zebrała tego dość dużo. Sporo informacji. Czek Doub Steel dla LFA. Informacje o kombinacjach z akcjami Coleman Technology za pośrednictwem Sagamore i o próbach manipulowania kampanią Colemana. Ujawnienia tych rzeczy nie życzylibyśmy sobie. Ale teraz wszystko jest pod kontrolą. Jesse nie ma już żadnej karty przetargowej.

Finnerty odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu. - Zwrócił się do siedzącego po jego prawicy senatora. - To już koniec, co Carter?

Webb potarł czoło i rzucił okiem na zegarek. Siódma trzydzieści rano.

- Kiedy dostaniemy te materiały? - Wojna jeszcze się nie skończyła. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Za wcześniej na świętowanie. Dopiero, gdy w jego rękach znajdą się dokumenty zabrane z domu Connie Hayes, a Gordon Roth doprowadzi do śmierci Jesse Hayes, będzie się mógł uspokoić. Powiedział, że umówi się na spotkanie po rozmowie z tą Hayes. - W nocy Mohler przestraszył się, że grozi im katastrofa, że wszystko, co tak skrzętnie ukrywali, zostanie ujawnione. Teraz Sagamore znów wydawał się bezpieczny.

- Bardzo nam pomógł - skomentował Finnerty, po czym odwrócił się do siedzącej obok Elizabeth Gilman. - Miała pani absolutną rację, jeśli chodzi o niego. Dobra robota.

- Dziękuję. - Podniosła rękę do ust i dwukrotnie zakaszła.

- Dobrze się czujesz? - Finnerty okazał nagle z troską. - Wyglądasz trochę blade.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała łagodnie. - Jestem tylko trochę zmęczona. Mam za sobą długą noc.

Webb obserwował ją przez chwilę, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął cygaro. Ukrywała coś. Zbyt długo czytał w ludzkich twarzach, żeby tego nie wiedzieć. Odciał koniuszek cygara srebrną przecinarką i zwrócił się do Finnerty'ego. - Możesz w każdej chwili skontaktować się z Rothem, prawda?

Finnerty kiwnął głową.

- Tak, ma telefon komórkowy.

- Chcę, żeby zajął się Jesse Hayes. Natychmiast.

- Dobrze, Carter.

Ze względów bezpieczeństwa przenieśli się z hotelu Sheraton do motelu Towson Motor Inn. I na szczęście, dzięki niewielkiej łapówce, udało im się przekonać mężczyznę w recepcji do przyjęcia gotówki. Nie chcieli płacić kartą kredytową, żeby nie można ich było wyśledzić. Jesse sięgnęła po słuchawkę. Do dziesiątej brakowało dziesięciu minut i miała już tylko trochę ponad godzinę na podjęcie decyzji. Gdy usłyszała wolny sygnał, spojrzała na drzwi. Gdzie, do diabła, podziewał się Todd? Gdy zasnęła zeszłej nocy, leżał na kanapie, lecz gdy się obudziła o szóstej rano, już go nie było. Chciała porozmawiać z nim przed wykonaniem tego telefonu, ale nie mogła czekać do ostatniej chwili. Całą tę paskudną sprawę dusiła w sobie zbyt długo. Nie mogła im pozwolić, żeby po tylu cierpieniach skrzywdzili ją i jej matkę.

- Halo. - David podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

- Mówi Jesse.

- Jesse, muszę się z tobą natychmiast zobaczyć.

Mówił tak cicho, że ledwo go słyszała.

- O czym ty mówisz? Dzwonię, bo za godzinę upływa termin. Postanowiłam przyjąć ich propozycję. Twoją propozycję. Chyba nie mam innego wyjścia. Gdyby moja matka dowiedziała się o wszystkim, gdyby prawdę poznali wszyscy jej przyjaciele, byłaby zdruzgotana. Ja też, do jasnej cholery, byłabym zdruzgotana. Nie poradziłabym sobie z tym. Przyjmę ich propozycję i nauczę się z tym żyć. Ale powiedz im, że mogą iść do diabła ze swoją dwumilionową łapówką.

- Cicho bądź! Zapomnij o terminie.

- Co takiego?

- Nie mogę teraz długo rozmawiać, ale nie martw się o termin. Wystarałem się dla ciebie o trochę więcej czasu. - Dyszał ciężko do słuchawki.

- Chcesz, żeby cały świat się dowiedział, co mi się przytrafiło? Tego właśnie chcesz?
- Przestań, do cholery, kwestionować moją lojalność wobec ciebie - wypalił gniewnie. - Słuchaj, co masz zrobić. Wiesz, gdzie jest Dolina Worthington?
- Jasne.
- A sklep Stenersenów?
- Masz na myśli ten mały wiejski sklepik na Falls Road?
- Tak. Na skrzyżowaniu Shawan i Falls.
- Wiem.
- Spotkajmy się tam za dwie godziny.
- David, powiedz mi, o co chodzi - poprosiła.
- Nie mogę. Po prostu bądź tam. I na Boga nigdzie nie wychodź przed spotkaniem ze mną. Nie opuszczaj pokoju, gdziekolwiek jesteś. A gdy już wyjdiesz, bądź bardzo ostrożna. Wszędzie cię szukają. - Przerwał na chwilę. - I przyjedź sama. Nie możesz ufać Toddowi. Mówię poważnie.
- David! - krzyknęła, ale odłożył słuchawkę. Ręka Jesse trzęsła się gwałtownie, gdy odkładała słuchawkę. Ponownie wybrała numer do jego biura, lecz tym razem po czwartym sygnale odezwała się automatyczna sekretarka.

- Mam jej numer! - Finnerty gorączkowo spisał numer z ciekłokrystalicznego monitora, urządzenia podłączonego do telefonu w biurze Davida, które stało w rogu ogromnego stołu konferencyjnego. - Za dziesięć minut będziemy dokładnie wiedzieli, skąd dzwoniło.
- Lepiej za pięć minut. - Webb zaciągnął się cygarem. - David nie dowie się, że podłączyliśmy to do jego telefonu, prawda, Jack?
- Finnerty pokręcił głową.
- Nagle ktoś głośno zapukał do drzwi sali konferencyjnej. Webb, Finnerty i Mohler byli zaskoczeni.
- Zobacz, kto to - polecił Webb Mohlerowi.
- Mohler podszedł do drzwi i uchylił je troszeczkę.
- Ach witamy, wejdź, proszę.
- Dzięki. - David stanął w drzwiach. - Dzwoniła. - Kierował słowa do Webba, co świadczyło o tym, że jego uważał teraz za swego szefa.
- Przepraszam. - Obok Davida przycisnęła się Elizabeth i wyszła z sali.
- Proszę, Elizabeth. - Wszedł dalej w głąb sali, żeby ją wypuścić.
- Po, wyjściu na korytarz Elizabeth udała się bezzwłocznie do swego gabinetu, potwarzając pod nosem numery, które zapamiętała z notesu Finnerty'ego. Ostatnio wydarzenia następowały po sobie szybciej, niż mogła przewidzieć. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Podczas ostatniego tajnego spotkania, kierowana instynktem samozachowawczym, przekazała pewne informacje Webbowi i Mohlerowi. Widziała, jak rozmawiali i bała się, że mówią o niej. Z obawy, że wykryli jej zdradę i planują jej

przedwczesny zgon, powiedziała im, że namówiła Davida, aby zbliżył się do Jesse, gdyż miała wobec niej pewne podejrzenia. Powiedziała im też o Toddzie Coltonie. Obiecali, że żadna krzywda nie stanie się Jesse, lecz teraz zamierzali złamać daną obietnicę.

Elizabeth weszła do swego gabinetu, zamknęła drzwi, podniosła słuchawkę i szybko wybrała zapamiętany numer. Musiała to zrobić. W przeciwnym razie Jesse nie pozostałaby długo wśród żywych. Tego by sobie nie wybaczyła.

- Halo.

- Jesse, tu Elizabeth Gilman. - Nie czekała na odpowiedź. - Gdziekolwiek jesteś, uciekaj. Wiedzą, gdzie się ukrywasz.

Jesse rzuciła się do drzwi. David. Znow ją przechytrzył. Kazał jej nie opuszczać pokoju. Oczywiście. Byłaby nieruchomym celem. Otworzyła drzwi.

- O Boże! - Ktoś stał przed drzwiami. Odruchowo zakryła twarz.

- Co się stało? - Natychmiast dostrzegł jej strach. Strach ściganego zwierzęcia.

- Todd! - Jesse przycisnęła ręce do piersi, po czym rzuciła mu się w ramiona. - Jakże się cieszę, że to ty. - Złapała oddech. - Zaraz tu będą. Musimy uciekać. - Chwyliła go za nadgarstek i pociągnęła za sobą na parking w stronę wypożyczonego samochodu.

- Gdzie jedziemy?

- Muszę zabrać coś z domu matki. Trzeba skończyć z tym raz na zawsze.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - Zatrzymał ją, gdy zbliżali się do rzędu zaparkowanych wozów.

- Przed chwilą zadzwoniła do mnie Elizabeth Gilman. To ta kobieta, która chciała mnie zwerbować do Sagamore.

- Pamiętam.

- Ostrzegła mnie. Jakoś dowiedzieli się, gdzie jestem. Musimy się stąd szybko wydostać. Chodź!

- Dobrze. Pojadę z tobą moim samochodem.

- Nie. - Pokręciła głową. - Twoja limuzyna rzuca się w oczy jak latarnia morska. Jedziemy moim samochodem.

- W porządku. Ale muszę coś zabrać z wozu. Podjedź po mnie.

Jesse odwróciła się i podbiegła do wypożyczonego samochodu. Włączyła silnik, wycofała wóz z miejsca parkingowego i szybko zajechała pod corvette. Todd wskoczył do środka i rzucił na tylne siedzenie torbę, którą wyjął ze swojego samochodu. Gdy zatrzasnął drzwi, Jesse wcisnęła pedał gazu i z piskiem opon wjechali na York Road, która prowadziła na północ.

Kilka minut później Gordon Roth wjechał na zwolnione przez Jesse miejsce, wyskoczył z wozu i pobiegł do pokoju, którego numer mu podali. Wdarł się do środka, lecz po chwili był z powrotem na zewnątrz.

Ze szczytu małego wzgórza, z którego rozciągał się widok na motel, Jesse obserwowała zabójcę przez lornetkę Todda. Elizabeth uratowała jej życie. Powoli opuściła lornetkę.

- Widzisz coś? - Todd stał obok niej, patrząc w stronę motelu.
- Tak - odpowiedziała cichutko. - Ledwo zdążyliśmy. Jest tam ten sam facet którego widziałeś w banku podczas mojego spotkania z Davidem.

- To David cię wrobił, prawda?

Jesse kiwnęła głową.

- Wiedziałem, że jest nic niewart już wtedy, gdy poznałem go przed twoim biu-rem - wybąkał Todd. - Snob - drwił.

- No dobrze, jedźmy już. - Jesse oddała Toddowi lornetkę i ruszyła w stronę sa-mochodu.

Gordon Roth stał przed otwartym pokojem, przeczesał wzrokiem parking. Jesse Hayes zniknęła, najwidoczniej ostrzeżona w ostatniej chwili. Nagle jego wzrok spoczął na poobijanej białej limuzynie Todda Coltona. Ten sam samochód widział wczoraj przy jego domu, gdy zabił dwóch bandziorów z mafii i chwilowo uratował Toddowi życie.

33.

Mamo! Mamo, obudź się!

Connie otworzyła oczy. Spojrzała na Jesse i po chwili jęknęła głośno.

- Co się stało? - Jesse usiadła na łóżku i przyłożyła dłoń do czoła matki. - Jesteś chora?

- O Boże. Zaraz chyba zwymiotuję. - Connie usiadła na łóżku i przysłoniła ręką usta. - Pamiętam tylko, że ktoś przytknął mi coś do twarzy. Zapach był straszny. Straciłam przytomność.

- Co?

- Tak. - Connie rzuciła okiem w stronę drzwi. - Todd, możesz mi przynieść szklankę wody?

- Jasne. - Zniknął za drzwiami.

- Dobrze się czujesz, mamo?

- Nie licząc żołądka, wszystko w porządku. - Uśmiechnęła się słabo. - Jestem krzepką starszą panią.

Todd wrócił szybko ze szklanką wody, którą podał Connie.

- Dziękuję, złociutki.

- Proszę bardzo, pani Schuman.

Jakbym mało miała problemów, pomyślała sobie Jesse.

- Pewnie się włamali. Nie zauważyłam, żeby coś zginęło, gdy wchodziliśmy, ale też specjalnie się nie rozglądałam. Będziemy musieli... - Nagle wstała i wybiegła pędem z pokoju.

- Jess, co się stało?! - zawołał za nią Todd.

- Zaraz wracam! - Jesse pognała korytarzem do swego starego pokoju i otworzyła szafę. Na widok torby, która leżała dokładnie tam, gdzie ją zostawiła, poczuła głęboką ulgę. Wyciągnęła ręce i zdjęła torbę z półki. Obawy natychmiast powróciły.

Torba wydała jej się zdecydowanie za lekka. Rozsunęła suwak i zajrzała do środka.

Wszystko zniknęło. Osoba, która zaatakowała jej matkę, szukała konkretnych rzeczy. Dokumentów z torby.

Powoli wróciła do sypialni matki.

- Co się stało, Jesse? Wyglądasz, jakby ktoś ci umarł.

- Tak właśnie się czuję, mam. - Nagle zdała sobie sprawę, że są same w pokoju. - Gdzie jest Todd?

- Mówił, że idzie na dół.

Jesse zrozumiała, że została jej jeszcze tylko jedna możliwość. I to niezbyt dobra. - Mam, muszę zaraz jechać. Poczekam tylko, aż przyjedzie po ciebie karetka.

- Ja nie chcę do szpitala.

- Ale musisz. Bez dyskusji. - Jesse odwróciła się, wyszła z pokoju i zeszła schodami na dół, po czym korytarzem na parterze dotarła do kuchni. Stała na chwilę w drzwiach, obserwując Todda, który rozmawiał przez telefon, przysłaniając dłonią usta.

Gdy ją zobaczył, szybko pożegnał osobę, z którą rozmawiał i odłożył słuchawkę.

- Mama czuje się lepiej?

- Chyba tak. - Wpatrywała się w niego, zastanawiając się, czy powinna zapytać, do kogo dzwonił. - Gdy tylko przyjedzie karetka, musimy dotrzeć do sklepu Stenersenów nad Doliną Worthington. - Po drodze do domu matki opowiedziała Toddowi, jakie otrzymała od Davida instrukcje. Postanowiła, że nawet nie zbliży się do tego miejsca. Lecz teraz, gdy dokumenty z torby zginęły, sytuacja uległa zmianie.

- Co się, do cholery, dzieje? - warknął Webb do słuchawki.

- Pojechałem do motelu Towson Motor Inn, znalazłem pokój, w którym według Finnerty'ego powinna przebywać, ale jej tam nie było - zawołał Roth, ściskając telefon komórkowy w jednej ręce, a kierownicę w drugiej. Pędził autostradą międzystanową 83 na północ od Baltimore. - Wyglądało na to, że ulotnili się błyskawicznie. Przysięgam, Carter, byłem w motelu cztery minuty po telefonie Finnerty'ego.

- Nie wątpię. - Walnął pięścią w stół. Ta cholerna Hayes ciągle im umykała.

Zmrużył oczy. I nie bez powodu, zrozumiał nagle. - Gdzie jedziesz teraz?

- Do Doliny Worthington. - Roth uśmiechnął się, mijając dwa samochody zupełnie jakby stały w miejscu. - Mam dobrą wiadomość. Zadzwoił do nas nasz chłopak. Jesse Hayes przybędzie niedługo do małego sklepu w dolinie. - Roth spojrział na zegarek. - I za około dwadzieścia minut już nie będzie żyła.

Dolina Worthington leżała pięćdziesiąt kilometrów na północ od Baltimore. Na jej trawiastych zboczach zajmowano się hodowlą koni rasowych oraz uprawą jabłek i brzoskwiń. Sklep Stenersenów położony był w tej pięknej dolinie, pośród kępy ogromnych dębów na skrzyżowaniu Shawan Road i Falls Road. Shawan Road biegła ze wschodu na zachód przez całą długość doliny, natomiast Falls Road wyłaniała się z lasu, który pokrywał południową stronę doliny. Była to główna arteria komunikacyjna dla mieszkańców, którzy w weekendy odwiedzali te malownicze rejony.

Od wielu pokoleń dolina należała do rodziny Stenersenów, których włości rozciągały się we wszystkie strony świata od skrzyżowania obydwu dróg. Siedziba rodziny, wielka kamienna rezydencja, położona była na wysokim wzgórzu, na północny wschód od skrzyżowania. Ze swej posiadłości rodzina mogła oglądać rozległe sady i sklep. W

weekendy przez mały sklep przewijały się tłumy, lecz w dni powszednie zwykle odwiedzało go zaledwie kilku klientów. Tak też było tego dnia.

- Wiesz, jakim samochodem jeździ David? - zapytał Todd Jesse, która wjechała wypożyczonym samochodem na zwirowy parking obok sklepu.

- Tak, czarnym bmw. Tam stoi. - Wskazała na zaparkowany tuż przed wejściem elegancki samochód, który połyskiwał w południowym słońcu.

- Na pewno nie próbuje ukryć faktu, że jest tutaj. Ale nie widzę go. - Todd rozejrzał się po parkingu, gdy Jesse wjeżdżała tyłem między dwa samochody zaparkowane przy wysokim ogrodzeniu, za którym pasło się kilka koni. - Musimy być ostrożni. To może być pułapka, Jess.

- Ale jak sam zauważyłeś, ustawił samochód w widocznym miejscu. Nie próbuje ukryć swej obecności.

- Nie daj się nabrać. Pamiętaj, że godzinę temu powiedział im, że jesteś w motelu Towson Motor Inn. Przysłał mordercę.

Gdy Jesse wysiadła z samochodu, lekki podmuch wiatru porwał jej włosy, zakrywając nimi twarz. Wysokie dęby tworzyły nad sklepem baldachim z gałęzi. Ich liście zaczęły przybierać jesienne barwy. Za kamiennym ogrodzeniem po prawej stronie sklepu znajdował się sad pełen jabłoni. Gałęzie uginały się pod ciężarem owoców, prawie już gotowych do zbioru. A po lewej stronie od ogrodzenia, aż do rezydencji na wzgórzu, rozciągało się pastwisko.

Jesse zdjęła okulary przeciwsłoneczne i bacznie przyjrzała się drzewom w sadzie. Coś przykuło jej wzrok, ale gdy znów spojrzała w tym kierunku, niczego nie dojrzała. Pomyślała sobie, że to tylko wyobraźnia płata jej ze zmęczenia figle.

- Jess.

Odwróciła się do Todda.

- Co?

- Jest tam. - Todd wskazał na wejście do sklepu. David wyszedł stamtąd spokojnie, trzymając w ręku brązową papierową torbę.

Na ich widok pomachał rękę. Położył torbę na masce bmw i podbiegł do nich. Zatrzymał się w odległości pięciu metrów, widząc, że Todd zrobił krok do przodu.

- Cześć, Jesse - przywitał się.

- Cześć - odparła chłodno.

David zerknął na Todda i znów na nią.

- Jesse, muszę porozmawiać z tobą na osobności, bez niego. Chodźmy do mojego samochodu. Mam ci coś do pokazania.

- Nie rób tego, Jess - powiedział szybko Todd. - Wiesz, że pracuje dla nich. Jest po ich stronie. To pułapka.

- Chyba nie wiesz, co mówisz, kolego - odparł gniewnie David. - Wiem coś o tobie.

- Nic nie wiesz.

Todd ruszył w stronę Davida, lecz Jesse przytrzymała go.

- Dlaczego nie możesz tego przynieść tutaj?
- Muszę porozmawiać z tobą w cztery oczy. Chodźmy, Jesse - nalegał David. -

To ważne.

Już chciała odpowiedzieć, gdy kątem oka zauważyła postać, która zbliżała się do nich od strony sklepu. Osoba ta, której twarz i tors osłaniała duża torba, znajdowała się w odległości nieco ponad piętnastu metrów.

David odwrócił się i spojrział tam, gdzie patrzyła Jesse. Ze swojego miejsca widział częściowo ukrytą za torbą twarz. Cofnął się natychmiast.

Postać z wolna się zbliżała i wtedy Jesse rozpoznała jego chód. Utykał w ten sam sposób, gdy wychodził z jej pokoju, rzekomo w poszukiwaniu Sary. Jesse wiedziała dokładnie, kim był ten człowiek. Nie musiała oglądać jego twarzy.

Próbowała wskazać na niego ręką i krzyknąć, lecz nagle wszystko zaczęło przypominać jakiś surrealistyczny film. Przeżywała koszmar, w którym niewidzialna siła spowolniła jej ruchy i stłumiła głos. Todd, David i nadchodząca postać też poruszali się w zwolnionym tempie.

Gdy wreszcie z jej ust wyrwał się przerażony krzyk, osłaniająca zabójcę torba upadła na ziemię i wyspały się z niej owoce. David wyciągnął ręce, zrobił zwrot i padł na ziemię. Gdy mężczyzna wyciągnął broń i strzelił, Todd rzucił się na maskę stojącego obok samochodu. Kula uderzyła w ogrodzenie i Jesse padła na ziemię. Wtedy wydarzenia zaczęły toczyć się w normalnym tempie.

Jesse przedostała się na czworakach do ogrodzenia, po czym wstała i zgięta wpół zaczęła uciekać, wykorzystując wąską przestrzeń między samochodami i ogrodzeniem. Konie na pastwisku rozbiegły się we wszystkie strony na dźwięk kolejnego strzału i chwilę później jeden z nich, ofiara zabłąkanej kuli, potknął się i upadł. Przez jakiś czas kopał wściekle powietrze, po czym znieruchomiał.

Jesse biegła dalej jak w amoku. Minęła ostatni zaparkowany samochód, wejście do sklepu i bmw Davida. Dotarła do niskiego kamiennego ogrodzenia przed sadem. Pokonała przeszkodę, niejasno zdając sobie sprawę z kolejnych strzałów, które przeszły powietrze i przywarła płasko do ziemi.

Zaraz potem, twarzą do ziemi, leżał przy niej Todd. Biegł za nią wzdłuż samochodów do ogrodzenia i przeskoczył przez nie sekundę po niej.

Jesse szybko podniosła się i przycupnęła za kamiennym ogrodzeniem. Nie mogli tam zostać. Zabójca prędko by ich dopadł. Chwyliła Todda za ramię, gdy sięgał pod koszulę po swój rewolwer.

- Uciekajmy, Todd!
- Jeden strzał - warknął, wychylając się zza kamieni i wyciągając broń. - Tylko jeden strzał.

- Nie! - Próbowała go przyciągnąć z powrotem, ale za późno.

Zanim namierzył cel, kula trafiła go w klatkę piersiową z prawej strony, spryskując krwią bluzkę i džinsy Jesse. Siła strzału odrzuciła Todda do tyłu, wytrącając mu z garści rewolwer, który wpadł w gęstą kępę krzaków. Przez chwilę Jesse zastanawiała się,

czy go nie poszukać. Ale gdyby nie udało się go znaleźć? Zabójca dobiegnie do ogrodzenia, a ona będzie bezbronna... i martwa.

Todd z trudem podniósł się na kolana, uciskając lewą ręką ranę. Krew spływała mu po koszuli.

- Uciekaj, Jess! Uciekaj stąd! - zawołał.

- Nie! - Podbiegła do Todda, chwyciła go za lewy nadgarstek i zaczęła ciągnąć w gęstwinę drzew. - Nie zostawię cię.

- Nie mogę biec - odkaszlnęła, plując krwią.

- Chodź! - krzyknęła, mocując się z jego grubym nadgarstkiem, aż wreszcie stanęła na nogi i zaczął iść, chwiejąc się, w stronę gęstych zarośli.

Biegła jak oszalała pod nisko zwisającymi gałęziami, prowadząc Todda coraz dalej w głąb sadu. Chciała zgubić mordercę, który na pewno deptał im po piętach. Todd potknął się o leżącą na ziemi gałąź i zwałił ciężko na bok. Krzyknął przy tym, zdradzając ich położenie.

Jesse zatrzymała się i znów pomogła mu wstać.

- Nie mogę już, Jess - wydyszał, opadając na jedno kolano. - Ratuj się.

- Uda ci się. - Twarz zszarzała mu z powodu utraty krwi i Jesse wcale nie była pewna, czy Todd przeżyje, ale nie mogła zostawić go samego. Musiała mu pomóc. W przeciwnym razie groziła mu śmierć.

- Już nie mogę.

Jesse zobaczyła krew na koszuli i rękach Todda. Dalsza ucieczka była niemożliwa. Rozejrzała się szybko. W głębi sadu dostrzegła wyjątkowo rozrośnięte drzewo. Jego gałęzie były tak grube, że całkowicie zasłaniały pień.

- Chodź. To już niedaleko. Tylko kilka kroków.

Jęknęła, gdy jeszcze raz pomogła mu się podnieść i poprowadziła przez wysokie chwasty do drzewa. Rozejrzała się po sadzie, ale nikogo nie widziała. Odsunęła kilka nisko rosnących gałęzi.

- Wchodź tu - rozkazała.

Todd precyzyjnie przeszedł przez gałęzie i padł na ziemię pod drzewem. Jesse wskoczyła za nim i zsunęła tak gałęzie, żeby całkowicie zakamufłować wszelkie ślady ich obecności. Pomogła Toddowi przysunąć się do pnia, gdzie usiedli oparci o drzewo, nasłuchując i starając się nie oddychać zbyt głośno, żeby nie zdradzić swej kryjówki.

Przez kilka minut panowała cisza wypełniona jedynie szelestem liści, gdy popołudniowy wiatr przelatywał przez ogromny sad. Wtem ktoś minął biegiem ich drzewo, uderzając ciężko stopami o miękką ziemię. Jesse wyteżyła wzrok, kierując go w stronę dobiegających dźwięków. Chciała dowiedzieć się, kto to, ale przez liście nie dostrzegła nic oprócz mignięcia koszuli. Odgłosy kroków umilkły i do uszu Jesse i Todda znów dochodził tylko szelest liści.

Odwróciła się do Todda. Siedział, opierając głowę o pień drzewa, z twarzą zlaną potem. Co kilka sekund krzywił się z bólu, który przenikał jego ciało.

- Muszę zabrać cię do szpitala - szepnęła.

Szczęka opadła mu nisko.

- Nie wiem, czy mógłbym wstać, a co dopiero wrócić do samochodu.
- Nie możesz tu zostać.
- Ludzie ze sklepu musieli widzieć, co się stało. Na pewno zadzwonili po policję.

Ten facet nie może...

Nagle zakryła mu usta dłonią i przyłożyła palec do ust. Kiwnął powoli głową i Jesse odsunęła rękę.

Przez chwilę nic nie widziała, ale później dostrzegła przez zasłonę z liści, że ktoś kręci się wokół drzewa. Przez jedną szczelinę ujrzała kawałek białej koszuli, przez inną, bliżej ziemi, kawałek buta. Wstrzymała oddech. Zrozumiała, że to śmierć. Wtedy postać zniknęła. Jesse nie dostrzegła żadnego ruchu, nie słyszała żadnych dźwięków. Wciąż jednak wstrzymywała oddech, nie mogąc uwierzyć, że po raz drugi wymknęli się mordercy.

Minęło trzydzieści sekund, zanim zrobiła długi wydech. W tej chwili gałęzie rozsunały się i między liśćmi pojawiła się twarz, ręce i tors Gordona Rotha. Odruchowo Jesse przysunęła się do pnia. Próbowwała odwrócić wzrok, ale nie mogła. Była jak zahipnotyzowana jego potwornym uśmiechem i przez chwilę, która wydawała się wiecznością, wpatrywali się w siebie. Roth powoli podniósł broń, wycelował i pociągnął za cyngiel. Gdy strzelał, Jesse odwróciła się, zamknęła oczy i zakryła twarz rękami, spodziewając się straszliwego bólu.

Usłyszała huk, ale nic nie poczuła. Kula chybiła, trafiając w pień drzewa tuż nad jej głowę, rozłupując drewno i zasypując ją deszczem drzazg. Otworzyła oczy i ze zdumieniem skonstatowała, że Roth nie wpatruje się w nią przez gałęzie. Zniknął. Wtedy usłyszała w pobliżu zaciekłą szamotaninę i kilka szybko następujących po sobie strzałów. Kule przebijały liście wokół nich i Jesse przywarła płasko do gołej ziemi.

Niemądrze. Nie mogli tam zostać. Jesse pomogła Toddowi wstać i wyciągnęła go, odchylając grube gałęzie po drugiej stronie drzewa. Razem przebili się głową przez zasłonę liści, upadli ciężko na ziemię, lecz zaraz zerwali się na nogi i rzucili do ucieczki, gdy padły dalsze dwa strzały. Mijali kolejne drzewa, nie wiedząc, skąd i dokąd biegać, pragnęli jedynie zwiększyć odległość między nimi i mordercą.

Nagle znaleźli się z powrotem przy kamiennym ogrodzeniu, które przesadzili i pobiegli po żwirze w stronę wypożyczonego samochodu. Jesse wskoczyła za kierownicę, wcisnęła kluczyk do stacyjki i włączyła silnik, zaś Todd padł na fotel pasażera. Prawa strona jego ciała była bezwładna i nie mógł zamknąć drzwi. Jesse musiała zrobić to za niego, wyciągając rękę przez fotel pasażera.

W tej chwili Gordon Roth przeskoczył kamienne ogrodzenie i zaczął biec w ich stronę.

- O Jezusie, tam jest! - Todd z ledwością wydusił z siebie ostrzeżenie, wskazując Rotha lewą ręką. - Ale nie widzę broni.

Jesse wdepnęła pedał gazu i aż nimi zarzuciło, gdy ruszyli po zwirowej nawierzchni w stronę głównej drogi. Gdy opony zetknęły się z asfaltem, Roth dobiegał już od samochodu i dopadł otwartej szyby po stronie Jesse. Chwycił jedną ręką za klamkę, a drugą wczepił się w jej włosy. Jesse uderzyła policzkiem o drzwi i ból przeszył jej

głowę, ale nie zdejmowała stopy z pedału gazu. Wóz skręcił w stronę parkingu, ocierając się o kilka dużych kamieni, które służyły jako barierki. Wreszcie Roth odpadł od samochodu, gdyż kamienie darły mu ubranie i raniły ciało.

- Cholera! - zawołał Todd.

- Co?! - zawołała, skręcając kierownicę w prawo, żeby uniknąć zderzenia z nadjeżdżającym z przeciwka samochodem. Todd siedział odwrócony, patrząc na tylne siedzenie. - Co takiego?

Todd odwrócił się do przodu. Pokręcił głową, po czym chwycił się za klatkę piersiową i zgiął wzdłuż.

- Nic, Jess. Zawieź mnie do szpitala - jęknął. - Ja chyba...

Ale nie dokończył. Utrata krwi i ostry ból w końcu pokonały go. Stracił przytomność i osunął się na drzwi.

34.

Jesse siedziała przy łóżku z pochyloną głową, przytulając bezwładną dłoń Todda do policzka i gładząc go po palcach. Kula zabójcy drasnęła jego prawe płuco, wywołując poważny krwotok wewnętrzny i lekarze z sali przyjęć postanowili operować go natychmiast.

- Jesse!

Jesse obróciła się na krześle. W drzwiach stał David Mitchell. Natychmiast zerwała się na równe nogi.

- Na miły Bóg, Davidzie, zacznę krzyczeć. Za dwie sekundy zbiegną się tu wszyscy lekarze i pielęgniarki.

- Nie zrobię ci krzywdy. - Podniósł ręce nad głowę, okazując tym gestem, że ma przyjazne zamiary i pozostał w drzwiach. - Obiecuję.

- Jak mnie znalazłeś?

- To proste. To jest najbliższy szpital w okolicy. Wiedziałem, że przywieziesz tu Todda. Jestem przecież z Baltimore, pamiętasz? Sprawdziłem nazwiska przyjętych pacjentów i oczywiście znalazłem na liście nazwisko Todda Coltona. - David spojrział na Todda. - Widziałem, jak oberwał. W jakim jest stanie?

- Za kilka minut ma operację. - Zmrużyła oczy. - Davidzie, oszukałeś mnie. To moja wina. Pozwoliłam na to. Wierzyłam, że nie możesz zrobić mi czegoś takiego. Że w głębi ducha zależy ci na mnie. Że nie stoisz za tym wszystkim. Pozwoliłam się ponieść emocjom i z tego powodu wpadłam prosto w pułapkę zastawioną w Dolinie Worthington. - Pokręciła głową. - Czy to kolejna pułapka, Davidzie? Czy ten twój kolega-rewolwerowiec czeka na zewnątrz? Czy za sekundę pojawi się w drzwiach, wyceluje i skończy raz na zawsze ze mną i z Toddem?

- Nie - odparł cicho David. - Jesse, mam ci dużo do powiedzenia i niewiele czasu.

- Co masz na myśli? - Dotknęła policzka i skrzywiła się. Był spuchnięty i obolały po tym, gdy Roth chwycił ją za włosy i przyciągnął jej twarz do drzwiczek samochodu.

- Niedługo zjawi się tu ten facet, który zranił Todda.

- No jasne, zaraz pewnie po niego zadzwonisz. Zapewne rozdzieliliście się, żeby szybciej sprawdzić wszystkie szpitale w okolicy. Ułatwię ci zadanie. Telefony wiszą na korytarzu. - Usiadła z powrotem na krześle.

- Jesse, posłuchaj mnie! - David zrobił krok w jej stronę, lecz zatrzymał się, widząc reakcję dziewczyny. Zazgrzytał zębami ze zniecierpliwienia. - Szpital musi natychmiast zawiadomić policję o wszystkich pacjentach, których przyjmuje z ranami postrzałowymi. - Mówił niskim, spokojnym głosem. - Zaraz tu będą. - Musiała go wysłuchać, to była jego ostatnia szansa. - Jesse, odbyła się moja inicjacja.

- Co ty wygadujesz?

- Zostałem oficjalnie przyjęty do sprzysiężenia. Webb, Mohler i jeszcze jeden człowiek, który nazywa się Jack Finnerty, potwierdzili niedawno wszystkie moje podejrzenia. O tym, że Webb dostarcza Sagamore poufne informacje. O tym, że Coleman ma być następcą Webba w Senacie i że manipulują wyborami. Powiedzieli mi o wszystkim. - David zrobił przerwę. - I dali mi dwa miliony dolarów. - Pokręcił głową. Kwota netto znajdowała się już na jego koncie.

- Wiedziałam, że można cię kupić. - Jesse nie przestawała gładzić Todda po dłoni. - Dlatego pomogłeś im mnie wytopić i dlatego nie wyjawiałeś wszystkiego władzom. Bo uczynili cię bogatym. A to dla ciebie najważniejsza rzecz na świecie.

- Mylisz się, Jesse. Słuchaj, mógłbym trafić do więzienia za kradzież znacznej sumy pieniędzy z Doub Steel. Nie zrobiłem tego. Wrobili mnie. Ale ciężko byłoby mi udowodnić, że jestem niewinny.

- Jasne, że jesteś niewinny.

- Mówię poważnie! - zawołał David.

- Czemu mi to wszystko mówisz?

- Bo chcę, żebyś zrozumiała, w jak trudnej jestem sytuacji. Bo potrzebuję twojej pomocy.

Jesse odłożyła delikatnie bezwładną rękę Todda na łóżko i obróciła się na krzesło twarzą do Davida.

- Jesteś niesamowity, Davidzie Mitchell. - Ledwo mogła mówić. - Żeby ratować własną skórę, przekazałeś im intymne szczegóły na mój temat. Coś, co ukrywałam przed światem od czasu, gdy miałam siedemnaście lat. Coś, co unieszczęśliwi moją matkę, gdy się o tym dowie. A teraz potrzebujesz mojej pomocy. - Jesse splótła dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie.

- Wszystkie informacje o aborcji mam ja, Jesse.

Skierowała na niego wzrok.

- Wszystkie. Mam teczkę z biura Rebeci Saunders i informacje z Edgewood General. Są w moim samochodzie. Bezpieczne. Dlatego zadzwoniłem do ciebie rano. Żeby ci powiedzieć, że mam wszystko. Mohler zostawił papiery w swoim biurku. Dlatego chciałem spotkać się z tobą przy sklepie. Żeby ci je przekazać. Nikt nigdy nie dowie się o gwałcie i aborcji.

Jesse powoli otwierała usta.

- A morderca?

David pokręcił głową.

- Nie wiem, jak cię znaleźli. Nie...

- Znaleźli mnie, bo powiedziałaś, gdzie mnie szukać - przerwała mu gwałtownie.
- Mylisz się, Jesse. Nie współpracowałem z nimi. Nigdy. Stwarzałem tylko pozory, żeby ci pomóc. Nigdy nie naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Naraziłem siebie, żeby ratować ciebie. A jak sądzisz, dlaczego facet, który do ciebie mierzył, chybił, gdy siedzieliście z Toddem pod tym drzewem? Chryste, ledwie uszedłem z życiem, próbując wyrwać mu broń.

- To byłeś ty? - Znów wstała.

- A niby kto?

- Ale co się stało?

- Widziałem, jak się pochylał przy tym drzewie i wiedziałem, że chodzi mu o ciebie. Więc rzuciłem się na niego i zaczęliśmy się szamotać. Próbowałem wyrwać mu broń, a kiedy udało mi się położyć palec na spuście, naciskałem go, żeby opróżnić magazynek. Gdy był już pusty, wyrwałem mu się i zacząłem biec.

- Dlatego nie miał broni, gdy wiozłam Todda do szpitala.

David kiwnął głową.

- Ale doprowadziłeś ich do Becky Saunders i Edgewood General. - Jej głos znów przybrał oschły ton.

- Nie. Wprawdzie zdobyłem informacje z biura Becky, ale po to, żeby cię chronić. Przyznaję, byłem ciekaw, dlaczego korzystasz z profesjonalnej pomocy. Ale nie chciałem wykorzystać tych informacji przeciw tobie.

- Więc po co ci były informacje ze szpitala?

- To nie ja ich szukałem, Jesse.

- To byłem ja - wydyszał Todd.

Jesse odwróciła się przerażona w stronę Todda.

- Przepraszam, Jess. - Todd miał trudności z mówieniem.

- Todd? Nie!

- Byłem bardzo zadłużony u pewnych ludzi - wyszeptał. - Nie mogłem zdobyć tych pieniędzy. A oni zajęli się tą sprawą. Zaproponowali mi ochronę przed tymi, którym byłem winien pieniądze. Ale pod warunkiem, że będę z nimi współpracował. - Todd próbował podnieść się, ale na próżno. - Powiedzieli mi, że w zamian za ochronę chcą pewnych informacji. Informacji, które mogli wykorzystać przeciw tobie. Chcieli też zwrotu materiałów, które zebrałaś na ich temat. Dałem im więc to, czego ode mnie chcieli. Byłem zdesperowany. I obiecano mi, że nikomu nie stanie się krzywda. - Zaciśnął mocno powieki. - I wtedy ten facet przy sklepie zaczął strzelać. Strzelać do mnie. Okłamali mnie. - Pokręcił głową.

- Nie wierzę. Jak ci się udało wszystko zdobyć?

- Przekupiłem pielęgniarkę w szpitalu. - Głos Todda stał się prawie niesłyszalny.

- Wziąłem też materiały z torby z szafy w domu twojej matki. Wiedziałem, że je tam schowałaś, bo śledziłem cię po naszym włamaniu do LFA. Po naszym rozstaniu na parking.

- A więc to ty masz wszystkie dokumenty, które schowałam w szafie? - Jesse nie posiadała się ze zdumienia.

- Miałem - przyznał Todd. - Leżały w torbie na tylnym siedzeniu twojego samochodu, gdy dojechaliśmy do sklepu, lecz ktoś je zdążył zabrać podczas naszej ucieczki. Wydaje mi się, że to ten facet, który do nas strzelał, jakoś je wykradł.

- Zaatakowałaś moją matkę? - Głos Jesse zaczął drżeć.

- Nie zaatakowałem jej, ja...

- Mogłeś ją wystraszyć na śmierć. Jak mogłeś mi to zrobić? Po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy? Po tylu latach znajomości? - Była tak rozgniewana, że z trudnością mówiła. - A ja ryzykowałam dla ciebie życie. - Wyciągnęła rękę do Todda.

Lecz David doskoczył do niej i odciągnął ją od łóżka.

- Puść mnie! - krzyknęła.

- Nie! Zapomnij o nim. Musisz stąd uciekać. Mówię ci, musisz wezwać policję. Potrzebujesz ochrony.

- Po co? Wszystko mi jedno. Nie mam żadnych dowodów ich winy. Policjanci tylko mnie wyśmieją.

David pociągnął ją w stronę drzwi.

- Popatrz.

Zaintrygowana, spojrzała na podłogę, gdzie wskazywał jego palec. U jej stóp leżała torba, którą Todd wrzucił na tylne siedzenie samochodu przy motelu Towson Motor Inn. Torba, z czego zdawała sobie teraz sprawę, zawierająca dokumenty przedtem ukryte w domu jej matki.

- Ale jak to się stało?

- Wyciągnąłem ją z twojego samochodu, gdy razem z Toddem uciekłaś do sadu. Wiedziałem od Elizabeth, że Todd miał ją wczoraj zdobyć. Nie sądziłem, że Todd zostawi ją, ale gdy wszyscy biegniecie do sadu, rzuciłem okiem na tylne siedzenie samochodu. No i okazało się, że leżała tam.

Jesse objęła Davida i mocno go przytuliła.

- Bardzo się myliłam co do ciebie, Davidzie. Wybaczysz mi?

- Jeśli odpowiednio mnie poprosisz - oświadczył przebiegle, obejmując ją.

- Przepraszam. - W drzwiach stanął lekarz. - Musimy natychmiast zabrać pana Coltona na salę operacyjną.

- Oczywiście, panie doktorze. - Jesse odciągnęła Davida, żeby zrobić miejsce dla personelu medycznego. - Co teraz?

- Idziemy na policję.

Jesse pokręciła głową.

- I co im powiemy? Że Carter Webb, jeden z najbardziej szanowanych i wpływowych ludzi w kraju, jest zamieszany w wielomilionową aferę korupcyjną? Policjanci i agenci FBI tylko nas wyśmieją.

David wskazał na leżącą na podłodze torbę.

- Przecież mamy informacje, które zebrałaś.

- Władzom zajmie trochę czasu, sprawdzenie wszystkiego. Upłyną dni, a może nawet tygodnie. A tymczasem my zginiemy.

- Dadzą nam ochronę.

Jesse przewróciła oczami.

- Myślisz, że Webb nie zdoła się z nami rozprawić? Naprawdę czułbyś się bezpieczny?

David zasepił się.

- Chyba nie. Nie możemy nikomu zaufać.

Nagle Jesse strzeliła palcami.

- Wiem, do kogo się zwrócić!

- Do kogo?

- Chodź! - zawołała, wychodząc na długi korytarz.

David podniósł torbę z cennymi dokumentami i pobiegł za Jesse. Dogonił ją przy drzwiach wejściowych do szpitala. - Gdzie jedziemy?

- Do Waszyngtonu.

- Weźmy mój samochód - zawołał, gdy wbiegli truchtem na parking.

- Dobra.

- Stoi tam. - Wskazał na czarne bmw.

Gdy dotarli do samochodu, David zwolnił.

- Niech to diabli.

- Co się stało?

- Ktoś otworzył bagażnik. - Podeszedł do bmw od tyłu i podniósł klapę. - Zniknęły informacje z biura Becky i ze szpitala - oznajmił strapiionym głosem, zaglądając do środka.

- Co! - Jesse natychmiast zrobiła się podejrzliwa. - Nie rób mi tego, David - poprosiła błagalnym tonem, rozglądając się po parkingu w oczekiwaniu kolejnych kłopotów.

- Przestań, Jesse. - Wiedział, co sobie myślała. - Nie słyszałaś, co przed chwilą powiedział Todd? - David wskazał kciukiem na szpital. - Zabrał informacje z Edgewood General i wykrał materiały dotyczące Webba i całej reszty z domu twojej matki. Musisz mi wreszcie zaufać. - David przesunął palcem po plamie na masce samochodu.

- Krew - wymamrotał pod nosem.

- Co? - Była zdenerwowana do najwyższego stopnia.

- Mówiłaś coś o tym, że morderca nie miał broni, gdy uciekaliście spod sklepu.

Jak to dokładnie było?

- Gdy odjeżdżałam, ten zbir wybiegł z sadu i próbował mnie zatrzymać. Wepchnął nawet rękę do samochodu i chwycił mnie za włosy. Wdepnęłam na gaz i pozbyłam się go. Na szczęście nie miał broni.

David kiwnął głową.

- Pewnie jest ranny. Stąd krew. - David wskazał na klapę bagażnika. Myślę, że po waszej ucieczce przeszukał mój samochód.

- Więc czemu nie zabrał drugiej torby? - zapytała nieufnie. - Co tam dźwigasz na ramieniu?

- Bo gdy zabrałem ją z tylnego siedzenia twojego samochodu, nie miałem czasu, żeby dobiec do mojego wozu. Musiałem mieć was na oku. Jak pamiętasz, wszystko

działo się bardzo szybko. - Był poirytowany. Wciąż mu nie wierzyła. - Więc przerzuciłem ją przez ogrodzenie i wróciłem po nią, gdy byłem pewien, że Roth odszedł.

Jesse rozejrzała się.

- Może zabrał to przed chwilą? - Ruchem głowy wskazała bagażnik.

- Na pewno nie. Postarałem się, żeby nikt mnie nie śledził.

Na kilka sekund zapadło milczenie.

Wreszcie Jesse pokręciła głową.

- Więc po tym wszystkim Webb i Mohler nadal mają informacje o mojej aborcji i matka dowie się o tym.

- Nie wiadomo.

- Jak to?

- Wsiadaj. Mam pewien pomysł.

35.

Johnny Antolini wręczył Jesse szklanekę wody.

- Proszę.
- Dziękuję. - Bardzo chciało jej się pić, więc szybko wychyliła zawartość szklan-
ki.

- Może jeszcze?
- Nie, dziękuję.
- Johnny, możesz zadzwonić do swych ludzi i dowiedzieć się, czy pieniądze już
wplynęły? - zapytał David niecierpliwie. - Pieniądze mogą być przesłane w każdej
chwili.

- Uspokój się. - Johnny zaczął tracić cierpliwość. Zrobił wszystko, o co prosił go
David: otworzył rachunek dla Jesse Hayes w First Maryland Trust bez jej obecności w
banku, koniecznej do potwierdzenia tożsamości; poinstruował swych ludzi w dziale
przelewów, żeby co pięć minut sprawdzali stan jej konta: następnie wyszedł z pracy,
przyjął ich w swym mieszkaniu i pozwolił im się w nim ukryć. Bez zadawania żadnych
pytań. Zrobił to wszystko, a David wciąż wydawał mu polecenia. - Zadzwonią, gdy
przelew nadejdzie.

- Musimy dowiedzieć się o tym w tej samej minucie - nalegał David.
- Spokojnie. - Jesse wyciągnęła rękę i położyła dłoń na kolanie Davida. - Johnny
tyle już dla nas zrobił. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Wciąż nie rozumiem, po co
zmuszaliśmy ich do przesłania tych pieniędzy.

- Bo... - Ale David nie dokończył.
- Nie chcę niczego wiedzieć - przerwał mu Johnny. Wstał i ruszył w stronę kuch-
ni w swoim małym mieszkanku.

Gdy Johnny zniknął w korytarzu, David wziął Jesse za rękę.

- Bo pieniądze są jedyną rzeczą, którą oni rozumieją. Za dwa miliony dolarów i
zwrot dokumentów ze szpitala zgodziłaś się na dożywotnie zatrudnienie w Sagamore.
Postanowili przyznać ci to wszystko w zamian za informacje, które zebrałaś na ich
temat. Trzeba dokładnie przestrzegać wynegocjowanych warunków. Gdybyś pojawiła
się przed zainkasowaniem tej sumy, byłiby podejrzliwi.

Gdy David skończył, zadzwonił telefon. Słyszeli, że Johnny rozpoczął rozmowę,
lecz nie słyszeli, czego dotyczy.

Kilka chwil później wyłonił się z kuchni.

- Są pieniądze - oznajmił cicho.

Gdy narkoza wreszcie przestała działać, Todd otworzył oczy. Zoperowali mu płuco i choć rekonwalescencja miała potrwać kilka miesięcy, spodziewano się, że w pełni odzyska zdrowie. Jęknął, gdyż poczuł nudności i ból.

- Tylko mi tu nie marudzić. - Pielęgniarka uśmiechnęła się do niego.

Zdobył się na słaby uśmiech.

- Łatwo pani mówić. To nie pani ma podziurawione płuco.

- No chyba tak. - Pielęgniarka spojrzała na staruszka, który leżał na sąsiednim łóżku. Właśnie przeszedł operację krtani i jeszcze przez kilka godzin miał pozostać nieprzytomny.

Pochyliła się szybko i z torby, którą ukradkiem wniosła na salę, wyciągnęła mały pistolet kaliber 22. Przykręciła do lufy tłumik, owinęła wokół niego gruby ręcznik, wyprostowała się, wycelowała w głowę Todda i oddała trzy strzały z bliskiej odległości.

Zginął na miejscu.

- To za Harry'ego - wyszeptła, wrzucając pistolet z powrotem do torby. Zasunęła suwak i spokojnie opuściła salę.

36.

Boję się. - Jesse ścisnęła mocno prawą rękę Davida, gdy ich bmw toczyło się długim podjazdem prowadzącym do posiadłości Jacka Finnerty'ego w Middleburg.

- Wcale ci się nie dziwię. - David zwolnił nieco, zataczając koło przed wejściem do rezydencji. - Ja też się boję.

- Przestań - poprosiła go. Spojrzała na ogromny dom i stajnie. - Boże, co za widok.

- Tak to jest, gdy się ma pieniądze - westchnął David. - Wyobraź sobie, że ten budynek jest tylko domem dla gości, a główna rezydencja znajduje się tam. - Wskazał na odległą o kilometr rozległą budowlę na wzgórzu. - Finnerty powiedział mi, że jego dom ma ponad dwieście lat. A główna rezydencja na wzgórzu prawie trzysta. - Podczas jazdy samochodem z Waszyngtonu David wyjaśnił Jesse rolę Finnerty'ego w sprzysiężeniu. - Jesteśmy na miejscu. - David zatrzymał bmw przed chodnikiem prowadzącym do głównego wejścia.

Przez kilka chwil siedzieli w samochodzie, przyglądając się w milczeniu ogromnej budowli. Wreszcie Jesse sięgnęła do klamki.

- Czas na nas - oznajmiła z determinacją. - Chcę jak najszybciej odzyskać dokumenty ze szpitala.

- Tak. - David otworzył drzwi i wysunął się zza kierownicy. - Pamiętaj, Jesse - szepnął nad dachem samochodu, gdy ona wysiadła z drugiej strony. - Gdy tylko dostaniesz dokumenty, padnij.

- Nie bój się. Rozplaszczę się na podłodze tak, że po wszystkim będą mnie musieli zeszkrobywać szpachelką.

- Świetnie. - Przeszedł na tył samochodu i wskazał dyskretnie na bagażnik, zamknięty teraz za pomocą sznurka. Poprzedniego dnia przy wiejskim sklepie Gordon Roth wyłamał zamek w poszukiwaniu dokumentów ze szpitala.

Jesse nie zauważyła gestu Davida. Nie widziała też Gordona Rotha, który stał za rogiem budynku stajni.

- Gotowa? - zapytał David, zbliżając się do niej.

- Nie - odparła szczerze. - Ale to chyba nie ma żadnego znaczenia.

- Chyba nie. - Uśmiechnął się do niej, żeby dodać otuchy. - Wszystko będzie w porządku.

Powoli podeszli chodnikiem do białych dwuskrzydłowych drzwi.

Gdy weszli do środka, Roth opuścił swą kryjówkę i podbiegł w stronę bmw. Mitchell dał mu do zrozumienia, że zostawi informacje zebrane przez Jesse Hayes w bagażniku. Miał ją przekonać, żeby nie zabierała ich ze sobą, dopóki nie odzyska dokumentów ze szpitala. Roth biegł po równo przystrzyżonym trawniku z uśmiechem na twarzy. Polecenia Webba były jasne. Po zabraniu dokumentów miał od razu wejść do domu, zabić Jesse Hayes i pozbyć się ciała gdzieś w górach Shenandoah. Wtedy życie w Sagamore wróci do normy.

- Witam, panno Hayes. - Senator Webb wypowiedział pozdrowienie spokojnym głosem, gdy Jesse i David weszli do dużego salonu. Webb stał przed wielkim kamiennym kominkiem, który zdominował północną ścianę pokoju. - Co za przyjemność spotkać wreszcie kobietę, która przez ostatnie kilka tygodni tak bardzo zatruwała mi życie - oświadczył sarkastycznie.

Jesse milczała.

Na lewo od Webba stał Art Mohler, a po jego prawicy zajął miejsce rudowłosy mężczyzna. Jesse doszła do wniosku, że jest nim Finnerty.

Webb zwrócił się do Mohlera:

- Gdzie jest Elizabeth?
- Nie wiem. Była tu jeszcze minutę temu.
- Znaleźć ją. Natychmiast.,
- OK. - Mohler wyszedł posłusznie z salonu.

Webb spojrzął na Davida.

- Masz dokumenty?
- Są w bagażniku. - Zawahał się przez chwilę. - Tak jak ustaliliśmy.

Jesse błyskawicznie odwróciła się do Davida.

- Co!

Roth błyskawicznie wydobył zza pasa nóż i przeciął sznurek, który przytrzymywał pokrywę bagażnika. Jeszcze tylko kilka sekund. Gwałtownym ruchem otworzył bagażnik.

Gdy pokrywa uniosła się, z bagażnika wyłonił się agent FBI. Natychmiast przystawił do twarzy Rotha pistolet glock 17.

- Niech ci nie drgnie nawet powieka, koleś.

Roth zamarł na chwilę, nie mogąc uwierzyć swym oczom. Twarz agenta rozmazała się, gdy ciśnienie Rotha podskoczyło gwałtownie, a w głowie poczuł pustkę. Lecz po krótkiej chwili przyszedł do siebie i wrócił pamięcią do umowy, którą zawarł z samym sobą na samym początku: nigdy nie daj się wziąć żywcem. Rzucił się na agenta.

Lecz agent też zawarł ze sobą umowę: nigdy się nie wahaj. I opróżnił magazynek pistoletu, celując w pierś Rotha.

Roth zatoczył się, pochylił na bok i padł martwy na podjazd.

- Mogę dostać dokumenty ze szpitala? - Jesse zapytała po raz drugi.
- Są tam, na kominku. - Webb wskazał za siebie. - Proszę sobie wziąć...

- Nie mogę znaleźć Elizabeth - wtrącił się Mohler, wkraczając do salonu. - Szukałem jej wszędzie.

Webb zmrużył oczy. Coś tu nie grało. Wyrzwał przez okno w głębi salonu i ujrzał sylwetkę w granatowej kurtce, która schowała się za drzewem.

- Jack! Alarm! - Był to umówiony sygnał, którego Webb i Finnerty mieli nadzieję nigdy nie użyć.

Finnerty natychmiast wyciągnął zza pazuchy pistolet kaliber 38, wymierzył w Mohlera i strzelił. Mohler padł jak długi z dziuraw skroni, z której wyciekała krew.

Finnerty wymierzył następnie w Davida i strzelił. Kula przebiła mu lewe ramię i David przetoczył się przez kanapę. Szybko wstał i chwiejnym krokiem usiłował dostać się do jadalni.

Webb usłyszał dobiegające z zewnątrz okrzyki agentów FBI, którzy na dźwięk strzałów opuścili swe kryjówki i pobiegli w stronę domu.

- Do diabła z Mitchellem - krzyknął Webb do Finnerty'ego, który ruszył za Davidem, żeby go dobić.

- Bierz tę Hayes i wynośmy się stąd!

Finnerty odwrócił się i chwycił Jesse brutalnie za kark.

- Idziemy! - warknął, popychając ją w stronę kuchni, a następnie do dużej spiżarni. Gdy cała trójka znalazła się w spiżarni, Finnerty zatrzaskał drzwi, stanął przed rzędem półek i pchnął ścianę.

Ku zdumieniu Jesse półki rozstały się, ukazując schody.

Finnerty wskazał jej pistoletem, żeby zaczęła schodzić.

- Nie bój się. To część starego tunelu kolejowego, który podczas wojny secesyjnej służył do przemykania niewolników z południowych stanów. Bardzo o niego dbałem. - Nie przestając mierzyć pistoletem w Jesse, zdjął z jednej z półek latarkę i podał ją Webbowi.

Webb włączył ją, oświetlając schody i tunel na ich końcu, który był na tyle wysoki, że mogli swobodnie się w nim wyprostować.

- Schodź! - krzyknął Webb do Jesse.

Niepewnym krokiem zeszła schodami do tunelu. W jej ślady poszedł Webb, a za nim Finnerty, który zamknął ruchomą ścianę.

- Nigdy nas nie znajdą, Carter.

- Mam taką nadzieję.

Wszyscy troje ruszyli dalej, oświetlając sobie drogę latarką.

- Gdzie się kończy tunel, Jack? - zapytał Webb.

- Przy starej leśnej drodze, jakiś kilometr stąd - odpowiedział Finnerty. - Tam już czeka na nas jeep.

Webb zaśmiał się w duchu. Przez chwilę czuł, że ogarnia go panika. Ale jak mógł zwątpić w Finnerty'ego. Można było zawsze na niego liczyć. Webb spojrzął na Jesse, gdy szybko posuwali się do przodu.

- Musiałaś koniecznie wszystko wypaplać - oświadczył z wyrzutem. - Nie mogłaś usiedzieć spokojnie, co?

Nic nie odpowiedziała, koncentrując się na planach ucieczki. Przecież nie puszcza jej wolno. To było oczywiste. Pewnie zamierzali ją zabić. Przełknęła ślinę. Mogli zastrzelić ją w tunelu albo wywieźć samochodem. A kiedy znajdą się odpowiednio daleko, wtedy ją zastrzelą. Ale Jesse nie zamierzała się poddawać.

- Naprawdę myślałaś, że nas pokonasz? - roześmiał się Webb.

- Ja...

- Stać! Odlóż broń, Jack! - Przed nimi stała w tunelu Elizabeth Gilman, trzymając mały rewolwer. Choć obejmowała rękojeść mocno oburącz, lufa jednak się trzęsła. - Odlóż broń! - krzyknęła powtórnie. - Bo zastrzelę cię na miejscu. Przysięgam. - Po policzkach spływały jej łzy.

- Spokojnie, Elizabeth - odezwał się łagodnie Webb. - Jack, odlóż broń.

Finnerty rzucił pistolet na ziemię.

- Jak się tu dostałaś? - zapytał Webb łodowatym głosem.

- Podслуchałam kiedyś waszą rozmowę o tunelu, gdy byliśmy tu wszyscy. Widziałam, jak weszliście do spiżarni i poszłam za wami. Ponieważ w spiżarni nikogo nie znalazłam, uznałam, że jedna ze ścian musi być ruchoma. Później w nocy po waszym powrocie sprawdziłam to. - Rozejrzała się dookoła. - Miałam rację.

- To ty spotkałaś się z Neilem Robinsonem. - Oczy Webba miały błyskawice. - To przez ciebie Robinson zaczął interesować się kampanią Elbridge'a Colemana. Tak było, Elizabeth?

Kiwnęła głową.

- Nie mogłam tego dłużej znieść, Carter - wyznała chrapliwym szeptem. - Nie mogłam znieść tego, co robiliśmy. Tych kłamstw. Tych oszustw. Tego, co robił dla nas Gordon Roth. To było chore. - Przerwała na chwilę. - Nie mogłam też znieść okazywania ci wdzięczności.

Jesse otworzyła szerzej oczy.

- Dlaczego teraz? - zapytał Finnerty z zaciśniętymi zębami.

- Ona umiera - odparł Webb, a na jego twarzy zagościł słaby uśmiech. - Ma tylko kilka miesięcy życia. Rak płuc, prawda Elizabeth?

- Tak. Skąd wiesz?

- Kazałem Rothowi włączyć się do gabinetu twojego lekarza i sprawdzić karty chorych. W końcu zrozumiałem, skąd ten kaszel. Śmieszne, jak perspektywa rychłej śmierci potrafi oczyścić duszę - warknął Webb. - Jakież to heroiczne. To, że się od nas odcięłaś. Ale zachowałaś się jak tchórz. Przekazałaś Robinsonowi tylko tyle, żeby naprowadzić go na trop. Wiedziałaś, że rozpracowanie wszystkiego zajmie mu sporo czasu. Liczyłaś na to, że gdy nastąpi krach, ciebie już nie będzie między nami.

- Dziwisz mi się? - W jej głosie nie słyhać było żalu.

- Ale my dowiedzieliśmy się o Robinsonie - kontynuował Webb. - A wtedy wmieszała się ona. - Wskazał na Jesse. - I wszystko wymknęło się spod kontroli, tak?

- Tak - odparła cicho.

- Musiałaś się nią zaopiekować.

- Tak.
- To ty wczoraj zatelefonowałaś do niej do motelu, gdy myśleliśmy, że już ją mamy.
- Tak.
- Webb pokręcił głową.
- Korzystałaś z sukcesu, jaki zapewniłem Sagamore. Z pieniędzy, z nagród. Jesteś hipokrytką, Elizabeth. Cholerną hipokrytką!
- Podejdz do mnie, Jesse. - Elizabeth wydała polecenie, ignorując inwektywy Webba.
- Jesse rzuciła się w stronę Elizabeth.
- Zaraz stąd...
- Ale zanim zdążyła dokończyć, Webb zgasił latarkę i w tunelu zrobiło się ciemno jak w grobie.

W tym czasie do rezydencji Finnerty'ego przez wszystkie możliwe wejścia napływali agenci FBI, rozbiegając się po zakamarkach przestronnej budowli. Gdy ich dowódca dał sygnał, że rezydencja została zabezpieczona, chodniczkim ruszył w stronę wejścia senator Walker w asyście pięciu agentów. W salonie znalazł martwe ciało Arta Mohlera, a na kanapie leżał rozciągnięty David Mitchell z zakrwawioną niebieską koszulą i szarą kopertą na kolanach.

- Co, do diabła, się stało? - Walker zażądał wyjaśnień od dowódcy.
- Ja...
- Webb dostrzegł kogoś za oknem - wtrącił się Mitchell ledwo słyszalnym głosem. Spojrzał na agenta. - Gdzie Jesse? I Webb z Finnertym?
- Agent pokręcił głową.
- Nie wiem. Nie ma ich w domu.
- Co? - zapytał gniewnie David. - Przecież się nie rozplynęli w powietrzu. Przecież otoczyliście posiadłość.
- Z domu nikt nie wyszedł - zapewnił Davida agent. - Ale w domu też ich nie ma. Szukaliśmy wszędzie. Sprowadzamy psy, ale to trochę potrwa.
- Cholera! - zaklął Walker. - Wiedziałem, że powinniśmy inaczej to rozegrać. - Podniósł ze stołu koło kanapy zdjęcie i wrzucił je do kominka. Wskazał na Davida. - Gdy przyszlście do mnie wczoraj i zaproponowaliście ten plan, wiedziałem, że się nie uda. Wiedziałem, że powinniśmy po prostu zdać się na FBI, żeby zgarnęli tych ludzi.
- Nie - odparł cicho David. - Jesse chciała jeszcze odzyskać to. - Ruchem głowy wskazał na teczkę ze szpitala, która leżała mu na kolanach. - Bała się, że zginie w zamieszaniu.
- Żadnateczka nie może być tak ważna, żeby doprowadzić do tego wszystkiego - stwierdził Walker z zaszępiłą twarzą.
- Też tak myślałem - odparł David. - Ale myliłem się. Ta teczka miała dla niej największe znaczenie.

- Panie Mitchell, proponuję, żeby zabrać pana do szpitala. - Agent wskazał na zakrwawione ramię Davida.

David pokręcił głową.

- Nie dam się ruszyć, dopóki nie dowiem się, gdzie jest Jesse.

Gdy Elizabeth zaczęła strzelać w stronę Webba i Finnerty'ego, Jesse instynktownie przywarła do ziemi. Usłyszała krzyk jednego z mężczyzn, a następnie kilka głośnych strzałów, którym towarzyszyły błyski z pistoletu Finnerty'ego. Elizabeth osunęła się na ziemię z przestrelonym sercem.

Jesse zerwała się na równe nogi i zaczęła iść po omacku najszybciej, jak tylko mogła. Za sobą usłyszała jęki. Ktoś się podnosił. Wtedy padł strzał, później drugi. Kule przelatywały obok niej ze świstem, odbijając się od ścian i napełniając tunel złowrogim echem. Ile padło już strzałów z pistoletu Webba? Pięć czy sześć?

Wtem ujrzała przed sobą maleńki promień słabiutkiego światła. Przyspieszyła. Koniec tunelu był blisko. Nagle uderzyła piszczelem o drewniany stopień i krzyknęła z bólu. Ale nie było czasu na to, żeby przejmować się bólem. Słyszała, że ktoś za nią biegnie.

Szybko pokonywała stopnie, kierując się w stronę cienkiej smugi światła. Dotarła wreszcie do niewielkich podwójnych drzwi i wydostała się na zewnątrz, padając na grabą warstwę liści, które ścieliły się na ziemi. Kroki na schodach szybko się zbliżały. Podniosła się z trudem i popędziła w stronę oddalonego o sześć metrów jeepa.

- Stój, bo strzelam! - zawołał Webb, stojąc na ostatnim stopniu i ściskając w rękach pistolet Finnerty'ego.

Jesse znieruchomiała półtora metra od wozu.

- Cholera - szepnęła do samej siebie.

- Ręce do góry! - krzyknął Webb. Zbliżając się do Jesse, zdał sobie nagle sprawę, że być może ma broń Elizabeth.

Odwróciła się powoli z rękoma wysoko nad głową.

Webb zatrzymał się kilka kroków od niej, oddychając ciężko. Spojrzał na samochód.

- Zastanawiałem się, czy nie kazać ci prowadzić. - Zmrużył oczy. - Ale to byłoby głupie. Trzeba zawsze osobiście wszystko kontrolować. - Podniósł pistolet i wycelował w jej pierś.

Jesse zrozumiała, że Webb zaraz wystrzeli. Że nadszedł koniec. Rzuciła się na niego i z przerażeniem ujrzała, jak jego palec naciska spust i zwalnia się kurek. Lecz usłyszała tylko kliknięcie. Z lufy nic nie wystrzeliło. Magazynek był pusty.

Jesse w tym czasie dopadła Webba, a adrenalina przepływała przez jej ciało jak fala powodziowa przez zaporę. Powaliła go na ziemię, wytrąciła mu z ręki broń i legła na nim, przyciskając mu twarz do liści. Ale Webb był postawnym mężczyzną wciąż w dobrej formie pomimo swych lat, toteż zrzucił z siebie Jesse jak szmacianą lalkę. Podniósł się z trudem i chwiejnym krokiem ruszył w stronę jeepa.

Jesse podstawiła mu nogę i Webb się potknął i upadł. Znow się na niego rzuciła,

usiłując nie dać mu się podnieść. Nagle usłyszała psy, które złapały trop. Szczekając i ujadając, przedzierały się przez tunel, prowadząc agentów FBI do Webba.

Webb też usłyszał psią sforę. Jęknął, zrzucając z siebie raz jeszcze Jesse, która jednak uczepiła się jego nóg, gdy próbował wstać. Znow padł na ziemię. Oddychał teraz z trudem, walcząc ze zmęczeniem. Kopnął ją w twarz i na czworakach dotarł wreszcie do jeepa. Podniósł się i przez chwilę mocował z klamką.

Z tunelu wysypały się owczarki niemieckie jak lawa z głębi wulkanu. Agenci, który również wynurzyli się z ciemności, wykrzykiwali komendy i po chwili psy dopadły Webba, wyciągnęły go zza kierownicy, szarpiąc za ręce i nogi. Błagał o litość. Ostatni akt dramatu dobiegł końca

Epilog

David położył ręce na poręczy balustrady i zapatrzył się w turkusową wodę, która łagodnie i miarowo podmywała piaszczysty brzeg w południowym słońcu. Widok z pokoju na dziesiątym piętrze, którego okna wychodziły na Morze Karaibskie, był zniewalający.

- Carter Webb nie będzie już więcej rozdzielał kontraktów w ramach „czarnego budżetu”.

- Chyba nie - odpowiedziała miękko Jesse, delektując się widokiem spokojnego morza.

Webb, Coleman, Rhodes i Pierce: wszyscy za udział w spisku otrzymali wieloletnie wyroki. Ted Cowen powiesił się w celi, zanim doszło do procesu. Natomiast Finnerty zginął w tunelu; tak jak Elizabeth.

Jesse pokręciła głową.

- Wtedy w domu Finnerty'ego nieźle namąciłeś mi w głowie.

- Kiedy? - zapytał David.

- Gdy Webb wspomniał o zostawieniu teczki w bagażniku bmw.

- Ach tak.

- Przysięgam, David, przez chwilę pomyślałam...

- Chciałem tylko przekonać Webba, że współpracuję z nim.

- Najadłam się strachu.

Przez jakiś czas w ciszy wpatrywali się w morze.

- Jak tam twoja mama? - David położył rękę na dłoni Jesse, gładząc ją delikatnie po palcach.

Twarz Jesse rozpoznała się.

- Świetnie. Senator Walker znalazł dla niej cudowny dom opieki w Baltimore County. Przeprowadziła się w zeszłym tygodniu.

- Szybko. Procedura przyjęcia zwykle trwa bardzo długo.

Jesse próbowała stłumić uśmiech.

- Może użył trochę swych wpływów.

- Ach tak - odparł David, robiąc surową minę. - Prawda wyjdzie na jaw. - Na jego twarz wypląnął uśmiech. - Senator pewnie użył też swych wpływów, żeby znaleźć odpowiedni program rządowy, który to sfinansuje.

- Bez komentarza.

David pokręcił głową i roześmiał się głośno.

- No w końcu senator Walker zawdzięcza ci karierę, więc nic dziwnego, że chce ci teraz pomagać. Gdyby nie ty, przegrałby wybory.

- Chyba masz rację. - Wzięła Davida za rękę. - I gdyby nie ty.

- Ja tylko ci pomagałem. To ty odwaliłaś najcięższą robotę.

Jesse ścisnęła rękę Davida i roześmiała się.

- Co? - Twarz Davida przybrała zaintrygowany wyraz. - Co takiego?

- Przed przyjściem do twojego pokoju rozmawiałam przez telefon z senatorem Walkerem.

- I?

- Chce, żebym pomyślała o kandydowaniu podczas następnych wyborów do senatu stanu Maryland. Powiedział, że mogę liczyć na jego stu procentowe poparcie. Pomoże mi podczas kampanii i w ogóle. Sądzi, że mogę zrobić karierę w polityce. Ktoś z firmy konsultingowej wyjawiał mu, że świetnie wypadłam w telewizji podczas przesłuchań i procesu. - Roześmiała się w głos. - Wyobrażasz sobie? Ja i polityka?

- Owszem. Byłabyś świetna. Byłabyś jak powiew świeżego powietrza.

Odwrociła się do niego.

- Sama nie wiem. - Zrozumiała, że David nie żartuje i poczuła się nagle zażenowana. - Senator Walker przekazał mi informację, że GEA w tym tygodniu dostarcza marynarce wojennej pierwszą partię 50 samolotów A-100 - zmieniła temat. - Był rozczarowany.

David kiwnął głową.

- Nie wątpię.

Znów zamilkli, pogrążeni we własnych myślach.

- A co z tobą, Davidzie? - przerwała milczenie Jesse. - Co będziesz robił teraz, gdy cała afera dobiegła końca?

- Nie wiem. - David spojrział na horyzont. - W zamian za zeznania zdobyłem wolność, ale wątpię, czy ktoś będzie chciał mnie teraz zatrudnić. Oczywiście zatrzymałem swoje dwa miliony. - Spojrział na nią chytrze.

- Co? - Puściła jego rękę.

David pokiwał głową.

- Powiedziałem ci, że Sagamore wypłacił mi dwa miliony dolarów natychmiast po mojej inicjacji. Umowa była taka, że mogę je zatrzymać. Oczywiście po opodatkowaniu zostaje tylko milion.

Jesse zakryła usta dłońmi, po czym szturchnęła go figlarnie w zębra.

- Ty wariacie. A ja już się o ciebie martwiłam. Musiałam zapłacić za pokój hotelowy. - Znów posłała mu kuksańca.

Lecz David chwycił ją za nadgarstki, założył sobie jej ręce wokół szyi i przyciągając ją do siebie, dotknął jej podbródka.

- Ty też miałabyś milion, gdybyś nie była taka uczciwa i nie przekazała pieniędzy z Sagamore władzom.

- Nie mogłam ich zatrzymać. To nie byłoby w porządku.

David przyjrzał się jej. Wcześniej poprosił, żeby zamieszkali w tym samym pokoju, ale odmówiła, wybierając osobny pokój. Dwa dni spędzone wspólnie na rajskiej wyspie były bardzo romantyczne, ale do tej pory odprowadzał ją tylko na noc pod drzwi jej pokoju i tam się żegnali.

- Ja naprawdę chciałem zapłacić za twój pokój.

- Rozumiem. - Przez kilka chwil przyglądali się sobie, po czym Jesse ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała gorąco. W końcu oderwała się od niego. - Wiesz co? Zabierz mnie wieczorem na kolacyjkę. Później może zatrzymamy się w recepcji, a ja się wymelduję. - Posłała mu uwodzicielski uśmiech. - Oczywiście, jeśli znasz jakieś miejsce, gdzie mogłabym zamieszkać.

Podziękowania

Specjalne podziękowania składam:

Elaine Koster z wydawnictwa Dutton za ciągłe wsparcie,
Lori Lipsky, mojej pani redaktor, za jej nieoceniony wkład,
Michaelowi Pocalyko za niezmordowaną pomoc przy tym projekcie,
Cynthii Manson, mojej agentce literackiej, za całą jej pracę,
Stephenowi Watsonowi za rady.

Pozostałe osoby, którym chciałbym podziękować, to:

Gordon Eadon, Russell DaSilva, Jim Wilson, Kathy Thornton, Tom Lynch, Barbara Pocalyko, Arnold Dolin, Laurie Parkin, Mary Ann Palumbo, Leigh Butler, Kevin Haas, Denise Cronin, Aline Akelis, Lisa Johnson, Tracey Guest, Alicia Brooks, Robert Wiczorek, Jr., Barbara Fertig, Betty Saif, Jim and Anmarie Galowski, Brooke McDonald, Chris Tesoriero, Jim McPartlan, Pat and Terry Lynch, Mike Lynch, John Paul Garber, Rick Slocum, Rick Stoddard, Walter Frey, Kathleen Halligan, Dileep Bhattacharya i Naita Mathur, Howard Sanders, Richard Green, Kevin Erdman, Gerry Barton, Liz Eodice, Marie Patton, Julie Plaza, Brian LaLonde, Jim O'Connor, Kevin Kops, Lois Frey, Georgette Gruen, Kiran Sondhi, Mark Rothleitner, Bob Carpenter, Dennis Hedgipeth oraz Tom Gates.